DAWN TRIPP

Georgia

Powieść

O GEORGII O'KEEFFE

ikonie sztuki współczesnej

DAWN TRIPP

Georgia

Powieść
O GEORGII O'KEEFFE

PRZEŁOŻYŁA
MARIA SMULEWSKA

Kate Medinie

OD AUTORKI

Georgia to powieść zainspirowana biografią amerykańskiej malarki Georgii O'Keeffe, a w szczególności jej związkiem z Alfredem Stieglitzem.

Na historię O'Keeffe natrafiłam dzięki jej obrazom, a właściwie głównie dzięki jej abstrakcjom, które miałam okazję zobaczyć w 2009 roku w Muzeum Sztuki Amerykańskiej w Whitney. Wystawa ta okazała się dla mnie prawdziwym objawieniem. Zawsze podziwiałam dzieła O'Keeffe, ale – jak pewnie wiele osób – miałam ją dotąd za malarkę figuratywną. Znałam jej olbrzymie kwiaty, krowie czaszki, krajobrazy Południowego Zachodu. Tymczasem na wystawie w Whitney z każdym kolejnym obrazem zaczynałam zupełnie na nowo rozumieć O'Keeffe i jej malarstwo. Już jesienią 1915 roku, gdy zaledwie kilku modernistycznych malarzy miało odwagę odkrywać ten nowy język sztuki współczesnej, dwudziestosiedmioletnia wówczas O'Keeffe tworzyła radykalnie abstrakcyjne dzieła. Jej abstrakcje z tamtego okresu – tak zresztą jak i te, które tworzyła później – to ambitne, niesamowite dzieła skupione na kolorze i formie, wyrażające i budzące emocje, a przy tym oszałamiająco oryginalne. Olśniewające. Kim była ta kobieta, ta artystka, która stworzyła takie obrazy? I dlaczego nie została doceniona za życia jako wybitna malarka abstrakcyjna?

Na wystawie w Whitney dzieła O'Keeffe pokazano razem z fotografiami Alfreda Stieglitza, które układają się w portret artystki rozciągający się na dobre dwadzieścia lat: zdjęcia jej rąk, twarzy, ciała – czasem ubranego, czasem nie. Znalazły się tam również fragmenty listów, które O'Keeffe i Stieglitz pisali do siebie w latach 1916–1946. Język tej korespondencji jest zaskakująco intymny, szczery, złożony. W swoich listach O'Keeffe jawi się jako kobieta o niesamowitej pasji, niezwykłej inteligencji i silnym pędzie twórczym. Z jej listów bił ten sam żar, który widziałam na jej abstrakcjach, ale który zupełnie przeczył wizji O'Keeffe, jaką miałam dotąd: chłodnej i opanowanej nestorki z Południowego Zachodu, osoby trzymającej cały świat na dystans.

Przez kilka tygodni po wystawie czytałam kolejne biografie O'Keeffe i uderzyło mnie, że choć wszystkie powtarzały właściwie te same główne wydarzenia z jej życia, było w nich bardzo dużo rozbieżności i bardzo różnie interpretowano kobietę kryjącą się za tą ikoną kultury. To mnie zafascynowało.

Już na wczesnym etapie pracy zrozumiałam, że centralnym konfliktem w związku O'Keeffe ze Stieglitzem była walka o jej image jako artystki i „branding" jej prac. Choć dla niej pasja – zarówno w rozumieniu twórczym, jak i erotycznym – stanowiła główne źródło inspiracji, malarka zdecydowanie sprzeciwiała się czytaniu jej dzieł przez pryzmat ściśle genderowy. Z czasem udało jej się przedefiniować siebie jako artystkę, przekazać światu własną wizję siebie. Mimo że przez całe życie odwoływała się do form abstrakcyjnych jako swojego malarskiego słownictwa, krytyczne przyjęcie jej wczesnych abstrakcji i sprowadzanie ich rozumienia do kwestii płci miało na nią olbrzymi wpływ

i sprawiło, że bardzo niechętnie wystawiała swoje czysto abstrakcyjne prace, które są przecież jednymi z najbardziej innowacyjnych i oryginalnych dzieł namalowanych przez jakiegokolwiek dwudziestowiecznego artystę – mężczyznę czy kobietę.

Zaintrygował mnie język, jakim za życia O'Keeffe opisywali i określali jej dzieła krytycy – w większości mężczyźni. Jest to język zamykający ją w ramach genderowych, język, który nadal ogranicza nasze rozumienie jej dorobku i jego wpływu. Do napisania tej powieści pchnęła mnie fascynacja nie tylko życiem O'Keeffe, ale także wyzwaniami, z jakimi zmagają się kobiety wybitne w każdej dyscyplinie.

Te tematy stanową trzon mojej opowieści.

Poza obrazami O'Keeffe oraz fotografiami Stieglitza na pierwszych etapach pracy nad powieścią ważne były dla mnie także następujące pozycje: biografia autorstwa Roxany Robinson *Georgia O'Keeffe*; *Full Bloom: The Art and Life of Georgia O'Keeffe* pióra Hunter Drohojowskiej-Philp; oraz *O'Keeffe and Stieglitz* Benity Eisler.

Barbara Buhler Lynes, historyk sztuki, profesor i kustosz Muzeum Georgii O'Keeffe w Nowym Meksyku, jest ogólnie uznawana za wybitną znawczynię sztuki i biografii artystki. Jej opracowania i wnikliwe zrozumienie tematu niezwykle mi pomogły. Polecam wszystkie jej teksty o O'Keeffe, ale trzy z jej dzieł były dla mnie szczególnie ważne przy pracy nad moją książką: *Georgia O'Keeffe: Catalogue Raisonné*; *O'Keeffe's O'Keeffes*; oraz *O'Keeffe, Stieglitz, and the Critics, 1916–1929*. W ostatniej z wymienionych tu pozycji Lynes szczegółowo analizuje

wpływ krytyki wczesnych prac O'Keeffe na to, jak przedstawiała ona siebie i swoją sztukę.

Gdy byłam już na etapie trzeciego szkicu powieści, ukazała się drukiem korespondencja O'Keeffe i Stieglitza, której zgodnie z wolą artystki nie udostępniano przez dwadzieścia lat po jej śmierci. Listy te opublikowano pod tytułem *My Faraway One: Selected Letters of Georgia O'Keeffe and Alfred Stieglitz: Volume One, 1915–1933*, a zredagowała je Sarah Greenough. Okazały się dla mnie niezwykle przydatne w uściślaniu chronologii wydarzeń oraz uwypukliły pewne podstawowe elementy ich relacji małżeńskich i artystycznych – ich mocną więź oraz przepływ idei między nimi, ale jednocześnie dały mi wgląd w burzliwe chwile tego związku i targające nimi emocje.

W swojej powieści próbowałam uchwycić ducha tych dwojga wybitnych artystów poprzez wyobrażenie sobie dialogu między nimi i innymi osobami z kręgu ich przyjaciół, rodziny i znajomych. Listy, dialogi i sceny w mojej książce są wymyślone. Jest to powieść z gatunku *historical fiction*, czerpałam więc inspirację z prawdziwych wydarzeń i listów O'Keeffe i Stieglitza, jak również z biografii obydwojga artystów, wywiadów z O'Keeffe, wykładów, które wygłosiła, katalogów i innych tekstów autorstwa O'Keeffe i Stieglitza. Czasami wykorzystywałam dosłowne fragmenty z tych źródeł w dialogach albo w przemyśleniach Georgii. Rzadziej decydowałam się na zamieszczenie w dialogach lub narracji krótkich wyimków listów i tekstów innych osób. Jeśli urywki z recenzji sztuki O'Keeffe ujęte są w cudzysłowy, oznacza to, że są to dokładne cytaty. To, że wykorzystuję źródła

historyczne i odnoszę się do rzeczywistych wydarzeń, nie zmienia jednak fikcyjnego charakteru tej powieści.

Poza wymienionymi dziełami pomocne w moich badaniach były także następujące teksty: *Georgia O'Keeffe* Georgii O'Keeffe; *Georgia O'Keeffe: Some Memories of Drawings* Georgii O'Keeffe; *Georgia O'Keeffe: Circling Around Abstraction* Jonathana Stuhlmana i Barbary Buhler Lynes; *Georgia O'Keeffe: Art and Letters* Jacka Cowarta, Sarah Greenough oraz Juana Hamiltona; *Georgia O'Keeffe: Abstraction* (Muzeum Sztuki Amerykańskiej Whitney), pod redakcją Barbary Haskell; *Stieglitz: A Memoir/Biography* Sue Davidson Lowe; *America and Alfred Stieglitz: A Collective Portrait,* pod redakcją Walda Franka i innych; *Lovingly, Georgia: The Complete Correspondence of Georgia O'Keeffe and Anita Pollitzer,* pod redakcją Clive'a Giboire'a; *How Georgia Became O'Keeffe: Lessons on the Art of Living* Karen Karbo; *Alfred Stieglitz* Richarda Whelana; *Portrait of an Artist: A Biography of Georgia O'Keeffe* Laurie Lisle; *Georgia O'Keeffe: The Poetry of Things* Elizabeth Hutton Turner; *Georgia O'Keeffe* Lisy Mintz Messinger; *Two Lives, Georgia O'Keeffe & Alfred Stieglitz: A Conversation in Paintings and Photographs* Belindy Rathbone, Rogera Shattucka oraz Elizabeth Hutton Turner; *Georgia O'Keeffe: A Portrait* Alfreda Stieglitza; *Georgia O'Keeffe and the Camera: The Art of Identity* Susan Danly; *A Jean Toomer Reader: Selected Unpublished Writings,* pod redakcją Fredericka L. Ruscha; *A Painter's Kitchen: Recipes from the Kitchen of Georgia O'Keeffe* Margaret Wood; *The Book Room: Georgia O'Keeffe's Library in Abiquiu* Ruth E. Fine; *O'Keeffe: Days in a Life* C.S. Merrill; *The Rose in the Eye Looked*

Pretty Fine, profil O'Keeffe Calvina Tomkinsa opublikowany w „The New Yorker" w marcu 1974.

CZĘŚĆ I

Nie kocham cię już tak jak kiedyś w oślepiającym pędzie tamtych dni. Sam czas zdawał się wtedy płonąć, przepełniał go ogień naszych ciał. Twoje palce we mnie, twoje usta na mojej szyi, piersiach, udach. Metaliczny zapach ciemni, słodka woń potu i oleju lnianego, plama kakao na stole. Wszystko było wtedy zbite w jedno – sztuka, seks, życie – zmieszane w barwę idealną. Każdy cień był namacalny, miał swój kształt i ton. Twój melonik, lśniąca ołowiowa biel pustego płótna, gotowe tubki farby, mój szlafrok na podłodze, ty nade mną, światło migoczące na twoich rozgrzanych ramionach. Nie odrywałeś ode mnie wzroku. Gdy mnie dotykałeś, poruszałeś się tak blisko – tak blisko, tak szybko i głęboko.

Już cię tak nie kocham. Moje dłonie są chłodne, przeszłość stworzona na nowo, spakowana. Tylko czasami, gdy nagle w nocy poruszy się powietrze, znów to czuję – ciepło twojego spojrzenia na moich zamkniętych powiekach. Wciąż. To uczucie, że zaraz znów wejdziesz.

I

1979, Abiquiu, Nowy Meksyk

Kupiłam ten dom dla tych drzwi. Sam budynek był zupełną ruiną, ale po prostu musiałam mieć te drzwi. Przez wszystkie te lata malowałam je wiele razy i na różne sposoby: abstrakcyjnie, figuratywnie, na niebiesko, czarno i brązowo. Malowałam je w gorącą zieleń lata, w martwej ciszy zimy, z mijającymi je chmurami, z opadającym pojedynczym żółtym liściem. Otwarte namalowałam je tylko raz. Tuż przed tym, jak umarł. Na każdym obrazie potem były już zamknięte.

To nie jest opowieść miłosna. Gdyby tak było, mielibyśmy tę samą, jedną opowieść. Ale on miał swoją, a ja swoją. Twierdził, że wszystko zaczęło się od kilku abstrakcji węglem, które zrobiłam w 1915, zanim jeszcze go poznałam. Miałam wtedy dwadzieścia siedem lat. Byłam biedną nauczycielką, którą przy życiu trzymała jedynie bezlitosna pasja – sztuka. Pewnego wieczoru odsunęłam od siebie wszystko, czego nauczono mnie o sztuce, zamknęłam się w pokoju i rozłożyłam na podłodze wielkie arkusze papieru i węgiel. Pamiętam zimny oddech nocy wdzierającej się przez okno, gdy z kawałka węgla w mojej dłoni przelewały się na papier kolejne kształty.

Kiedy skończyłam, zwinęłam szkice i wysłałam je do Nowego Jorku. Moja przyjaciółka Anita Pollitzer zaniosła je pokazać Stieglitzowi w jego galerii. Kiedy je zobaczył, powiedział: „Od dawna nie widziałem w 291 niczego tak czystego, pięknego i szczerego".

Wiedziałam, kim jest – wszyscy wiedzieli. Nawet go kiedyś przedtem spotkałam, ale on tego nie pamiętał. Był ojcem nowoczesnej fotografii. Ikoną sztuki amerykańskiej. Przełomowe wystawy Alfreda Stieglitza pokazały Nowemu Jorkowi dzieła Picassa i Matisse'a. Choć sam był genialnym fotografem, najbardziej znany był dzięki karierom artystów, których „stworzył".

Napisałam do niego do 291 i spytałam, co takiego widzi w moich rysunkach. Odpisał, że chciałby pokazać moje prace, że mam wysłać mu ich więcej. Nasze listy przemierzały kraj w tę i we w tę. Każdego ciężko zarobionego dolara wydawałam na pędzle, papier i farby.

Opowiadał tę historię przez lata, w kółko i w kółko, aż stała się moją Historią: te węgle, chwila, gdy mnie odkrył, nasza korespondencja. Mówił, że czekał na mnie od dawna. Że zawsze wiedział, iż muszę gdzieś tam istnieć.

Stieglitz potrafił władać słowami z niesamowitą siłą. I dlatego właśnie to jego wersja naszej historii zwyciężyła.

– Staniesz się legendą – powiedział mi kiedyś.

Roześmiałam się.

– Naprawdę – zapewnił mnie. – Już to widzę. To już jest w tobie.

Legenda. Lubił to słowo.

Wierzył we mnie. Nie podarował mi wielkości, ale jego wiara w moje wczesne prace dała mi przestrzeń, by tę wielkość osiągnąć. Wiedział o tym już wtedy i być może w głębi duszy wiedział też, że aby naprawdę stać się legendą, będę musiała go opuścić.

Nocą w Nowym Meksyku powietrze jest rześkie. Minęło tyle lat. Straciłam już wzrok, lecz ten widok wyrył mi się w sercu na zawsze. Pod moim oknem srebrna droga wije się niczym lina, potargane czupryny topól, rzeka w dolinie, w oddali majaczą wzgórza. Kształty świata są niczym cienie. Smukłe kontury, lśniące kreski. Świeci księżyc, rozcina noc na oścież.

W wersji Stieglitza jest też ziarno prawdy – historia mojej sztuki w jego życiu rozpoczęła się w chwili, gdy odwinął tamte rysunki węglem. Ale moja wersja naszej opowieści zaczęła się dopiero ponad rok później. Uczyłam wtedy jeszcze w małym college'u w Teksasie. Wysyłałam mu swoje prace. W naszych listach zaczęła się pojawiać ta dziwna intymność.

Pod koniec maja 1917 roku Stieglitz napisał, że zorganizował małą wystawę moich akwareli i rysunków węglem. Moja pierwsza wystawa. I ostatnia w 291. Zamykał właśnie galerię. Wojna. Czytałam te słowa i serce mi zamarło. Dałabym wszystko, żeby tylko zobaczyć swoje prace na tych ścianach.

Przez trzy dni chodziłam z jego listem w kieszeni. Potem w niedzielę poszłam do domu kierownika banku i ubłagałam go, żeby otworzył placówkę i pozwolił mi wyjąć z konta ostatnie dwa tysiące dolarów. Na bilet z Teksasu do Nowego Jorku.

Nie uprzedziłam Stieglitza, że przyjeżdżam.

II

Maj 1917, Nowy Jork

291. Nagie ściany. Nic już na nich nie ma. Stoję w progu, a on podnosi wzrok i rozpromienia się na mój widok, jego twarz aż łagodnieje z radości.

– Georgia!

Odprawia dwóch ludzi, z którymi rozmawiał.

– Przyjechałaś. Taki kawał drogi – zachwyca się. – Nie miałem pojęcia, że wybierasz się do Nowego Jorku.

– Wiem. Powinnam ci była powiedzieć.

– Zdjęliśmy twoją wystawę dwa dni temu. Tak mi przykro.

Ma ciemne oczy, świdrujące spojrzenie zza wygiętych okularów. Czai się w nich wewnętrzny ogień. Jego włosy są gęste, dzikie, siwiejące w stalowy odcień. Ma pięćdziesiąt parę lat. Prawie dwa razy tyle co ja.

– Gdzie się zatrzymałaś? – pyta.

– U znajomej. Niedaleko Teachers College.

Nie odrywa wzroku od mojej twarzy.

– Zaczekaj – mówi. Idzie na zaplecze i wraca z dwoma moimi obrazami. – Siadaj. – Wskazuje mi krzesło.

Kręcę głową.

– Wolę stać.

Zamiera.

– Ale nie pójdziesz sobie?

– Jeszcze nie.

– Dobrze.

Zaczyna wieszać moje obrazy, jeden po drugim. Moje akwarelowe nieba, węglowe kaniony ze zgarbionymi kształtami krów, ponumerowane błękity. Wiesza je dokładnie tak, jak wisiały podczas wystawy. Ta pewność, z jaką się z nimi obchodzi. Prorok. Wieszcz. Gigant świata sztuki. Obrazoburca. Gorąco mi. To pomieszczenie jest takie małe. Czuję strużki potu spływające po moim ciele. Sucho mi w gardle. Mam rozpalone dłonie.

Jest żonaty, mówię sobie. Żona. Córka. Jesteś jego artystką. Niczym więcej.

Przypomina mi się pewien dzień w lutym. Jego listów przybywało – czasami aż pięć na tydzień. Zaczęłam się bać każdego kolejnego. A jeszcze bardziej przerażała mnie ta niecierpliwość, ten głód, który mnie męczył przed każdą następną kopertą. Tamtego dnia, kiedy miałam wolną godzinę między lekcjami, zamiast popędzić na pocztę zobaczyć, co mi przysłał, zmusiłam się do tego, żeby tam nie pójść. Kupiłam za to pudełko naboi, wzięłam strzelbę i jakieś stare puszki, wyszłam na równinę, porozrzucałam puszki na ziemi i strzelałam do nich z taką zaciekłością, jakbym w ten sposób mogła wybić w sobie ten głód...

Teraz w 291 Stieglitz mija mnie szybkim krokiem. Ściany galerii nie są już puste jak jeszcze przed chwilą, gdy przyszłam. Sala ożyła.

Jeden z obrazów wisi krzywo. Podchodzi do niego i ostrożnie poprawia krawędź ramy, żeby wisiała dokładnie tak, jak on tego chce. I już gotowe. W sali jest bardzo cicho. Słońce przedziera się przez świetliki, pada na podłogę.

Stieglitz odwraca się w moją stronę.

– Spójrz – mówi. Patrzę powoli na ściany, na moje obrazy. – Szkoda, że nie przyjechałaś wcześniej. Gdybyś tylko widziała, jak one ich zaskoczyły. Ile razy myślałem sobie: dlaczego jej tu nie ma? – Głos mu zadrżał.

Między nami to nienazwane, palące coś.

Parskam śmiechem, brzmi to dziwnie, ale przynajmniej czar pryska i między nami znów wszystko jest lekkie jak to światło. Jestem światłem, a on jest tylko człowiekiem. Idę obok niego. Obchodzimy salę, patrzymy na moje obrazy. Zatrzymujemy się przy kanionie Palo Duro – złote zbocza, puszyste chmury, w prawym górnym rogu mokre niebieskie niebo.

– Tamta okolica zupełnie nie przypomina Nowego Jorku, prawda? – mówi. – A ty ją kochasz.

– Niebo jest tam wielkie. Te odległości. Nie do opisania. Przypomina mi Sun Prairie.

– To w Wisconsin?

– Tak. Tam się urodziłam.

Bezkresne pola zbóż, pszenicy. Ale to niebo kochałam najbardziej, jego wspaniały, kapryśny żar. Po skończonej pracy na farmie nie miałam nic do roboty, szwendałam się więc bez końca pod tym niebem.

Utknęliśmy przed obrazem kanionu. Stoimy tak blisko, że wystarczyłoby wyciągnąć palce, a dotknęłabym tego miejsca na

jego rękawie, gdzie nadgarstek znika w mankiecie.

– Ważne, żebyś częściej pracowała z olejami – mówi. – Będziesz musiała popracować nad olejami... Rozumiesz to chyba.

– Oleje są takie uparte. Nie zawsze je lubię.

Śmieje się.

– Jeszcze je polubisz.

Przyszłość. To o niej mówi.

Cytuje krytyków, fragmenty recenzji. Rozpoznaję je. Przesłał mi je przecież i choć nie potrafiłam się zmusić, żeby je tak naprawdę przeczytać, niektóre jego słowa brzmią już znajomo: *wygnanie, ubóstwo, płynność, uniesienie, mistyka* i ta *zmysłowa kreska*.

Mam świadomość, że stoi blisko – tak blisko, że to się robi aż niebezpieczne.

– Chcę ci zrobić zdjęcie. Z obrazami – mówi nagle. – Mogę?

Odpowiadam skinieniem. Idzie na zaplecze i wraca z aparatem i statywem.

– Stań tutaj. – Wskazuje jeden z moich błękitów. – Przed tym. Nie, nie z boku. Niech będzie za tobą. Jako twoje tło.

Pięć centymetrów w lewo, dziesięć do przodu, centymetr do tyłu. Wie, czego chce.

– Nie, mniej. Broda w tę stronę. Tak. Idealnie. – Znika za aparatem, chowa się pod zniszczoną czarną zasłonką. – Patrz tutaj. – Jego głos wypełza stamtąd, jakby zupełnie nie należał do niego. Jest teraz niższy, bardziej miękki, płynie ku mnie z obiektywu.

Czuję go. Czuję, jak na mnie patrzy, czeka, tam, po drugiej stronie aparatu. Cisza w sali ciężka od oczekiwania na zmianę światła, aż będzie padało tak, jak on tego chce; na taki wyraz

mojej twarzy, jakiego on sobie życzy. Będzie czekał, póki nie dostanie tego, czego chce.

– Aha – słyszę. – Tak. Nie wiem, o czym myślisz, ale trzymaj się tej myśli. Nie ruszaj się. Nie mrugaj. Nie oddychaj.

Zgrzyta migawka. Liczę. Liczę. To tak długo trwa. Choć na swój sposób przyjemnie jest tak się zupełnie nie ruszać. Zamrzeć jak kamień. Gdzieś tam głęboko pod skórą serce wali mi tak głośno, że jestem pewna, że i on to słyszy. Czuję na sobie jego wzrok, gorące ciemne oczy skryte za aparatem. Moje ciało go czuje.

– Georgia – szepcze. – Nie ruszaj się.

III

Zostaję w Nowym Jorku dziesięć dni. Stieglitz zaprasza mnie na obiad, chodzimy po ulicach, rozmawiamy, śmiejemy się. Budynki wokół niemal lśnią, odbijają wiosenne słońce. Opowiada mi o Oaklawn, letniej rezydencji jego rodziny gdzieś nad jeziorem George – że zawsze o tej porze roku zaczyna czuć, jak go to jezioro przyzywa, co roku na wiosnę, gdy wszystko pęcznieje na gałęziach, a świat wybucha.

– Kocham to jezioro tak jak ty swoją równinę i niebo.

Spoglądam na niego. Przebiega nam drogę biały piesek. Za nim pędzi jakieś dziecko, śmigają jego długie, smukłe nogi. Stieglitz opowiada mi o swojej córce Kitty, która jesienią zaczyna Smith College. O żonie mówi pani Stieglitz, potem ta znacząca cisza.

Wypytuje o moją rodzinę. Opowiadam mu o czterech siostrach: Catherine i Anita wyszły już za mąż; Ida jest pielęgniarką; Claudie, najmłodsza, jeszcze jest w szkole i mieszka ze mną w Teksasie. Nie mówię mu o ojcu, który rozpił się i zniknął. Nie wspominam o matce, która zmarła tej wiosny.

Podchodzimy do sprzedawcy pomarańczy. Kupujemy jedną. Obieram ją, idę dalej, palce mam lepkie od soku.

– Tęsknisz za Teksasem? – pyta.

– W tej chwili? – odpowiadam lekko, z uśmiechem. – Nie.

Cisza między nami przyciąga jak magnes. Rejestruję smród koni, ryk samochodów, mijające nas głosy, zielone cienie drzew. Przejeżdża powóz.

– Musisz nadal przesyłać mi swoje prace – nalega.

– Nawet teraz, gdy nie masz już galerii?

– Znajdę jakiś sposób, żeby je pokazać. I musisz być bardzo ostrożna, lepiej je pakować, nie oszczędzaj na opłatach pocztowych. Muszą docierać do mnie w nienaruszonym stanie.

– Aż trudno sobie wyobrazić, że już nie będzie 291.

Marszczy brwi.

– Nie było wyjścia. Wojna. Koszty.

– To straszne, że coś tak ważnego po prostu przestanie istnieć.

– Będzie istniało gdzie indziej. Ty tylko maluj i wysyłaj obrazy do mnie. – Uśmiecha się. – Ty Wielka Kobieto-Dzieciaku.

Zwracał się już do mnie w taki dziwny sposób, w listach.

– Jak niby mogę być i tym, i tym naraz? – pytam. – Wielką Kobietą i Dzieciakiem. Wytłumacz mi, bo mnie to intryguje.

Jestem pewna, że wybuchnie na to śmiechem.

– W tym właśnie tkwi tajemnica twojej wielkości jako artystki – odpowiada poważnie. – Masz to, co mają dzieci. Niezatracony instynkt. To coś, co nazywam Białością. A przy tym jesteś kobietą.

I tak po prostu używa tych słów. Wielkość. Jakby tylko ukazywał mi coś, o czym już przecież wiem.

Wracamy do 291. Przedstawia mi ludzi ze swojego kręgu – mężczyzn. Jest kolekcjoner Jacob Dewald, wynalazca Henry Gaisman, malarz Arthur Dove. Widzieli już moje obrazy. Nie szczędzą mi komplementów. W przelocie poznaję Johna Marina. To najsłynniejszy spośród artystów Stieglitza. To on przedstawi

promienie słoneczne na wybrzeżu jako ostre, proste linie. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam jego obrazy, od razu pomyślałam o Kandinskym.

Jest i najnowsze odkrycie Stiegtliza – Paul Strand. Ma na sobie fartuch, w dłoni młotek. Wygląda jak chłopiec przebrany w cudzy kostium. Poważna okrągła twarz, błękitne oczy. Pokazuje mi swoją fotografię misek – zwykłych kuchennych misek, ale dziwnie skadrowanych.

– Piękne! – zachwycam się. Bo są piękne. Łuk jednej misy przechodzi w łuk następnej. Zdecydowana, niemal idealna równowaga odważnej asymetrii.

– Wrażenie w zasadzie podobne do twojej niebieskiej spirali, Georgio – mówi Stieglitz, podchodząc bliżej.

– A jednak inne – upieram się.

– Co masz na myśli?

– Tu, przy tych misach, mamy ruch w kilku kierunkach naraz. Nie tylko w jednym. Taki kadr to dodatkowo intensyfikuje. Przedłuża ruch, sprawia, że jesteśmy gotowi uwierzyć, że ten ruch wcale się tu nie kończy. – Pokazuję mu cień w kształcie ostrza, mocno przycięty kadrem tuż przy krawędzi.

– Otóż to! – Głos Stieglitza brzmi triumfalnie. – Choć muszę przyznać, że sam tego wcześniej nie dojrzałem.

Spogląda na Stranda, potem na resztę. Kiwają głowami, w ich oczach widzę odbicie jego podziwu i nagle dociera do mnie: jest we mnie coś, co ten mężczyzna bardzo wysoko ceni, coś, czego chce. Traktuje mnie jak równą sobie, więcej niż równą. I to wystarczy, by inni też tak mnie postrzegali.

Pierwszego czerwca już tylko deszcz, jakby miasto przeciekało mi przez palce. Budzę się o świcie i patrzę, jak świat spływa po szybie.

Na stacji Gaisman idzie sprawdzić rozkład jazdy. Stoimy sami na peronie. Tylko Stieglitz i ja. Ból niemal nie do zniesienia. Kosmyk spada mi na oczy. Odsuwa go.

– Urocza – mówi.

Wtedy go całuję, jego twarz w moich dłoniach przyciągających jego usta. Przywieram do jego ciała, moje piersi przyciskają się do jego koszuli, jego dłoń na moich plecach, elektryzujący, dziki dotyk – jego oddech miesza się z moim, skóra przyciąga go, usta otwierają się wygłodniałe, jakbym mogła wciągnąć w siebie każdy jego kawałek.

Odsuwa się tylko odrobinę, nie wypuszczając mnie z objęć. Mijają nas jakieś cienie. Jego dłoń wślizguje się pod mój płaszcz, na żebra. Ten jego świeży, mocny zapach. Tak blisko.

– To wszystko, prawda? – szepcze.

Potem będzie się zarzekał, że nigdy tego nie powiedział – że sobie to wymyśliłam.

Kilka tygodni po moim wyjeździe z Nowego Jorku na pocztę w Canyon przychodzą zdjęcia, które zrobił mi w 291. Rozcinam sznurek, wyciągam je z paczki i widzę jakąś kobietę – ostre rysy twarzy. W pierwszej chwili w ogóle jej nie poznaję. A potem się zakochuję. Nie w nim. Jeszcze nie. Ale w tej kobiecie z jego fotografii – w tym zagadkowym, niemal zwierzęcym spojrzeniu jej oczu; w mieszance nieposkromionej ambicji z pożądaniem.

Nigdy mu tego nie powiem. Nie tak ostro w każdym razie, jak to czuję w tej chwili. Wiele lat później opowiem pewną wersję tej

chwili. Wytnę, co trzeba, małe lśniące fragmenciki, które sprawiają, że światło pada tak, a nie inaczej. Nie szkodzi. Życie składa się z kłamstw i magii, ze złudzeń i marzeń. Koniec końców najbardziej męczą nas przecież wspomnienia tego, czego nie udało nam się dojrzeć.

IV

1917, Canyon, Teksas

Przychodzą jego listy – jak pożywienie, woda, oddech. Dni zlewają się jeden w drugi, aż w końcu tylko jego listy odmierzają czas. Pięć, dziesięć, czasami piętnaście stron. Pisze o codziennych sprawach, o swoich spotkaniach, nowym biurze, które wynajął w Anderson Galleries, domu aukcyjnym na Park Avenue. Pisze o wojnie – o nagłej rozpaczy na wieść o tym, że wojska amerykańskie wylądowały już we Francji. *Ale potem myślę o Tobie* – pisze – *i zastanawiam się, co Ty tam robisz na swoim pustkowiu. Już znam je niemal jak swoje, to miejsce, którego nigdy w życiu nie widziałem. Znam je z Twoich opisów. Przesyłaj mi wszystko, cokolwiek namalujesz*. Pewnego wieczora, gdy siedzimy z Claudią na werandzie domu, w którym wynajmujemy mieszkanie, słyszymy na korytarzu ciężkie kroki. Drzwi się otwierają, z budynku wychodzi właściciel. To wielki mężczyzna, ma czerwoną gębę i łapy jak płaty mięsa. Gdy mnie mija, odsuwam się, żeby mógł przejść.

– Co tam zmalowałaś? – pyta.

– Kanion.

– Nijak nie wygląda mi to jak kanion. – Wybucha chamskim, głośnym śmiechem. – Zgagę miałaś, jak to malowałaś, czy co?

– Następnym razem, jak mnie będzie męczyła zgaga, to namaluję pana.

Zatyka go. Zatrzymuje się na ostatnim stopniu, obraca, żeby na mnie spojrzeć.

– Panno O'Keeffe, pracuj panna lepiej porządnie w tej swojej szkole, żebyś miała na czynsz.

– Nic pan nie rozumie – mówię mu, wskazując mój obraz. – To jest moja praca. W szkole tylko zarabiam na chleb.

Gdy sobie idzie, Claudia upomina mnie cichutko, że nie powinnam tak mu pyskować.

– To dobre mieszkanie, Georgia.

– Mieszkać można wszędzie.

Marszczy brwi. Ma na myśli, że to tanie mieszkanie. Zanim pojechałam do Nowego Jorku, może i się przejmowałam, co ludzie powiedzą. Teraz ani trochę.

Przyglądam się mojej akwareli, kanion, wrony, wszystko namalowane w szalonym pośpiechu. Pomarańczowe i zielone farby, woda. Tak szybko się rozlewały, ściekały, wysychały.

– Niemal to uchwyciłam, Claudie. Niemal.

– Zupełnie zapomniałam – odpowiada. – Był tu Ted Reid. Pytał o ciebie.

– Nic dziwnego, że zapomniałaś.

– Wydawało mi się, że go lubisz. To znaczy zanim pojechałaś do Nowego Jorku.

– Ted to bardzo miły człowiek.

– To o co ci chodzi?

– Po prostu nie tego chcę od życia.

– A czego chcesz? – pyta powoli.

Od stopnia niżej odchodzi wąska drzazga. Odrywam ją.

– Wyduś z siebie to, co cię męczy, Claudie.

– Pan Stieglitz jest żonaty.

– Jestem tego w pełni świadoma. To, co łączy mnie i pana Stieglitza, to pasja dla sztuki i nic poza tym. Nie oczekuję, że to zrozumiesz, ale przynajmniej nie potępiaj tego tak, jakby to było coś zupełnie innego. Bo to tym nie jest. – Chyba ją uraziłam. Wypycham z pamięci wspomnienie tamtego pocałunku na peronie. – Zrobił wystawę moich obrazów – ciągnę. – Sprzedał trzy moje rzeczy. Czy to ma znaczenie? Tak. Rozumie mnie. Rozumie, czym może być moja sztuka, rozumie wyzwania, jakie mogę podjąć, rzeczy, jakie mogę zrobić, żeby się rozwijać. Jest zupełnie inny. Czasami wydaje mi się, że w ogóle Nowy Jork to jedyne miejsce, gdzie mogę cokolwiek osiągnąć jako artystka.

Claudia myśli o tym chwilę.

– Wciąż porównujesz, co czułaś tam i co czujesz tu – mówi.

– Tu nie ma za wiele.

Wybucha śmiechem.

– Uwielbiam tę tutejszą pustkę – przyznaję. – Tę nicość. To ona sprawia, że niebo jest tu takie wielkie. Poza tym ty tu jesteś, co sprawia, że jest tu jeszcze milej. Ale nie potrafię ci nawet opisać, co to było za uczucie widzieć swoje obrazy na tamtych ścianach. Dosłownie jakbym zobaczyła nagle swoją przyszłość.

Siada na stopniu tuż obok mnie i ujmuje moją dłoń. Moja kochana najmłodsza siostrzyczka Claudie, taka słodka i ufna. Ale nawet w jej oczach czają się pytania. Przeczuwa, że choć jej nie okłamuję, coś jednak jest nie tak.

Kilka dni później wybieram najlepsze obrazy kanionu i serię *Światło wschodzące na równinie*. Składają się na nią trzy różne obrazy nieba o świcie.

Jestem ciekawa, co powie o nich Stieglitz – który obraz do niego przemówi i dlaczego. Jest w nich coś żywego, coś autentycznego. A jednak na poczcie o mały włos nie wycofuję się w ostatniej chwili – nie są przecież idealne. Mogły być lepsze. A jeśli mu się nie spodobają? A jeśli uzna, że nie ma już w nich tej wielkości, którą ujrzał w węglach i błękitach? A jeśli tamte kilka dni w Nowym Jorku, których ja nie potrafię wybić sobie z pamięci, dla niego nie znaczyło wcale tyle, co dla mnie? Tamten pocałunek.

Wychodząc z poczty, wpadam na Teda Reida.

– Georgia! Wszędzie cię szukałem.

– Jestem w szkole codziennie od ósmej. Wiesz też, gdzie mieszkam. Chyba jednak nie szukałeś tak znowu wszędzie.

Różowy rumieniec na jego twarzy.

– Powiedziałem Claudii, żeby ci dała znać, że byłem.

– Tak, mówiła.

Odprowadza mnie do domu. Mówi takie zabawne rzeczy, potrafi mnie rozśmieszyć. Potem trochę poważnieje i mówi, że chce ze mną jeszcze o czymś porozmawiać. Wbija czubek buta w drogę. To przystojny młody chłopak, świetny sportowiec, wszyscy w mieście go uwielbiają.

Pyta, czy mam ochotę na spacer do kanionu Palo Duro. W pierwszej chwili odmawiam, ale ma tak zrozpaczoną minę, że w końcu się zgadzam. Tego wieczora, gdy siedzimy w świetle księżyca na krawędzi kanionu, otacza mnie silnym ramieniem i całuje, powoli i długo, a ja mu na to pozwalam, łudząc się, że ten

pocałunek zmyje jakoś tamten nowojorski. A potem prosi mnie o rękę, na co ja odchylam głowę w tył i śmieję się głośno. To go zupełnie dezorientuje i jeszcze raz mi się oświadcza. Wysuwam się z jego uścisku.

Wiem, co mu się we mnie podoba. Moja pasja. Tak niepodobna do niczego, co widzi u innych dziewcząt. Już mi to kiedyś powiedział. Już mu tłumaczyłam, że życie ze mną doprowadziłoby go do szału.

– Zaciągnę się – mówi.

– Zaczekaj z tym. Najpierw skończ studia.

– Zaczekałbym na ciebie.

Coś we mnie kuli się nagle.

– Nie gadaj głupot – odburkuję, niszcząc tę ostatnią odrobinę bliskości między nami.

Mogłabym mu powiedzieć, że widziałam już swoją przyszłość. Wiem, że będę zawsze sama.

Maluję i uczę. Wkładam pustynne kwiaty do słoików, żeby starsi uczniowie mieli martwą naturę do malowania. Znoszę kamienie i kości znalezione na moich nocnych spacerach. Układam je na biurku w klasie. Dwaj młodsi chłopcy rysują łodzie podwodne. Inny narysował żołnierza na tle wielkich pomarańczowych chmur. Wojenne chmury, wyjaśnia. Ciągle ta wojna. Ale jeden chłopiec maluje krajobraz z fioletową gwiazdą, po każdej jej stronie jeden domek, drzewa. Zabawny obrazek, może nie tak dobrze wykonany jak pozostałe, ale mówię mu, że bardzo mi się podoba, bo to uczucie wolności jest bezcenne.

– Nie ma ceny, bo nie jest na sprzedaż – on na to poważnym tonem.

Wybucham śmiechem.

– Nie to miałam na myśli.

Wtedy przyznaje się, że zrobił go dla mnie.

Claudia przynosi popołudniową pocztę. List od Stieglitza. Ten, na który czekałam. Dostał już obrazy, tamtą serię i resztę. Jest zachwycony. Jest zachwycony.

Georgio O'Keeffe! Chciałbym wczołgać się do tego świata. Położyć się pod tym samym niebem. Chłonąć tę Twoją ciemną noc.

Minęły całe wieki, odkąd widziałem Twoją twarz, słyszałem Twój śmiech – twoje usta na moich.

No i proszę, napisałem to. Coś się wtedy stało w tym pocałunku, prawda? Myślę o tym, gdy patrzę na te obrazy, które mi wysłałaś.

Odwracam kartkę i widzę, że na drugiej stronie u góry napisał jeszcze kilka zdań, małymi literami, jakby mu się nagle przypomniało: *I ta myśl: jakie dałbym Ci dziecko? Pozwoliłabyś mi?*

Wyrywa mi się okrzyk.

Claudie natychmiast się odwraca.

– Georgia? Co się stało?

Zasłaniam usta dłonią, zduszam śmiech.

– Nic – zapewniam ją. – Nic. Nic.

Jej spojrzenie pada na list w mojej dłoni. Składam go i idę na górę. Muszę być sama. Muszę przeczytać go jeszcze raz. To, co napisał o moich obrazach, i to pytanie. Przez szerokie środkowe okno wpada zachodzące słońce, ciemny kształt konia idącego po równinie.

Wyciągam pudełko ze zdjęciami, które mi zrobił ponad miesiąc temu w 291.

Wolę tę fotografię jej rąk, nie twarzy. Pozycja dłoni pasuje do spiralnych form na moim obrazie za nią.

Była taka chwila tamtego dnia w 291, kiedy odłożył aparat, podszedł do mnie, dotknął mojego policzka i odwrócił moją twarz dłonią. Drżenie pod jego palcem. Jak pędzące w dół sanie.

Kobieta z tych zdjęć jest taka wytworna. Jest mną i mną nie jest. Zawsze myślałam, że mam okrągłą twarz, ale na tych odbitkach widzę kąty – kości policzkowe, szczęka. Piękne. Wie dokładnie, kim jest, i jest w tym coś zachwycającego, nawet nie tyle w niej samej, ile w tej intymnej przestrzeni między nią a światem.

Zaczęłam pisać mu o rzeczach, o których nie mogę rozmawiać z nikim innym: o tych chwilach, gdy barwy i kształty tak mnie przepełniają, że mój umysł nie potrafi ich w sobie utrzymać. Staje się dla mnie jasne, że jeśli w ogóle istnieje ktoś, kto potrafiłby zrozumieć ten mój język obrazów, to światło na równinach, ten strumień abstrakcyjnych kształtów – to właśnie on.

Podnoszę głowę. Zmierzch. Gwiazda Wieczorna wisi wprost przede mną, za oknem, nad patykowatymi ramionami wiatraka. W oddali suną powoli krowy, niczym wąski czarny łańcuszek na rąbku nieba. Wiatr niesie ich muczenie na wszystkie strony, aż wydaje się, że dźwięk dochodzi zewsząd.

Wychodzę w to znikające światło na równinach, mijam brzydkie białe domy, czarne okna. W kieszeni spódnicy jego złożony list. Czuję na udzie jego krawędzie. Kiedy miasteczko jest już tylko kamyczkiem gdzieś za mną, kładę się na twardej suchej ziemi i odchylam głowę. Gwiazda Wieczorna, tak nieziemska. I to uczucie. Magia nicości. Niebo, tak cudowne i wielkie. Wdycham je

łapczywie. Leżę tam w zimnej ciszy, na krawędzi mojego umysłu pełzają małe myśli – że może on jest jak ta przeogromna przestrzeń, bezgraniczny jak te równiny, jak ta noc tak wielka, że być może zdołałaby mnie objąć.

Następnego dnia po lekcjach zamykam drzwi, wyciągam arkusz papieru i kładę go na stole razem z farbami. Woda na moim pędzlu. Blada smuga nieba, pomarańczowo-żółta. Delikatny opór włókien papieru. Dodaję linię głębszej czerwieni, która płonie w świetle, więcej energii, więcej życia, szybsze bicie serca, lekkie elektryczne drżenie pod opuszkami, gdy pędzel sunie w tę i z powrotem. Tracę poczucie czasu, siebie. To kształty z mojego umysłu same poruszają moją dłonią. Kolory sączą się na papier, niebo niemal po brzegi, tylko odrobina bieli u góry – moja gwiazda.

Kończę obraz i go zostawiam, myję pędzel, odkładam na bok. Zmieniam wodę w misce. W pokoju jest tak duszno. Uchylam okno.

Biorę nowy arkusz i zaczynam od początku, zostawiając białą plamę na gwiazdę w tym samym miejscu, wysoko, na lewo. Wokół żółta poświata, potem kręgi ciemniejszych żółci, pomarańczu, czerwieni – kolory coraz odważniejsze, śmielsze spadki linii, mniej kontroli. Jedno ciemne, grube pociągnięcie pędzla na dole – ciężar ziemi, żeby zrównoważyć czysty blask gwiazdy.

Obrazy – zaskakujące. Brzęczenie w moim ciele.

I znowu. Tym razem jeszcze bardziej wychodzę poza krawędzie, przekraczam granice, które być może powinnam zachowywać – przesuwam je, pozwalam mojej płonącej gwieździe przejąć całe nocne niebo, kolory zderzają się, krwawią. I kolejne przywołanie

mojej gwiazdy – świetlistej, abstrakcyjnej – staje się odpowiedzią na ciemne gorące spojrzenie sunące po mnie tamtego dnia w 291. Jak zresztą chyba każdy obraz, który już potem namalowałam.

V

Mija lato, a ja spędzam coraz więcej czasu sama. Kiedy Claudia wychodzi wieczorem, siadam na schodkach z jego listami. Pisze o lipcowej ofensywie pod Ypres, przerażającej liczbie ofiar, tej zupełnie niepotrzebnej tragedii; o tym, jak wojna zupełnie zniszczyła jakże świeżą jeszcze w Ameryce fascynację sztuką nowoczesną. *Teraz nie ufają już niczemu, co obce, w szczególności Europejczykom. A Małżeństwo, muszę przyznać z przykrością, posypało się do reszty. Pani Stieglitz nigdy mnie nie rozumiała. Nie łączy nas nic poza Kitty, ale w życiu nie chciałbym złamać serca córce. W zeszłym tygodniu zawiozłem ją na studia, już jej nie ma. Wszystko przemija, przepada. Przedwojenne nadzieje,* Camera Work*, 291, wszystko przepadło. Ty jesteś mi lampą. Duch 291 trwa w Twoich dziełach...*

Przy tych przepastnych listach miasteczko wydaje się takie malutkie. Jak ropiejąca rana. A ja jestem rozpaloną pochodnią szaleństwa, którą ktoś nieopatrznie w tę ranę wbija. Kobiety śmieją się za moimi plecami, bo noszę męskie buty i długie, proste czarne suknie; bo mam prawie trzydzieści lat, a wciąż nie wyszłam za mąż i nawet nie szukam narzeczonego; bo nie wierzę w podżegające do wojny plakaty, którymi ktoś oblepił sklep w miasteczku, by wezwać nas do wybicia wszystkich Niemców. Co za ignorancja. Tak to nazywam. Stronią więc ode mnie – za to, że

mówię, co myślę, i za to, że szwendam się o zmroku po okolicy jak obłąkana, strzelając do pomniejszej zwierzyny i puszek.

Ostre drapanie w gardle i kaszel, który jakoś nie chce przejść. Od dłuższego czasu nie czuję się najlepiej. Żartuję z Claudią, że to wszystko przez nasze miasteczko, że duszę się w tym zaścianku, że choruję od tych wszystkich wrogich spojrzeń. Ale kaszel robi się coraz gorszy. Bywają już dni, że nie mogę mówić.

Claudia przygotowuje się do wyjazdu do pracy w Spur. To dobra posada, będzie uczyć, ale bez niej moje życie w Canyonie już zupełnie nie ma sensu. Tkwiłam tu tylko dla niej. Dwa dni przed jej wyjazdem siedzę na łóżku, a Claudia pakuje rzeczy.

– Musisz iść do lekarza – mówi, wkładając zwinięte rajstopy do butów.

– Kaszel już przechodzi – zapewniam ją.

– Nie wydaje mi się. A jeśli zejdzie ci na płuca?

– Nie zejdzie. – Ale zaraz mnie zatyka i znów zanoszę się kaszlem, od którego aż się zwijam wpół.

– Nie mogę cię tak zostawić – mówi.

– Możesz, Claudie. Nic mi nie będzie. – Mój głos znów jest spokojny, opanowany. Głos najstarszej siostry, który tak dobrze zna. Głos tej, która zarządza, tej, z którą się nie dyskutuje. Głos tej opanowanej i niezniszczalnej.

Robi się zimno. Bezlitosne listopadowe wichry szarpią resztkami liści na akacjach. Muszę wpychać sobie papier pod spódnicę, żeby chronić się jakoś przed wiatrem smagającym mnie w drodze do szkoły. Idę do lekarza, wkłada mi do gardła jakiś długi metalowy przyrząd i mówi, że muszę bardziej o siebie dbać. Że słyszał, że

chodzę na długie nocne spacery po równinie. Mam siedzieć w domu. Nic nie mówić. Nie wpuszczać zimnego powietrza do gardła. Pyta o choroby w rodzinie.

– Suchoty?

Kręcę głową. Cisza. Kłamstwo.

Wbija mi igłę w ramię. Głęboko.

Jedna z moich paczek dotarła do Nowego Jorku w opłakanym stanie. Stieglitzowi udało się uratować obrazy, ale strasznie się na mnie wścieka. *Takie rzadkie, wyjątkowe dzieła, te Twoje obrazy, popakowane w najtańsze tuby, i nawet nie nadałaś ich poleconym!* – grzmi. Potem daje mi dokładne instrukcje, jak mam w przyszłości wszystko pakować.

Łzy napływają mi do oczu ze wstydu na myśl o tym, czego on nie rozumie, a czego ja za nic mu nie wyjaśnię – że na to wszystko brak mi pieniędzy. Muszę bardzo oszczędzać. Nic nie odkładam. Boli mnie gardło, ból staje się coraz ostrzejszy, mocniejszy.

Dzikie i daremne pożądanie. Tęsknota. Gdyby tak był tu ze mną. Nie mogę malować. Nie mam nagle nic do powiedzenia.

W listopadzie szkoła prosi mnie, żebym wygłosiła na radzie wydziału wykład o teoriach sztuki nowoczesnej. W pierwszej chwili myślę, że to chyba jakiś żart – przecież oni mnie nie znoszą. Ale potem zgadzam się, bo jakie mam wyjście? Zagłębiam się w swoje książki – rozważania na temat sztuki i ludzkiego ciała. Teoria Arthura Jerome'a Eddy'ego, że w malarstwie powinno się szukać języka wyższej abstrakcji – języka duchowego, nieskazitelnego. Kiedyś te słowa tak wiele dla mnie znaczyły. Teraz łapię się na tym, że wyrywam w nich wielkie dziury.

Kiedy ktoś patrzy na moje obrazy, ma przede wszystkim poczuć to, co pchnęło mnie do ich namalowania. Maluję tak, jak czuję. Światło, niebo, powietrze. Jak chcę, żeby się to czuło.

Podczas wykładu mówię o tym, że kiedy maluje się obraz – czy to krzesła, czy ptaka, czy kanionu – ma się szansę powiedzieć coś o życiu, o tym, co ono dla ciebie znaczy. Piękny obraz, jeśli brak w nim życia, nie jest wcale dobry. Potem krytykuję ich wszystkich, cały wydział, to, jak uczą, zwłaszcza mężczyzn, bo to oni zawsze są pewni, że mają rację. Mówię im, że ich program jest do niczego, że pełen jest pustych idei, które nie mają żadnych podstaw w ludzkich emocjach i potrzebach.

Jestem przekonana, że mnie za to ukamienują. Ale nie. Po wykładzie część kobiet podchodzi do mnie uścisnąć mi dłoń. Są zachwycone, przejęte. Wracam do mieszkania i pakuję się od razu do łóżka.

Stieglitz pisze: *Martwię się o Ciebie, ten kaszel, choroba.* Jest tak daleko. *Boję się, że jest z Tobą gorzej, niż się przyznajesz. Zmieniło Ci się pismo. Litery są takie małe. Musisz wyzdrowieć.*

Jestem już tak chora, że nie mogę uczyć. Kaszel zszedł na płuca. Lekarz mówi mi, że nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś był tak blisko gruźlicy, choć w zasadzie na nią nie choruje. Wymawia to słowo tak spokojnie, że jego dźwięk niemal mnie mija. W głowie mi się kręci.

– Musi pani pojechać na południe – stwierdza ponuro. – Gdzieś, gdzie jest cieplejszy klimat. Bo jak nie...

Te dwa ostatnie słowa cedzi z takim naciskiem, jakby wcierał mi sól w ranę. Ale jego oczy patrzą na mnie łagodnie, ze szczerą

troską. Mogę mu ufać. Przemożny strach. Ten kaszel – ten głupi, denerwujący kaszel – to jednak nie jest nic takiego. *Jeśli nie będzie pani ostrożniejsza. Proszę o siebie dbać. Wyjechać na południe. Bo jak nie.* Umysł jak tysiąc lśniących fragmencików. Wszystko, czego pragnę – nadzieja, magia, jego listy, moja sztuka, tamten pocałunek – stracone.

Lekarz patrzy na mnie uważnie.

– Czy pani rozumie, co do pani mówię?

Dopiero wtedy mu wyjaśniam.

VI

Przedtem

Padali jak muchy. Mężczyźni w rodzinie ojca. Najpierw rumieńce, potem ten złowieszczy kaszel. Suchoty. Wdzierały się w ich płuca i obracały je w pył.

Kiedy zmarł dziadek, mój ojciec rzucił szkołę i uciekł na pola. Potem suchoty zabrały jeszcze dwóch jego starszych braci. Jego ostatni brat, ten najmłodszy, Bernard, zmarł w objęciach mojej matki. Zabrała go do naszego domu, żeby się nim opiekować, bo nie miał już nikogo. Pamiętam, jak pochylała nad nim surową, szlachetną twarz – te jej piękne rysy, które jej zostały po królewskich przodkach. Podkładała dłoń pod jego kark, żeby unieść mu głowę, przyciskała szklankę wody do jego warg. Krew w popękanych kącikach jego ust. Światło do niego nie docierało, padało tuż obok – jakby już wydało wyrok. Kiedy zmarł, zostawił ojcu swój kawałek ziemi, *za jednego dolara, z wyrazami szacunku i miłości zapisuję*.

Każda z nas miała po dwie suknie. Żeby mieć co nosić, kiedy trzeba było uprać tę drugą. Siostry lubiły przepasywać je w talii barwnymi szarfami, żeby dodać choć odrobinę koloru, ale ja wolałam nosić moją bez wiązania, prosto, zwyczajnie. Od matki bił chłód, ale i dobroć. Jej mądre, surowe spojrzenie, zawsze

utkwione gdzieś w oddali, gdzieś, gdzie nas już nie było, może w tej linii na końcu nieba – tym cichym punkcie odniesienia, który trzyma wszystko razem, w tej kresce, która niemal dotyka ziemi, ale jednak nigdy do niej nie dociera. Była wykształcona, kulturalna, inteligentna, chciała zostać lekarką, ale wydano ją za naszego ojca, żeby połączyć ziemie dwóch rodzin. Wieczorami i kiedy padał deszcz, czytała nam książki. Słuchaliśmy jej z braćmi i siostrami w pełnym szacunku milczeniu, siedząc na wielkiej skórze bizona, którego ojciec upolował kiedyś w Dakocie.

Gdy Bernard zmarł, wyszorowano pokój, w którym jego czerwona plwocina poplamiła podłogę, a pościel spalono. Nigdy potem nie wymawialiśmy jego imienia. Pamiętam jednak pewien dzień niewiele później. Koniec lata, ciepły wiatr wdzierający się przez otwarte okno. Matka siedziała w sypialni. Na stole przy niej leżała para złotych kolczyków ze szmaragdami, które jej ojciec, George Totto, podarował swojej żonie Isabelle, nim popłynął do Europy, by odzyskać utracone dziedzictwo na Węgrzech, i nigdy już nie wrócił. Te kolczyki były najcenniejszym skarbem mojej matki. Wkładała je, gdy zapraszała panie z miasta na herbatę – jako oznakę minionego bogactwa, wygnania, egzotycznego splendoru i cichej plamy zdrady. Tamtego dnia, gdy zastałam ją w sypialni, kolczyki leżały na stole przy niej, a ona siedziała zupełnie nieruchomo. Zamarłam w progu, żeby mnie nie zobaczyła. Przeraziła mnie, ta jej zrozpaczona twarz, ten ból. To nie Bernarda opłakiwała – miałam już jedenaście lat i byłam dość duża, by to rozumieć. Opłakiwała swoje zmarnowane życie.

Wszystko się wtedy zmieniło. Ojciec stał się ponury, niespokojny. Już nie był tym roześmianym, wesołym skrzypkiem,

którego tak uwielbiałam. Niszczył go strach przed białą plagą. Byle kaszel czy gorączka wystarczyły, by wpadł w panikę. Pił coraz więcej. Krążyły plotki. Że ukradł konia, że wdał się w bójkę, że uprawia hazard, że ma w miasteczku kobietę. O tym się w domu nie mówiło. Takie były zasady. Oczywiste dla nas wszystkich.

Tamtej zimy temperatura spadła do minus trzydziestu stopni. Śniegu było na trzy metry.

To wtedy zaczęłyśmy lekcje rysunku. Nie miałam takiego talentu jak moje siostry. Uczyłyśmy się kopiować sześciany z cieniami z podręcznika do rysunku Pranga. Szkicowałyśmy źdźbła owsa i gałązki, żałosne martwe natury, sztuczne czerwone róże, konie – bohomazy, które matka pieczołowicie oprawiała i wieszała na ścianach.

Pewnego wieczora, gdy szłam po schodach na górę i mijałam okno na półpiętrze, dostrzegłam jakiś błysk na śniegu. Podeszłam bliżej. Światło księżyca na polu. Tylko tyle. Drzewa nagie, ciemne, na tle śniegu. W oddali blady, cienki pas nieba niczym długie, wąskie drzwi.

Narysowałam ten krajobraz – pierwszy rysunek, który w ogóle miał dla mnie jakiś sens – drzewa, cienie, światło księżyca – i to nie takie, jakie widziałam, ale takie, jakie czułam, gdy wyglądałam przez okno na pola – miękkie, nocne, otwierające przede mną świat.

Tam, gdzie miał być śnieg, zostawiłam pusty papier, ale wyglądał zbyt szczerze, zbyt samotnie, zbyt znajomo, naszkicowałam więc kilka szarych kresek, żeby pokryć go zarysem drogi.

Zaraz potem podarłam ten rysunek, ale odtąd tym właśnie stała się dla mnie sztuka – czymś wyjątkowym, niezniszczalnym, jedynym sposobem na okiełznanie chaosu i strachu, na przekucie w piękno nawet walącego się świata.

Rodzice sprzedali gospodarstwo i wyjechali. Matka miała dopiero pierwsze objawy choroby, ale wiedzieliśmy od razu. Ruszyliśmy na wschód. Rodzice pozbyli się ziemi, jakby razem z nią wyrzekali się tego splamionego losu, który dla nich uosabiała. Wzięli pieniądze, irlandzkie srebra, ukochanego konia zaprzęgowego. Matka zapakowała złote kolczyki ze szmaragdami i oprawione rysunki, których tak nie znosiłam. Ja zabrałam tylko światło księżyca z pola.

VII

1918, Waring, Teksas

Zgodnie z zaleceniami lekarza wsiadam w pociąg i jadę na południe. Postanawiam zatrzymać się u mojej przyjaciółki Leah, która ma gospodarstwo w Waring, pod San Antonio, gdzie powietrze jest cieplejsze, delikatniejsze, czystsze – lśniąca mgiełka otulająca domy.

Wracam do sił. Zaczynam znów pracować: szkice grafitem na kremowym papierze – jeden Leah, drugi misy z owocami; potem akwarelowy dom sąsiadów na tle nocnego nieba, z ogromnym drzewem i wychylającym się zza niego księżycem. Niebo tworzę z wijącego się, rozbryzgującego światła – bo tak odczuwam lśniącą nocną bryzę na mojej twarzy.

W listach od Stieglitza pojawia się nowy temat: *A gdybyś tak przyjechała do Nowego Jorku? Mógłbym się tu Tobą zaopiekować. Pilnować, żebyś odpoczywała i o siebie dbała. Nie mogę przestać o tym myśleć: a gdyby tak przyjechała?*

Opowiada mi, jak malarz nazwiskiem Wright zaszedł do niego do biura w Anderson Galleries, kiedy akurat przyniesiono paczkę ode mnie z Teksasu. Razem przeglądali moje obrazy. Wright zwrócił uwagę na to, w jaki sposób posługuję się kolorami, potem

powiedział: „O'Keeffe nie maluje. To początek zupełnie nowego rodzaju sztuki".

Serce mi wali. Podnoszę wzrok i wszystko wygląda inaczej – nagie, zmieniające się kolory późnego popołudnia, błękitne wzgórza, słońce zalewające mały żółty domek po drugiej stronie drogi, światło odbijające się od czerwonych dachówek.

A gdybym tak pojechała?

Śpię w jednym łóżku z Leah, jej ciało, ciepłe i miękkie, tuż obok mojego. Budzę się wcześnie i szkicuję ją, gdy jeszcze śpi, ciemna głowa na poduszce, rozchylone usta, długie włosy w poplątanych falach. Prosty abstrakcyjny rysunek – chaos włosów, wyraz twarzy.

Krzaki bzu na podwórku za domem pachną tak mocno. O świcie świat wydaje się miękki i łagodny. Zbieram drewno na opał i zanoszę je do domu. Leah już wstała, krząta się po kuchni w swoim męskim płaszczu, spod którego wystają jej smukłe stopy.

– Zupełnie tu inaczej, kiedy ty tu jesteś – mówi. – Jesteś taka spokojna, że i mnie się to udziela.

– Jestem spokojna tylko dlatego, że jestem po chorobie.

– Nie, to coś głębszego. To dlatego, że ty zawsze wiesz *dokładnie*, czego chcesz.

To niuans – ten nacisk na słowo *dokładnie*. Niewinny. Ale błędny. Nie odpowiadam. Cisza to najprostszy sposób na skrycie tego, co czuję. Sączę herbatę. Ścieram serwetką krąg, który został po kubku na blacie.

Później tego samego dnia piszę te słowa, których tak bardzo się bałam. *Kocham Cię dziś tak bardzo*. Nagle to takie proste.

Zapewniam go, że czuję się już znacznie lepiej, choć wiem, że mi nie uwierzy.

Chcę, żebyś tu była – odpisuje. – *Nie pozwolę, by coś Ci się stało. Czy potrafiłabyś być tu szczęśliwa?*

Pisze, że Paul Strand wybiera się w te strony, i rzeczywiście w połowie maja przyjeżdża. Z początku wypiera się, że to Stieglitz go do mnie wysłał. Śmieję się z niego.

– Myślisz, że was nie przejrzałam?

Strasznie się peszy, jego błękitne oczy wpatrują się we mnie niepewnie, jakby nie potrafił zrozumieć, czy śmieję się z nim czy z niego. Paula tak łatwo spłoszyć.

– No, już, już – mówię. – Przywiozłeś może jakieś swoje zdjęcia? Chciałam je pokazać Leah.

To go uspokaja. Pokazuje kilka swoich nowych fotografii i czuję się szczęśliwa, gdy je oglądam. To tak, jakby mieć nagle okruchy świata Stieglitza – tu, na tym teksańskim pustkowiu. Żona, upominam się. Wciąż muszę się ganić. Nie zaprzepaszczaj wszystkiego dla jakiegoś mężczyzny. On ma żonę. Ile to już razy powtarzałam sobie te trzy słowa – słowa, które powinny coś znaczyć, które chyba kiedyś coś znaczyły, a teraz nagle stały się zupełnie puste. Pierwszy czerwca. Rok temu wyjechałam z Nowego Jorku. Odprowadził mnie na stację. Pocałowałam go. Na toaletce sterta książek, które mi wysłał: *Listy Van Gogha*, *Sztuka* Clive'a Bella, książka Eddy'ego o kubizmie i *Faust* Goethego, pierwsza książka, jaką od niego dostałam. To jego ulubiona, tak mi powiedział. Miał dziewięć lat, gdy ją odkrył. Czyta ją na nowo każdego lata. Zarzekał się, że może to dziwne, ale uspokaja go ta tragiczna opowieść o romantycznym bohaterze, który gotów jest

oddać duszę za jedno transcendentne spojrzenie na nieznane. Z grzbietu książki wysunęła się brązowa nitka. Biorę nożyczki do paznokci i odcinam ją.

On jest moją przyszłością. Taka jest prawda.

Wysyłam telegram.

Tak.

VIII

Nowy Jork

Koła pociągu stukoczą o tory, pędzą na północ. Paul dotyka mojego ramienia.

– Zaraz będziemy na miejscu.

Przez okno widzę, jak miasto wyłania się przed nami o świcie. Szare geometryczne kształty, kąty powyginane na wszystkie strony, rzeka – szeroki pierścień kutego srebra. Wróciła gorączka, nieznośne ciśnienie w piersi.

Stieglitz czeka na nas na peronie w kapeluszu z małym rondem, w lodenowym płaszczu. Strand trzyma mnie pod ramię, gdy wysiadamy z pociągu. Moje ciało wydaje się słabe, ale mimo to zalewa mnie fala radości na widok Stieglitza. Otacza mnie ramieniem, jego płaszcz muska mój policzek. Trzyma mnie mocno, moc tego ramienia na moich plecach, wszystko we mnie mięknie.

– Do końca nie wierzyłem, że przyjedziesz – szepcze. – Czytałem ten telegram w kółko i w kółko i wciąż nie mogłem uwierzyć, że przyjedziesz.

Prowadzi mnie przez wysoką halę dworcową, przez wysokie okna wlewa się zakurzone, ostre słońce. Poruszamy się powoli, jak we śnie. Czuję, jak moje ciało drży, zimno mi.

Moją skórę smaga miasto, hałas, zapachy. Zamiatacz ulic na chodniku szura miotłą, gdy wychodzimy.

– Moja bratanica Elizabeth, Dove i reszta... Wszyscy tak się cieszą, że przyjechałaś.

Zwolnił, żeby iść równo ze mną. Podnoszę wzrok, ta urocza troska na jego twarzy.

Strand macha na taksówkę, potem żegna się i odchodzi piechotą. Stieglitz pakuje mnie do samochodu, tak jakby wiedział, że jestem milionem małych, rozgorączkowanych kawałeczków, które zupełnie się rozsypały. Moje rzeczy lądują w bagażniku. Kierowca zatrzaskuje drzwi – co za ostateczny dźwięk – przez chwilę ta pewność, że to jednak błąd. Ale potem jego głos tuż przy moim uchu.

– Tyle mam ci do opowiedzenia – szepcze, gdy włączamy się w ruch uliczny, ten dziwny natłok poruszających się po mieście pojazdów, tak inny niż wieś, z której właśnie przyjechałam. Przyciąga mnie bliżej do siebie. – Wciąż jesteś chora – mówi. – Nie przyznałaś się.

– Właśnie mi wróciło.

Przez górną krawędź okna taksówki widać gdzieś wysoko nad budynkami przytłumiony trójkąt nieba. Dech mi zapiera i nagle zanoszę się kaszlem, pochylam się do przodu, głowa opiera się o siedzenie, ten okropny smak w ustach. Trzyma mnie, póki nie skończę. Czuję w głowie lekkość, nicość. Kiedy taksówka skręca raptownie, wpadam w jego objęcia. Jego zimna skóra tuż przy mojej twarzy, lekkie pocałunki przebijające się przez pot i gorączkę. Chłód jego ust jak czysta woda.

– Kochana – mówi.

Chyba tak mówi. Jego głos jest jak echo i wydaje mi się, że to się już zdarzyło, od lat płynęłam ku tej chwili, tej taksówce, dokładnie tej trasie.

– Trzecie piętro – mówi, gdy wysiadamy przed domem jego bratanicy na Pięćdziesiątej Dziewiątej.

– To chyba wyżej niż trzy – sapię, gdy się wspinamy po schodach. Tysiące schodów.

Atak kaszlu na półpiętrze. Muszę przystanąć. Staje przy mnie. Zbieram się w sobie, trzyma mnie za ramię, podejmujemy powolną wspinaczkę. Wysprzątał studio. Dorobił klucze.

Pokój przepełnia słońce, wlewa się przez okna i świetlik. Jasnocytrynowe ściany. Podłoga pomalowana na pomarańcz – tak zabawny pomarańcz, że wybucham śmiechem. Widzę jego zdumioną minę, zaskoczoną moim napadem wesołości. Po tej dzikiej intymności w listach fruwających przez pół kraju nagle stoimy tu razem, zwykli, niedoskonali, ludzcy my – w tym uroczym mieszkanku wielkości pudła na buty.

– Na korytarzu jest łazienka, w mniejszym pokoju mam różne fotograficzne graty, książki, trochę obrazów.

W kącie pościelone łóżko – prosta prycza, wykrochmalona pościel w równe paski. Kilka krzeseł, stół.

Kładę się na łóżku, trzeszczą sprężyny.

– Nie zasypiaj jeszcze. Musisz coś zjeść.

– Taka jestem zmęczona.

Zsuwam buty i chowam się pod kołdrę. Słyszę, jak nalewa szklankę wody z kranu. Ściany robią się takie miękkie.

Kiedy się budzę, jest noc. Siedzi na krześle przy moim łóżku, jego twarz w świetle lampki, brązowa oprawka binokli, za nimi

poważne ciemne, zasępione spojrzenie. Ten kochany szeroki nos, wąsy, trochę nierówne zęby widoczne, gdy się uśmiecha, łysiejące skronie. To jego dłoń mnie obudziła, jego dłoń na moim czole, ześlizgująca się na twarz, głaszcząca mój policzek.

Przypomina mi się tamta stacja – rok temu – jego ręka na moich plecach, moje ciało wciśnięte w jego. Teraz jakby to było wieki temu. W innym życiu.

– Śpij, nie będę ci przeszkadzał – mówi.

Pochyla się. Jego usta muskają moje czoło. Potem znika.

IX

Jego twarz rozpromienia się, gdy wchodzi rano i widzi, że siedzę na łóżku.

– Wyglądasz dużo lepiej. Odpoczęłaś.

Przyniósł mi świeże jajka z farmy Arthura Dove'a w Westport. Gotuje je na płycie kuchennej, oświadcza, że to „jajka w koszulkach", i przynosi mi je do łóżka.

Ma dla mnie farby olejne, zadowolone z siebie małe tubki. Położył je na drugim końcu stołu, z jakąś książką, papierem i brązową torebką pełną innych drobiazgów.

– Nie chcę przez to sugerować, że od razu masz zacząć malować. Tylko nie chciałem, żebyś się nudziła.

– Nigdy się nie nudzę. Podoba mi się tu.

– Wyglądasz lepiej.

– Czuję się lepiej.

– Czytaj, pisz listy, zostań w łóżku, póki nie wyzdrowiejesz.

Wskazuję głową paczkę.

– To akwarele? – pytam.

Skinienie. Wie, jak uwielbiam ten nieuchwytny moment przepływających barw – tak zwinnych, tak szybkich, zupełnie innych niż te powolne pretensjonalne oleje.

Przygląda mi się.

– Co? – pytam.

– Nic – odpowiada.

Uśmiecham się, wskazuję nożem jego talerz.

– Nawet nie tknąłeś jedzenia.

Kiedy wychodzi, czuję jego nieobecność. Nie mogę usiedzieć w miejscu. Zmywam naczynia, wyciągam inne z półki przy zlewie i te też myję. Na powierzchnię wypływają te małe demony: jakim cudem wpakowałaś się w taką sytuację? Tak nie można, przecież wiesz. To jakiś absurd. On jest żonaty. Córka, żona. Spójrz na siebie. Kobieta kompletnie uzależniona, wręcz posiadana przez mężczyznę, który nawet nie jest jej. Wstyd.

Krążę po mieszkaniu. Łazienka na korytarzu wyposażona jest w kilka butelek mydła przeciwbakteryjnego Synol. W pokoju znajduję jego sprzęt fotograficzny: lejki, tacki, pojemniki, biały parasol, dwa statywy, pudła z książkami, negatywy, odbitki i papier do oprawiania. Czuję się jak intruz. Przeglądam rzeczy, które mi zostawił: książka, ciężki papier do akwareli, farby, pędzle, grunt, deski. Nowa paleta, taka gładka i czysta.

Głowa mnie zaczyna boleć. Biorę pióro i papier i wracam do łóżka, żeby napisać do sióstr. Resztę rzeczy zostawiam na stole. *Kochana Ido*, zaczynam. Jak jej to wszystko wyjaśnić? Że mieszkam w studiu mężczyzny, który zaangażował się całym sobą – swoją pasją, finansami, wiarą – w moją karierę. Brzmi to jak jakiś głupi żart.

Wraca o zmierzchu. Odkłada torbę na krzesło.

– Jak się czujesz? – pyta.

Nie chcę mu mówić. Męczyły mnie cały dzień. Te myśli, wątpliwości, jak to musi wyglądać w oczach każdego – poza nami.

Pyta, co mi zrobić na kolację.

– Nie jestem głodna.

– Musisz jeść.

– Zjadłam trochę krakersów.

Podchodzi do łóżka i siada na krześle obok. Ta dziwna cisza. Dotyka mojej brody, odsuwam się odrobinę, jego dłoń opada.

– Przepraszam… – mówi, odwracając twarz.

Dotykam jego włosów, najpierw ostrożnie, potem wsuwam palce głębiej. Podnosi wzrok. Ten smutek w jego oczach. To pożądanie. Dech mi zapiera.

– Zaufasz mi? – pyta. – Nie zrobię ci krzywdy.

Ta miękkość w środku.

– Ufam ci.

Przychodzi co rano i co wieczór. Kroi dla mnie owoce, szynkę. Robi mi owsiankę, tosty, sok. Opowiada mi o swoim dniu – z kim się widział: z bratanicą, matką, innymi artystami, który mój obraz komu pokazał i jak bardzo się temu komuś podobał. Jak wszyscy oni już mnie uwielbiają i nie mogą się doczekać, kiedy wyzdrowieję. Wieczorami jestem zmęczona. Jemy razem kolację. Potem wychodzi i szwenda się po ulicach, bo nie może znieść myśli o powrocie na Madison Avenue, do mieszkania żony. Udaje mu się czasem namówić Walkowitza i Zolera, żeby wałęsali się tak razem z nim, albo idzie sam do jakiejś taniej restauracji, gdzie siedzi do północy i pisze listy, aż w końcu może się po cichu wślizgnąć do apartamentu przy Madison 1111, bo wszyscy już tam śpią. Mówi o sobie wagabunda, bezdomny, a ja kpię z niego, że pojęcia nie ma, co to słowo tak naprawdę znaczy.

W dzień pokój zalewa jasne światło. Przesuwam stół i taboret pod świetlik i zaczynam malować. Papier zdaje się taki ogromny, bezgraniczny, pełen możliwości. Na godzinę przed jego przyjściem zaczynam jednak sprzątać. Odstawiam stół na miejsce i wracam do łóżka, jakbym cały dzień nic nie robiła. Jeśli uda mi się zrobić coś przyzwoitego, pokazuję mu to, ale najczęściej drę wszystko na kawałki.

Gdy jest przy mnie, cały czas, w każdym słowie, w każdym czułym geście, czuję to drżenie. Widzę, jak jego oczy wpatrują się w moją twarz, w linie mojego ciała, ten cichy, charakterystyczny głód – po chwili przyłapuje się na tym i odwraca głowę. Gadamy godzinami. Opowiada mi, jak jako dziecko mówił o sobie Hamlet.

– Bo lubiłeś dramatyzować?

– Filozofować.

– Filozoficznie kaprysić? – Śmieję się.

Opowiada mi, jak kochał konie, wyścigi, zakłady. Gdy miał dziewięć lat, już wygrywał z ojcem w bilard. Pewnego wieczoru, dziesięć dni po moim przyjeździe, opowiada mi, jak kiedy miał dwadzieścia lat, mieszkał w Berlinie. Po raz pierwszy posmakował wtedy wolności, nudziły go studia inżynierskie. Ale stać go było na to, by się do woli nudzić – ojciec przysyłał mu co miesiąc tysiąc dwieście dolarów. Potem poznał profesora Vogla, który uczył fotografii. Kupił swój pierwszy aparat, taki na suche płyty. Zakochał się w starszej od siebie kobiecie, prostytutce o imieniu Paula, i mieszkał z nią w mieszkaniu w berlińskiej dzielnicy czerwonych latarni.

– W każdym oknie wisiały klatki z ptakami, ich wrzaski słychać było na całej ulicy – opowiada. – Kiedyś pokażę ci zdjęcie Pauli.

Była moją pierwszą miłością. Zrobiłem jej wiele zdjęć, ale zachowałem tylko jedno.

Przechodzi mnie dreszcz. Kiedy snuje takie historie, dociera do mnie, jak dużo już przeżył. W porównaniu z nim moja przeszłość wydaje się taka banalna.

– Niedługo zabiorę cię nad jezioro George – obiecuje. – Pokochasz to miejsce. Ja kocham je nad wszystko.

– Już kiedyś tam byłam – mówię, żeby uniknąć pytania, jak bym się tam niby miała znaleźć, skoro on ma przecież żonę, Emmeline, Emmy. Browarową dziedziczkę. To jej fortunka załatwiła im Madison 1111. Emmy jest niewidzialnym meblem, który wciąż zgrabnie omijamy.

– Byłaś nad jeziorem George? – dziwi się.

– Dostałam stypendium. Na pobyt w kolonii artystów.

– W Amitoli?

– Tak.

– W którym budynku nocowałaś?

Okazuje się, że spaliśmy w tym samym pokoju, choć dzieliło te noce dwadzieścia osiem lat.

– Magiczny zbieg okoliczności – zachwyca się.

To mnie rozśmiesza.

– Wszystko dzięki mojemu obrazkowi martwego królika i miedzianego garnka. Tamtego lata był jeszcze inny konkurs, pamiętasz? Sędzią był twój ojciec i wybrał portret zrobiony przez młodego studenta z League. Była na nim namalowana pewna ciemnowłosa dziewczyna. Tak się składa, że to właśnie byłam ja.

– Pamiętam ten obraz! – krzyczy wniebowzięty. – I to nie mój ojciec go wybrał. Spytał mnie o zdanie i powiedziałem mu, że

musi wygrać właśnie ten. Nie było innej możliwości. Nigdy nie zapomniałem tamtej twarzy. – Ściska moją dłoń. – Tak właśnie miało być. Ty. Ja. Tu, w tym mieszkaniu. Nawet ta okropna pomarańczowa podłoga była nam przeznaczona.

W 1907 roku miałam już dwadzieścia lat i dość talentu, by matka uznała, że jeśli tylko zapewni mi odpowiednie wykształcenie, mogę w przyszłości dać radę utrzymać się jako nauczycielka plastyki, a malować sobie w wolnych chwilach. Ciułała tak długo, aż zebrało się na czesne w nowojorskim Art Students League. Miałam wtedy krótkie czarne loczki, za którymi chłopcy wprost przepadali. Bez ustanku klepali mnie po sprężystych loczkach – *pat! pat! pat!* – aż zaczęto mnie przezywać Patsy. Mieszkałam w internacie na Pięćdziesiątej Siódmej, pokój kosztował kilka dolarów za tydzień, a ja robiłam pięciomiesięczny kurs zamiast ośmiomiesięcznego – byle oszczędzić choćby te trzydzieści dolarów. Na bal przebrałam się za Piotrusia Pana. Chodziłam na lekcje do Luisa Mory, który notorycznie rysował głowę żony na marginesach prac swoich uczniów. Najbardziej lubiłam Williama Merritta Chase'a – nauczyciela szaleńczo wprost ekstrawaganckiego, zawsze z monoklem, w zamszowych cholewnikach, w jedwabnym cylindrze. Spośród nich wszystkich on jedyny malował coś innego, coś swojego. Kazał nam tworzyć jeden obraz dziennie – pracować szybko, bez myślenia, zdawać się na odważne, instynktowne pociągnięcia pędzla ciężkiego od kolorów.

Pewnego styczniowego poranka wchodziłam po schodach, spiesząc się na lekcję rysunku człowieka z natury, gdy na stopnie przede mną padł cień. Podniosłam głowę. Eugene Speicher,

starszy student, wysoki, przystojny. Stał kilka schodków nade mną. Chciałam go ominąć, ale zastąpił mi drogę.

– Mam prośbę, Patsy.

– Zaraz się spóźnię na lekcję.

– Chcę, żebyś mi pozowała.

– Nie nadaję się na modelkę.

– Mylisz się.

Miał niesamowite oczy, takie jasne. Na ustach igrał mu uśmiech.

– Daj mi przejść – zażądałam.

– Zgódź się.

– Mam lekcję. – Teraz już byłam zła.

– No, przestań! – Roześmiał się, jego oczy patrzyły kpiąco. – Wiesz przecież dobrze, że to, co robisz, nie ma żadnego znaczenia. Ja będę słynnym malarzem. Ty skończysz jako nauczycielka w jakiejś tam szkole dla dziewcząt. Pozuj mi.

Poczerwieniałam ze złości. Przepchnęłam się i szybko ruszyłam dalej, korytarzem, aż do sali i na swoje miejsce w ostatnim rzędzie. Nie znosiłam rysowania ludzi niemal tak jak anatomii. Najnudniejsze zajęcia. Nigdy nie byłam dobra w rysowaniu ludzkich sylwetek. Nie minął kwadrans, a wymknęłam się z zajęć i odnalazłam Speichera w sali na górze.

– A ty co tu robisz, Patsy?

– Zmieniłam zdanie.

Rzuciłam swoje rzeczy na bok i usiadłam na stołeczku z przodu klasy. Byłam ciekawa, jak mnie namaluje. Gdy zaczął szkicować na płótnie, uderzyła mnie ta myśl: nie muszę nic robić. Żadnego wysiłku, decyzji do podjęcia. Muszę tylko siedzieć i się nie ruszać.

Kiedy skończył, spojrzałam na to, co zrobił.

– Nieźle wyszło – uznał.

– Całkiem nieźle. Ale coś powątpiewam, czy to już ci zapewni tę twoją sławę.

W tej samej chwili do sali wpadła grupa chłopców, naszych przyjaciół. Wybierali się na wystawę Rodina w 291. Chcieli tam pójść, żeby ponaigrawać się trochę z tego słynnego Stieglitza. Wieść niosła, że uwielbia utarczki słowne. Zamierzali go podpuścić i zobaczyć, co będzie.

Była zima. Śnieg zakrył wszystko, biały i lśniący na drzewach. Nasza rozkrzyczana paczka wędrowała po Piątej Alei do 291. Wspinając się po schodach, przesunęłam dłonią przez śnieg na poręczy. Spadł, uderzył cicho o chodnik, rzucił niebieski cień. Wcisnęliśmy się do nędznej klatki, która miała być windą, i ruszyliśmy nią na pierwsze piętro.

Stieglitz wyłonił się z zaplecza, zlustrował nas zimnym spojrzeniem zza binokli. W ręce trzymał ociekającą jeszcze odbitkę. Po raz pierwszy widziałam go wtedy na żywo, choć oczywiście słyszał o nim każdy student w mieście. Chłopcy od razu na niego naskoczyli o tego Rodina: *Czy to aby w ogóle sztuka? Jakieś pokraczne kreski, byle dziecko by tak potrafiło, czy można to nazywać sztuką?* Grzmiał na nich długo za to, że w ogóle stawiają takie pytania; wygrażał im pięścią za tę ignorancję. Nozdrza mu drżały, oczy pałały gniewnie. Ich głosy stawały się coraz bardziej wojownicze, napięte.

– Sztuka to życie – perorował. – Nie naśladowanie. Nie imitowanie. Nigdy. To zawsze coś nowego. W innym wypadku to w ogóle nie jest Sztuka.

Gdy oni się kłócili, ja wymknęłam się do drugiej salki, cichej alkowy. Byłam tam zupełnie sama, żadnego krzesła, żeby chociaż usiąść, tylko kobiety Rodina na ścianach. Wcale mi się właściwie nie podobały. Ale gdy tak stałam przy nich, przesuwałam po nich wzrokiem, rzeczywiście coś poczułam, jakąś sugestię dzikiej mocy skrytą w tych brutalnych kreskach. *Życie*, tak to nazwał Stieglitz. Te rysunki niepokoiły, a jednak nie potrafiłam oderwać od nich oczu – od tego czegoś w ugiętej nodze, w łuku pleców, w ledwie zarysowanej piersi, w smudze cienia między nogami. Wszystko to wcale nie było niedbałe, ale takie miało sprawiać wrażenie. Po chwili chłopcy przyszli po mnie i wypadliśmy chmarą z galerii. Właściwie to Stieglitz nas wyrzucił.

Kilka tygodni później, gdy szłam z przyjaciółmi wieczorem wzdłuż Riverside Drive, ujrzałam te drzewa – ich gałęzie tak niesamowicie czarne na tle lekko połyskującego nieba. Zadrżałam. Zamarłam i stałam tak z coraz zimniejszymi stopami w butach, bo wtedy właśnie to poczułam – tę przedziwną ekstazę, jakby moje ciało otworzyło się nagle na te kształty.

– Georgia, chodź!

– Nie mogę, muszę już wracać – wymamrotałam.

Światło na drzewach niczym srebrny pył – dotykające ich, kształtujące je. Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie. Nie mogłam pozwolić, by to mi się wymknęło. Ta intensywność tamtej chwili. Zaraz potem byłam już w swoim pokoju, pędzel w dłoni. Odczekałam, aż to uczucie się wyostrzy, uformuje w spokojną wizję. Poza czasem, poza myślą. Tylko ten jasny cel, moje palce zaciśnięte na pędzlu, kolory jak ciemna woda, tamten nastrój

przepływający przez moją dłoń prosto w smukłe czarne sylwetki drzew.

Odsunęłam się. Był dobry. To był dobry obraz. Nie przypominał zupełnie niczego, czego mnie dotąd uczono. Ani rysunków Rodina. A mimo to.

Następnego dnia pokazałam obraz koledze.

– Bardzo ładny, Georgio! – pochwalił mnie. – Ale musisz dodać trochę koloru. Drzewa nie mogą być przecież czarne. Pomyśl o impresjonistach. Wystarczy chwila, by to poprawić. Czekaj, zaraz ci pokażę.

Chwycił pędzel, zanurzył w farbie i zaczął ciapać po moich drzewach. Patrzyłam na to i ogarniała mnie fascynacja pomieszana z przerażeniem. Nie dlatego, że to zrobił. Ale dlatego, że ja nie zrobiłam nic, by go powstrzymać.

Zachowałam sobie ten obrazek, żeby o tym nie zapomnieć.

Pytam Stieglitza, czy pamięta grupkę chłopców, którzy przyszli go wypytywać, czy te szybkie linie Rodina w ogóle są sztuką. Czy pamięta, jak ich rozgromił.

– Takich dni było wiele. – Wzdycha. – Tylu ludzi wciąż patrzy na dzieła Rodina i nic nie rozumie.

– Pewnie nawet mnie wtedy nie zauważyłeś.

– Owszem. Chłopców prawie nie pamiętam. Byli jak wszyscy inni. Ale ciebie pamiętam. Stałaś cicho w kącie.

Śmieję się.

– Właściwie to aż uciekłam do drugiej sali. Byłeś naprawdę wściekły.

Kręci głową.

– Jak to w ogóle możliwe, że niektórzy ludzie nie czują życia w jego szkicach?

– Tamtego dnia za bardzo mi się nie spodobałeś. – Rzucam to lekko, żartobliwie, ale on od razu robi smutną minę.

– Zależy ci na mnie? – pyta.

Nagła ostrość w powietrzu.

– Oczywiście – mówię.

Pochyla się nade mną, ujmuje moją twarz w dłonie i całuje mnie. Najpierw raz w każdą powiekę, potem w każdy policzek. Jest teraz inny, ten pocałunek – inny nacisk ust, temperatura jego oddechu. Moje wargi się rozchylają, jego język wsuwa się do środka.

Wciągam go do mojego małego łóżka, jego ciało na moim, czuję na udzie, jaki jest twardy, i całuję go, chcę go wciągnąć całego w siebie – te życia, które już przeżył, to, czego się nauczył, zobaczył, poczuł, przemyślał, miejsca, które odwiedził, kobiety, które kochał, sztukę, którą widział, czcił, której bronił i której nienawidził, ten geniusz, te odkrycia, całe szalone spektrum jego życia.

Odsuwa się, wciąż trzymając w dłoniach moją twarz. W pokoju jest już ciemno. Wyłączył lampkę. Jego oczy lśnią w mroku tej szalonej, pięknej nocy.

– Czego chcesz, Georgio? – pyta.

Chcę tego, do czego nie mam prawa. Wie o tym.

Jego dłoń opada, palce dotykają mojej szyi, karku. Opuszka sunie wzdłuż krawędzi szlafroka, oczy podążają za nią.

– Nie jesteś wcale małą dziewczynką – szepcze.

Rozsuwa dekolt. Moja pierś błyszczy w ciemności bladą skórą. Ściska ją, potem pochyla głowę i czuję na niej jego gorące, mokre usta. Chwytam go za głowę, zaciskam palce na włosach, moje ciało wychodzi mu na spotkanie.

Chwila, gdy kończy, jest niemal nie do zniesienia. Zatrzymuje się i odsuwa. Wyciągam rękę, ale łapie ją i kładzie na łóżku.

– Nie, miłości. Jeszcze nie. – Zasuwa mi szlafrok. – Chcę od ciebie o wiele więcej.

X

Moje ciało promienieje, gdy idę po niego, żebyśmy mogli zjeść razem obiad. Przychodzę do jego biura, to kilka małych pomieszczeń, które po zamknięciu 291 zaczął wynajmować od Anderson Galleries. Przy drzwiach wejściowych wisi moja akwarela *Błękitne linie*. W środku zastaję kilku mężczyzn – jest tu John Marin, którego purytańskie rysy tak kompletnie nie pasują do tego jego cichego szelmowskiego uśmiechu; malarz Arthur Dove, który przyjechał ze swojego gospodarstwa w Connecticut; i krytyk Paul Rosenfeld, który pisuje dla „the New Republic" i „Vanity Fair". Już mnie zaakceptowali. Jestem artystką, nikogo więc nie dziwi mój nietypowy ubiór – płaskie buty i proste czarne spódnice.

Jemy ze Stieglitzem w taniej restauracji, przy małym stole siedzi z nami nasza tajemnica poliszynela. Z drugiej strony, wszystko tu jest takie zwyczajne: sztućce, szklanki, czerwone serwetki, ot, mecenas sztuki i artystka.

– Kiedy po raz pierwszy namalowałaś coś, co cię zachwyciło? – pyta, gdy czekamy na posiłek.

Opowiadam mu o szkicu, który zrobiłam, kiedy miałam dwanaście lat – o świetle księżyca, zaśnieżonym polu. Nie powiedziałabym może, że mnie to zachwyciło, mówię mu. Ale mój świat się walił, wszystko mi nagle odebrano – farmę, rodzinę,

dzieciństwo – i pamiętam poczucie szczęścia, gdy tak gryzmoliłam po papierze, żeby naszkicować drogę, bo nagle zrozumiałam, że zawsze znajdzie się jakaś pusta kartka, na którą będę mogła przelać swoje uczucia. Choćby nie wiem co się stało, moja sztuka pozostanie ze mną.

Kelnerka przynosi jedzenie. Zamówił spaghetti z sosem ze świeżych pomidorów.

– Lubisz spaghetti – zauważam.

– Lubię to, co tanie.

– Nieprawda. Ten kurczak, którego zamówiłeś dwa dni temu, wcale nie był tani.

– Szkła mi tego dnia szwankowały. Wziąłem ósemkę za trójkę.

Parskam śmiechem.

Pochylam się lekko nad stołem i szepczę:

– Lubię, kiedy to robisz... kiedy nie jestem pewna, czy mam wierzyć w to, co mówisz.

– Zawsze możesz mi wierzyć – mówi z przedziwną powagą. – Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze możesz mi ufać.

Jest w tych słowach jakaś rozpacz, ale też intymność. Serce wali mi jak szalone.

Popołudniami, kiedy w naszym mieszkaniu światło jest najpiękniejsze, robi mi zdjęcia. Montuje aparat na chwiejnym statywie, zakrywa go zniszczoną czarną tkaniną, ustawia białą parasolkę tak, żeby rzuciła trochę światła na cienie. Przynosi rekwizyty – melonik, naparstek, czarną marynarkę z białym kołnierzem. Znosi moje wczesne prace, akwarele i węgle. Wiesza je na ścianach, ustawia mnie przed nimi.

W pokoju jest parno. Czerwcowe upały.

– Nie tak – mamrocze, unosząc twarz znad aparatu.

– Za gorąco – gderam.

– Nie jesteś łatwą modelką – beszta mnie, zdejmując mi melonik. Włosy rozsypują mi się na ramiona. – Prawda, Georgio? – Dotyka mojej szyi.

– A ty zawsze dostajesz właśnie to, czego chcesz, kiedy tego chcesz? – pytam figlarnie.

W jednej chwili przyciska mnie do ściany, przywiera do mnie ciałem, jego dłoń między moimi nogami. Zapiera mi dech.

– Często. – Całuje mnie mocno. Zdziera ze mnie ubrania. Ściąga mi moje czarne pończochy i ciska je na podłogę. Rzuca mnie na łóżko i rozchyla mi nogi. Jego palce wsuwają się we mnie. Pod dotykiem jego poruszającej się dłoni moje ciało wywraca się na lewą stronę. W pokoju jest tak niesamowicie jasno. Mój umysł zalany słońcem, skwarem. Kładzie się przy mnie zupełnie ubrany, jego palce poruszają się coraz szybciej, moje biodra nacierają na jego rękę. Jego zęby muskają moją pierś, twardy sutek w jego ustach. Wyciągam dłoń nad swoją głowę i chwytam się krawędzi łóżka. Moja głowa wybucha światłem.

Leżę bez tchu, bez sił.

– Jesteś piękna – mówi.

– Zrób ze mną wszystko.

– Już niedługo. – Ujmuje moją brodę i przesuwa lekko w prawo. – Spójrz tutaj. – Wskazuje ścianę po drugiej stronie pokoju. – Ciut niżej. O tak.

Odchodzi, chowa się za aparat. Kątem oka patrzę, jak mi się przygląda, analizuje kompozycję mojego ciała, pogniecionej

pościeli.

– Tak lepiej? – pytam, nie ruszając głową.

– Dużo lepiej. – Jego głowa znika pod czarną tkaniną. – Ani drgnij – mówi.

Zamieram. Liczę. Liczę. Moje ciało stygnie, umysł mięknie, myśli wyciekają, niczym sen nadchodzi znajomy stan zawieszenia w nicości.

Potem, kiedy znów chce mnie fotografować, droczę się:

– Jeśli chcesz, żebym była łatwą modelką, musisz znów to zrobić.

I robi. Odkrywa każdy centymetr mojego ciała, jego usta pieszczą moje ramiona, brzuch, kolana.

– Kochajmy się – szepczę, nalegam coraz bardziej.

– Nie, muszę wszystko najpierw załatwić – odpowiada i oblewam się rumieńcem, gdy znów sobie przypominam: żona, córka, to jego inne życie.

Pewnego dnia w lipcu, kiedy Kitty jest na jakimś obozie, zabiera mnie i swój sprzęt do apartamentu na Madison Avenue. Emmy nie ma, zapewnia mnie, wybrała się na cały dzień na zakupy. Jestem tak ciekawa, że nie mogę się oprzeć. Szerokie drzwi. Pozłacane lustra, wysokie sufity, ciężkie zasłony w oknach, ozdobne lampy, ciemne wiktoriańskie meble. Trzymam się blisko niego. Prowadzi mnie przez mieszkanie – wszystko wokół zastygło niczym w pokojach, w których nikt nie był od lat. Czuję się tu bardzo nie na miejscu. Te luksusy, ten natłok rzeczy doskonałych, wszystko przesiąknięte jej obecnością.

– To jakoś zupełnie mi do ciebie nie pasuje – stwierdzam.

– Mnie też nie.

Lecz na ścianach wiszą jego fotografie, obrazy symbolistów, jakaś naga Ewa z wielkim wężem.

– Czyje to? – pytam.

– Von Stucka. Nosi tytuł *Grzech*.

– Niepotrzebnie mi powiedziałeś.

Uśmiech igra na jego ustach.

– Ściśle rzecz biorąc, nie zgrzeszyłem. Jestem niewinny.

– Obawiam się, że jesteś gorzej niż winny, bo jeszcze się wypierasz – żartuję.

Jest tak, jakby ten żart był po prostu niezbędny. Jakbyśmy musieli koniecznie udawać, że wcale nie jest tak, jak jest. Że to nic nie znaczy. To, co on mówi. Co robi. Że wcale nie jesteśmy tam, gdzie jesteśmy.

– To tylko zdjęcie – szepcze, rozpinając mi bluzkę.

Ustawia mnie pod ścianą. Udaje mu się strzelić trzy razy, nim nagle zamieram. Głosy przed głównym wejściem, potem drzwi się otwierają i do mieszkania wchodzi kobieta, już gdzieś tu jest, woła go. Nigdy dotąd nie słyszałam jej głosu.

Wchodzi do pokoju, gdy jeszcze pospiesznie zapinam bluzkę. Jej wściekły wzrok, oczy tak szeroko rozwarte, jakby miały się przelać przez krawędzie. To zrozumiałe.

– Co ty tu robisz? – syczy na nią Stieglitz.

Odwraca się w jego stronę, zapada cisza. Jak przepaść.

– To raczej ja powinnam spytać, co ty tu robisz.

– A niby na co to wygląda? Aparat, statyw. Czy trudno się domyślić, że pracuję?

Trzyma torbę z zakupami. Wysuwa jej się z dłoni, chwieje lekko, potem przewraca. Ze środka wypływa jedwab w odcieniu kości słoniowej.

Jest niska, mocno zbudowana. Kiedyś mogła być urocza, w ten specyficzny kobiecy sposób. Palce jej się trzęsą. Widzę, jak lekko drżą na tle falbanki przy jej baskince.

Macha mniej więcej w moją stronę.

– To twoja modelka?

– Panna O'Keeffe była tak uprzejma, że zgodziła mi się dziś pozować.

– Panna O'Keeffe.

– Jeśli potrafisz powstrzymać się od pochopnych wniosków, chętnie was sobie przedstawię.

Odwraca się w moją stronę, patrzy na mnie tak, jakby mogła to zrobić dopiero teraz, gdy uzbroiła się już w moje nazwisko. Czuję, jak pędzą sekundy, czuję okropną klaustrofobiczną duchotę tego pokoju, tego małżeństwa.

Stoję nieruchomo i odpowiadam jej spojrzeniem. Nie mam innego wyjścia, jak stać tu i grać moją rolę tej złej. Staram się powstrzymać mdłości, gdy zalewa mnie jej pełne nienawiści spojrzenie – to czysta trucizna. Jakie to ma znaczenie, że w zasadzie nigdy się jeszcze nie kochaliśmy? Teraz dociera do mnie, że żadnego. Co ją to obchodzi, skoro wyglądamy, jak wyglądamy? Dla niej to właśnie wygląd się liczy. Pozory. Jej domek z kart właśnie runął.

I gdy tak patrzy, uświadamiam sobie, że z jej perspektywy nie jest to wcale takie proste. Nie chodzi jej tylko o poczucie zdrady.

Jest wściekła, bo w głowie jej się nie mieści, że wpuścił do jej domu taką kobietę – tak zwyczajnie ubraną, tak pospolitą.

– Zachowuj się, Emmeline – mówi Stieglitz.

To nas obie zaskakuje, ten jego głos, ciężki od pogardy. A gdy tylko jego słowa uderzają w szklaną ciszę w pokoju, jej twarz wykrzywia się w coś potwornego i Emmeline zaczyna wyć. Zdrada. Brud. Nic. Dziwka.

Wsuwam drugi but. Gdy ich mijam, uderzam kolanem o nogę biurka – nagły ostry ból, ale idę dalej. Znajduję drzwi wyjściowe i już mnie nie ma. Walę w przycisk, żeby przyjechała winda, i czekam na nią na klatce, ich głosy coraz bliżej, nagła cisza, zduszone łkanie, potem jej ryk – straszny dźwięk, łamiący się, dziwny krzyk, którego nie chcę już nigdy więcej słyszeć.

XI

W mieszkaniu nie czuję się już jak w domu. Wchodzę, siadam przy stole, ale nie mogę usiedzieć, krzesło jest takie twarde. Muszę wyjść. Dopuściliśmy się czegoś okropnego i ja na to pozwoliłam. Muszę wyjechać. Z powrotem do Teksasu. Albo do mojej siostry Anity. Paść przed nią na kolana i ubłagać, żeby pozwoliła mi spać w którejś z wolnych sypialni, póki się nie pozbieram, nie znajdę pracy, nie wymyślę, co ze sobą począć.

Wyciągam swoje rzeczy z szafy i szuflad. Sukienki, buty. Pakuję książki, które ze sobą przywiozłam. Listy od sióstr. Waham się przy przyborach do malowania. Czy są moje? Od dziś już nie. Nic w tym pokoju nie jest moje, poza tymi kilkoma rzeczami, z którymi tu przyjechałam. Nie zapominaj o tym, upominam się ostro i czuję ukłucie w sercu. Ściany wydają się takie brudne, ponure, żółć to jakaś żałosna karykatura tego koloru, farba odchodzi przy kaloryferze pod oknem. Wszystkie te skazy. W ogóle ich przedtem nie zauważyłam.

Jakże kochałam dotąd to mieszkanie. Nasz pokój wielkości pudełka po butach. Ledwie dwanaście godzin temu leżałam sama w tym małym łóżku, zielona noc zalewała ściany, świetlik pełen był gwiazd niczym sieć, a ja wpatrywałam się w spływającą na mnie noc i tęskniłam za nim z taką miłością, i myślałam sobie, że te cztery ściany to najpiękniejszy pokój na całym świecie.

Nie mogę tu zostać. Nie chcę jechać do Anity – zada mi za dużo pytań, a na samą myśl o odpowiedziach robi mi się słabo. Nie mam matki, do której mogłabym wrócić. Ojciec pracuje gdzieś w Wirginii, minęły długie miesiące, odkąd ostatni raz rozmawialiśmy. Ale mogłabym go odnaleźć. O nic by nie pytał, nie interesowałaby go historia o tym, jak jego najstarsza córka – ta silna, dumna i zaradna – wpakowała się w takie kłopoty.

Mój wzrok zatrzymuje się na rysunku węglem. Zostawił go na biurku przy swojej czarnej teczce z innymi moimi pracami. Dotykam krawędzi papieru – tak nieznośnie taniego, bo tylko na taki było mnie wtedy stać.

Kładę rysunek przy moich rzeczach, siadam na łóżku, chowam twarz w dłoniach. Gorące łzy.

Wraca wieczorem, jego zmęczona twarz. Ma swoją zwykłą torbę na ramieniu, a do tego walizkę. Dała mu wybór: albo przestanie się ze mną spotykać, albo niech nie wraca do domu.

– Spakowałem się w niecałe dziesięć minut – mówi.

Gapię się na niego. Jest z siebie dumny? Dopiero wtedy zauważa moje ubrania, które wciąż leżą na łóżku, stertę książek, ułożone rysunki.

– A to co? – pyta.

– Nie mogę zostać.

Przesuwa wzrok z otwartej torby na podłodze na mnie.

– Nie – mówi.

Takie małe słowo – nie – może znaczyć tyle rzeczy, ale w tej chwili, w tym pokoju, do którego wdziera się niebieski zmierzch, w tej jednej sylabie słyszę, jak mu pęka serce. Wystarczy to jedno małe słowo. *Nie*.

Podchodzę do niego, zarzucam mu ręce na szyję. Tuli mnie mocno.

– Nie chcę rozbijać twojej rodziny. Nie chcę cię skrzywdzić – szepczę.

– Nie skrzywdzisz mnie. Chyba że odejdziesz. – Jego głos jest cichy. – Zrezygnuję ze wszystkiego i wszystkich, którzy tego nie potrafią zrozumieć.

Odsuwam się od niego. Muszę widzieć jego twarz. Zmarszczki w kącikach zmęczonych oczu w słabym świetle wydają się głębsze.

– A co z Kitty? – pytam.

– Nie wiem.

– Ze względu na nią tak długo trwałeś w tym małżeństwie. Wiesz, że źle to zniesie. Nie będzie jej łatwo i przez to ty też będziesz cierpiał. Rozumiem to. To twoja córka.

Trzyma mnie za ramiona, zaciska dłonie.

– Ale ty jesteś moim życiem.

Przez kilka kolejnych dni obserwujemy lawinę następstw: nawałnica oskarżeń, łzawe telefony, listy od Kitty dostarczane przez specjalnego posłańca. Jej rozpacz i oburzenie na ojca za to, co jej uczynił. Jest w tym coś płytkiego. Niemal sztucznego.

– To matka ją do tego podjudza – mówi Stieglitz.

– Nie jesteśmy bez winy.

Odwraca się w moją stronę.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz. To małżeństwo było skończone już wieki temu! Wiele lat przed tym, jak się w ogóle pojawiłaś!

Kulę się przed tym mrokiem, którego wcale nie powinno tu być.

Wyciąga rękę skruszony, łzy w jego oczach, ale mija kilka chwil, nim potrafię pozwolić mu się znów objąć.

Następnego dnia dzwoni do męża siostry, George'a Engelharda, żeby rozpocząć rozwód. W studiu pojawiają się pudła i skrzynie pełne jego rzeczy. Książki, obrazy, kuwety, lejki, aparaty, odbitki, ramy. Resztę swoich rzeczy z Madison 1111 przenosi do piwnicy w Anderson Galleries. Każe wstawić jeszcze jedno małe łóżko i przesuwa je na drugą stronę pokoju. Wiesza między nimi koc na sznurku.

XII

W sierpniu jego matka wzywa nas nad jezioro George. Chce poznać powód tego całego zamieszania – to ciemnowłose stworzenie, dla którego jej syn przewrócił swój świat do góry nogami.

– Nie jestem specjalnie rodzinną osobą – wyznaję mu już w pociągu.

– Będą tobą zachwyceni – przekonuje mnie. – A ty będziesz zachwycona jeziorem.

Uśmiecham się.

– Nie to miałam na myśli.

Na stację wyjeżdża po nas dozorca Fred Varnum. Pakuje nasze rzeczy na wóz i zabiera nas, choć do Oaklawn jest kawałek. Dom znajduje się nad samym jeziorem – wielki wiktoriański misz-masz wieżyczek, werand i ozdóbek. W środku stare meble, przeróżne ponure okropieństwa, kotary, rzeźby, lampy. Ściany obwieszone obrazami w złotych oprawach. Każde okno zakryte ciężką zasłoną, jakby światło było tu zakazane. Jego matka Hedwig, puszysta, rumiana, wita nas serdecznie, uśmiecha się, ściska mocno moją dłoń. Mój niepokój znika.

Daje nam osobne sypialnie – tak jak mnie uprzedził. Sadza mnie przy sobie przy każdym posiłku – trzy posiłki dziennie, a do

tego jeszcze herbata i ciasto codziennie o czwartej po południu. Zbierają się wszyscy. Jest tu prawie cały ród. Tyle imion, że trudno mi je spamiętać – czyjeś rodzeństwo, czyjeś dzieci, żony, mężowie, siostrzenice, bratankowie, kuzyni, bracia i bratowe, siostry i szwagrowie. Aż roi się od Stieglitzów – jego siostra Agnes; druga siostra Selma, cała w szyfonach i tak piskliwa i despotyczna, jak mnie ostrzegał; bratanica Elizabeth, najbardziej rzeczowa i rozsądna z nich wszystkich. Tak się już przyzwyczaiłam do samotności, a tu zastaję coś dokładnie odwrotnego. Nigdy chyba nie widziałam tylu ludzi naraz – gadających, kłócących się, przekomarzających, śmiejących. Ich głosy to wznoszą się, to opadają. Jak w jakimś śnie albo teatrze.

Ale samo jezioro ma tysiące odcieni płynnego błękitu i nie mam nic do roboty, więc maluję i pływam, a nocami przemykam się do jego sypialni na drugim końcu korytarza.

Każdego ranka ruszamy we dwoje na drugą stronę drogi, przechodzimy przez wzgórze, obok starego drewnianego domu z wielką werandą. Gdy tak spacerujemy, opowiada mi, że na tym zboczu znajdowała się kiedyś hodowla świń i nieznośnie śmierdziało, jego ojciec postanowił więc zapłacić słono farmerowi po to tylko, żeby się wyniósł i zabrał ze sobą swoje cuchnące wieprze.

– Nie zapomnij – droczę się – że opowiadasz to córce farmera.

Wspinamy się ścieżką prowadzącą obok porzuconych kamiennych fundamentów, przez lasek, za którym rozciąga się łąka. Wciąga mnie w wysoką trawę. Nogi, ciepła, mokra skóra, całuje mnie wszędzie. Wieczorami po kolacji pływamy małą łódką po jeziorze. Zmierzch spija niebo. Wypływamy na środek jeziora,

okrążamy wyspę. Zapada noc. Gdy oglądam się na przystań i dom, widzę małą, krągłą postać jego matki. Czeka na nas na werandzie.

W ciągu tych pierwszych dni łatwo zapomnieć. Potem zaczynają przychodzić listy od Kitty, najpierw jeden, potem kolejny. Żąda, by ojciec przyjechał do niej na obóz w New Hampshire. Żeby spotkał się tam z nią i z matką, spróbował zaleczyć rany, które zadał ich rodzinie.

Pojedzie. Wiem to, nim nawet mi powie. Nie poruszam tematu tego wieczora przed kolacją, gdy leżymy w jego pokoju i się całujemy.

Kręci głową.

– Nie mam wyboru.

– Więc pojedziesz?

– Muszę. Muszę im to wszystko wytłumaczyć. To takie proste. Rozumiesz przecież. I potem już wszystko będzie dobrze.

– Myślisz, że potrafisz to wszystko naprawić?

Pokój pełen jest odbitego światła, słońce schowało się już za wzgórzami, łóżko zalane żółtopomarańczową poświatą. Jesteśmy jak dwa stwory o czarnych kończynach, które utknęły w bursztynie.

Muskam jego usta palcem.

– Myślisz, że ci się to uda, prawda? Że wszystko im wyjaśnisz. I zrozumieją?

– Nigdy nie było radości.

– Nie wszyscy czują to co ty. Nie wszyscy czują tak jak ty.

Sunę dłonią w dół po jego szyi, aż na to silne ramię. Opiera się na łokciu, patrzy nade mną, przez okno, na zmierzch.

– Dziś rano, kiedy się goliłem, patrzyłem na jezioro i było tak spokojne, jakby w ogóle nie istniało. Tylko jedna jasna gwiazda, blednące światełko. Święty moment. Czuję go w sobie od tamtej chwili, czuję, że wszystko zmienia się tak, jak powinno.

Przedziwne przekonanie. I dociera do mnie nagle, że właśnie tym jest sztuka: uwidacznianiem tego, co jest wokół nas, a czego nikt nie widzi. Nietraceniem tego rodzaju wiary.

– Jesteś jak nikt inny – mówię cicho. – Uwielbiam cię za to, że będziesz próbował.

Spogląda na mnie.

– Dlaczego tylko *próbował*?

– Bo zrobisz, co będziesz mógł, a czego się nie da, to się nie da. Nie zakładaj, że uda ci się zmienić świat na taki, jaki powinien być. Nie wygrasz. Po prostu wróć do domu.

XIII

Znika następnego dnia i zostawia mnie na pastwę swojej matki, Elizabeth, zaglądającego do kieliszka szwagra Lou oraz Selmy i jej terierka Księcia Rico, który wszystkim podgryza kostki, a którego ona uparcie karmi czekoladkami.

Snuję się po zatęchłych zakamarkach domu. Wszystkie te pokoje niczym staw, z którego nie sposób się wydostać – ponury i nieruchomy.

Tęsknię. I czekam. Przez gałęzie drzew światło wielkiej gwiazdy. Teraz wydaje się jeszcze większa, światło rozlane, jakby świeciła przez wodę. Nasza gwiazda, powiedział, gdy ją zobaczyliśmy pewnego wieczora z łódki na jeziorze.

Tego dnia, gdy ma wrócić, nie mogę usiedzieć w miejscu. Będzie burza. Wiatr zrywa liście z drzew, szyby drżą w oknach. Podjeżdża samochód. Biegnę do drzwi i już jest, deszcz spływa mu z kapelusza. Rzucam mu się na szyję.

– Udało się! – mówi, oczy mu lśnią, triumfalny powrót. – Wczoraj wieczorem, po niemal sześciu godzinach rozmowy, w końcu zrozumiały. Cud. Ale w końcu zrozumiały.

Słyszę, że inni schodzą do nas po schodach. Zdejmuję mu płaszcz i wieszam, żeby wysechł.

Północ. Moje drzwi się uchylają. Siadam na łóżku. Przykłada palec do ust. Zamyka za sobą drzwi i już jest przy mnie w łóżku, jego usta wpijają się w moje.

– Teraz – mówi, a to słowo miesza się z jego gorącym oddechem.

– Będę krwawić.

Spycha mnie na podłogę, nasze dłonie w oszalałej gorączce, jego kolano między moimi nogami, rozpycha je i wchodzi we mnie, wciska się do środka. Ostry ból, gdy coś rozrywa się we mnie, a jego biodra wbijają się w moje uda, jego szybki oddech w moich włosach, coraz szybszy, wysuwa się, mokrość zalewa mój brzuch.

Przynosi mi ręcznik i bandaż z łazienki. Leżę tak na podłodze z opatrunkiem między nogami, lekka smuga krwi na moich rękach.

– Chodź do łóżka, Georgio – mówi czule, pomagając mi wstać.

– Zostań dziś ze mną – proszę.

Wślizgujemy się pod kołdrę, tulimy mocno, jego nogi wokół moich.

Budzę się raptownie, z walącym sercem. Stare sny o matce. Tak okropnie była chora – malutkie płatki krwi za każdym razem, gdy kaszel wstrząsał jej drobnym ciałem. Walenie w drzwi – właścicielka domu przyszła po czynsz, a my nie mamy już nawet na jedzenie, matka idzie resztką sił do drzwi, chce wyjaśnić. I nagle jej płuca pękają – tam, w korytarzu, osuwa się po ścianie. Umarła. Głośne słowo w ciszy nocy. *Umarła*. Co to za miejsce? Wszystko jest nie tak, jak powinno. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem. Potem go zauważam, Stieglitz, leży obok, jego cudowna śpiąca twarz, tak spokojna, tak blisko. Burza już przeszła. Bezchmurna noc. Przez okno wpada światło, na podłodze drabina

cieni. Wtulam się w niego, piersi, biodra wciśnięte w jego ciało, jakbym mogła wypełnić całą tę negatywową przestrzeń, jaką ono tworzy.

XIV

W ciągu następnych kilku tygodni jedni kuzyni przyjeżdżają, inni wyjeżdżają – rodzinne pogaduchy, sprzeczki, plany. Po cichu nadaję upiornemu pieskowi Selmy przydomek „Rozpruwacz" – Stieglitz uważa, że to przezabawne. Jego bratanica Elizabeth zwierza się nam, że zakochała się w ogrodniku, melancholijnym Donaldzie Davidsonie, który jest rozwodnikiem bez grosza przy duszy, nie ma żadnych ambicji, o których by nam było wiadomo, za to ma na karku czterdziestkę. Pobierają się na wiosnę. Jeszcze nie przekazała tych wspaniałych wieści swoim rodzicom, statecznemu bratu Stieglitza imieniem Lee, który jest lekarzem, i jego potulnej żonie Lizzie.

– Wujku Al – mówi stanowczo Elizabeth. – Musisz dochować mojej tajemnicy. W końcu – przechyla głowę w moją stronę – ja dochowałam twojej.

– Dochowa tajemnicy, dochowa. – Posyłam mu surowe spojrzenie. – Prawda?

To surowe spojrzenie to tylko żart i on dobrze o tym wie. Całą trójką wybuchamy śmiechem, na co zza werandy wyłania się Selma, zamiatając podłogę metrami szyfonu.

– Cóż to za wesołość? – pyta wyniośle.

– A tylko tak zauważyliśmy, że przegapiłaś śmieci w tamtym kącie. – Stieglitz wskazuje jej piórem kilka pajęczyn i dwie

zdechłe ćmy.

– Zachowujesz się jak dziecko, którym już dawno nie jesteś.

– A ty jak kokietka, droga Sel.

Sel doprowadza go bardzo szybko do szału i rozumiem dlaczego. Z całego jego rodzeństwa to ona najbardziej mi gra na nerwach – sama jej obecność przypomina mi nieznośnie o tym, jak inny jest jego świat od mojego. Gdy sobie wreszcie idzie, Stieglitz mówi:

– Moja siostra to chodzący, paplający dowód na to, dlaczego mamy w Ameryce taki beznadziejny bałagan. Zawsze zamknięta na wszelką nowość, zawsze trzymająca się kurczowo jakiegoś Królestwa Przeszłości.

– Sel ma po prostu zupełnie pstro w głowie – stwierdza na to Elizabeth. – Zdecydowanie ją przeceniasz, wujku Al.

Dobrze mi się tu maluje. Wychodzę na dwór, siadam na trawie i robię szkice akwarelowe dzikiej róży, która rośnie przy treliażu. Obieram jabłka, zbieram winogrona. Kiedy muszę wejść do środka na długi obiad w środku dnia, muskam łyżką powierzchnię zupy. Za gorąco na zupę, myślę sobie. Tyle tego jedzenia. Siedzę cicho, słucham tylko jednym uchem, myślami jestem przy szkicach z rana.

Gdzieś pod koniec trzeciego czy czwartego dania odkładam nagle widelec na talerz – cichy brzdęk – wystarczy, by Stieglitz zamarł w połowie ożywionej dyskusji z Lee. Ogląda się na mnie. Odpowiadam wymuszonym uśmiechem i odwracam wzrok. Wracają do rozmowy. Odkąd przyjechał Lee, rozmowa zawsze schodzi na Oaklawn i koszt utrzymania tej posiadłości – podatki, ubezpieczenie, remonty i tak dalej. Dom jest w rodzinie od ponad czterdziestu lat, ale Lee, na którego spadła większość opłat,

uważa, że to może być trochę za dużo jak na jego kieszeń. Pies Sel zaczyna mi obwąchiwać kostki, kopię go więc dyskretnie.

– Jak długo zamierzasz zostać w Nowym Jorku, Georgio? – pyta nagle Lee.

Wszyscy przy stole zamierają. Dziwna cisza.

Elizabeth odchrząkuje. Staram się nie spojrzeć na Stieglitza. Patrzę prosto na Lee.

– Jesienią zaczyna się nowy semestr w mojej szkole w Teksasie.

Uśmiecham się i wstaję od stołu. Pochylam się, by złożyć lekki pocałunek na pucołowatym policzku Hedwig, skinienie głową dla pozostałych i odwracam się w stronę schodów. Wspinam się po nich powoli, aż nagle słyszę, że Stieglitz odsuwa krzesło, zgrzytnięcie o podłogę, jego kroki za moimi plecami. Oglądam się przez ramię.

– Nie złapiesz mnie! – szepczę bezgłośnie.

Wyciąga rękę, żeby mnie chwycić za rękaw, ale jestem szybsza i wymykam mu się, biegnę lekko, cicho, po dwa stopnie naraz, pędzę przez korytarz prosto do jego sypialni. Jest tuż za mną. Dopada mnie już na progu, wciąga do środka. Przyciska do drzwi, trzęsiemy się ze śmiechu, łapie mnie w talii, wciska ręce za spódnicę, wyciąga dół koszuli, całuje mnie po szyi, piersiach. Czuję na udzie, jaki jest twardy. Drzwi trzęsą się we framudze, lekko skrzypią.

– Ciii – szepczę. – Usłyszą nas.

– Nic mnie nie obchodzi, co usłyszą.

Kochamy się wolni, bezwstydni, w promieniach słońca, jego twarz nade mną. Przyciskam poduszkę do ust, żeby zdusić krzyk,

a potem leżymy tak – mokra skóra, słońce wlewające się do pokoju, zasłony unoszą się i opadają.

Dni stają się krótsze. Jak zawsze pod koniec lata niebo przechodzi w odcień wykrochmalonego błękitu. Pewnego poranka Stieglitz budzi mnie wcześniej i idziemy na spacer. W powietrzu czuć już coś zimnego, światło się zmieniło. Każdy kształt, każde drzewo, dach, wzgórze, dom, jezioro, droga – złożone z własnych, wyraźnych kresek. Nasycone, intensywne kolory.

Gdy tak idziemy, opowiadam mu, jak wiele lat temu, gdy byłam jeszcze w szkole, pokryłam płótno gęstą warstwą bieli, odstawiłam do wysuszenia, a potem namalowałam na niej obraz. Kilka dni później spojrzałam na płótno, które wciąż znajdowało się na sztaludze, i zaskoczyła mnie ta prześwitująca przez nie jasność. Sam obraz był dość przeciętny, ale ta świetlista głębia zmieniała wszystko.

Słucha, cichy jak nie on, zamyślony.

– Ty jesteś taką białością – mówi w końcu.

Śmieję się.

– Nie, naprawdę. To ta czystość wizji, którą masz. To ona nadaje twojej sztuce moc. Ten nieuchwytny sens życia. Nie przeuczono cię, zresztą wszystko, czego cię nauczono, udało ci się odrzucić, dzięki czemu w twoich najlepszych pracach potrafisz uchwycić samą istotę tego, czym jesteś.

Pod moją stopą pęka patyk. W głowie rozbrzmiewają mi niepokojące słowa: w twoich najlepszych pracach. Jakbym tonęła. Ale przecież tak rzeczywiście czuję, kiedy nie ma tego czegoś. Patrzę na to, co zrobiłam, i wiem, że mi się nie udało. Potrafię podrzeć rysunek, który jest naśladowczy lub niewyważony.

A jednak – skąd się wie, co jest dobre, a co najlepsze? Tego właśnie chcę się nauczyć. Chcę to widzieć tak, jak on to widzi.

Stieglitza coś dziś męczy, coś zaprząta mu głowę. Idziemy nad jezioro, kładziemy się nad brzegiem, opieram się plecami o skałę.

– To cię nie boli? – pyta.

Uśmiecham się. To jedno z takich moich dziwactw. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu lubię twarde powierzchnie. Patrzy gdzieś za mną, na wodę.

– Georgio, gdybyś miała rok tylko dla siebie, co byś zrobiła?

– Malowałabym.

– Jesteś tego pewna?

– Tak.

– A czy żeby przeżyć taki rok malowania, gotowa byłabyś znieść trochę absurdu?

– Absurdu? Takiego w lodenowym płaszczu? – Kładę mu lekko bosą stopę między nogami. Czuję go pod skórą.

– Nie budź małego. Już on cię znajdzie.

– Niech szuka.

– Chciałabyś zostać, Georgio?

– Gdzie? W Nowym Jorku?

– Tak, na rok. Mieszkałabyś w tym mieszkaniu co teraz. Miałabyś opłacone życie.

– Opłacone? Przez kogo? Przez ciebie?

– Nie, ale załatwiłem, co trzeba.

– To brzmi dość tajemniczo.

– Załatwiłem mecenasa, który opłaci ci pokój i wyżywienie. Chodzi o to, żebyś miała czas malować.

– A my? – pytam.

– To sprawa drugorzędna.

Wybucham śmiechem.

– Aby na pewno?

– Długo się nad tym zastanawiałem. Potrzebujesz czasu i przestrzeni. Masz niesamowitą wizję, ale musisz się rozwijać, więcej malować olejami. Sama wiesz... żeby cię zaczęto naprawdę poważnie traktować, musisz malować olejami.

Rok – co za prezent, co za szmat czasu. Czuję, jak ten ogrom się przeze mnie przelewa. Tyle mogłabym się przez ten czas nauczyć. Tyle mogłabym zrobić.

– Tak, tego chcę – mówię.

– Jesteś pewna?

Chmura odsuwa się, słońce uderza o wodę, pieści moje oczy.

– Tak.

XV

Dziesięć dni później wyjeżdżają ostatni goście i zostajemy sami. Ja rzucam się na farby, ale on miota się po domu, jakby nie wiedział, co ze sobą począć, skoro nie ma już rodziny, z którą by się można sprzeczać. Wie, że nie lubię, jak mi się przeszkadza w pracy. Nie lubię gadać.

Pewnego popołudnia pod koniec września schodzę na dół po malowaniu i nigdzie go nie mogę znaleźć. Nie ma go ani w domu, ani na werandzie. Znajduję go na końcu pomostu. Puszcza kaczki. Jego ciało zwija się, potem nagły ruch ręki. Kamyk odbija się od powierzchni wody, zostawia koła. Powiedział mi kiedyś, że je liczy. Jego rekord to czternaście. To hobby, które mu zostało z dzieciństwa, sposób na uspokojenie nerwów. Ta fascynująca precyzja ruchów. Bezmyślna, brutalna siła, z jaką ciska kamieniami.

Mijają dni. Maluję zmieniające się pory roku, gładkie czerwienie i żółcie, przelotne odcienie zieleni, tony tak głębokie, że zdaje się, że można by w nie wpaść. Jestem szczęśliwa. Niebieska krawędź nieba na płycie, delikatne białe masy chmur, klony wdzierające się u dołu płyty, widać tylko ich górną część. Oleje zawsze wydawały mi się takie zdecydowane – zupełnie pozbawione spontaniczności i wolności akwareli wynikającej z samej ulotności ich natury. Ale gdy tak się bawię tymi

drzewami, żółciami, czerwieniami, zaczynam wyczuwać inny rodzaj natychmiastowości, który mogą dać właśnie oleje – natychmiastowość nasyconych barw, odważnej intensywności, uniesienia. Bawię się linią, którą chmura rzeźbi w niebie. Linią przedłużającą drzewo – tym jego pchnięciem w górę, w błękit.

Rozcieńczam farbę, i jeszcze trochę, aż konsystencja na pędzlu jest zupełnie gładka. Sunę jego czubkiem po zewnętrznej krawędzi – zdecydowana, mocna linia naokoło. Mocniejsze bicie serca. Jakie to intencjonalne! Łączę krawędź z krawędzią, tak żeby zdawało się, że się przelały, jak mają w zwyczaju akwarele, ale tym razem mając nad tym pełną kontrolę, pełnię mocy kolorów wierzgających po płótnie. Potem lżejsze odcienie płaskim pędzlem, do środka pionowego owalu, drżąca krzywa drzewa strzelająca w niebo niczym płomień.

Ja pracuję, a on pisze listy – do rodziny, do swoich artystów i przyjaciół w mieście; listownie załatwia też jakieś interesy. Popołudniami przychodzi do mnie. Analizuje to, co zrobiłam.

– Te kolory są niezwykle mocne – mówi.

– Zaczynają robić to, co chcę.

– Czyli jednak dobrze, że przymusiłem cię do olejów?

– Mnie nie można zmusić do niczego, na co nie mam ochoty.

Zaczyna wywoływać zdjęcia, które mi zrobił. Przejmuje szopę przy starej szklarni, czarne zasłony w oknach. Zasłania wszystkie szpary, zalepia pieczołowicie, aż ta mała, zatęchła klitka zmienia się w intymną ciemność. Przyczepia odbitki do rozciągniętych od ściany do ściany sznurów na bieliznę.

– Spójrz na nią – mówi.

W kuwecie, pod powierzchnią utrwalacza, marszczy się moja twarz. Unosi ociekające zdjęcie i przyczepia je obok pozostałych, żeby wyschło. Patrzę na nie, na każde po kolei. Wyraz jej dłoni – moich dłoni – jej ciała, jej twarzy, to wszystko moje – surowe nieprzejednane oczy, które nie pasują do lekkiego uśmiechu czającego się w kąciku ust. Nie mogę oderwać wzroku od tych oczu.

– Zakochałaś się sama w sobie – śmieje się ze mnie.

Przyglądam im się. Jej twarz nie wygląda w ogóle jak moja.

– Na twoich zdjęciach jestem inna – mówię.

– Inna niż co?

– Niż to, jak zawsze siebie postrzegałam.

– Nie ma jednej ciebie – mówi, wskazując odbitki. – Jest ta zagadkowa i ta milcząca, ta nieufna i ta silna.

– I ta naga.

Puszcza to mimo uszu.

– Uwielbiam to. Zobacz, jakie masz łagodne spojrzenie, gdy tak patrzysz w bok. O czym wtedy myślałaś?

– Pewnie myślałam sobie, że mnie swędzi kostka, ale jeśli spróbuję się podrapać, rzucisz we mnie butem.

Pokazuje mi, jak retuszować zdjęcia. Małe białe plamki kurzu są jak gwiazdy na jej ciele. Dotykam fotografii cieniutkim pędzlem. Rozpuszczam umbrę w wodzie, żeby uzyskać dokładny odcień skóry. Bardzo ostrożnie zamalowuję plamki, patrzę, jak ciemnieją, gdy barwnik zbiera się w warstwie żelatyny.

– Jesteś w tym dobra – mówi, unosząc jedną z wyretuszowanych przeze mnie odbitek. Przygląda jej się pod szkłem powiększającym. – To jest bardzo dobre.

– Umiem trzymać pędzel.

Nie odrywa wzroku od fotografii.

– Prawie nie mogę dojrzeć, gdzie była plama.

– A nie o to chodziło?

– Oczywiście, że o to. Ale nawet większość fotografów nie ma dość dobrego oka, by tak doskonale retuszować.

Przyciąga mnie do siebie w tym ciasnym pomieszczeniu, tylko cienkie szwy światła, całuje mnie. Całuje mnie, jakby ta ciemność się rozpływała.

– Kocham każdą minutę ciebie – mówi. – Każdy wyraz twojej twarzy, każdy nastrój, cień, każdy cal.

– I każde pół cala też? – podkpiwam sobie.

– I każde pół też. Chcę, żebyś tu przy mnie była już na zawsze.

– To trochę dłużej niż rok.

– Mówię tylko to, co czuję.

– Głowę daję, że po roku będziesz gotów spakować mnie i wysłać jak najszybciej z powrotem do Teksasu.

– Nigdy – szepcze.

Nigdy, zawsze. Takie wielkie słowa. Już wtedy mnie to uderza.

– Nadałaś mojemu życiu zupełnie nowy sens, Georgio. Wszystko się kończyło, a potem nagle pojawiłaś się ty.

Kąpiemy się jeszcze ten ostatni raz w jeziorze. Pływamy nadzy, woda jest tak zimna, że aż szczypie. Zaczynają mi drętwieć ręce, wychodzę więc i otulam się ręcznikiem. Ściąga go ze mnie.

– Nie! – Śmieję się i znów owijam wokół siebie ręcznik, ale on znów go ze mnie zrywa.

Mały zwisa mu zziębnięty między nogami, słońce ogrzewa moje ramiona, Stieglitz dotyka go, potem znów sięga po mój ręcznik.

Odpycham jego dłoń ze śmiechem.

– Ktoś nas może zobaczyć.

– Nie ma tu żadnego ktosia.

Bierze mnie za rękę, ciągnie w stronę drzew przy przystani. Rozkłada ręcznik. Ziemia jest twarda, słońce zalewa nas przez liście, moje dłonie brodzące w promieniach aż po nadgarstki, gdy wbija się we mnie od tyłu, mocniej, głębiej. Potem leżymy nago na krawędzi cienia.

– Chcę mieć dziecko – mówię mu, sunąc palcami po jego piersi. – To dziecko, o którym pisałeś w listach.

– Tyle trzeba jeszcze przedtem załatwić.

– Wiem, ale pospiesz się.

– Dobrze – szepcze. – Już niedługo.

Przepływa nad nami klucz gęsi. Wolno przesuwają się przed naszymi oczami niczym czas.

XVI

Wracamy do Nowego Jorku i naszego małego pokoiku. Nie wyjeżdżam – co za dziwne, szalone uczucie. Oto nowe życie, w które wślizgnęłam się nie wiadomo kiedy. Moje, choć wydaje się takie nie moje.

Dwa razy w tygodniu jemy kolację u jego matki, przy Wschodniej Sześćdziesiątej. Hedwig opowiada mi historie z dzieciństwa Alfreda: że uwielbiał konie i wyścigi; że jako dziesięciolatek zamknął się w sali bilardowej na najwyższym piętrze i ćwiczył tak długo, aż potrafił wygrać z ojcem i jego przyjaciółmi; że kiedy był bardzo mały – nie miał wtedy nawet czterech lat – zupełnie zwariował na punkcie zdjęcia ukochanej kuzynki i w ogóle nie chciał się z nim rozstawać. Musieli więc przywiązać mu je na sznurku w pasie i latał z nim po domu, a zdjęcie szurało po nim na schodach.

Te kolacje są wykwintne, przepyszne. Świece, ogień w kominku, śmiech, prawdziwa radość, rozbawienie na twarzy staruszki, gdy patrzy, jak się przekomarzamy. Promienieje. Cieszy się, że jej syn odnalazł szczęście.

Zwykle jednak jemy w tanich restauracjach, gdzie siedzimy obok siebie. Moja ulubiona to Automat. Zachwyca mnie ta prostota, piękna anonimowość – wrzuca się ćwierćdolarówkę do dziurki i wyciąga posiłek.

– Tu następuje zderzenie naszych światów – mówię mu pewnego wieczora.

– Akurat tutaj?

– Tak. W Automacie. Twój świat marmurowych posadzek i mój: obiadów za dwadzieścia pięć centów.

Coś tam odburkuje, bo cały jest skupiony na wyborze między budyniem waniliowym a szarlotką. Naciskam guzik. Tace się obracają.

– Hej! Patrzyłem na to – protestuje.

– Ale jeśli spojrzysz z innej perspektywy, wybór będzie prostszy. Widzisz, jak ten budyń się tu zapadł, o, popatrz. Na twoim miejscu wzięłabym jednak szarlotkę.

Prycha i wrzuca srebrną monetę do dziurki. Stuknięcie zapadki. Otwiera klapkę i wyciąga sobie szarlotkę.

Raz w tygodniu idziemy na Columbus Circle na kolację w Far East China Gardens, gdzie chow mein z ananasem kosztuje aż półtora dolara. Spotykamy się tam z tymi jego artystami Okrągłego Stołu. Mężczyźni rozmawiają o życiu, dyskutują o sztuce. Wychwalają tych, którzy przyłączyli się do ich kręgu, a potępiają tych, którzy nimi pogardzili. Uwielbiam te ich rozmowy, choć najbardziej lubię wtedy tylko obserwować towarzystwo. Stieglitz zaraża wszystkich swoją porywczością, wciąga w spory o sztuce, kulturze, polityce. Z tych słów fruwających nad stołem wybieram sobie różne perełki, jak choćby tę, że ten niesamowity kolorysta Matisse mówi o czerni, że jest „siłą". A Cézanne utrzymuje, że martwa natura nigdy nie jest martwa – upiera się, że zawsze jest grą między światłem a cieniem.

– Zadanie sztuki – mówi Stieglitz do krytyka Paula Rosenfelda – nie polega na tym, by pokazywać rzeczy takie, jakie są, ale by wywoływać ich niewidzialnego ducha, by wydobywać to, co abstrakcyjne i ponadczasowe, z tego, co namacalne, konkretne i osobiste.

Rosenfeld słucha uważnie. Jest nowy w towarzystwie i chyba lekko oszołomiony tym, że miał szczęście znaleźć się nagle we wspaniałym świecie Stieglitza. Moim zdaniem jest uroczy. Niski, tłuściutki, o jasnych włosach i łagodnych, zamyślonych brązowych oczach. Jako pisarz jest zaskakująco cięty, inteligentny, ale w zjadliwy sposób.

– Myśl przewodnia doświadczenia – rzuca malarz Abraham Walkowitz. – Nie chodzi o przedmiot czy podmiot. Weźmy taką Isadorę Duncan. Żadnych zasad, żadnych reguł.

– Widziałem twoje rysunki Duncan na wystawie w 291 – mówi Rosenfeld.

– Od tego czasu narysował wiele innych – zapewnia go Stieglitz. – Mocniejszych, bardziej precyzyjnych. Udało mu się uchwycić to uczucie, to, *dlaczego* jej taniec tak nas porusza.

Cisza. Cały stół czeka na to *dlaczego.* Rosenfeld, niezorientowany nowy, nie wytrzymuje napięcia.

– Dlaczego nas porusza? – pyta.

– Ponieważ Duncan rozumie, że sztuka to transformacja ciała w świetlistego, płynnego ducha. – Głos Stieglitza naprężony niczym drut. – Kiedy tańczy, każdym najmniejszym poruszeniem ciała usiłuje wyrazić tego ducha. Dzięki temu w każdej chwili tworzy. I właśnie to zrozumienie sztuki próbował uchwycić Walkowitz. Nie jedynie ciało tancerki, ale wizję, intencję.

Słucham rozmowy toczącej się przy stole. Pasja w tych stwierdzeniach wylewa się poza granice argumentów. Temperatura tych słów, one same, wszystko to mnie męczy. Bywa, że podczas tych spotkań Stieglitz wydaje mi się bardzo odległy od mężczyzny, którego znam. Czasami chciałabym, żeby wszystko zamarło. Żebym mogła sięgnąć przez stół i dotknąć jego policzka, odsunąć na bok tę jego agresywną błyskotliwość, dotrzeć do tego, co prywatne, łagodne i moje.

Rozmowa schodzi na inne tory. Teraz mówią o Niemczech sprzed wojny. W 1913 Marsden Hartley malował w Berlinie z Kandinskym. Od tamtego czasu jego sztuka jest syntezą abstrakcji i niemieckiego ekspresjonizmu – odważne kolory, mistyczne formy, czasami tak mocne, że nie da się na nie patrzeć ze zbyt bliska.

– Wszystko było wtedy takie romantyczne – rozmarza się Hartley, wyciągając długą rękę, by nadziać na widelec kawałek ociekającego sosem kurczaka. – Wspaniali niemieccy chłopcy w eleganckich mundurach.

– A teraz już tylko twarda rzeczywistość – dorzuca Rosenfeld.

– Do szału mnie to doprowadza – pomstuje Stieglitz. – Ledwie Amerykanie zdołali zanurzyć lekko te swoje mlecznobiałe umysły w awangardzie, a tu teraz wojna i wszystko szlag trafił.

Kolacja skończona, rachunek zapłacony. Wracamy razem skrajem parku z powrotem do naszego mieszkanka przy Pięćdziesiątej Dziewiątej. I zawsze na schodach czeka już na nas jakiś artysta, czasem dwóch. I zawsze pali, gdy tak czeka. Stieglitz zaprasza każdego, każe mu się wspinać po tych schodach na czwarte piętro, zaprasza na nasze jakże małe salony. Pokazuje im kilka moich

obrazków – nowy olejny, jakieś wcześniejsze szkice. Wspomina mimochodem o swoich zdjęciach.

– Pracuję nad czymś nowym – mówi. – To portret.

Chcą oczywiście wiedzieć więcej, ale on już nic im więcej nie powie.

W takie wieczory rozmowy trwają do północy i dłużej. W końcu idą sobie i mieszkanie znów jest nasze. Zsuwamy razem łóżka i Stieglitz mnie całuje, porusza się przy mnie, we mnie, blada skóra pieszczona światłem ulicznych latarni, nasze ciała – mokry ogień.

W listopadzie dowiaduję się o śmierci ojca. Spadł z dachu, gdy zajmował się stolarką w koszarach. Pęknięcie czaszki. Krwotok mózgowy. Na ziemi, gdzie spadł, znaleziono stłuczoną butelkę.

Nawał telefonów. Słodki, spokojny głos mojej siostry Catherine. Zapłakany głos Claudie. Ida właśnie przyjechała do Nowego Jorku, żeby pracować jako pielęgniarka w szpitalu Mount Sinai. Spotykam się z nią i z naszą siostrą Anitą w jej mieszkaniu na Piątej Alei, ale nie mamy wiele do roboty i jeszcze mniej do powiedzenia. Załatwiamy te kilka rzeczy, które trzeba załatwić, i wszystko się układa – niemal zbyt łatwo. Pozostaje tylko ten szalejący mrok gdzieś we mnie.

Gdy miałam dwadzieścia trzy lata, mieszkałam z nim sama w jego domu w Wirginii. Po naszym wyjeździe z Sun Prairie na wschód najpierw otworzył sklep spożywczy, potem zajmował się nieruchomościami, wynajmował przystań, założył mleczarnię. I wciąż wszystko zawsze kończyło się porażką. Kiedy wprowadziłam się do niego tamtego lata, miał akurat mały kawałek ziemi z przedziwnym dwupiętrowym domkiem, który

zbudował z pustaków. Był wrakiem człowieka. Cuchnął alkoholem. Matka go zostawiła. Zabrała moje siostry i młodszego brata Alexiusa. Już wtedy była bardzo chora, jej ciało dogorywało, krew zalewała płuca.

Tamtego lata nie rozmawialiśmy wiele. Piekłam, zamiatałam, sprzątałam, gotowałam mu. Mijaliśmy się w pełnym wstydu milczeniu. Kiedyś tak go uwielbiałam. Gdy byliśmy mali, po kolacji wyciągał skrzypce, grał, tańczył, stukał obcasami, jego niebieskie oczy lśniły. A kiedy ze śmiechem padał na krzesło, właziłam mu szybko na kolana. Ostry zarost drapał mi skórę.

Wspomnienia bolą. Zapomnisz, mówię sobie, kiedyś zapomnisz.

Tej nocy płaczę w naszym maleńkim pokoju. Stieglitz przytula mnie mocno, całuje czule moją mokrą twarz. Przywieram do niego. Potrzebuję go tak bardzo, tak mocno. Jest dla mnie wszystkim. On albo ta potrzeba.

Cztery dni przed moimi trzydziestymi pierwszymi urodzinami ogłaszają zawieszenie broni. Koniec wojny. Na ulicach radość i chaos.

Z Teksasu przychodzi kilka ostatnich moich rzeczy. Rozkładam swoje obrazki na podłodze, zastanawiam się, co wyrzucić. Stieglitz na mnie patrzy.

– Z jaką łatwością przychodzi ci to okrucieństwo – stwierdza. – Jakby te rzeczy nic dla ciebie nie znaczyły.

Chciałabym mu wytłumaczyć, że to nie jest *nic* – że te rzeczy to dla mnie coś więcej. To dzieła, które opowiadają o tym, skąd przychodzę i dokąd zmierzam. Ale wszystko inne musi zniknąć, żeby ten łuk mojej ścieżki był zupełnie jasny, czysty jak naga kość.

– Daj mi tę. Zatrzymam ją sobie. – Sięga po niedokończoną akwarelę leżącą na stercie rzeczy do wyrzucenia.

Chwytam ją szybciej niż on i natychmiast drę, żeby nic z niej nie zostało.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek ją miał – mówię, wciskając ją do kosza.

Tego wieczora, gdy wracamy do domu po kolacji, po całej ulicy fruwają moje obrazki. Ze śmietnika przed domem wystaje wielka malwa, którą namalowałam rok temu. Szkice unoszą się wokół niczym liście. Stieglitz spina się, jakby chciał się rzucić je zbierać. Przytrzymuję go za ramię.

– Zostaw je – mówię. – Należą już do kogoś innego.

Odwracam go w stronę schodów i wchodzimy do budynku.

CZĘŚĆ II

I

– Rozsuń bluzkę – mówi. – Niech twoja dłoń opadnie naturalnie na piersi. Wyżej. O, tak. Kciuk za krawędź, bliżej piersi. Tak. Nie zmieniaj położenia tej ręki, ale drugą odsuń włosy z ramienia. Ułóż je w ten sposób.

Znika pod ciemną tkaniną.

– Nie oddychaj.

Szklane negatywy zajmują tyle czasu i nie mogę ani drgnąć – nie mogę nawet mrugnąć czy podrapać się za uchem. Jeśli poruszę dłonią, zniszczę zdjęcie.

Nie ruszaj się, powtarzam sobie. Nie ruuuszaj się. Aż mój umysł się zamyka, a ciało przelewa się w te słowa.

Gdy w końcu wyłania się zza aparatu, robię głęboki wdech. Przeciągam się, rozciągam kręgosłup, szyję, drepczę wokół w białym kimonie, czekając, aż znów będzie gotowy. Znów przygląda mi się uważnie.

– Włosy za ramię. Jedna pierś do przodu, dotknij jej, pokaż mi ją. O tak.

Znika pod tkaniną. Cisza w pokoju. Słyszę stłumiony przez szyby hałas miasta.

– Teraz obie piersi – mówi spod czarnej tkaniny, tak że widzę tylko oko aparatu, a w nim gdzieś daleko małe, unoszące się na

powierzchni szkła stworzonko, które musi być mną. – Ręce luźno po bokach. Broda do góry, szyja do tyłu. Patrz na mnie. Georgio!

Jego praca zaczyna zagarniać całe mieszkanie. Pudła z papierem fotograficznym, butelki, kuwety, miski. Zaciąga zasłony, wypełnia wannę wywoływaczem. Tylko tymczasowo, zapewnia mnie. Pracuje jak opętany. Łapię się na tym, że z fascynacją obserwuję jego obsesję na punkcie tej kobiety.

Czasami mówi nagle:

– Piękna.

I przechodzi przez pokój, chwyta moją brodę, przesuwa moją twarz o kilka centymetrów, żeby inaczej padło światło, i na tę krótką chwilę staję się nagle kimś zupełnie innym.

Pewnego popołudnia w lutym wychodzi ze swojego biura w Anderson Galleries i przychodzi do domu wcześniej.

– Dziś gra Leo Ornstein! – woła, wymachując biletami.

– Wspaniale!

– Ale najpierw muszę jeszcze wykorzystać to okno. – I już taszczy aparat na środek pokoju.

– Ale przecież pod oknem stoi kaloryfer.

– Staniesz na nim.

– Jest strasznie stary, wolałabym nie.

Ale on już szykuje płyty.

– Wchodź!

Zasłania okno prześcieradłem, które naprawdę nic nie daje. Mówię mu to, ale on chciał tylko uzyskać odpowiednie światło. Zostawiam rysunek w połowie i wchodzę na kaloryfer. Jego ciepłe

żeberka wbijają się w moje stopy, nie jest łatwo utrzymać na nim równowagę.

– Rozbierz się.

Zrzucam szlafrok.

– Wyprostuj się.

– Umieram z zimna!

– Unieś ręce.

– Spadnę.

– Na pewno nie.

Unosi obiektyw. Kaloryfer wydaje podejrzane dźwięki. Wyciągam ręce do góry, opuszki palców na ścianie, zimny podmuch powietrza na tyłku. Wstrzymuję oddech, napinam się, elektryczne drżenie od tego bolesnego bezruchu.

– Doskonała – mruczy.

I taka będzie. Rozproszone światło rzeźbi moje piersi, biodra i uda, moje ledwie widoczne żebra. Staję się dłuższa, wyższa, bez twarzy. Uświadamiam sobie, że tak jest nawet lepiej – być tak dziwacznie nieobecną. Tułów kobiety stworzony z powietrza. Zaczynam się uzależniać od tego jego zaborczego spojrzenia, gdy mu pozuję, gdy jestem tylko ciałem. Żadnych zahamowań, żadnych myśli. Czyste doznania. Jest w tym jakaś szczególna wolność, która zaczyna napędzać moją sztukę.

Ornstein gra tego wieczora zupełnie abstrakcyjnie – ostry dysonans o niesamowitej sile przekonywania. Dłoń Stieglitza na moim kolanie, a młody Ornstein gra. Jego ciemna głowa pochylona, zasłuchana w te dźwięki w dźwięku, jego brutalne palce na klawiaturze. Wysokie okna w sali pełne zimowej nocy – miasta na zewnątrz – świata, który już nieświadomie opuściliśmy;

zmarmurowiałe twarze kobiet, zasłuchane twarze nad ciemnymi sukniami; muzyka wypełniająca salę.

Po koncercie tłum wypływa na ulicę, kłębowisko ciał, mufek, płaszczy, kapeluszy.

– Nic nie mówisz – odzywa się, gdy przystajemy na rogu ulicy. Między budynkami wisi księżyc. – O czym myślisz?

Biorę go pod ramię. Przechodzimy przez ulicę. Chodnik pod naszymi butami.

– Po prostu odczuwam jeszcze muzykę – mówię. – Jak on grał. Niemal dziko. Jakby musiał zagrać każdą nutę. Jakby grał ostatniego wieczora, jakby jutro miał być koniec świata. – Otula mnie ramieniem, a ja parskam śmiechem. – Zupełnie mnie to rozbiło i teraz idziesz po ulicy z małymi kawałeczkami mnie, które skóra z trudem trzyma razem.

Następnego dnia rano jemy po toście, pijemy kawę. Potem otrzepuję okruszki z jego wąsów i wyrzucam go za drzwi. Sprzątam po śniadaniu, ścielę łóżka, jedno przy drugim, a muzyka z zeszłego wieczora wciąż gra mi w głowie, gdy wygładzam pościel. Przedziwne uczucie – niby zwykły poranek, a jednocześnie stoję na krawędzi jakiejś przeogromnej przestrzeni. Żółte ściany drżą, odłamki kolorowego światła.

Za oknem przepływa ptak.

Idę do drugiego pokoju i wyciągam szkice naturalnego mostu ze skały, które zrobiłam zeszłego lata, gdy byłam w Wirginii. Pamiętam, jak przechodziłam pod nim, zapach zieleni, zimna szarość kamienia. Gdy się obejrzałam, pomarańczowy zmierzch właśnie oświetlał jego krawędzie.

Zostawiam szkice na stole i zaczynam nowy. Linie na papierze, cień za cieniem, pomijam szczegóły – nie będzie to taki most, jaki tam jest, ale taki, jaki czułam w tamtej chwili, gdy się obejrzałam, a mech rozdzierało światło.

Przez kilka następnych dni opracowuję ten szkic w kolorze.

Najpierw próbuję w pastelach. Wspaniała nieprzejrzystość, ale tony są zbyt kontrastowe, pomarańcz i błękit nie łączą się tak, jakbym chciała. Sfrustrowana zbieram rzeczy i myję stół, zanim Stieglitz przyjdzie do domu. Ale i tak od razu pyta, nad czym pracowałam.

– Jeszcze niegotowe – odpowiadam.

– Pokaż mi, co jest niegotowe.

– Nie. – Ciągnę go w stronę łóżka. – Poróbmy coś innego.

Kilka dni później wykładam farby olejne, pędzle i puste płótno. Jedna pętla pędzlem na początek, odrobina różu i błękitu przechodzącego w kość słoniową.

Jak doprowadził mnie wczoraj do ekstazy w tym małym łóżku, gdy noc wlewała się przez świetlik, jego oddech na mojej skórze tak gorący i spragniony. Drżę na to wspomnienie. Karmazyn spływa z końcówki pędzla, tak po prostu – mały, nieoczekiwany jasny błysk.

Jeszcze mu nie pokazuję.

Następnego dnia, gdy jestem sama, kładę oba te obrazy obok siebie. Najpierw pastele – ta nieprzejrzystość, o jaką mi chodziło, a jednak barwy się gryzą, pomarańcz i błękit, dwa osobne światy. W olejach nacisk na formę – to niemal rysunek – kształt bliższy

temu, o co mi chodziło, ale z kolei kolory takie słabe, niemal blade.

Kładę na sztaludze czyste płótno i maluję od nowa. Rozpalone kształty, tony mocniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Czuję ucisk w piersi – płótno się opiera, potem ugina pod pędzlem, gdy naciskam mocniej, aż widać nitki ciepła przebijające przez zimne, melodyjne tony fioletu, błękitu. Niemal jakby wszystko to już tam było na płótnie, a ja to tylko odkrywam.

Gotowe. Odsuwam się i spoglądam na zegar. Jest później, niż przypuszczałam. Srebrne drżenie gdzieś głęboko we mnie. Ciało obrane do nagiego korzenia.

Wraca do domu zaraz po zmroku i tym razem nie chowam sztalugi w kącie, tylko zostawiam na środku pokoju, farba jeszcze mokra. Siadam mu na kolanach, przeczesuję opuszkami jego siwe włosy i wpatrujemy się w płótno. Ta moja muzyka, wciąż ją w sobie czuję.

– Teraz już wiem, co mogę zrobić z olejami. Są uparte i ciężkie, a nie lekkie i wolne, ale ta intensywność koloru... Nią potrafię powiedzieć to, co chcę.

Kiwa głową. Zarzucam mu ręce na szyję, przyciskam jego twarz do piersi.

– Piękne – mówi.

– Tak się przy tobie czuję.

II

Nieprzerwany strumień odwiedzin w naszej prowizorycznej galerii, ale teraz pojawiają się nowe nazwiska. Walter Arensberg, Charles Sheeler, Marius de Zayas. Krytycy, mecenasi, marszandzi. Arthur B. Davies, który w 1913 zorganizował Armory Show, przychodzi z Leo Steinem, bratem Gertrude. Edward Steichen, także fotograf, przyprowadza kolekcjonera sztuki Franka Crowninshielda, który jest też redaktorem „Vanity Fair".

Crownie ściska moją dłoń. Jest tak gładki i elegancki jak magazyn, który właśnie przekształcił. W butonierce podskakuje mu kwiat. Stieglitz jest zachwycony. Pokazuje im kilka moich nowych obrazów olejnych, rozwodzi się na temat ich „dzikiej siły", ich „uczciwości", mistrzostwa, którego jestem już tak bliska. Opowiada im, jak mnie odkrył – jak trzy lata temu moja przyjaciółka Anita Pollitzer przyniosła mu na urodziny moje szkice węglem. W 1916, jeszcze w 291, dokładnie w Nowy Rok. Jak natychmiast, gdy tylko rozwinął te rysunki, od razu wiedział, że to coś zupełnie nowego. Nieustraszona autoekspresja. Dziewiczy Umysł. Kobieta na Papierze.

Siedzę na kanapie, sączę wodę i patrzę. Ten czarny błysk w jego oczach, gdy o mnie mówi, jego dłonie poruszają się w powietrzu. Tworzy moją historię. To tylko historyjka – i wiem o tym – ale

gdy tak go słucham, aż trudno mi sobie wyobrazić inne życie, życie, w którym by go nie było. Życie przed nim. Jego opowieść brzmi jak jakiś mit – jakbym zrodziła się z wiatru, równin i błękitnego nieba, dziecko mroźnych zim szalejących na twardej ziemi Ameryki.

Potem zawsze wyciąga kilka swoich nowych fotografii. Szok, siła uderzenia rozlewa się po pokoju jak fala. Nikt nie mówi o nich tak, jakby były to zdjęcia mnie. Te fragmenty – twarz, piersi, szyja, ręce. Nagie. Czasami wydaje mi się, że może powinnam się wstydzić, ale tak mnie śmieszy to, jak te zdjęcia ich niepokoją. Nie mogą nijak pogodzić obrazu tej kobiety w prostej czarnej sukience i skromnym kołnierzu z tą ze zdjęć – jej ciało, ręce, biodra, uda, napięta płaszczyzna jej brzucha, blask jej paznokci, trójkąt czarnych włosów. Odbitki są coraz dosadniejsze, niepohamowane.

– Niesamowite – mamrocze ktoś, a potem zawsze to ukradkowe spojrzenie na drugi koniec kanapy, gdzie siedzi kobieta, która jakoś zupełnie nie pasuje im do tych palladowych odbitek rozwieszonych na ścianie.

W naszych małych pokojach zaczynają się pojawiać prawdziwe sławy. Jestem tu od niecałego roku, ale już wszyscy postrzegają nas jako wyjątkową parę – starszy fotograf i jego odważna wieszczka, jego artystka, jego młoda muza. I zaczynam widzieć – tak jak widzą to inni – że w tych myląco prostych obrazach Stieglitz jest bliski uchwycenia pewnej esencji, pewnej uniwersalnej kobiecości.

– Rewolucyjne – stwierdza Edward Steichen i patrzy na mnie. – Czegoś takiego nigdzie jeszcze nie widziałem.

– Też to mówię Stieglitzowi – odpowiadam. – To coś więcej niż tylko fotografia, prawda?

Edward się uśmiecha.

– Dobra fotografia potrafi uchwycić całą epokę w jednej chwili, potrafi nawet przekazać to, co jedna dusza znaczy dla drugiej. – Odwraca się od jego zdjęć i wskazuje mi skinieniem głowy mój obraz *Muzyka*, który stoi oparty o ścianę po drugiej stronie pokoju. – Ale kiedy powiedziałem „rewolucyjne", nie miałem na myśli fotografii Stieglitza, Georgio. On sam często to powtarza, ale dziś ujrzałem to na własne oczy. To, co tu zrobiłaś... – Wskazuje mój olej. – Nikt w tym kraju nie robi takich abstrakcji jak ty.

III

– Crownie był zupełnie oszołomiony! – krzyczy Stieglitz, gdy tylko wychodzą. – Te fotografie go kompletnie olśniły.

– Czy nie o to właśnie ci chodziło?

– Oczywiście, ale przyszło mi to bez żadnego wysiłku. Widziałaś, jak łatwo poszło?

Kiwam głową. Zaczynam sprzątać. Myję brudne szklanki, przebieram się w szlafrok, odwieszam sukienkę. Zanurzam szczoteczkę w słoiku z proszkiem, myję zęby, wypluwam, płuczę.

– Miło było porozmawiać z Edwardem – mówię. Czy mam świadomość, że to okrutne słowa?

Stieglitz patrzy na mnie uważnie.

– Widziałem, że rozmawialiście. Co miał ci do powiedzenia?

– Tylko to, że jest zachwycony twoimi zdjęciami. I moimi obrazami.

– Georgio, on w małym paluszku ma więcej talentu, niż ja będę miał w całym życiu. Jak mnie to denerwuje, że się tak sprzedał. Teraz chodzi mu już tylko o pieniądze.

– Powiedział, że chce wrócić do swojego domu rodzinnego w Voulangis.

Stieglitz prycha.

– Histeryzuje jak byle dziwka i tyle. Tak naprawdę chce być gwiazdą reklamy.

Nie zgadzam się z nim, ale się nie spieram. Jego wściekłość na Edwarda Steichena wydaje się równie mocna jak przyjaźń, która ich kiedyś łączyła. W złotej epoce 291 to Edward był młodym protegowanym Stieglitza, tym prawdziwym, uwielbianym. Kiedy Stieglitz założył czasopismo „Camera Work", to właśnie Edward zrobił projekt pierwszej okładki. Byli nierozłączni. Ale potem Edward dorósł: poszedł na wojnę, w którą Stieglitz nie wierzył, zajął się fotografią lotniczą dla aliantów, a teraz pojawiły się plotki, że liczy na pozycję w Condé Nast, co Stieglitz uważa za bezwstydny komercjalizm. Zawsze lubiłam Edwarda – siłę w jego twarzy, lekko rozbawiony uśmiech. Ma spojrzenie przenikliwe, ale łagodne. Znosi pokornie wszelkie tyrady Stieglitza i okazuje mu zawsze taką wdzięczność i czułość, jakby to był jego starzejący się ojciec. Jego szacunek dla człowieka, który był kiedyś jego mistrzem, się nie zmniejsza, ale Edward to mężczyzna o silnej woli i nie pozwala, by ktokolwiek zepchnął go z raz obranego kursu. Wpadłam kiedyś na niego w jakiejś galerii i nawet go o to spytałam.

– Zawsze taki byłeś, Edwardzie? Taki pewny swego i współczujący zarazem?

– Za dużo widziałem podczas wojny – odpowiedział po prostu. – Spalonych wsi. Dzieci. Gdy już raz takie rzeczy zobaczysz, wiesz, czego chcesz, i nic, nawet wielki Stieglitz, nie odwiedzie cię od tego, do czego dążysz. – Uśmiechał się, ale głos miał smutny i tak czysty, że chciało się go dotknąć.

Tej nocy, gdy leżymy ze Stieglitzem obok siebie, moje łóżko pod świetlikiem, jego oddech coraz głębszy, zapadający w sen, myślę o tym wieczorze, o tym, co powiedział Edward o mojej sztuce,

o wyrazie twarzy Crowniego, o tym, jak on i pozostali nie mogli oderwać wzroku od zdjęć. I tak leżąc, uświadamiam sobie, że zaczyna się jakaś cicha przemiana świata, do którego należymy.

IV

Następnej zimy, w 1920 roku, dowiadujemy się, że nasz apartamentowiec na Pięćdziesiątej Dziewiątej przeznaczono do rozbiórki. Brat Stieglitza, Lee, proponuje nam pokoje w swoim domu.

– Tak chyba będziemy musieli zrobić – mówi Stieglitz. – Biorąc pod uwagę naszą sytuację finansową, nie mamy innego wyjścia.

– Zawsze jest jakieś wyjście – odpowiadam. – Wiem, co to bieda. Ale zawsze mieszkałam sama.

– W życiu nie będzie nas stać na takie warunki, jakie proponują nam Lee i Lizzie.

Ucisk w żołądku. Jak dziwnie będzie nie mieć własnego kąta, mieszkać z jego rodziną. Najpierw nad jeziorem, teraz tu.

Idziemy zobaczyć pokoje. Okropny dzień. Cały budynek śmierdzi jak zatęchła piwnica. Dziewięćdziesięcioletnia matka Lizzie nie może pojąć, jak para bez ślubu miałaby mieszkać razem, więc Lee pokazuje nam dwa osobne pokoje na różnych piętrach. Będziemy mieć własny salon. Śniadania będziemy robić sobie w ich kuchni, a kolacje jeść na mieście. Lizzie pokazuje mi słoneczny pokój z tyłu domu, gdzie jest dobre światło i mogę malować. To kobieta nieśmiała, łagodna, ale zawsze lekko wymęczona, jakby małżeństwo było dla niej męczarnią. Wchodzimy we dwie po

schodach aż na najwyższe piętro, gdzie Lee pokazuje właśnie Stieglitzowi alkowę, którą może wykorzystywać jako ciemnię.

– Nie podoba mi się to. To tak, jakbyśmy byli na ich utrzymaniu – szepczę do Stieglitza, gdy schodzimy za nimi po schodach.

– Ciii – ucisza mnie. – To tylko chwilowe rozwiązanie.

W drzwiach ściska dłoń bratu, wylewnie mu dziękuje.

Latem zmienia się też nasza sytuacja mieszkaniowa nad jeziorem. Rodzina sprzedała Oaklawn. Dom był zbyt drogi w utrzymaniu. Już od dobrych ośmiu miesięcy Stieglitz walczył o to, by go zachować, ale ponieważ jako jedyny nie może sobie pozwolić na to, by się dorzucać do tych wydatków, zapadła w końcu decyzja: dom i pas ziemi nad wodą zostały wystawione na sprzedaż. Rodzina zachowa trzydzieści sześć akrów ziemi powyżej i biały drewniany dom na wzgórzu, który kiedyś należał do hodowcy świń. Gdy przyjeżdżamy, kończą już remont tego budynku. Zostało jeszcze kilku robotników, walą, stukają.

Kiedy wreszcie się wynoszą, nie ma już kortu tenisowego. Nie ma służących Hedwig. Musi przywieźć ze sobą z miasta własną pokojówkę i zatrudnić do pomocy kogoś z okolicy. Przyjeżdża siostra Stieglitza Selma, cała obrażona, ponieważ, jak twierdzi, uczyniliśmy jej wielki afront. Jakoby zapraszała nas całą zimę, a my przyszliśmy w odwiedziny tylko raz. Ściany nowego domu wydają się nieznośnie cienkie. Słyszę ją w pokoju obok, jak miota się po pomieszczeniu, trzaska szufladami. Odsuwa krzesło, przysuwa je z powrotem. Słyszę, jak zamiata zamaszyście spódnicą, jak Rozpruwacz skrobie pazurkami po podłodze. Po dwóch dniach Selma zaczyna wiercić nam dziurę w brzuchu o biurko z mojego pokoju.

Z początku to tylko luźno rzucona przy stole uwaga, ale zaraz potem Selma nie potrafi już mówić o niczym innym.

– Przecież Georgii to biurko nawet nie jest potrzebne. Cały czas jest zajęta malowaniem.

– Chcesz jej zabrać to biurko tylko dlatego, że go nie masz – broni mnie Stieglitz.

Kłótnia między nimi nie ma końca, w końcu więc mówię mu, żeby oddał jej to biurko, ale on się zaparł. Chodzi o zasadę.

– Wstrętna baba – wścieka się. – Po prostu wstrętna.

– Ale ja potrzebuję spokoju i ciszy.

Następnego poranka biurko zostaje przesunięte do pokoju Sel, choć trzeba się nieźle namordować, żeby je jakoś przepchać przez drzwi. Jest ciężkie, ciemne i połyka całe miejsce w pokoju, ale Sel jest szczęśliwa – przez cały jeden dzień. Wieczorem po kolacji stwierdza, że jednak wolałaby, żeby wróciło do mnie. Stieglitz nie chce mieć z nią już więcej nic do czynienia.

W lipcu dom jest pełen ludzi. Dużo spaceruję. Schodzę z owalnego podjazdu, przecinam usiany drzewami owocowymi krąg trawnika, mijam stare zabudowania gospodarcze, zapadające się dachy – oborę, kurnik, lodownię, stajnię. To była kiedyś farma, myślę sobie, przechodząc przez zardzewiałą furtkę, która oddziela pola. Wspinam się zboczem w stronę lasu, mijam klify i skały, docieram na górną łąkę pełną szczawików i dzikich kwiatów. Paciorecznik, który tu posadziłam w zeszłym roku, już kwitnie. Taki prosty czerwony kwiat. Cienka łodyga, kwiat jak rozczapierzona dłoń – złocisty, olśniewająco jasny. Zrywam jeden i wkładam do zwykłego słoika na biurku w sypialni. Zanurzam pędzel w misce z wodą, potem mieszam nim w czerwonej farbie – ten dreszcz, gdy farba

dotyka pustego papieru, czubek pędzla przecina zewnętrzną krawędź – rozwierające się płatki, ich czerwień czasami cieńsza, prześwitujące przez nie blade światło. Nie wypełniam papieru wokół nich, tylko kwiat bez żadnego punktu odniesienia – pęknięcie barwy w bezcielesnej przestrzeni.

Pewnego popołudnia w drodze powrotnej ze spaceru zauważam mały, zaniedbany budynek. Zapadające się drzwi, jedna izba, okno wychodzące na łąkę.

Tego samego wieczora mówię mu, że chcę ten domek.

– Po co?

– Żeby w nim pracować.

Idzie ze mną na wzgórze, żeby go obejrzeć.

– Trzeba by zmienić dach.

– Tak.

– I okno.

– Można naprawić to, które już jest.

Patrzy na mnie z powątpiewaniem.

– Naprawdę myślisz, że nie potrafię odróżnić dobrego okna od takiego, które już się do niczego nie nadaje? – pytam. – Załatwisz mi wycenę dachu?

Kiwa głową.

– Niech będzie.

Ale kiedy w końcu przychodzi wycena, wznosi ręce do nieba.

– Zaporowa! – krzyczy. Nic nie mówię. – To takie denerwujące – dodaje. – Przykro mi, kochana.

Kiedy przyjeżdża córka Lee, Elizabeth, proszę ją o pomoc. Razem ze Stieglitzem i jej ukochanym Donaldem, za którego zdążyła już rzeczywiście wyjść za mąż, spędzamy kilka tygodni na

remontowaniu. W sierpniu robi się za gorąco dla Stieglitza. Chowa się w domu, ale my z Elizabeth pracujemy dalej, przybijamy gonty, piekąc się przy tym na słońcu jak bekon na patelni. Na głowie mam wielki, miękki kapelusz i rozbieram się do samej koszuli i blumerek. Pewnego popołudnia przychodzi do nas Alfred. Niesie swojego grafleksa i triumfalnie wymachuje gazetą.

– Historyczny dzień! – krzyczy zachwycony. – Poprawka weszła w życie! Kobiety mają prawo do głosowania.

– Co za radość! – woła Elizabeth. – Już się nie mogę doczekać tych sporów dziś przy kolacji. Będziesz naszym mówcą, wujku. Jak nudno by tu było, gdybyś był taki staromodny jak wszyscy inni mężczyźni w tej rodzinie.

– Alfred na pewno nie jest nudny – zgadzam się.

– Już to widzę! – Elizabeth się śmieje. – To oburzenie ojca. Jakże poważnie będzie zaniepokojony tą niebywałą sytuacją. – I udając niski głos Lee, pokpiwa wesoło: – Wolę nie myśleć, jak to może wpłynąć na zbliżające się wybory.

Zaśmiewamy się do rozpuku. Stieglitz rzuca nam gazetę. Elizabeth chce ją złapać i mało przez to nie spada z dachu. Chwytam ją za rękę i ściągam na dół. Z zarumienionymi policzkami kładzie się na ziemi, chichocząc jak wariatka, rozkłada gazetę, żeby przeczytać artykuł.

– Pojęcia nie mam, dlaczego tak długo im zajęło zrozumienie czegoś, co jest tak oczywiste – mówi Stieglitz.

– Mężczyźni bywają uparci – stwierdzam.

– Ha! Georgia! Spójrz tutaj! Spójrz na mnie. – Już unosi aparat. Prycham tylko. Marszczy brwi. – Proszę – błaga słodko.

Wygrażam mu młotkiem, uśmiecham się, strzela migawka.

Odwracam się, przysuwam jeden kwadratowy kawałek drewna do drugiego, przykładam gwóźdź do gontu. Zamach młotkiem, precyzyjne uderzenie.

Kiedy moja chałupa jest już gotowa, Alfred spędza cały dzień ze mną w środku. Wyciągam jakieś listwy ze śmietnika i robię sobie ramę. Stieglitz buduje taboret z drewnianych odpadków.

– Ta część może być moja – stwierdza i rozsiada się w jednym końcu chaty.

– O nie. – Kręcę głową.

– Jak to „o nie”?

– Tak po prostu. – Podchodzę do niego, dotykam jego dekoltu, koszula rozchylona, górny guzik odpięty, moja opuszka muska jego pierś, przesuwa się w dół. – Do ciebie należy wszystko inne – wyjaśniam. – A chata jest moja.

V

– Kobieta potrzebuje dziecka, wujku – zaczyna nagle Elizabeth pewnego popołudnia pod koniec sierpnia. Siedzą oboje w jednej części werandy. Ja czytam na schodach.

– Georgia nie jest byle kobietą – odpowiada Stieglitz.

– Wszystko słyszę – mówię.

Elizabeth uśmiecha się do mnie, a potem odwraca w stronę Stieglitza.

– Tym bardziej taka kobieta jak Georgia – upiera się. – Pomyśl tylko, jak wspaniale doświadczenie macierzyństwa wpłynie na jej sztukę.

– Z dzieckiem, które trzeba będzie nakarmić, odbić, przewinąć, nie będzie miała czasu na żadną sztukę.

– Przecież mogę pomóc.

– Niby jak?

– Mogę być nie tylko twoją ukochaną bratanicą, ale też nianią, opiekunką, całym przedszkolem, co tylko będzie Georgii potrzebne.

– Nawet nie mamy własnego domu – odburkuje Stieglitz. – Nie mamy miejsca na dziecko.

– Tam, gdzie jest miłość, zawsze znajdzie się miejsce na dziecko.

Stieglitz posyła jej surowe spojrzenie znad okularów.

– Sentymentalna jesteś.

– Romantyczna – poprawia go. – I nic w tym złego. I ty taki trochę jesteś.

– O nie. Ja jestem praktyczny.

Elizabeth wybucha śmiechem.

– Zresztą – ciągnie Stieglitz – Georgia sama jest jeszcze dzieckiem.

– Doprawdy? Mam trzydzieści trzy lata! – wybucham.

– Wciąż jesteś młoda – mówi z przekonaniem. – I tak pięknie się rozwijasz.

Tym stwierdzeniem mnie zaskakuje. Jest w nim coś tak dziwnego i obrzydliwego, coś jakby Pigmalion i Galatea. Czuję nagłą falę złości. Na niego. I na Elizabeth, że w ogóle wyciągnęła ten temat.

Spuszczam oczy na książkę na kolanach. *Drzewa i jak je rozpoznawać.* Skupiam wzrok na stronie. „Kora wszystkich brzóz charakteryzuje się długimi, poziomymi”...

– I jest jeszcze sprawa finansowa – słyszę jego głos. – Nie możemy tak ciągnąć.

– Wszystko się ułoży – mówi Elizabeth. – Nie trać nadziei.

– Nie chcę o tym dziś dłużej rozmawiać – broni się Stieglitz.

– Dobrze, przypomnę ci więc o tym jutro – żartuje Elizabeth.

Stieglitz puszcza to mimo uszu i krzyczy do mnie przez całą werandę:

– Masz ochotę pójść potem na łódkę, Georgio?

Podnoszę wzrok i patrzę na niego chłodno przez chwilę, żeby wiedział, że nie jestem zadowolona.

– Możemy iść, czemu nie.

Gdy idziemy ścieżką w dół nad jezioro, trzyma mnie za ramię.

– Nigdy więcej tego nie rób – mówię.

– Czego?

– Nie przeprowadzaj ustawionej rozmowy z kimś o czymś, co jest dla mnie ważne.

– To ona to wyciągnęła.

– Po prostu tego nie rób.

Czuję, jak się kuli, ale kiwa głową.

– Chcę dziecka, Stieglitz. Obiecałeś mi dziecko już na samym początku. Jeśli teraz nie jest na to dobry moment, możemy o tym spokojnie porozmawiać. Sami. Ale nie w ten sposób.

Pomagam mu odwrócić łódkę. Razem zaciągamy ją na płyciznę. Wiosłujemy w milczeniu. W połowie drogi wokół wyspy zmienia się wiatr. Ze wzgórz nadciąga szkwał.

– Wracajmy – mówię.

Ustawia łódź tak, żeby wiatr nas pchał. Wicher szarga powierzchnią wody, krople rozbryzgują się o burtę. Są coraz większe. Łódeczka przepływa na nich, a Stieglitz wiosłuje powoli, mocno, przepychając łódkę przez skotłowaną pianę.

Zaczyna padać – najpierw tylko lekki deszcz, potem ulewa. W połowie drogi do brzegu niebo nad jeziorem rozdziera błyskawica. Wtedy widzę to kanu, trochę na wschód od wysepki, w nim dwie małe postacie. Chłopcy.

– Stieglitz, zawracaj! Wracaj! – Zrywam się na równe nogi.

Siłą sadza mnie z powrotem.

– Przewrócisz nas!

– Ale patrz tam! Tam są jacyś chłopcy!

Jego wzrok podąża za moją dłonią i w tej samej chwili kanu dzieci się przewraca, dwa ciemne cienie znikają w czarnej wodzie.

Widzę jedną głowę na powierzchni, blada ręka w świetle kolejnej błyskawicy. Przywiera do przewróconego kanu.

– Zawracaj! Płyń tam! – drę się. – Wracaj!

Ale on wiosłuje w stronę brzegu.

– Nie możesz ich tam zostawić!

– Wrócę po nich sam. Czworo w tej łódce? Nie damy rady!

– Nie zdążysz wrócić!

– Muszę cię najpierw odstawić na brzeg.

– Nie, nie teraz!

– Pobiegniesz po pomoc, a ja po nich popłynę.

– Nie! Zawracaj!

On jednak płynie dalej. Zaciskam palce na burcie, wytężam wzrok. Gdzie te dwie główki na środku jeziora? Widzę tylko jedną.

– Zawróć, błagam. Zawróć! – Słowa drżące jak modlitwa. – Proszę!

Dobijamy do przystani. Wyskakuję i odpycham łódź. Wiosłuje w środek burzy, pochyla się na wiosłach, mocne, długie pociągnięcia przez wzburzoną wodę.

– Biegnij, Georgia! – wrzeszczy. – Biegnij!

Pędzę pod górę.

Docieram do domu z duszą na ramieniu, spanikowana wzywam pomocy, moje przemoczone ubrania zostawiają kałuże na podłodze.

Elizabeth przynosi mi koce, a Agnes dzwoni po pomoc. Mężczyźni zbiegają ze wzgórza nad jezioro.

Patrzę na nich z werandy, zaciskam dłonie na balustradzie. Stieglitz dopłynął już do przewróconego kanu. Chwyta chłopca, który wciąż kurczowo trzyma się łódki – to ta blada ręka, którą

wtedy widziałam. Nasza łódeczka kołysze się niebezpiecznie, ale Stieglitzowi udaje się wciągnąć dziecko do środka.

– Wszystko będzie dobrze. – Elizabeth staje przy mnie i wciska mi w dłonie kubek z gorącą herbatą. – Już wszyscy pobiegli im pomóc.

– Był jeszcze jeden chłopiec – mówię.

– Znajdą go.

Elizabeth otula mnie ramieniem.

Stieglitz znów wiosłuje, krąży wokół kanu, rozgląda się.

Nie znajdują go. Tydzień później jakiś myśliwy natyka się na płaszczyk – zaplątany w korzenie drzewa gdzieś przy brzegu.

– Musimy o tym zapomnieć – stwierdza Stieglitz, gdy się o tym dowiadujemy. – Nie mogliśmy go uratować.

Wszyscy poszli już spać. Jest ciepła noc, niebo usiane gwiazdami.

– Gdybyśmy chociaż spróbowali – szepczę.

Cisza.

– Gdy tylko kanu się przewróciło, było po nim – mówi po chwili. – Wiedziałem o tym już wtedy, gdy po nich płynąłem. – Wpatruje się w jezioro.

Na srebrnej powierzchni wody unosi się czarna wyspa.

– To pewnie była słuszna decyzja – mówię.

– Nie było innego wyjścia.

– Nie obwiniam cię.

Wtedy patrzy na mnie i żal w jego oczach zapiera mi dech w piersiach.

W połowie września, kiedy już prawie wszyscy wyjechali, wychodzę na korytarz na piętrze i natykam się na Hedwig.

Klęczy. Gapi się na mnie. Próbuję pomóc jej wstać, wymachuje ręką, coś bełkocze, patrzy na mnie, jakbym to ja była drzwiami, do których próbuje dotrzeć. Potem jej dłoń nagle opada, ciało się osuwa, uginam się pod ciężarem.

Wzywam pomoc. Stieglitz odkrzykuje z drugiego końca domu. Dociera w końcu do nas cała grupa lekarzy. Gdy ją wynoszą, prawie w ogóle się nie rusza. Kiedy po jakimś czasie dzwoni w końcu Lee, Stieglitz płacze. Udar. Wyjdzie z tego. Do pewnego stopnia.

Trzymam go w ramionach aż do rana. Chodzimy na długie spacery. Liście płoną swoim jesiennym ogniem. Fotografuje krople deszczu na jabłoni. Jak łzy, mówi.

Czuję jego niepokój co do mojej pracy, tego, co robię, a czego nie, czego jeszcze nie chcę się uczyć. Delikatne drżenie pojawiającego się między nami napięcia, gdy wchodzi do chaty, kiedy maluję. Razem przeglądamy moją serię o jabłkach. Moje *Czerwone klony.* Moje *Drzewo z obciętą gałęzią.* Wszystko, co zrobiłam tego lata, gdy dom tętnił życiem, wydaje się jakby nudnawe, monotonne.

– Nie ma w nich tego życia, które było we wcześniejszych pracach – mówię.

– Znajdziesz jakieś rozwiązanie – odpowiada.

Ale nie sposób nie czuć tego czarnego nurtu rozpaczy przepływającego z jego dłoni do mojej, gdy idziemy na pocztę w miasteczku czy siedzimy rano w kuchni.

– Musiałabyś wybrać – mówi do mnie nagle pewnego dnia ni z tego, ni z owego.

Jest już późna jesień. Reszta dawno wyjechała. Zmywam nad zlewem.

– Wybrać? – pytam.

– Między dzieckiem a sztuką. Masz świadomość, tak?

– Nie – odpowiadam, spłukując talerz, patrząc, jak czysta woda ochlapuje jego twardą powierzchnię.

– Nie powinienem był poruszać tego tematu. – Bierze talerz z mojej dłoni i wyciera go ścierką zbyt mocno. Nieprzyjemny pisk.

– To ty masz za dużo na głowie, nie ja – odpowiadam lekko. – Spokojnie poradziłabym sobie z opieką nad dzieckiem.

– Nieważne, to i tak nie jest dobry moment na taką decyzję.

– To nie ja zaczęłam.

Bierze z mojej ręki dwa noże. Cienkie metalowe pasy. Odbijające się od nich światło.

Upuszczam miseczkę do miednicy z wodą. Ochlapuje nas mocno.

– Zrobiłaś to specjalnie! – mówi, odskakując.

– Tak?

Wyciąga ścierkę w moją stronę, żeby wytrzeć mi nią dłonie, ale łapię go za pasek, przyciskam do zlewu, wpycham mu udo między nogi.

– Jesteś cała mokra – mówi.

– Mam tego serdecznie dość – odpowiadam. – Tego ponuractwa, tego smęcenia. Jedna wielka strata czasu.

– Nie jesteś miła.

– Co się stało, to się nie odstanie. Nawet ty nic tu nie poradzisz.

Rozpinam mu spodnie. Dotykam go, uśmiecha się.

– W końcu – mówię. – W końcu uśmiech.

Jest twardy w mojej dłoni.

Bluzkę mam zachlapaną wodą. Dotyka mojego sutka przez bawełnianą tkaninę, wykręca go, a ja głaszczę go uparcie. Dotyka moich piersi, potem wsuwa mi dłoń za spódnicę, zsuwa ją z moich bioder, zrzuca na podłogę, jego ręka na moim tyłku, palce już we mnie.

– Wszystko mokre – mówi.

Jego palce wdzierają się głębiej, najpierw delikatnie, potem już nie.

– Chcę ciebie – mówię.

– Mocno na zlewie? – Jego niski głos tuż przy moim uchu. – Od tyłu na stole? Czy okrakiem na krześle?

Jego ręka jest już pode mną, podnosi mnie, opiera o stół, ten ostry, mocny ruch, gdy wsuwa się we mnie.

– Nie chcę wybierać – mówię.

Przyciska mi ręce do głowy. Spada świeczka, toczy się po podłodze.

– Musisz wybrać.

Jego zęby pieszczą moją szyję.

– Chcę wszystkiego.

VI

Październik. Nad jezioro przyjeżdża Paul Rosenfeld i przywozi ze sobą artystę Charlesa Duncana. Rosenfeld pracuje teraz dla „The Dial" jako krytyk muzyczny. Uwielbia nas i zaczyna stawać się tym kimś, na kogo Stieglitz może zawsze liczyć. Kupuje takie obrazy, jakie Stieglitz mu każe – Marina, Hartleya, Dove'a – i wiesza je w swoim eleganckim mieszkaniu na Irving Place, gdzie zeszłej zimy poznaliśmy na przyjęciu poetkę Marianne Moore. Bardzo nas rozśmieszyło, gdy się zorientowałyśmy, że urodziłyśmy się tego samego dnia.

Rosenfeld pyta, czy może kupić jeden z moich olejów.

– Niestety jeszcze nie są na sprzedaż – odpowiada Stieglitz. – Ale kiedy będą, pierwszy się o tym dowiesz, Pudge.

Zaraz po przyjeździe Rosenfeld wyznaje nam, że jedyne, co potrafi zrobić w kuchni, to jajecznica. Toteż następnego dnia na śniadanie jest jajecznica. Przejmuję resztę gotowania, a mężczyznom zostawiam sprzątanie. Zajmuję się ogrodem, robię przetwory z warzyw i cydr z jabłek. Ich słodki zapach wypełnia pokój poczuciem pewności, które tak lubię. Nauczyłam Stieglitza, jak rozpalać w kominku, i teraz popisuje się nową umiejętnością.

– Georgia po prostu wszystko potrafi zrobić – mówi. – Mam nadzieję, że się tym od niej zarażę.

– Czy wiesz, Pudge, że kiedy Alfred był mały, całe dnie spędzał na odgrywaniu wielkich wyścigów końskich na planszy do chińczyka? I dlatego właśnie nie miał czasu się niczego nauczyć o gospodarzeniu. Ale za coś przecież dostawałeś swoją tygodniówkę, prawda? Jakie miałeś obowiązki w domu?

– Żadnych.

Wybucham śmiechem.

– Czyli płacono ci za to tylko, że istniejesz?

– Coś w tym stylu – przyznaje zawstydzony.

Pewnego popołudnia robi nam zdjęcie – Rosenfeld, Duncan i ja przy stole zastawionym bulionem, oliwkami, szparagami, bekonem, jajkami.

– Za raj – wznosi toast Rosenfeld, a potem posłusznie pochyla się nad jedzeniem, dokładnie tak jak mu każe Stieglitz.

Będę się później wpatrywać w tę fotografię, taką domową, taką prostą. Uchwycił nas tak w pół ruchu, biel mojej koszuli, uśmiech na mojej twarzy, oliwka wbita na widelec i to czwarte miejsce, krzesło Stieglitza, puste przed małym stołem, bochenek chleba na desce obok, nóż leżący prostopadle do świeżo odkrojonej kromki. Będę się wpatrywać w to zdjęcie – małą odbitkę wielkości karty do gry – i usiłować sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wszystko było takie proste i urocze, jak na tym jego zdjęciu. Miał ten dar. To nim nas hipnotyzował. Tym, że potrafił uchwycić to krótkie drżenie duszy, kilka kropel deszczu na jabłku. Albo ludzi zebranych przy małym stole na posiłek – taka prosta, intymna przyjemność. Drzewa w tle. Zamazane.

Następnego dnia słyszę, jak Rosenfeld się martwi, czy jego obecność nad jeziorem aby nie przeszkadza nam w pracy, szczególnie w mojej.

– Odkąd przyjechałem, nie widziałem, żeby malowała.

– Nie – zapewnia go z przekonaniem Stieglitz. – Twoje odwiedziny to dla nas wielka radość. Georgia podziela moje zdanie w tej sprawie.

– Jestem wam ogromnie wdzięczny – mówi Paul z tą typową dlań uroczą prostotą. – To wspaniała okazja, by obserwować was z tak bliska.

– Musisz zobaczyć jej najnowsze prace.

– Bardzo bym chciał.

– Są niesamowite, Pudge. To, co ona robi teraz z barwami. Jej nowe oleje mają niewyobrażalną moc. Są niemal tak odważne jak te jej wczesne węgle.

To fascynujące słuchać, jak tak mówi o moich rzeczach, gdy ledwie kilka tygodni temu wydawał się taki nimi zaniepokojony.

– Tak sobie myślę – ciągnie. – Kiedyś naprawdę powinieneś napisać o jej obrazach w „The Dial".

– Wspaniały pomysł!

– Jeszcze nie teraz oczywiście – dodaje szybko Stieglitz. – Ale kiedyś, i to pewnie niedługo. Dobrze by było o tym pomyśleć.

Kilka dni później siedzimy rano na werandzie. Alfred w swoim starym szarym swetrze, z czarnym płaszczem przerzuconym przez ramię. Pisze listy. Przy nim na stole leży czarna teczka z kilkoma moimi akwarelami i rysunkami. Przyjaciele nazywają ją „Skarbem Stieglitza". Nigdy się z nią nie rozstaje, nieustannie ją przegląda. Czasami wyciąga któryś obrazek i po raz enty

pokazuje innym. Te moje wczesne prace mają dla niego jakieś szczególne znaczenie. Siedzę na stopniu i składam ramy od obrazów. Widzę, jak Paul na nas patrzy – w tych jego smutnych oczach czai się tęsknota. Potem zaraz się uśmiecha. Odpowiadam mu tym samym.

Stieglitz podnosi wzrok znad listu.

– Zróbmy portret.

– Czyj? – pyta Rosenfeld.

– Twój, Pudge.

– Mój?

Stieglitz już wstaje.

– Tak. Twój. Portret pisarza.

– Będę zaszczycony.

W jednej z sypialni Stieglitz sadza Rosenfelda przy małym starym biurku, skrzyżowane ręce, maszyna do pisania, kilka książek, w tym ostatnie wiersze Carla Sandburga, kartki tekstu do korekty, papierosy.

Stoimy z Charlesem Duncanem w progu i patrzymy, jak Stieglitz układa wszystko dokładnie tak, jak chce, i dociera do mnie, że to właśnie zawsze robi. Przestawia nas w przestrzeni. Widzę, jak Rosenfeld promienieje. Cieszy się jak dziecko, że tak nieoczekiwanie znalazł się w centrum naszej uwagi. Muszka mu się przekrzywiła. Wisi tak trochę na prawo, dziwnie mała pod jego krągłą twarzą. Chcę podejść mu ją poprawić, ale w tej chwili słyszę migawkę. Zamieram.

Wyjeżdżają, jezioro znów należy do nas. Dzień po dniu długie godziny pracy i samotności. Robi się zimno. Myślę o pokojach

z czerwono-brunatnego piaskowca w domu jego brata. Mamy tam już wkrótce wrócić, okna wychodzące na ciemne budynki.

– Nie chcę wyjeżdżać – mówię.

Ale Stieglitz potrzebuje miasta, zgiełku i luksusów, które mnie wydają się czasem takie dziwne.

Wygrzebuję szkic, który zrobiłam wcześniej w tym roku, i opracowuję go tym razem w oleju. *Czerwono-pomarańczowa smuga*. Ciemna przestrzeń nieba przecięta na wysokości horyzontu pasmem czerwonych gór. Szeroki pomarańczowy łuk ciągnący się z lewego dolnego rogu.

– To dźwięk – wyjaśniam, gdy Stieglitz przychodzi popatrzeć na skończony obraz. – Ten głośny dźwięk, jaki wydaje bydło w Teksasie.

Wciąż mnie on prześladuje. Ten rytm wypełniający bezkresną pustkę.

Stoi przed obrazem, przygląda mu się uważnie.

– Tamta ziemia jest dla ciebie bardzo ważna – mówi.

– Pojedź tam kiedyś ze mną.

Słońce pada na jego ramiona – bardzo delikatnie, czule. Tutaj nawet światło jest oswojone.

– Udało ci się, Georgio – odpowiada. – To idealne połączenie formy i koloru. To. To jest nowa Sztuka Amerykańska.

VII

Pewnego grudniowego wieczoru, gdy już jesteśmy w Nowym Jorku, przychodzi do nas Mitchell Kennerley, właściciel Anderson Galleries. Stieglitz pokazuje mu z tuzin fotografii, które zrobił nad jeziorem. Większość przedstawia mnie.

– To nie powinno leżeć w szufladzie – stwierdza Kennerley. – Uważam, że czas na retrospektywę twoich prac.

– Nie – mówi Stieglitz szybko i patrzy na mnie.

– Kiedy miałeś ostatnio wystawę?

– Ponad dziesięć lat temu.

Kennerley kiwa głową, potem patrzy na krople deszczu na jabłku i kilka zdjęć mojego ciała i twarzy.

– One są naprawdę elektryzujące – upiera się. – Czas najwyższy, by Nowy Jork je zobaczył.

Po wyjściu marszanda Stieglitz odchrząkuje i mówi, że nigdy by tego nie zrobił, nigdy, przenigdy nie wystawiłby fotografii, na których jestem, bez mojej zgody.

– Ale masz moją pełną zgodę. To przecież twoja sztuka.

– Ty w ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię.

– Robiłeś przecież wystawy w naszym mieszkaniu. Byłam tuż obok.

– To zupełnie co innego.

– Może inni ludzie będą patrzeć na zdjęcia, ale poza tym nie widzę różnicy.

Patrzy na mnie, milczy, namyśla się.

– To by była też dobra okazja dla ciebie.

Siedzę na dużym krześle na końcu stołu, nogi mam podkulone. Na podłodze pode mną równo ustawione buty.

– Kennerley nie wspominał, że chciałby wystawiać moje prace.

– Ale to ty wywołasz sensację.

– Moje ciało. Nie moja sztuka.

– Nie. Nie to mam na myśli. To może pomóc tak samo twojej sztuce, jak mojej – upiera się. – Jeśli zdecydujemy się na tę wystawę, twoja sztuka wywoła sensację, zanim nawet ktokolwiek ją zobaczy.

Wstaję i podchodzę do zdjęć leżących na stole. Jej lśniące, srebrne kształty. Wydają mi się takie żywe, wręcz ożywione – dzięki temu ich porażającemu erotycznemu pięknu, dzięki zupełnemu brakowi szacunku.

Podnoszę z blatu jedno ze zdjęć, przyglądam mu się uważniej. Biało-czarne, żelatynowo-srebrowe, tonowane, doskonałe. Jej włosy ściągnięte mocno do tyłu, na ramionach ma zarzucony płaszcz, ledwie widać jej szyję, w patrzących prosto w obiektyw oczach spokojny, niemal bezczelny bunt. Byt absolutny. Bez przeszłości. Bez przyszłości. Kobieta należąca tylko do siebie. Sama.

Przypomina mi się, co tamtego wieczora w naszym małym mieszkanku powiedział Edward Steichen, gdy po raz pierwszy zobaczył te fotografie i moje oleje. *Czegoś takiego nigdzie jeszcze nie widziałem*.

– Zrób to – mówię więc.

– Nie ma drugiej takiej kobiety jak ty – odpowiada, jego głos cichy, jego oczy tak dziwnie wpatrują się w moją twarz.

– Mieliśmy już te nasze małe wystawy w mieszkaniu – mówię. – A Kennerley ma rację. Reszta Nowego Jorku też powinna zobaczyć twoją sztukę. To zwiększy zainteresowanie galerią. Może przyciągnie nabywców.

Ujmuje moją twarz, jego dłonie ciepłe i mocne, przyciąga mnie do siebie.

Kiedy jego rodzina dowiaduje się o naszych zamiarach, zasypuje nas gradem obiekcji.

– Ależ, Alfredzie! Nie możesz jej tego zrobić! Pomyśl o Georgii!

Siedzę cicho, póki w końcu nie prosi mnie o wyrażenie swojej opinii.

– Przedyskutowaliśmy to i zgodziłam się – mówię.

Stieglitz analizuje w kółko, które fotografie wybrać, żeby reprezentowały jego rozwój przez ostatnie trzydzieści lat, i dociera do mnie, jak bardzo się tym stresuje. Od dziesięciu lat skupiał się głównie na budowaniu kariery innych artystów, a swoją zupełnie zaniedbał. Teraz zaczyna chyba w ogóle kwestionować wartość swoich prac.

Istnieje między nami niepisana umowa, by w ogóle nie omawiać tej porażającej intymności odbitek, które chce pokazać. Na niektórych jestem ubrana, na wielu nie. Te, na których są moje pośladki, leżą już na jego stercie „do powieszenia". Wyciągam je z niej i odkładam razem z innymi, które wrócą do szuflady.

To zdjęcie moich rąk? Nie mogę sobie zupełnie przypomnieć, kiedy je zrobił. Poznaję ten guzik od płaszcza, to musiało być

w pierwszym roku mojego pobytu w Nowym Jorku. Ale nosiłam ten płaszcz prawie zawsze. Opada mnie nagły strach, że nie wiem, którego dnia dokładnie zrobił mi to zdjęcie. W tych dłoniach jest coś niepokojącego – to, w jaki sposób palce jednej rozczapierzają się jak szpony, niemal szarpią tę drugą dłoń. Wybrał je do powieszenia. Nie ruszam go. W katalogu będzie to po prostu *Kobieta*, nie będzie mojego nazwiska. Na aktach nie widać mojej twarzy. Na wystawie nie będzie żadnej fotografii, na której pojawiłyby się razem nagie ciało i twarz.

Bez końca wałkuje tekst do katalogu. Czyta mi go na głos, gdy robimy śniadanie. Potem jeszcze raz przed snem. *Urodziłem się w Hoboken. Jestem Amerykaninem. Moją pasją jest fotografia. Moją obsesją jest poszukiwanie Prawdy*. Nocą przemykam się do jego sypialni, żeby zachować twarz przed Lee, Lizzie i jej matką.

– To śmieszne – szepczę, chichocząc. – Przecież na pewno wiedzą!

– Tak, ale nie chcą wiedzieć, że wiedzą.

– Utrzymywanie pozorów wymaga tyle zachodu, Alfredzie. Musisz sprzedać jakieś dwadzieścia zdjęć z tej wystawy i wtedy będzie nas stać na własny kąt.

Leżę przy nim, jego dłonie ledwie mnie dotykają, wcale mnie nie przytula. Czuję jego niepokój, drżenie jego palców na mojej skórze. Zawsze jestem zaskoczona, gdy widzę taką jego chwilę słabości.

– Dlaczego tak się boisz, kochany? – pytam.

Kręci głową.

– Po prostu chcę, żeby wszystko się udało.

Wybory wygrywa Warren Harding, czarny koń republikanów. Wydawca prasowy Cox i jego partner na liście, Franklin Roosevelt, który mieszka naprzeciwko, przy Sześćdziesiątej Piątej 47, ponoszą druzgocącą porażkę. Stieglitz twierdzi, że zwycięstwo Hardinga to dowód na to, że ten kraj boi się wszystkiego, co choćby pachnie postępem.

– Cztery kroki do przodu przed wojną, a teraz dwanaście do tyłu – grzmi.

Wszędzie wokół niepokój: straszliwe konflikty rasowe w Chicago, strajki rzeźników i masarzy, ataki terrorystyczne na Wall Street.

– Czy oni nie widzą, że sami to na siebie ściągają? – pomstuje Stieglitz. – Nic, tylko nakręcają strach przed każdą nowością, kurczowo się trzymają tego, co niby bezpieczne, i utwierdzają wszystkich w przekonaniu, że nadchodzi koniec świata.

Pisze do mnie moja siostra Claudia. Wyprowadza się z Teksasu, zamierza przyjechać do Nowego Jorku. Tak się cieszę, moja kochana najmłodsza siostrzyczka. Chce studiować na Columbia Teachers College. Będzie mieszkać u naszej siostry Idy, albo może u Anity, która wyszła za bogatego finansistę. *Tylko pomyśl o tych wszystkich żyrandolach i niezliczonych sypialniach* – pisze. To jak być znów w domu – to jej znajome pismo, pewny siebie dowcip, który tak mi odpowiada.

Odpisuję natychmiast: *Wspaniałe wieści, sama ta myśl, że będziesz tak blisko! I oczywiście musisz studiować. Latem koniecznie przyjedź do nas nad jezioro. Jeśli chodzi o pieniądze na studia, mogę pomóc.*

Pojęcia nie mam, skąd miałabym wytrzasnąć te pieniądze, ale coś wymyślę.

Pomagam Stieglitzowi rozwiesić fotografie na czerwonych aksamitnych ścianach Anderson Galleries. To nie ja, mówię sobie, gdy patrzę na tę kobietę wiszącą wśród innych rzeczy – wizji starego Nowego Jorku, promów, wozów z końmi, samolotów i ulic – tak charakterystycznych dla wcześniejszych etapów jego kariery, zanim jeszcze stał się sławniejszy jako marszand cudzych prac. Ze stu czterdziestu pięciu odbitek, które wieszamy w galerii, czterdzieści sześć przedstawia mnie. Na aktach nie ma mojej twarzy.

Wystawę ogląda trzy tysiące osób. Gdy pojawiają się recenzje, jego uczniowie podkreślają dokładnie to, co on sam by uwypuklił – surowość wizji, jej rewolucyjny aspekt i oczywiście kwestię Portretu.

Ale inni recenzenci nie. Jeden z krytyków pisze, że fotografia Stieglitza jest „w istocie arystokratyczna i droga. Fotograf najwyraźniej spędza najpierw dużo czasu, kochając się z obiektem swoich zdjęć".

Innym udaje się zrobić dwie rzeczy naraz – z jednej strony chwalą Stieglitza za to, że uchwycił całość kobiety w jej fragmentach, a z drugiej, opisują moje ciało zgoła wulgarnie: „pępek, wzgórek Wenery, pachy, kości pod skórą szyi (...) życie porów, włosów wzdłuż kości piszczelowych, tętniące pulsem żyły, wilgoć na górnej wardze (...) świetliste, niezgłębione oczy, gest niewinnego, namiętnego poddania".

To skandal ich przyciąga. Sztuka ich nie interesuje. Jestem jego kochanką. Nie piszą o ciele nieznajomej, ale o moim. Mój umysł

zapada się w czarną otchłań. Jak to się stało, że tego nie przewidziałam? Powinnam się była domyślić. Co ja zrobiłam?

Większość dnia leżę w łóżku. Mały kawałek nieba za oknem wydaje się jakoś absurdalnie pogodny. Zaciągam zasłony. Taką mnie zastaje wieczorem.

– Pójdziemy na kolację? – pyta.

– Nie dzisiaj.

– Źle się czujesz. – Kładzie się przy mnie na łóżku. – Co się stało?

Chcę przywrzeć do niego, schować się w tym lekko wygiętym miejscu na jego szyi tuż pod kocem, zniknąć.

– Zostawiłem cię samą na zbyt wiele dni? – dopytuje.

Ale przecież na pewno wie. Nie potrafię mu nawet spojrzeć w twarz. Patrzę na wąską czarną szparę między bladą pościelą a jego skórą.

– Nie mogę tego znieść. Tego, jak o mnie piszą. To takie poniżające. To nie ma nic wspólnego ze sztuką – mówię do tej ciemnej szpary.

Głaszcze mnie po głowie.

– Najukochańsza. Żeby ludzie coś kupowali, muszą najpierw o tym mówić i pisać. Mówią o kobiecie na zdjęciach, to prawda, ale przez to chcą wiedzieć więcej o tej tajemniczej młodej artystce, której prac jeszcze nawet nie widzieli. Daliby wszystko, żeby je zobaczyć. Gdy w końcu je pokażemy światu, będą się pchali drzwiami i oknami.

– Oni piszą o naszym romansie, a nie o sztuce.

– Nie możesz się przejmować tym, co ludzie piszą – mówi zdecydowanym tonem.

– Ale ty się przejmujesz... I to bardziej niż wszyscy.

– To tylko plotki. Nie mają znaczenia.

Nigdy nie zapomnę tej chwili. Tej szpary przy jego szyi. Leżymy tak, a ja cały czas nie mogę oderwać od niej wzroku. Taka wąska, a jednak na pewno udałoby mi się przez nią uciec.

Na koniec wystawy ogłasza cenę jednej z odbitek. Pięć tysięcy dolarów. To akt.

– Spora suma – mamroczę przy herbacie.

– To jedyna taka odbitka – odpowiada. – Płyta została zniszczona. Nigdy nie będzie już drugiego takiego zdjęcia.

Odstawiam filiżankę. Odrobina brązowoszarej cieczy wylała się na spodek, zostawiając na nim błotnistą plamę.

– Czasami mam wrażenie, że cieszy cię to całe zainteresowanie – mówię cicho.

– Wolałabyś, żebym poniósł porażkę?

Podnoszę wzrok. Jego oczy są zimne. Taki dziwny chłód. Odwracam spojrzenie.

– Nie.

– Kochana – szepcze, sięgając ręką przez stół w moją stronę. – Zaufaj mi. To ci tylko pomoże. Nawet McBride, którego nigdy do niczego nie przekonam, już wie o twoich pracach.

– Przecież nawet ich nie widział.

– To nie ma znaczenia. Kiedy je pokażemy, już będzie na nie czekał. Wszyscy czekają.

W kwietniu Pensylwańska Akademia Sztuk Pięknych zaprasza Stieglitza do zrobienia wystawy. Zgadza się pod warunkiem, że powieszą także trzy moje obrazy. Jedzie z tym wszystkim

pociągiem do Filadelfii. Gdy go nie ma, przygotowuję płótna – jedno po drugim, gruntuję bielą wenecką, warstwa po warstwie, aż są gładkie, lśniące tą grubą białością – świetlistą, opalizującą. Wyciągam farby, wyciskam kolory na szklaną paletę w idealnym porządku, każdy w nienagannej odległości od pozostałych. Siadam przed sztalugą. Biel płótna gapi się na mnie. Odkładam pędzel i wychodzę na spacer.

Rosenfeld zaprasza nas na koncert Orkiestry Symfonicznej Detroit, potem idziemy do restauracji na Pięćdziesiątej Dziewiątej. Gdy zajadają czekoladowe eklerki, Rosenfeld prześmiesznie – z typową dla niego intelektualną akrobacją – naigrawa się z nowej żony Paula Stranda, Beck.

– Jej ojciec był artystą wodewilowym – opowiada Pudge, wymachując widelcem, na którym wiszą krople lodów waniliowych. – Zasłynął jako dyrektor jakże znanego widowiska Wild West Show Buffalo Billa.

Z trudem powstrzymuję śmiech.

– Podobno była gwiazdą koszykówki.

– Ma nogi koszykarki, to pewne. Chodzą słuchy, że jej matka już od dawna próbowała ją wydać za mąż.

– Naprawdę?

– Tak, te dwie baby wciąż drą ze sobą koty, więc matka postanowiła pozbyć się jej z domu.

– Ale Strand zakochany – zauważam.

– Bo i jest piękna – przyznaje Rosenfeld. – I wyraźnie szuka czegoś wyższych lotów niż praca sekretarki.

– Czyli to tym się zajmuje?

– I obawiam się, że to praca idealnie pasująca do jej umiejętności.

Stieglitz kręci głową, odkrawając sobie kolejny spory kawałek ciasta.

– Strand pokazał jej twoje prace, Georgio.

– A właśnie! – cieszy się Rosenfeld. – Przyprowadził ją kiedyś, prawda? Tak się zachwyciła tą całą O'Keeffe, że postanowiła zakasać rękawy i malować akwarele. – Kręci głową i patrzy na Stieglitza, który ma na policzku smugę czekolady. – Masz tu coś jakby barwę wojenną – zwraca mu uwagę. – O tutaj. Już. Prawie nie ma śladu.

– A więc zajęła się sztuką? I jaka ona jest, Pudge? – dopytuję.

– Dość urocza, choć taka nieco dziewczyna gangstera.

– Pytam o jej sztukę.

– Ma może z krztynę talentu. Może właściwie pół krztyny.

Rozdzielam grejpfruta na trójkąty.

– Strand robi jej nieustannie zdjęcia, serię portretów. Żałosna imitacja o wiele większego dzieła. – Patrzy na mnie znacząco.

– Na Boga, powiedz jej przynajmniej, żeby nie pozwoliła Strandowi pokazać ich w żadnej galerii, bo się wystawi na publiczne pośmiewisko.

Stieglitz piorunuje mnie wzrokiem.

– To nie wszystko – ciągnie bez zająknięcia Rosenfeld. – Beck naśladuje naszą wspaniałą Georgię także w inny sposób: tak samo się czesze i też nie nosi makijażu.

– Podobno za to nosi spodnie!

– I nie zapominajcie o tym, że pali papierosy – dodaje Pudge.

Kręcę głową.

– Kobieta nigdy niczego nie osiągnie, przebierając się za mężczyznę.

VIII

Zaczynam po cichu wymigiwać się od pozowania do fotografii. Delikatnie go zniechęcam.

– Muszę popracować – mówię. – Wiesz przecież.

On jednak nie może usiedzieć w miejscu. Ten niepokój zaczął się w chwili, gdy zdjęliśmy w końcu ze ścian galerii jego zdjęcia i wróciliśmy do codzienności. Zaczyna planować moją pierwszą dużą wystawę – za rok. Wciąż chce trzymać moje prace w tajemnicy. Nowy Jork zobaczy wreszcie moje obrazy, ale na razie wiedzą o tym tylko nasi najbliżsi znajomi.

Pod koniec czerwca nad jeziorem już jest tłok: jego matka, niedomagająca, poowijana w szale; Selma wraz z ich jeszcze inną siostrą Agnes, jej mężem i szesnastoletnią córką, która też ma na imię Georgia. Mówimy na nią Mniejsza Georgia albo po prostu Dzieciak. Stieglitz robi jej zdjęcia przy tylnych drzwiach domu, potem w oknie, kiedy naga przyciska jabłka do piersi jako młoda Ewa. Ale przychodzi jej matka i każe bratu znaleźć jakiś bardziej odpowiedni temat do opracowania.

Stieglitz strasznie się na to wścieka.

– Mam po dziurki w nosie tych konwenansów. Nie znoszę takich ograniczeń.

Mówię mu, że chcę, żeby odwiedziła nas moja siostra Claudia. Dopiero co przyjechała w końcu do Nowego Jorku.

– Wiem, że teraz, gdy twoja matka jest chora, może to być trudne...

– Ależ skąd! – przerywa mi i nagle się rozpromienia. – Nie ma się w ogóle nad czym zastanawiać. Zaproś ją. I Idę też. Niech obie przyjadą. Tak. Więcej panien O'Keeffe. Oto czego nam trzeba. Zresztą sam do nich napiszę. Seligmann przyjeżdża za tydzień. Niech też wtedy przyjadą.

– Nie – protestuję. – Tylko nie Seligmann.

– Przywiezie redakcję Hartleya.

– Te eseje?

– Tak.

– To zaprośmy moje siostry na ten weekend, zanim przyjedzie.

Nie przepadam za Seligmannem. Pisze do „The New Republic" i „The Nation". Moim zdaniem to nudny pochlebca. Za wszelką cenę próbuje się wkraść w moje łaski. Ale teraz redaguje nowy zbiór esejów Marsdena Hartleya, w którym jest też rozdział o malarkach, o mnie także. Jestem naprawdę ciekawa, co tam napisał.

Claudia i Ida przyjeżdżają z Nowego Jorku pociągiem i dosłownie wpadają do nas do domu niczym powiew świeżego wiatru. Przytulam mocno moją najmłodszą siostrzyczkę, potem odsuwam ją od siebie, żeby się jej przyjrzeć.

– Ależ ty urosłaś, Claudio! Ida, spójrz na nią! Nasza malutka. A tu nagle ma już dwadzieścia jeden lat.

– Ty to masz szczęście! – zachwyca się Claudia. – Jak tu pięknie! I jezioro! I ten widok!

Wchodzi Stieglitz, żeby się z nimi przywitać.

– Dzień dobry, dzień dobry – mówi z uśmiechem. – Witamy! To kochane z waszej strony, żeście tu do nas przyjechały. Co za mili goście. – Ściska dłoń Idy, potem bierze Claudię pod ramię, jest czarujący.

Patrzę, jak moja siostra popatruje na niego niepewnie. W końcu to *ten* mężczyzna, ten, któremu za grosz nie ufała. Ale już rzucił na nią urok.

– To co robimy najpierw? – pyta Claudia podczas podwieczorku. – Mamy tylko kilka dni, a chcę wszystko zrobić co najmniej dziesięć razy. Rano idziemy na spacer? Przywiozłyśmy odpowiednie buciska, prawda, Ida? – Ida kiwa głową, a Claudia zwraca się do Stieglitza: – Pójdziesz z nami, Alfredzie? Będziesz naszym przewodnikiem. I nie uznaję żadnych wymówek.

– Muszę się jeszcze nad tym zastanowić – mówi. – Rano powinienem załatwić parę spraw.

– Może możesz je załatwić po południu – wtrąca się Ida, otrzepując okruszki z bluzki.

– Oczywiście, że tak! – cieszy się Claudia. – Czyli ustalone! Alfred idzie z nami. Tylko którą górę wybieramy? Tę tu czy tamtą dalej? Z tamtego miejsca na pewno widać niesamowite zachody słońca.

Cały weekend chodzimy na spacery, śmiejemy się i pływamy w jeziorze.

– Jest uroczy – mówi Ida. – Za każdym razem, gdy się spotykamy, przypominam sobie, jak szalenie jest uroczy.

– Nie był taki, póki nie przyjechałyście.

– Nie? Dlaczego?

– Z różnych powodów. Jego córka wychodzi za mąż. Podobno nie zamierza go zaprosić. A do tego wystawa już się skończyła. Dla niego wszystko stało się znów nudne i zwykłe.

– Ale tobie ulżyło.

– Ulżyło, bo wiem, że już nigdy do czegoś takiego nie dopuszczę.

Ida wybucha śmiechem.

– Poza tym od jakiegoś tygodnia wciąż narzeka, jacy to jesteśmy biedni.

– Trudno to raczej nazwać biedą. – Słyszę w jej głosie ten nagle poważniejszy ton.

– Jego rodzina może i jest zamożna, ale my na pewno nie.

Nie odpowiada, ale wiem, co sobie myśli. Moglibyśmy przecież znaleźć jakąś porządną pracę. Zabrać się do roboty jak normalni ludzie.

Claudia wypływa prawie na środek jeziora. Jej kostium jest o rozmiar za duży i zwisa jej na biodrach. Słońce praży, powietrze zamarło.

Wypytuję Idę, co słychać u naszego młodszego brata Alexiusa, który mieszka w Chicago, i u siostry Catherine, która mieszka w Madison i właśnie się zaręczyła.

– Nie możecie zostać trochę dłużej? – proszę.

Nie odpowiada. Patrzę na nią. Zrobiła całkiem niezły szkic brzegu i drzew, do tego sylwetka czapli błękitnej. Cieniuje jej skrzydło, ciemniejszymi kreskami zaznacza pióra.

– Słuchasz mnie w ogóle? – pytam.

– Nie – odpowiada nieprzytomnym głosem, nawet nie odrywając wzroku od papieru, jej okrągła twarz skupiona na drapiącym w tę

i we w tę ołówku. – Muszę być z powrotem już w poniedziałek.

– Dużo od ciebie wymagają.

– Uwielbiam pracę pielęgniarki. Nie wyobrażam sobie żadnej innej.

– A teraz i Claudia będzie pielęgniarką.

– Wygląda na to, że wszystkie panny O'Keeffe się tym parają. To jest z wyjątkiem ciebie oczywiście.

– Kto wie, może i ja bym lubiła taką pracę – mówię. – Z jasną strukturą i planem, którego nie muszę sobie sama obmyślać.

Ołówek nagle zamiera. Ida podnosi na mnie wzrok. Słońce razi ją w oczy, osłania je dłonią.

– Nie ty. Ty nigdy taka nie byłaś. I dobrze o tym wiesz.

Wyjeżdżają i tego samego wieczoru przyjeżdża Herbert Seligmann. Następnego dnia rano po śniadaniu pytam go, czy mogę zobaczyć fragment tekstu Hartleya, który mnie dotyczy.

– To niesamowity esej.

– Tak, Stieglitz wspominał, że Hartley oparł go na obrazach, które widział w naszym mieszkaniu.

– To coś więcej. On rozumie twoją wizję jako artystki abstrakcyjnej i to właśnie udało mu się uchwycić.

Podaje mi stertę kartek. Zabieram je ze sobą na pomost, siadam z ołówkiem, stopy zanurzam w zimnym jeziorze. Kartkuję eseje, aż docieram do swojego nazwiska. Hartley pisze o życiu w moich pracach, o moim miejscu w sztuce modernistycznej. Porównuje moje obrazy do prac Mary Cassatt i Berthe Morisot, ale jest też ten fragment:

Georgia O'Keeffe nieraz sparzyła sobie stopy, krocząc po lawie najgorszych doświadczeń życiowych; przeszła przez ogień, słuchając syczących oparów, które wprost kłębiły się wokół jej osoby. Prace O'Keeffe (znana jest głównie z samego nazwiska) to najżywsze i najbezwstydniejsze prywatne dokumenty, jakie w ogóle istnieją. [...] Przez bezwstydność rozumiem tu bezwarunkową nagość jej artystycznej wypowiedzi.

Podnoszę wzrok. Światło odbija się od wody. Pomyłka. To jakaś pomyłka.

Przechodzi mi przez myśl, że to jedyny egzemplarz. Wystarczy go zgubić.

Stieglitz siedzi na werandzie, pisze listy, za kołnierzem koszuli wciąż ma serwetkę, którą zapomniał zdjąć po śniadaniu. Czarna teczka z moimi pracami jak zawsze leży tuż obok niego.

Pokazuję mu ten fragment, zaznaczyłam go ołówkiem.

– To nieporozumienie – mówię. – Chcę, żeby to zostało zmienione.

– Popisałaś po tym?!

– Zmażę to.

– Podaj mi gumkę.

– Nie mam przy sobie.

– To znajdź ją. To nie jest nasza własność. Nie masz prawa po tym pisać.

– Alfredzie, przeczytaj to.

Wiem, że próbuje odwrócić moją uwagę, że nie rozumie. Dopiero wtedy na mnie spogląda sponad swoich stalowych oprawek

i chyba coś w mojej twarzy zniechęca go do dalszej dyskusji. Jego wzrok opada wreszcie na stronę, czyta. Marszczy brwi.

– Chciałabym, żeby to zostało zmienione.

– Co takiego?

– Te linijki tu, te słowa, o tu, widzisz? To o fotografiach, ale artykuł jest teoretycznie o moich obrazach. „Najbezwstydniejsze prywatne dokumenty”... to o fotografiach. Te słowa nie pasują zupełnie do artykułu o moich obrazach. Rozumiesz?

– Tak.

– Poproś go, żeby skreślił te kilka słów.

– Ale to przecież najważniejsza część eseju – broni go.

– Wcale nie. Najważniejsza jest ta, gdy naprawdę mówi o moich obrazach, o tym, jak posługuję się kolorem, co robię z abstrakcją.

– To doskonała ekspozycja – upiera się. – Dobrze zrobi...

– Nie takiej ekspozycji chcę.

Wzdycha.

– Georgio, przecież już o tym rozmawialiśmy.

– Nie. On pisze o *mojej* sztuce. My rozmawialiśmy o *twoich* zdjęciach. O tym nigdy nie rozmawialiśmy.

– To mocny esej.

– To zostanie wydrukowane. „Kobieta wywrócona na lewą stronę i wpatrująca się w nas tymi szeroko otwartymi oczami”. To nie jest moja sztuka. To o fotografiach.

Patrzy na mnie, jakby coś było ze mną nie tak.

– To pochwała, Georgio – mówi. – Może nie ujął tego w takich akurat słowach, jakbyś sobie tego życzyła, ale to bezbrzeżny zachwyt. Ten esej jest kontrowersyjny, to prawda. Ale twoja sztuka także jest kontrowersyjna. I choć może tego jeszcze nie

widzisz, ten esej w istocie pokazuje wszystko, czym jest i czym może być twoja sztuka, tak odważna, wspaniała... – Patrzy na mnie tak czule, tak intensywnie, że znikają weranda, jezioro, dom, na całym świecie zostajemy tylko my dwoje. – Georgio, to jest zawsze niezwykle trudne dla artysty zobaczyć swoją pracę opisaną słowami, bo też czy słowa potrafią w ogóle uchwycić te godziny pracy, tę wizję... Żadne słowa temu nie podołają...

– Ale – przerywam mu – te akurat słowa nie są po prostu o mojej sztuce. Są o twoich fotografiach.

Odwraca wzrok i ciągnie:

– Będą pisać. Tacy i inni recenzenci będą opisywać O'Keeffe, ale w pewnej chwili zrozumiesz, że to, co ma znaczenie, to, co tak naprawdę się liczy, to tylko to uczucie, które było w tobie w tamtej chwili, to uczucie, które płonęło w tobie na tyle mocno, że poświęciłaś kilka dni lub tygodni życia, by je przelać w barwy i kształty. Bo najważniejsze, żebyś wciąż umiała się otworzyć na to właśnie... na ten moment inspiracji, szaleństwo, tę pasję, żebyś potrafiła podążać za tą głęboką potrzebą. Jesteś prawdziwą artystką. Twoje abstrakcje wyprzedzają nasze czasy. Kto jeszcze robi to co ty? Nikt. A ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, by świat to zobaczył. Jeśli więc jakiś artykuł w jakiejś książce pomoże nam osiągnąć ten cel, tym lepiej.

Wpatruję się w niego. W tym, co mówi, jest oczywiście ziarno prawdy i wiem o tym. Lecz jednocześnie to takie protekcjonalne, że mówi mi, kim jestem, jak się rozwinę, czego muszę się jeszcze nauczyć. A z drugiej strony wszystko to – moment inspiracji, szaleństwo, pasja – wszystko to jest dla mnie bardzo ważne i on o tym wie. To rzeczy, za które jestem gotowa zapłacić każdą cenę.

– Rosenfeld też zgodził się napisać coś o malarstwie amerykańskim do „Diala”. Wspomni także o tobie.

– Kiedy?

– Jesienią.

– O kim jeszcze zamierza napisać?

– O Marinie i Dovie. Muszą mi bardziej chwalić tego Dove’a.

– Dove zasługuje na pochwały.

– To właśnie mówię.

– Niezupełnie. Będą ilustracje?

– Z tego, co wiem, owszem.

– W takim razie chcę, żeby wydrukowano mój obraz tuż przy tym, co napisze o mnie Rosenfeld. W ten sposób cokolwiek tam wysmaruje, mój obraz powie prawdę.

Przygląda mi się dłuższą chwilę.

– Nie wiem, czy mogę dokonać czegoś takiego, Georgio.

Uśmiecham się do niego.

– O, z pewnością potrafisz.

Wychodzi drukiem książka Hartleya. Ignoruję ją. Ale czekam z niecierpliwością na artykuł Rosenfelda, który wreszcie w grudniu pojawia się w „Dialu”. Jest tam kilka pięknych fragmentów, na przykład, kiedy pisze, że w moich pracach buduję „nowy rodzaj języka” przez „nieukształtowaną, elektryczną naturę rzeczy”. Ale są też straszne słowa, zwroty takie jak „cudownie kobieca”, „ekstaza bólu”. Zamiast skupić się na kolorach w moich obrazach, wypisuje coś o ciele i apetycie. Wzdrygam się, ale czytam dalej. Docieram do końca strony, przewracam ją i wtedy dopiero widzę.

Wydrukowane zdjęcie mojej abstrakcji. *Czarne miejsce.*

To jeden z tych obrazów, które namalowałam, nawet nie wiedząc, skąd się wziął pomysł ani co chcę przekazać. Ale po prostu czułam ten dreszcz, gdy pracowałam nad tymi kształtami, widziałam je w swoim umyśle z zupełną jasnością. Granatowy pas wyrastający z jednego rogu, czarny, wznoszący się cień. Dosłownie we mnie płonęły – te skontrastowane kształty – tyle wymiarów, tyle poziomów uczuć.

Wpatruję się w wydruk przez dłuższy czas i nagle uderza mnie ta myśl. Że mogę zarabiać na chleb malowaniem.

IX

Beck Strand poznaję dopiero w sierpniu następnego roku. Stieglitz zaprasza Strandów nad jezioro, proponuje, żeby przyjechali jesienią, ale Paul pisze, że jest zbyt zajęty na taką wycieczkę. Beck pyta, czy może mogłaby przyjechać sama.

– Napisz jej, żeby przyjechała teraz – mówię.

– Mamy tu już i tak za dużo ludzi.

– Może się zatrzymać w gospodzie. Tak może będzie lepiej – dodaję. – W ten sposób będę miała czas zobaczyć, czy w ogóle ją lubię, zanim mi się tu wpakuje do domu.

Następnego dnia po jej przyjeździe proponujemy Beck wspólne pływanie w jeziorze, przejażdżkę łódką wokół wyspy, a potem zapraszamy do domu na podwieczorek. Jest trzpiotowata, okropnie energiczna, wciąż rozgląda się wokół, wzdycha i zachwyca dosłownie wszystkim. Zupełnie jakby była w nas lekko zakochana. Opowiada mi, jak to na początku tego lata byli z wizytą u Rosenfelda i w jego domu byłam dosłownie cały czas z nią.

– W jakimś sensie?

– Twoje obrazy. Zwierzył mi się, że na wiosnę Alfred pozwolił mu w końcu kupić kilka twoich obrazów. Chyba uznał, że Rosenfeld sobie na to zasłużył. – Niepewny uśmiech. – Rosenfeld ma w domu jeden pokój tylko dla ciebie. Twoje jabłka, twoja

niebieska góra, twój paciorecznik. Tacy byliśmy szczęśliwi podczas tej krótkiej wycieczki, ja i mój Paul. Wiesz, on jest tym moim jedynym, a tam było tak idealnie – paple.

Odrywam kawałeczek ciasteczka i odkrawam odrobinę masła. Właściwie jest piękna – blada, długonoga, zmysłowa. Mówi o mnie „moja Georginka". „Moja O'Keeffski". Jest tu ledwie jeden dzień, ale już jej się ubzdurało, że jesteśmy bliskimi przyjaciółkami. Komplementuje moje espadryle.

– Kupiłam je, gdy wybrałyśmy się z siostrą na zakupy w Nowym Jorku.

– Bardzo szykowne.

– Dobre do chodzenia.

Paul wysyła jej papier i płótna.

– Ani chybi będzie z tego obraza – wzdycha Beck.

– Znaczy obraz, tak?

Kiwa głową bez przekonania.

– Wygląda na to, że mam wszystko poza pomysłami. – Nagle się rozpromienia. – Słuchaj! Potrzebuję apaszki do mojej koszuli marynarskiej. Myślisz, że Alfred mógłby mi jakąś pożyczyć?

Tej nocy w łóżku mówię mu, że powinniśmy zapraszać ją częściej, także na pływanie.

– Powinieneś jej porobić trochę zdjęć – dodaję.

Cisza. Po chwili upewnia się:

– Nie masz nic przeciwko temu?

– Mam tyle pracy... A ona będzie łatwiejszą modelką.

Beck wraca więc już następnego dnia po południu. Jest połowa września, ale jeszcze ciepło. Wchodzimy obie nago do wody.

– Lodowata! – wrzeszczy Beck, wskakując głębiej. – Chodź, O'Keeffski!

Woda jest czysta, zimna, czuję, jak we mnie wpływa, jak mnie otacza, gdy unoszę się na plecach przy końcu pomostu, moje włosy rozsypane na powierzchni. Beck jest tuż obok, też się unosi, jej dłoń dotyka mojej. Mam zamknięte oczy i nagle czuję, że na moją twarz pada cień. Otwieram je. Stoi na pomoście, zasłaniając mi słońce. Przytargał aparat. Raptem mam tę pewność, że nie chcę tu być ani chwili dłużej.

Beck zauważyła go i chichocze. Jego wzrok przenosi się na nią. Wychodzę z wody, wycieram się ręcznikiem.

– Idziesz na górę? – pyta Stieglitz, oglądając się na mnie.

– Mam dużo pracy. – Uśmiecham się.

Ten uśmiech to przyzwolenie.

Ciągnie się to całymi dniami – te ich wspólne harce. Fotografuje ją na skraju lasu albo w jeziorze.

– I zawsze na golasa – opowiada mi radośnie Beck, gdy spotykamy się razem po południu. – Zrobił mi dziś chyba kwintylion zdjęć.

Bogu dzięki, przynajmniej się czymś zajął, myślę. Zostawiam ich samym sobie i skupiam się na pracy. Maluję abstrakcję jeziora – zmysłowe fałdy wzgórz, odbicia, niebo. Dla rozrywki maluję też moją chatę – w ciemnych, stłumionych barwach – ot tak, żeby zakpić z mężczyzn, żeby im udowodnić, że nie, nie muszę zawsze pracować w ostrych czerwieniach, różach i błękitach. Mogę zrobić tak samo dobre ponuractwo jak oni.

Raz przez otwarte drzwi chaty słyszę nagle jej krzyk:

– Al-fred!

Ta udawana nieśmiałość, ten radosny chichot. Tuż obok mnie. Widocznie są na łące.

Wiem, że tego właśnie mu trzeba, żeby się wyrwał w końcu z tej psychicznej flauty – ktoś lub coś musi go rozerwać. Lepiej żeby to była ona niż ja. Ja mam zbyt dużo pracy.

Pokazuje mi kilka zdjęć, które jej zrobił.

– Urocze! – mówię, przeglądając je pobieżnie. I mówię to szczerze, bo naprawdę takie są.

– Jest dokładnie taka, jak mówiłaś – stwierdza.

– To znaczy jaka?

– Łatwa.

– Mówiłam, że będzie łatwą *modelką*.

– Odnoszę wrażenie, że to rozróżnienie ją przerasta.

Wśród zdjęć jest jedno – zupełnie olśniewające – głowa wycięta z kadru, widać tylko fragment jej szyi, a pół fotografii zajmują piersi. Leży na płyciźnie, tuż pod powierzchnią wody, jej mokre ciało lśniące w słońcu. Jedną ręką trzyma pierś, sterczący sutek. Wzdrygam się – zdjęcie jest doskonałe – to jej ciało, ta szczerość, to jego pożądanie. Patrząc na nie, niemal czuję, jak to wszystko się stało. Jak wszedł w wodę z podwiniętymi nogawkami, jak stanął nad nią, jak kazał jej się położyć w płytkiej wodzie, złapać pierś, jak ją szturchał najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, choć już dostawała gęsiej skórki od tej lodowatej wody, jak uniosła pierś w jego stronę, tę dojrzałą, idealną pierś, jak sunął po niej wzrokiem i aparatem.

– To ci się podoba – mówi i czuję go za sobą, od tyłu, czuję, jaki jest twardy. Unosi moją spódnicę i pragnę go. Wsuwa mi dłoń między nogi. Czuję, jak poruszają się jego palce, jak wsuwają się

we mnie. Moje ciało otwiera się przed nim warstwa po warstwie. – Chcesz tego – mówi, jego usta tuż przy moim uchu, gorący oddech. – Chcesz być z nią w tej wodze. Tylko pomyśl, co byśmy mogli z nią zrobić. Co chciałabyś z nią zrobić? – Na myśl o tym mimowolnie drżę, a on to wyczuwa. Śmieje się cicho ponurym śmiechem, w którym jest coś podniecającego. – Jesteś taka mokra – mówi. – Chciałbym zobaczyć cię tam z nią w tej zimnej wodzie. Podobałoby ci się. Na pewno chętnie zacisnęłabyś na tym usta.

Odpycham go, ale przyciąga mnie z powrotem, jego szept cichy, mroczny, bezcielesny w ciemni. Odpina mi bluzkę, wyciąga pierś i kładzie mi ją w dłoń dokładnie tak, jak jej na zdjęciu. Czuję jego zęby na skórze, czuję, jak lekko ssie, moje sutki twardnieją w jego ustach. Jego dłoń wciąż porusza się między moimi nogami. Zaciskam palce na krawędzi stołu za sobą.

– Nie wepchnij mnie w kwas – protestuję, śmiejąc się cicho.

Odrobina światła odbija się od jego okularów, gdy je zdejmuje.

– Ciiii – ucisza mnie. Przez drzwi słyszę zbliżający się śmiech dzieci, gaworzenie niemowlaka, głos Elizabeth. – Ciiii – powtarza, gdy nas mijają.

Głosy cichną, jego dłoń wciąż porusza się między moimi nogami, coraz szybciej, palce zakradają się coraz głębiej.

– Przez ciebie będę zaraz krzyczeć – ostrzegam go.

Nie przestaje.

– Będziesz musiała nauczyć się krzyczeć bezgłośnie.

Zatyka brzeg spódnicy za pasek w talii, potem przyklęka między moimi kolanami, obraca mnie, przyciska do zlewu. Kładę jedną stopę na taborecie, a on wciska twarz między moje nogi i czuję jego usta, twarde, ostre, wszystko we mnie się unosi,

napręża. Chwytam go za włosy, wciskam jego twarz głębiej w siebie, za mną na stole coś się przewraca z łomotem, ale ledwie to zauważam, nic mnie to nie obchodzi. W ciasnocie ciemni jego dłoń zaciska się na moich pośladkach, jego usta poruszają się wszędzie, jego palce poruszają się we mnie. A potem światło zamiast krzyku – piękne, przeszywające, zalewające moją czaszkę. Nie wydaję z siebie żadnego dźwięku, a kiedy otwieram oczy, w pomieszczeniu jest ciemniej, niż było, moje ciało bezwładne, wyssane, nic nie widzę.

Beck jest u nas codziennie – na obiad, na kolację. Pozuje, szyje, czyta, wyleguje się, pisze listy do Paula, wali w starą coronę, przepisując artykuły dla Stieglitza. Łata mu podkoszulek. Robi mi na drutach wielkie skarpety do spania.

– Będzie ci w nich ciepło w stopy – mówi.

To takie oczywiste, że niemal żałosne.

– I są na tyle grube, że może w końcu nie będę drapać Stieglitza po nocach.

Na to patrzy na mnie jakoś tak z ukosa.

– Naprawdę jeszcze ci nie pokazał tych zadrapań? – rzucam lekko, w moim głosie słychać jednak siłę.

Zabiera się do szycia koszuli nocnej, takiej zupełnie przezroczystej.

Tego samego popołudnia przynosi dalie, które znalazła na spacerze, wstawia je do wazonu i mi daje.

– Do namalowania – mówi nieśmiało.

Paul dojeżdża do nas pod koniec września. Cała rodzina Stieglitza już wróciła do Nowego Jorku i jesteśmy zupełnie sami.

– Teraz mamy tu mnóstwo miejsca – mówię Stieglitzowi. – Zaproś ich tu. Nie muszą już teraz spać w gospodzie. Mogą nocować u nas.

Paul bardzo się zmienił. To już nie jest ten chłopiec o łagodnej twarzy, który przyjechał po mnie do Teksasu. Wprawdzie od tamtego czasu widziałam go kilka razy, ale dopiero teraz to zauważyłam – jaki się zrobił ponury, dziwnie niespokojny w tej swojej tweedowej marynarce, z knitem na szyi i nieodłącznym papierosem w ustach. Paul i Alfred na zmianę fotografują Beck na huśtawce na werandzie, ale potem Stieglitz zaczyna mi gderać, że Strand zawsze chce robić zdjęcia rzeczom, które tak naprawdę należą do niego, Stieglitza. Fotografuje ponoć wszystko w zasięgu wzroku, na lewo i prawo, z przodu i z tyłu, jezioro, drzewa, nawet jakiś stary wózek.

– Za to pożyczył ci żonę – zwracam mu uwagę. – To chyba uczciwa wymiana.

Posyła mi to spojrzenie, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale nic nie mówi. Czuję jednak, jak aż się w nim gotuje. Zazdrości Strandowi jego młodości, energii, szalonego talentu. „Strand ma po prostu czysty dar – powiedział mi kilka miesięcy temu. – I nic mu go nie zakłóca. Mnie to zawsze wszystko utrudnia mój intelekt". Teraz, gdy w domu coraz bardziej rośnie napięcie, wracają do mnie tamte jego słowa.

Pewnego wieczoru po kolacji, gdy siedzimy we czwórkę przy kominku, Stieglitz mówi nagle:

– Georgio, a może byś nam przeczytała na głos swój tekst, ten, który napisałaś do „Manuscripts".

Patrzę na niego. Wiem od razu, co knuje.

Kręcę głową.

– Jeszcze nie jest gotowy.

– Ale już prawie. Jak dla nas wystarczy! – upiera się niewinnym tonem. – Przeczytaj nam, prosimy.

– O tak! – przyłącza się do tego Beck i aż klaszcze w dłonie.

Co za naiwność z jej strony, żeby zupełnie niczego nie podejrzewać.

Oglądam się na Paula. Kiwa głową z uśmiechem, też kompletnie ślepy, tak głupio ślepy. Po nim bym się więcej spodziewała. Przecież zna Stieglitza. Powinien wyczuć w jego tonie tę zdradziecką nutę.

– Z przyjemnością posłucham, co napisałaś – mówi Strand szczerze.

O, nie, to nie byłoby dla ciebie przyjemne, myślę sobie. Potem jednak przychodzi mi do głowy, że może to jest właściwie to, czego im trzeba. Może dobrze im zrobi, jak im utrę nosa. Bo Beck nie jest mną, choćby nie wiem jak się starała mnie udawać, pozować mu, wyobrażać sobie, że jesteśmy teraz najlepszymi przyjaciółkami. A Paul – tak, ma niesamowity talent, ale jego fotografie są co najmniej, i to delikatnie mówiąc, odtwórcze. I ta jego upiorna kopia seryjnego portretu, jaki zrobił mi Stieglitz.

Siedzą tak oboje i czekają. Ich oczy pełne uwielbienia dla *nas*. *My* to coś, w co uparli się uwierzyć. Nie wiadomo kiedy staliśmy się dla nich tym niedoścignionym wzorem pary, który koniecznie chcą naśladować.

– Dobrze więc – mówię i wychodzę z pokoju, żeby pójść po tekst.

Jest w nim tylko króciutka wzmianka o Strandzie. Wiem dobrze, że nie opisuję go w nim tak, jak sobie na to zasłużył.

Ledwie wcisnęłam może dwa zdania między pochwałę Stieglitza jako najważniejszej postaci współczesnej fotografii amerykańskiej a główny temat tego numeru – dorobek Charlesa Sheelera, którego Strand zresztą nie znosi.

Czuję, jak w miarę mojego czytania zmienia się atmosfera w pokoju. Nim docieram do końca, Paul jest cały czerwony na twarzy – z wściekłości i wstydu.

– No i? – pyta nieszczerze Stieglitz. – Co o tym myślicie?

Kpi z nich w żywe oczy. Strand w końcu się obudził i to widzi. Beck wciąż nie może się połapać, o co chodzi. Patrzy po nas niepewnie, jej umysł nie daje rady pojąć, co się właściwie dzieje.

– Odnoszę wrażenie, że ten paragraf nie pasuje stylem do pozostałych – odzywa się ostrożnie Strand, patrzy prosto na mnie.

– Doprawdy? – drąży Stieglitz. – Powiedz nam więc, jak twoim zdaniem należałoby go poprawić.

Strand zaczyna mówić, ale Stieglitz zbija każdy jego argument. Paul robi się jeszcze bardziej czerwony na twarzy. W końcu do Beck zaczyna docierać, co się stało, i wybucha dziecinną wściekłością, obrażona, że ktoś podważa geniusz jej męża.

– Jak mogłaś napisać coś tak lekceważącego? Tak niemiłego? Czyżbyś zrobiła to celowo? Jak śmiesz?

– Proszę cię, nie odzywaj się – warczy na nią Strand, bo też robi z siebie idiotkę.

– Nie będziesz mnie uciszał! – odpyskowuje mu.

Stieglitz uśmiecha się lekko, okrutnie. Patrzy na nich. Nie czuję żadnej litości. Wiem, że powinnam im współczuć, mieć wyrzuty sumienia, oburzać się na Stieglitza i te jego gierki. Ale nie to czuję. To oni oddali nam zbyt wiele. Oddali mu zbyt wiele władzy,

postawili nas na piedestale. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak na nim pozostać.

Potem jednak będzie mnie to męczyć. Brzydko postąpiliśmy tamtego wieczora. I Stieglitz, i ja. Zniszczyliśmy Paula, zniszczyliśmy jego zaufanie do nas, zniszczyliśmy to coś młodego i delikatnego, co łączyło Paula i Beck. Zagrałam tak, jak chciał Stieglitz, dopuściłam do tego, nic nie czułam. Ale jednocześnie cały czas wiedziałam, że źle robię. Mimo to łatwiej było tak ich ukarać, zamiast odważnie spojrzeć na to, czego nie chciałam widzieć.

X

Kilka tygodni później Stieglitz pisze do Stranda czuły list. Pokazuje mi go. *Wstyd mi za to, co się stało ostatniego wieczora, gdy tu byliście. Nie powinienem był się tak zachować* – napisał. Może i zajmie mu to parę miesięcy, ale przekabaci ich z powrotem na swoją stronę. Zawsze tak robi. Uczeń – albo, jak w wypadku Stranda, rywal – zostaje skarcony, Stieglitz pokazuje mu, gdzie jest jego miejsce, potem przywraca do łask.

Oświadcza, że razem z listem wyśle im w prezencie odbitkę Beck śpiącej na werandzie.

– Czy to aby właściwy podarunek w tej sytuacji?

Aż chichocze.

– To piękne zdjęcie.

– Wredny jesteś.

– Wolę, jak mówisz „szubrawiec".

– To też.

– Czy nie rozumiesz, że daję jej tylko elegancką broń na wypadek, gdyby znów tak był zajęty pracą, żeby mu się zdarzyło zapomnieć o swojej małej Beckalinie?

– Chodź tu do mnie – mówię, ciągnąc go za pasek u spodni.

Odkłada zdjęcie i list i posyła mi to spojrzenie – zupełnie oszalałe. Moje ciało reaguje natychmiast. Mam ledwie sekundę, żeby wystartować. Biegnie za mną, pędzimy przez dom. Dopadam

do schodów, ale już nie udaje mi się po nich wspiąć. Powala mnie na czerwony orientalny dywan i kocha się ze mną w korytarzu.

Potem nasze ciała są ciepłe i wilgotne, obok siebie na dywanie. Dotykam kropel na moim brzuchu, gdzie skończył – są gładkie, lśniące.

– Myślisz, że kiedyś będziemy mieli dość? – pytam.

– Nie wyobrażam sobie, dlaczego mielibyśmy mieć dość.

– Czasami myślę sobie, że każda kobieta powinna dostać szansę mieć ciebie za kochanka.

– Nie mów tak, chyba że naprawdę tego chcesz.

Przetaczam się i podpieram na ręce.

– Nachodzą mnie takie odważne myśli, ale potem zawsze jednak zmieniam zdanie.

Wyciągam rękę, by dotknąć jego policzka. Jaki kochany jest dla mnie, mimo że był taki niedobry. Chwyta moją dłoń. Poważnieje.

– Czy pożądasz jakiegoś innego mężczyzny, Georgio?

– Oczywiście, że nie.

– Wiesz chyba, że zawsze dam ci pełną wolność, jeśli tylko potem znów będziesz moja.

– Nie chcę takiej wolności – mówię.

– A czego chcesz, kochana?

– Chcę mieć dziecko.

– Tak. – Odwraca wzrok. – Już wkrótce.

– Kiedy będzie to wkrótce?

– Po twojej wystawie.

– Obiecujesz?

– To niezwykle poważna decyzja, Georgio. To nie takie proste, jak sobie wyobrażasz.

– Dlaczego nie?

– Kiedy malujesz, kiedy naprawdę pochłania cię twoja sztuka, jesteś cała w niej. Znikasz z tego świata, Georgio. Ukrywasz się nawet przede mną. Ja to rozumiem. Pragnę tego dla ciebie, bo wiem, że aby malować tak, jak tego pragniesz, musisz się temu poświęcić bez granic.

Kiwam głową.

– Przy dziecku to nie będzie możliwe.

– Nie wierzę.

– Masz teraz tak jasną wizję.

– Moja wizja nigdy się nie zmieni.

Przez jakiś czas jest cudownie. Bardzo dużo namalowałam w tym roku z myślą o styczniowej wystawie. Znoszę wszystkie obrazy na dół do salonu. Prawdziwa lawina abstrakcji olejem i akwarelami – krajobrazy jeziora, stawu wśród drzew. Wydaje mi się, że mają niesamowitą moc tamtej Gwiazdy Wieczornej, którą namalowałam akwarelami w Teksasie.

Czuję w nich siłę przekonywania – wspólny język, który łączy wszystkie moje obrazy.

Miałam kiedyś takiego nauczyciela – nazywał się Arthur Wesley Dow – który twierdził, że kompozycja nie polega na układaniu ładnych rzeczy, ale na wypełnianiu przestrzeni w znaczący sposób. I to właśnie robię – nie tylko w tym sensie, że zapełniam przestrzeń płótna, ale poprzez wybieranie, eliminowanie, podkreślanie. W abstrakcji formy są tak uproszczone, że stają się czymś więcej niż sobą – przestają być realistyczne, stają się prawdziwe. Nawet w moich liściach i kwiatach przedmiot sam w sobie zostaje przesunięty na dalszy

plan. Nigdy w pełni go nie odrzucam, ale jednak odzieram, tak by dotrzeć do jego kwintesencji, jego ukrytego, wewnętrznego życia.

Stieglitz też jest w szale twórczym. Fotografuje chmury. Światło jest nisko, wiatr zimny, a chmury szaleją nad jeziorem. Pojawiają się nagle nie wiadomo skąd – szybkie, masywne kształty gotowe wybuchnąć w każdej chwili.

– Tak trudno osiągnąć idealność rzeczy – narzeka. – Kiedy chmury są idealne, to akurat niebo nie takie, kiedy liście się nie ruszają, akurat chmury straciły kształt i nic z tego nie wychodzi.

Mimo to gdy w końcu pokazuje mi zdjęcia, zapiera mi dech w piersiach. Niski horyzont drzew albo wzgórz i potem to niebo nad nim, pędzące chmury, te ulotne, krótkotrwałe byty, które jakimś cudem udało mu się uchwycić.

Unosi włosy z mojego karku. Czuję jego ciepłe usta, jego zęby na mojej skórze.

– Nie zwracasz na mnie uwagi – mówi do mojego karku.

Uśmiecham się.

– Nie zawsze chodzi tylko o ciebie.

Nie mogę oderwać od nich wzroku – od tych jego chmur, od tego jego argumentu przeciwko naszemu zwykłemu, monotonnemu życiu. Pamiętam, jak patrzyłam wtedy na niego, jak zmagał się tam na wzgórzu z aparatem. I udało mu się – jak mu się to udało? Jak zdołał uchwycić coś tak przelotnego? – to zderzenie nieba, słońca i chmur i przelać to na papier w taki sposób, że chcę teraz po prostu wpaść w ten mistyczny blask świata, który mi pokazał.

Dzień po moich trzydziestych piątych urodzinach przychodzi wiadomość o jego matce – kolejny udar. Natychmiast jedziemy do Nowego Jorku, ale po zaledwie kilku dniach Hedwig już nie żyje.

W pociągu z powrotem nad jezioro Stieglitz milczy jak nie on. Pakujemy resztę rzeczy.

– Czas to paskudny złodziej – mamrocze i przypomina mi się, jak spojrzała kiedyś na niego tego lata i powiedziała nagle: „Gdybym tak znów miała dwadzieścia lat, mój synku. Gdybyś tak znów był moim maleństwem".

Przez te kilka ostatnich dni na Wzgórzu Stieglitz nie śpi dobrze. Widzę tę jego rozpacz. Jest jak demon wpijający się w niego głęboko okrutnymi pazurami. Gdy się budzę, łóżko jest puste. Podchodzę do okna. Już jest na zewnątrz. Otulony kocami siedzi na krześle, które wystawił na trawę. Miękka, biała głowa srebrzy się delikatnie w księżycowej poświacie. I wiem, że nic mu nie mogę dać, nic nie mogę powiedzieć, nie ma nic mądrego czy dobrego, co zaleczyłoby to, co teraz czuje.

W Nowy Rok 1923 kończy pięćdziesiąt dziewięć lat. Pisze list do Mitchella Kennerleya, żeby mu podziękować za to, że podarował nam miejsce w Anderson Galleries. Otwarcie mojej wystawy zaplanowane jest na koniec tego miesiąca.

Obrazy rozstawione wszędzie wokół. W galerii zamierzam pokazać sto prac – pastele, węgle, akwarele, oleje. Po raz pierwszy zaprezentuję moją sztukę w tak wyczerpujący sposób. Napisałam krótki esej, który ma stanowić „ogłoszenie" wystawy – przedstawić to, kim jestem, jak myślę, obalić bzdury, które wypisują o mnie Rosenfeld, Hartley i reszta. Nie jestem jakąś szaloną burzą piaskową kobiecości, która przywiała tu nagle ze Środkowego Zachodu. Jestem osobą wykształconą. Jestem artystką. Maluję, ponieważ kolor jest dla mnie ważnym językiem. Maluję, by wypełnić przestrzeń poprzez nadanie jej znaczenia.

W głowie mi się kręci. Biorę pióro i wykreślam ten fragment. To takie denerwujące, że muszę się w ogóle tłumaczyć. A zarazem wiem przecież, że właśnie mam szansę to zrobić.

XI

Dzień otwarcia wystawy. Wsiadamy do windy i jedziemy na ostatnie piętro Anderson Galleries. Biorę katalog i zostawiam Stieglitza z elegancko ubranym Kennerleyem, żeby omówili jeszcze jakieś sprawy. Idę przez sale. Sto moich obrazów na obitych czerwonym pluszem ścianach. Czuję, że coś się we mnie uspokaja.

Są abstrakcje węglem, które zrobiłam, zanim go spotkałam, są akwarelowe krajobrazy kanionu i nieba, moje obrazy muzyczne, moje oleje z Nowego Jorku. W sali jest dziwnie cicho. Stieglitz i Kennerley stoją daleko ode mnie, bliżej wejścia. Weszło już kilku ludzi Stieglitza, ich przyciszone głosy. Znów uderza mnie spójność moich prac. Obrazy w ramach nie są jakimiś osobnymi, niezależnymi bytami, ale częściami większej, wyjątkowej całości.

W ręce trzymam to „ogłoszenie" – nie „katalog", jak uparł się Stieglitz, bo katalog to słowo typowe dla ciężkostrawnego muzealnego elitaryzmu, którego tak nie znosi.

ALFRED STIEGLITZ

PREZENTUJE

STO OBRAZÓW.

OLEJE, AKWARELE,

PASTELE, RYSUNKI

Na liście podane są tylko numery i daty obrazów. Bez tytułów. Uderza we mnie siła tej fali – tego, co zrobiłam, na co pracowałam. W drugim końcu galerii słyszę głos Stieglitza. Czuję radosne drżenie. Może to właśnie próbował mi cały ten czas powiedzieć – że nie ma znaczenia, co kto napisał przedtem, bo dopiero teraz wszyscy zobaczą moje rzeczy i zrozumieją, jakie są naprawdę.

Spoglądam przez całą salę, odnajduję go. Już nie mówi, tylko patrzy na mnie i nigdzie indziej.

Codziennie do windy wpycha się pięćset osób, które chcą wjechać tu do nas na górę i zobaczyć wystawę. Pod koniec drugiego dnia robi mi się słabo, boli mnie głowa, zaczynam mieć dreszcze. Błagam go, żeby mi pozwolił zostać w domu, żebym nie musiała tam znowu iść. W końcu rozchorowuję się i wychodzi na moje.

– Grypa – stwierdza ponuro. – To z emocji.

Zostaję sama w mieszkaniu, pracuję, czytam i staram się nie myśleć o recenzjach, które zaczęły się już powoli pojawiać.

Pewnego popołudnia wraca z aż trzema, które wyszły tego dnia. Jest w ekstazie. Gdy tylko staje w drzwiach, czuję, jak coś w nim wrze z ekscytacji. Na widok gazet, które trzyma w dłoni, aż się kulę. To jego zaaferowanie jest zbyt intensywne, niemal agresywne.

– Georgio! Musisz to przeczytać! Czytaj, czytaj!

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli nie będę sobie mieszać w głowie recenzjami.

– Ale musisz! Przeczytam ci tę. – Otwiera od razu gazetę i zaczyna: – „Georgia O'Keeffe to coś, co prawdopodobnie będą nazywać...".

– Nie – przerywam mu.

Wyciągam dłoń, podaje mi gazetę, potem drugą. Patrzy na mnie triumfalnie. Palcem wskazuje mi początek akapitu, podążam za nim wzrokiem, odnajduję te słowa. Tak, wychwalają mnie. Wychwalają pod niebiosa. Tylko że wszyscy recenzenci piszą to samo co Hartley w tamtym eseju.

Te małe słowa, te same sformułowania – nagość, rozdarcie, zmysłowość, ponadczasowa kobiecość.

Robi mi się gorąco, czuję pieczenie na twarzy. Szufladkują mnie, ci mężczyźni mnie dosłownie pętają słowami. Zamykają mnie w klatce okropnych, frywolnych określeń. Każda ich uwaga na temat mojej sztuki odnosi się tak naprawdę do ciała tamtej kobiety na fotografiach.

Chcę, żeby to nie miało znaczenia. Tak bardzo chcę. Chcę, żeby to po mnie spłynęło. Chcę móc to otrzepać niczym kurz. Wciskam mu gazety w ręce.

Patrzy na mnie zdumiony.

– Jak możesz się nie cieszyć?

– Jak możesz myśleć, że coś takiego by mnie mogło ucieszyć?

– To wspaniałe recenzje twoich obrazów, Georgio – mówi. – Czego ty więcej chcesz?

Moje milczenie wyprowadza go z równowagi. Wali o stół słoikiem ze spinaczami, wstaje, wychodzi z pokoju. Siedzę nieruchomo i zastanawiam się, co ten słoik w ogóle robi na stole. Kto mógłby być tak nieprzytomny, żeby nie odstawić go na biurko,

gdzie jego miejsce? Siedzę tak i wpatruję się w te eleganckie pętelki stali, zupełnie pomieszane w słoiku. Ściska mi się coś w żołądku.

Wraca do pokoju.

– Co ja mam zrobić, żebyś była szczęśliwa, Georgio? – pyta już łagodniej.

– Porozmawiaj z nimi.

– Z kim?

– Dla ciebie zrobią wszystko.

– Krytycy mają własny rozum.

– Nie zawsze.

– I co takiego miałbym im powiedzieć?

Na blacie leży spinacz, teraz dopiero go zauważam. Widocznie wypadł ze słoika, gdy Stieglitz rąbnął nim o stół. Podnoszę go, rozprostowuję jedną pętlę.

– Powiedz im, żeby nie wypisywali głupot. Wszystko, co piszą, odnosi się do niej, do tej dziewczyny z twoich fotografii, jakby moje obrazy były jej obrazami. Przecież chyba to widzisz.

– To nerwy. Masz po prostu zszargane nerwy.

– Nie traktuj mnie jak idiotki.

Wpatruje się we mnie.

– Jestem artystą, Stieglitz. Cały ten nonsens o ponadczasowej kobiecości i obnażaniu duszy to jedna wielka bzdura. To niszczy cały sens tego, co próbowałam osiągnąć. Mówisz, że mam nie pozwolić, by cudze opinie wpływały na moją pracę. Ale one wpływają. To nieuniknione. Jak by miały nie wpływać? Musisz ich przywołać do porządku. – Patrzy na mnie chłodno. To zupełnie nie w moim stylu tyle naraz powiedzieć, ale wszystko nagle runęło,

wszystko między nami wywróciło się do góry nogami. To takie nie w jego stylu nic nie mówić, patrzeć na mnie tak cicho i spokojnie. – Żadnego mężczyzny nigdy nie obsmarowano tak, jak mnie teraz obsmarowują bez żadnych skrupułów. A ty oczekujesz, że się temu poddam? Temu? A do tego jeszcze próbujesz mi wmówić, że to moja wina, że tak się czuję?

– Przecież nie to miałem na myśli.

Ale to właśnie miał na myśli. Wyraz jego twarzy dosłownie mnie boli. Jakbym była obrzydliwa, jakbym była kimś, kogo w ogóle nie poznaje. Wyprostowałam już wszystkie zgięcia spinacza. Jedna prosta linia.

Wreszcie koniec wystawy. Odniosła pełen sukces. Sprzedaliśmy dwadzieścia obrazów za trzy tysiące dolarów, co powinno nam spokojnie starczyć na rok życia. Osiem tygodni później w tej samej galerii Stieglitz wiesza sto szesnaście swoich fotografii: muzykę chmur; jabłka w deszczu, topole i starą stajnię na Wzgórzu; portrety Rosenfelda, Marina i moje; sześć aktów Beck Strand.

CZĘŚĆ III

I

Pod koniec maja Kitty rodzi pierwsze dziecko i wpada w depresję. Musi zostać w szpitalu. Dziwne ataki złości. Zupełnie nad sobą nie panuje. Płacze za ojcem, ale kiedy ją odwiedza, rzuca w niego rzeczami i szlocha jeszcze bardziej.

– Niszczę wszystko, czego tylko dotknę – mówi Stieglitz w pociągu nad jezioro. – Kitty to moja niewinna ofiara. Spójrz na nią. Spójrz na siebie. Czuję się jak przestępca.

– A niby czemu ja też jestem ofiarą?

Ma puste oczy.

– Jestem starym człowiekiem. Nie potrafię być tym, kim chcesz.

Patrzę na niego i wiem, co chce przez to powiedzieć. Dziecko. To maleństwo, którego tak pragnę, a on wciąż odkłada na później.

– Nie wrzucaj wszystkiego do jednego worka – mówię. – Kitty jest pod dobrą opieką. Wyzdrowieje.

Odwraca twarz. Pociąg kołysze. Jedziemy w milczeniu. Stukot. To nasze życie tak tyka.

Rozdziera kolejne listy od Elizabeth, wieści o stanie Kitty.

– Nie jest nic lepiej – mówi, poczucie winy na twarzy.

Kiedy widzi, że mnie nie męczy sumienie, złości się.

– Nic przecież nie mogę zrobić – odpowiadam, ale to go tylko denerwuje. Ten mój bezlitosny fatalizm, gdy tymczasem (choć

tego nie powie na głos) przecież to ja zniszczyłam jego rodzinę.

Mówi mi, że zaprosił na Wzgórze swoją byłą sekretarkę, Marie Rapp. Na dziesięć tygodni.

– Żadni goście nigdy nie przyjeżdżają do nas na tak długo – zauważam.

– Nie mają pieniędzy. Przecież wiesz, że jej mąż nie ma pracy. Po tym całym gazie musztardowym nie jest z nim dobrze.

– Oboje przyjadą?

– Tylko Marie.

– A ta jej dwulatka?

– Ona też. – Patrzy na mnie uważnie. – To ci dobrze zrobi, Georgio. Zobaczysz, jak to jest, kiedy pod nogami nieustannie pałęta się dziecko.

Ta myśl, nim mam czas ją powstrzymać: próbuje się na mnie odegrać. Ukłucie złości.

Tydzień później już są. Marie była jego sekretarką w 291. Przez lata zrobił jej z tuzin zdjęć i na żadnym nie przedstawił jej bynajmniej w roli sekretarki. Nie ufam tej podejrzanej intymności między nimi. Od czasu do czasu Marie mówi coś takiego, co ma tylko na celu przypomnieć mi, że była w jego życiu na długo, zanim ja się pojawiłam. Dziecka nie znoszę od pierwszego wejrzenia. Jasnowłosy upiór, okropna beksa. Od jej wrzasków robi mi się słabo. Ale Stieglitz skacze nad nią bez ustanku. Już następnego poranka po ich przyjeździe przy śniadaniu dziewczynka pakuje mu się na kolana. Stieglitz śmieje się zachwycony, gdy smarkula łapie jego tosta i ściska go paluszkami, aż chleb pęka. Potem pakuje sobie go do buzi. Stieglitz ociera jej brodę, a mała wtula się w niego ufnie. Kuchnia, rodzina, słodki

zapach śniadania nad kuchenką. Moje marzenie. To z jego strony taka okrutna, podstępna zagrywka. Jakbym była tylko kolejnym jego uczniakiem, kolejnym Strandem, któremu trzeba utrzeć nosa, jeśli zacznie sobie za dużo wyobrażać.

Dziewczynka ciągnie go za wąsy, a Stieglitz śmieje się wesoło. Potem dziecko kopie nagle w stół i mało nie przewraca soku pomarańczowego. Wyrywa mu się i wybiega z kuchni. Trzaśnięcie drzwi w korytarzu, cichy głos Marie:

– Yvonne, zachowuj się.

Mała odpowiada piskiem.

– Urocza, nieprawdaż? – mówi do mnie Stieglitz. – Kto by pomyślał, że taka mała osóbka może narobić tyle hałasu. Prześmieszna.

– Wredny bachor.

Patrzy na mnie.

– Cóż, takie właśnie są dzieci.

– Nie. Dziecko nie musi takie być.

Wstaję i wychodzę z kuchni.

Nie zamierzam ich niańczyć. Wyjaśniam mu to jasno i bez ogródek. Mogę serwować im posiłki. Marie może zajmować się sprzątaniem. A jeżeli zamierza kazać *naszej* gosposi kąpać *swoje* dziecko (jak zrobiła w poprzednie dwa wieczory), niech liczy się z tym, że będzie musiała potem sama pozmywać. Nie będę jej zapraszać do salonu po kolacji na rozmowy o sztuce czy polityce. Marie jest jego gościem. I tylko jego.

Wyjaśniam mu to i widzę zabawne drżenie w kącikach jego oczu, które już znam – to znak, że wymykam mu się spod kontroli,

nie potrafi nic na to powiedzieć, wie, że lepiej w ogóle nie próbować mnie do niczego przekonywać.

Pewnego wieczora, gdy właśnie spiera się przy kolacji z Rosenfeldem, który dopiero co przyjechał – gdy kłóci się, że życie, którym żyjemy na co dzień, to nie Życie – przechodzi mi przez myśl to pytanie: co by było, gdyby obudził się pewnego poranka i musiał zmierzyć z wolnym czasem, z godzinami, których by sobie nie zapchał planami, menu, projektami, rozmowami, tymi jego wszystkimi ważnymi sprawami, cudzymi dziećmi. Gdyby po prostu posiedział chwilę w spokoju.

Jest w tej myśli złość. Mam tego bolesną świadomość. Złość także na ten nasz letni zwyczaj, który sobie wypracowaliśmy, by zawsze trzymać otwarte drzwi dla wszystkich gości, którym się zachce przyjechać.

Opowiada właśnie o swoim pomyśle na sekwencję chmur.

– Chmury są z samej swej natury wyrazem tego, co zarazem przemijające i niezaprzeczalne. Ale dopiero przypadkowe zderzenie chmur, światła i nieba wywołuje to uczucie... Nie sądzicie, że powinno istnieć na to jakieś specjalne słowo? To szczególne odczucie tymczasowości i wieczności, które wyrazić może tylko Sztuka.

Marie słucha uważnie. Ciche brzdęknięcia naczyń i garnków w kuchni, gosposia zaczyna zmywanie. Zwykłe dźwięki codzienności. Nic nienormalnego. Cisza.

Cisza zbyt idealna.

Zrywam się z krzesła, które wali w podłogę, pędzę przez korytarz, po schodach. Stieglitz krzyczy coś za mną. Przeskakuję

po dwa stopnie naraz, potem przez krótki korytarzyk prowadzący do łazienki.

Wpadam do środka i widzę ją. Twarz do dołu, włosy unoszące się na wodzie. Chwytam ją za ramię, wyciągam tak raptownie, woda leje się z jej ust. Krztusi się, pluje, kaszle, piana z wanny chlapie mi na twarz, na spódnicę, ściany, podłogę. Nagle w końcu otwiera oczy – szeroko. Jeszcze się dusi, z trudem łapie powietrze, wymachuje piąstkami, a ja trzymam jej ramiona, lekko głaszczę po plecach, czekam, aż wypłynie z niej cała woda.

Słyszę, jak biegną po schodach, Marie krzyczy jej imię. Mała płacze, zanosi się szlochem, a ja przytulam ją szybko, to piękne dziecko, które uratowałam, tulę mocno to pyzate podtopione stworzenie, to ciepłe życie.

– Mało nie utonęłaś, ty nieznośny dzieciaku – mówię czule i odgarniam jej włosy z twarzy.

Patrzy na mnie. Jej oczka drżą, pochłaniając mnie z dziecięcą mocą. Puszczam ją.

Nie będzie żadnego dziecka. Nie dlatego, że ja nie dałabym rady, ale dlatego że on by nie dał. Ani w przyszłym roku. Ani nigdy.

Wycieram wodę z podłogi i opróżniam wannę.

II

Uciekam w pracę.

Dbam zawsze o jasność, precyzję, żadnych wątpliwości, żadnego miejsca na interpretacje. Wszystko, co maluję, ma już teraz nazywalne formy. Maluję jezioro – tytułuję obraz *Jezioro*. Maluję awokado na serwecie, odbijające się ostro od bieli materiału. Martwe natury są bezpieczne. Winogrona. Figi. Rzeczy, które istnieją. Maluję kalię. Ściśle obiektywne formy.

On tymczasem robi odbitki fotografii, które zrobił Beck zeszłego lata. Pieści jej chudy tyłek przeróżnymi tonami światła i cieni pod zmarszczoną wodą. Jest tymi swoimi zdjęciami wprost zachwycony i wypisuje do niej listy, żeby jej o tym powiedzieć. Gdy przyłapuje mnie, jak czytam kilka zdań, które akurat zostawił do wyschnięcia – jakieś tam lubieżne fantazje godne nastolatka – wyrywa mi papier z rąk.

– Żałosne – mówię mu. – Masz szczęście, że ją lubię.

– Trudno to raczej nazwać szczęściem – odburkuje. – To lato było takie smutne.

– Sam jesteś sobie winien.

Żeby udowodnić, że w ogóle mi na tym nie zależy, mówię mu, żeby zaprosił ją w odwiedziny. Naprawdę cieszę się na jej widok – głupiutka Beck – wpada do naszego domu niczym rozśpiewane słońce i natychmiast łączy się ze mną w nienawiści do Marie i jej

bachora. Wygląda na to, że już mi wybaczyła tamten okropny wieczór zeszłej jesieni. Pływamy razem łódką po jeziorze, wiosłujemy na zmianę.

– Nie mogłabym znieść dziecka – mówi mi pewnego dnia otwarcie. Pomaga mi podpierać pomidory palikami. – To po prostu okropne, jak dzieci ciekną z obu końców. Bez przerwy śmierdzą gównem i kwaśnym mlekiem.

Zwierza mi się, że zawsze jest kompletnie przerażona, jeśli spóźnia jej się okres, a Paul był akurat nie dość ostrożny.

– To straszne, prawda? – szczebiocze. – Że tak zupełnie nie chcę takiego bachora. Powinnam przecież chcieć. Wiem, że powinnam. – Wzdycha. – On jest zupełnie jak Stieglitz, wiesz? Taki kapryśny, tak mnie potrzebuje, zawsze niezadowolony z tego, co zrobił, nieustannie muszę mu mówić, że jest wspaniały. W ogóle co rusz to mnie potrzebuje. A potem nagle wyjeżdża robić zdjęcia i zupełnie mnie odcina.

– Oderwij mi, proszę, kolejny pasek z tej poszewki.

Wokół naszych głów brzęczą meszki. Odganiam je ręką. Odrywa cienki pasek poszewki. Wbijam palik młotkiem do krokieta i podwiązuję gałązkę.

– Ale czasami to jest jeszcze gorzej, gdy właśnie jest przy mnie – paple. – Niby jest tuż obok, ale jest tak pochłonięty pracą czy co on tam robi, że tyle może go obchodzę co zasłonka od prysznica. To jest jeszcze gorsze, bo niby jestem z kimś, a czuję się taka samotna. To naprawdę jeszcze gorsze niż już po prostu być samemu.

Pyta mnie, czy rozumiem, co ma na myśli.

I wtedy jej mówię. Że nie mogę znieść tego, co się dzieje w domu. Że to mnie przerasta – gwar, jego niepokój o Kitty, a teraz jeszcze jego obsesja na punkcie tego dziecka, to, że odmawia mi maleństwa, którego tak pragnę. Że wydaje mu się, że zna mnie lepiej niż ja sama.

– To mnie wykańcza – wyznaję jej.

Beck kładzie mi rękę na ramieniu.

– Tak mi przykro, Georgio.

Kręcę głową. Nie mogę już tego dłużej znosić. Tych wszystkich ludzi w domu. Łącznie z nią. Ale tego jej nie mówię.

Tego popołudnia, gdy słyszę ich z Marie w pokoju obok, wchodzę tam i proszę go na słowo.

Idzie za mną po schodach, siada na łóżku, a gdy zaczynam mówić, w jego oczach pojawia się mroczny smutek. Tłumaczę mu, że najlepiej dla nas wszystkich będzie, jeśli pojadę z wizytą do znajomych – do Schaufflerów, którzy są teraz w Maine. Wtedy jego goście będą mogli sobie robić, co zechcą. On będzie mógł w spokoju rozpieszczać bachora, przymilać się do swojej byłej sekretarki i dopieszczać odbitki piersi i ud Beckaliny.

– O co ty mnie oskarżasz? – przerywa mi.

– Tak będzie lepiej dla wszystkich. Tego lata moja praca jest zupełnie do niczego. Sam to przecież powiedziałeś.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Owszem, stwierdziłeś, że ten krajobraz jest „tragiczny”!

– To tylko jeden obraz. Moje chmury mogą być tragiczne, ale do twoich prac to nie pasuje.

Jeżę się na te słowa. Znów mi mówi, kim jestem.

– Dobrze mi zrobi, jak na jakiś czas wyjadę.

Siedzi tak na skraju łóżka, nagle mały, opuszczony, jakiś niewidzialny ciężar ściąga mu ramiona w dół, garbi całą sylwetkę.

Składam starannie sukienkę i pakuję ją do walizki, potem jeszcze wygładzam, żeby nie było żadnych zmarszczek. Ale znów się podnoszą, znów je więc wygładzam. Cisnę tak mocno, że aż czuję pod dłońmi dno walizki. Chce mi się płakać.

– Wraz z tobą odjeżdża cała moja miłość – mówi.

Nawet gdy jest między nami tak ciężko jak teraz, potrafi nagle powiedzieć coś tak oszałamiającego i kochanego.

III

Maine. Ocean jest ogromny. Czuję na twarzy uderzenie zimnego, słonego powietrza i od razu ta radość w sercu. Domek jest mały i prosty. Po kolacji spędzam wieczór z Schaufflerami. Idziemy z Florence plażą do wraku szkunera. Potem wracam do pokoju. W kominku trzaskają brzozowe polana. Siedzę w oknie i patrzę w ciemność. Przypomina mi niebo w Teksasie – piękno ponadczasowości tej nocy.

Następnego poranka wybiegam w koszuli nocnej, przechodzę po kładce przez pole żurawiny i docieram do oceanu. Moje stopy opłukuje zimna, płytka woda. Zbieram, co znajdę: wodorosty, kamyki i muszle; wielką gałąź, którą morze tak wyrzeźbiło, że wygląda teraz jak gładkie rogi antylopy. Znoszę to z powrotem do domku i układam martwą naturę z muszel i wodorostów. Po południu szkicuję te proste kształty. Robię szybkie rysunki na papierze. Potem rozciągam płótno, które kupiłam w sklepie w Ogunquit.

Pierwszy list przychodzi drugiego dnia.

Wiem, że potrzebujesz tego czasu dla siebie – pisze. – *Ale kocham Cię. To takie czyste i głębokie – to moje zakochanie...* – Serce mi się ściska. Pisze, że odkąd wyjechałam, czuje się bardzo dziwnie. Nie chce mu się fotografować. Zostało mu już tylko wywoływanie starych zdjęć. – *Chciałem się pobawić palladami,*

ale światło nie jest wystarczająco spokojne, wciąż te przepływające chmury, powietrze za wilgotne. Pewnie zamiast tego zdam się na artury[*].

Pisze o najróżniejszych rzeczach: o boksie i zwycięstwie Dempseya w starciu z Firpem; o wieczornym spacerze, na jaki się wybrał wzdłuż drogi Bolton. *W domu ta tęskna samotność, która zawsze tu panuje, gdy wyjedziesz; gdy brakuje mi tego czegoś, czym tylko Ty jesteś. Bez względu na to, kto tu jest*.

Zawsze były takie piękne – te jego listy.

Kiedyś nawet go spytałam: „Czy ty kochasz mnie? Czy może kochasz ideę mnie?".

Czytam jego listy w kuchni, siedząc na małym bujanym fotelu z czerwoną poduszką, nogi trzymam na oparciu. Na stole leży biała cerata, na piecu gotuje się cebula, w pokoju jej ciężki zapach. Wysoki, ciemny sufit, niepomalowana podłoga, nieotynkowane ściany. To pokój do życia, dokładnie taki, jak lubię, a list od Stieglitza tchnie tym tęsknym pięknem, którym zawsze przepojone są jego listy. I po raz pierwszy od miesięcy, jeśli nie dłużej, czuję go nagle – w moim ciele, czuję falę tej tęsknoty za nim, pożądania. Czasami myślę, że oddałabym wszystko, by znów czuć go w sobie z tamtą głęboką jasnością.

Pukanie do drzwi. Do domku wchodzi Florence. Uśmiecha się na widok listu.

– Przyszedł kolejny – mówi i podaje mi kopertę.

Budzę się, kiedy chcę, idę spać, kiedy chcę. Z Schaufflerami jem kolację, czasami też obiad. Przez większość czasu jednak jestem sama. Nikim nie muszę się zajmować, na nikogo nie muszę czekać. Nikt mi nie każe zamykać okna, jeśli w nocy zrobi się zbyt

zimno. Wokół niemal doskonała cisza zakłócana jedynie szumem traw i niskim hukiem fal walących o brzeg. W spiżarni pełzają żywe homary. Niekiedy słyszę je w nocy, jak drapią szczypcami, łażąc wokół.

Mówię sobie, że to nieważne. To, co robi z Beck. Ten flirt, ta zabawa. To tylko jego modelka. Tylko pozuje mu do zdjęć, na które ja nie chcę już tracić czasu. Sama go przecież do tego zachęcałam, prawda? Żeby go czymś zająć, żeby mi nie przeszkadzał w pracy. Bardzo starannie porządkuję myśli i skupiam się na studium wodorostu. I muszli. Ale to tylko studium. Nic takiego, co warto by zachować. Moje prace wydają się zupełnie pozbawione polotu, ale za to dni są piękne – wschody słońca, zielone wierzby za oknem. Z takim wdziękiem się poruszają, wszystko jest takie łagodne. To zabawne, jak czule tu o nim myślę. O wiele czulej teraz, niż gdy byliśmy razem.

Pisze, że Strand przyjechał z krótką wizytą, potem wyjechał. Że Beck jest chaotyczna, nie ma w sobie za grosz kreatywności. Zawsze się spieszy, próbuje uchwycić coś, czego uchwycić nie potrafi – jej obrazki są równie chaotyczne jak ona sama. Ale przynajmniej umie dobrze pisać na maszynie. Rosenfeld twierdzi, że pod tym akurat względem jest bardzo przydatna. Pisze właśnie nową książkę, wsuwa jej kolejne strony przez szparę w drzwiach, a ona przepisuje mu je na smith coronie.

Mówię sobie, że to nam dobrze zrobi – ta separacja. Minęło już osiemnaście dni.

[*] Przy odbitkach palladowych potrzebne było mocne światło. Artura – papier żelatynowo-srebrowy produkowany na początku XX wieku (przyp. tłum.).

IV

Wiem, gdy tylko wracam nad jezioro. Czuję tę zmianę, to niezręczne milczenie między nimi. Wszelkie erotyczne napięcie już wyparowało. Linia została przekroczona. Stieglitz jest niepewny, skryty. Wszystko – jego oczy, usta, dłonie – wszystko kłamie. Nie patrzy na Beck, a gdy ja na nią spojrzę, Beck odwraca wzrok. Jej śmiech jest wymuszony. Nie mam wątpliwości. Nawet uśmiech Rosenfelda jest smutny. Oto na jego oczach zniszczony został nasz idealny związek.

Stieglitz bierze mnie za ramię.

– Musimy o czymś porozmawiać.

Siada na swoim łóżku, a ja słucham. Mówi mi, że to był błąd i że skończył raz na zawsze z takimi przelotnymi zadurzeniami, z tą swoją słabością.

– Jaką znowu słabością?

– Elizabeth tak to nazywa.

– Elizabeth?

Spuszcza głowę, mamrocze, że muszę go wysłuchać. To był błąd, ten cały flirt, ale był taki samotny. Tak cierpiał. Nie mógł spać. Beck przyszła do niego w nocy, żeby go przytulić, i jakoś tak wszystko głupio wyszło. Nie doszło do Prawdziwego Seksu, zapewnia mnie pośpiesznie, ale i ona, i wszyscy pozostali jakoś źle to odczytali. I może to była dla niego dobra lekcja, to, że tak sobie

wyjechałam. Bo teraz zrozumiał, jak bardzo potrzebna mu jest ta moja surowość, moje poczucie porządku.

– Powiedz mi prawdę – mówię.

– Prawda jest taka, że jesteś jedyną kobietą na całym świecie, która powinna być blisko mnie – mówi. – Moja miłości, moja kochana, moja najdroższa. Biedny Pudge – dodaje. – Obawiam się, że ujrzał mnie od najgorszej strony.

Słucham i pozwalam mu mówić dalej.

Dopiero po kolacji, gdy już jesteśmy w salonie i przeglądamy płyty, żeby wybrać jakąś i posłuchać na gramofonie, napadam na Beck i mówię jej bez ogródek, że noszenie spodni przez kobiety uważam za objaw zupełnej bezmyślności. Doprawdy.

Beck próbuje się bronić. Stieglitz siedzi cicho i tylko patrzy to na jedną, to na drugą, jakby to go zupełnie nie dotyczyło.

– Kim ty próbujesz być? – pytam ją. – Po co kobieta miałaby się przebierać za mężczyznę? Wyjaśnij mi to.

Stieglitz unosi okulary i zdmuchuje sobie z nich jakiś niewidzialny pyłek.

Beck wyjeżdża, nie zamieniwszy już ze mną ani słowa. Kartki, które zapisała, złożone starannie przy coronie. Dopiero wtedy dopuszczam go do siebie, pozwalam mu wrócić do mojego łóżka.

– Chcę od ciebie tylko prawdy, Alfred. Rozumiesz? Odtąd już sama prawda.

– Na całej ziemi nie ma innej kobiety, która byłaby dla mnie tym, czym ty jesteś. Taka jest prawda.

Przez chwilę leżymy w milczeniu.

– Potrzebowałam tego czasu – mówię. – Oceanu, tej przestrzeni. Tak bardzo mi to było potrzebne, że aż się bałam, że nie dam rady

wrócić.

– Już jesteś w domu.

– Tam wszystko było takie piękne, nawet my. Chciałabym umieć ci to wyjaśnić.

– Nie musisz.

– Chcę, żebyś pojechał tam ze mną – mówię. – Zamieszkamy w małym domku. Pobędziemy sami razem.

Kiwa głową, uśmiecha się.

– Tu jest tak dużo pracy. To nasz sezon.

– Bałam się... – zaczynam.

– Ciii.

– Nie powinnam była nigdy cię opuszczać...

– Nic już nie mów, najdroższa. – Jego głos jest cichy, czuły, ale im więcej w nim czułości, tym większy narasta we mnie niepokój.

– Tak bardzo tego potrzebowałam, tego czasu...

– Ciii... Georgio, kochana. Już jesteś w domu. Już jesteśmy razem.

V

Niby jesień jak każda inna, a jednak nie. Robię to co zawsze. Do listopada maluję w chacie, a potem przenoszę się do domu. Stieglitz dorzuca węgla, podtrzymuje ogień. To jego zadanie – żeby było nam ciepło i jasno. Ta przyjemna jesienna samotność, którą tak lubię, a która jemu działa na nerwy.

Wrócił do pracy. Miota się po okolicy z kamizelą na lewą stronę, niezawiązanymi sznurowadłami i beztrosko zarzuconym płaszczem. Samotna postać z aparatem, wiatr szarpie poły jego płaszcza, a on uparcie celuje swoim grafleksem prosto w górę. Pstryka chmury z takim zapamiętaniem, że w końcu coś mu strzela w szyi i ledwie może nią ruszać. Smaruję go mazidłem Sloana i każę mu się zapakować do łóżka, ale już kilka godzin później znów go nie ma – wymknął się do swojej ciemni w szopie. Tam udaje mi się go w końcu przydybać. W kuwetach, pod lekko zmarszczoną taflą wywoływacza, wyłaniają się właśnie jego fotografie – długie pociągnięcia chmur.

Uderza mnie ta ironia i mówię mu o tym: podczas gdy ja wybieram rzeczy na ziemi, on zagarnął mi moje niebo.

Wydają mi się takie surowe. Te moje martwe natury. Intensywne, wręcz ożywające przed oczami kolory i uproszczone formy – moje liście i brzozy, moje wodorosty z plaży York, mój obraz dwóch awokado na zielonym materiale. Ta odrobina światła

odbijającego się od ich skórki zdaje się niemal zbyt skrupulatna, zbyt wymuszona – nienaturalna. Takie właśnie mi się to wszystko wydaje. Nienaturalne.

Zmienił się cel moich prac. Z wyjątkiem różowego księżyca nad morzem, który namalowałam w Maine, w obrazach z tego lata nie ma właściwie nieba.

Gdy pakujemy się już i szykujemy do wyjazdu, niebo zaciąga się ciemnymi chmurami – potem nagle ta zamieć bieli.

– Śnieg na jeziorze! – woła, stając w oknie. – Zawsze chciałem to zobaczyć.

Trzymam go pod ramię i wychodzimy razem w biel. Śmiejemy się, tarzamy jak dzieci. Staczamy się ze wzgórza, śnieg na naszych twarzach, nawet w ustach.

Gdy ściągamy buty w domu, mam już zupełnie przemoczone ubranie, czerwone, zdrętwiałe ręce. Rozpala w kominku. Tak dziwnie milczy. Podnoszę wzrok. Bez słowa bierze mnie za rękę i prowadzi przed lustro w korytarzu. W odbiciu widzę okno za nami, a przez nie ten piękny, zamarznięty świat. I twarz, która nie jest moją twarzą – to twarz kogoś młodszego, uśmiechniętego, niepomarszczonego, z zarumienionymi policzkami i promieniejącym wzrokiem...

– Tylko spójrz na siebie – mówi.

Jemy w milczeniu. Niemal szczęśliwi. Niemal znów jesteśmy sobą. Dogląda ognia. Zapada noc, a my siedzimy razem w oknie i patrzymy na obory pociągnięte bielą, księżyc przebija się przez śnieg ze srebrnym okrucieństwem.

– Oszałamiająco piękna – szepcze.

VI

Postanawia, że w marcu 1924 nasze wystawy będą jednak połączone. W większej sali w Anderson Galleries moje obrazy, a w dwóch mniejszych jego malutkie fotografie chmur. Jest ogromnie przejęty. Po zeszłorocznej katastrofie mojej wystawy, po tych okropnych recenzjach trudno mi jest jednak podzielać jego ekscytację.

Starannie wybieram, co pokażę. Same zachowawcze prace – zaledwie trzy abstrakcje, reszta to obrazy figuratywne, jak najbardziej skupione na konkretnych przedmiotach. Pragnę, żeby postrzegano je tak, jak ja tego chcę.

W „Brooklyn Eagle" kobieta z Art Students League pisze o dziewczynie, którą znała. O tym, jak nazywali mnie Patsy. Jak pozowałam innym artystom. I choć chwali precyzyjność moich obrazów, zdecydowanie bardziej skupia się na tamtej dziewczynie, która jest już teraz kobietą: „To już nie tamta chłopczyca z loczkami, ale ascetyczna z wyglądu, wręcz przypominająca święte kobieta o trupio bladej skórze (...) zdolna do wielkich i gwałtownych uczuć". A do tego jeszcze dodaje: „Jak twierdzą psychoanalitycy, malowane przez kobiety owoce i kwiaty to nieświadomy wyraz ich pragnienia, by mieć dzieci".

W niemal każdej recenzji mojej sztuki znajduję tej wiosny wzmiankę o tym, jak to odkrył mnie Stieglitz. I to bolesne

porównanie, nasze prace określane są tak odmiennie. Jego fotografie chmur to „odkrycie". Moje obrazy to „dzieła kobiety, która po okresie represji i tłumienia uczuć przeżywa orgię samopoznania". Nienawidzę ich. Tych słów. Ich ciężaru. Musisz się nauczyć nic sobie z nich nie robić, powtarzam w myślach. Niech sobie mówią, co chcą. Albo wykombinuj, jak to zmienić.

Tymczasem jednak moje obrazy dobrze się sprzedają. Zarabiamy na nich kilka tysięcy dolarów. Coomaraswamy, kurator bostońskiego Muzeum Sztuk Pięknych, prosi o fotografie Stieglitza, ale nie proponuje zapłaty. Stieglitz jest wściekły, że ma je tak po prostu oddać za darmo, a jednak przekazuje im dwadzieścia siedem najlepszych odbitek. Własnoręcznie robi do każdej passe-partout, bo nie ufa im, że zrobiliby to tak, jak on sobie tego życzy.

Nie mogę przestać myśleć o pieniądzach, które zarobiliśmy dzięki moim obrazom. Starczyłoby na własny kąt. Przed wyjazdem nad jezioro udaje mi się namówić Stieglitza, żebyśmy się rozejrzeli po mieszkaniach. Na Wschodniej Pięćdziesiątej Ósmej jest takie jedno, które szczególnie mi się podoba – czwarte, ostatnie piętro w budynku z czerwono-brunatnego piaskowca. Miałabym tam idealne studio do pracy. Zostawiam nasz numer właścicielowi. Nie może nam obiecać, że mieszkanie będzie jeszcze dostępne po naszym powrocie w listopadzie, ale mówię mu, że jeśli będzie wolne, to je weźmiemy.

Gdy tylko wychodzimy, Stieglitz zaczyna narzekać, że czynsz jest za wysoki. Przypominam mu, że po prostu nigdy za wiele nie płacił, bo rzadko w ogóle musiał płacić za mieszkanie.

– Będę miała wystawę raz w roku – mówię powoli. – Będziesz sprzedawał moje obrazy. Z tego będziemy mieć na czynsz.

– Ze sztuką jest tak, że nigdy nie wiadomo, co się sprzeda – mamrocze gderliwie.

– To zostaw mnie – odpowiadam. – Ty się zajmij resztą.

Pisze do mnie siostra Catherine. Mieszka teraz w Portage. Właśnie urodziła dziecko, dziewczynkę. Odpisuję jej, że to musi być cudowne mieć takie życie, miłego bankiera za męża, normalną codzienność. W połowie strony przerywam. Mnę kartkę, zaciskam ją w garści. Potem biorę nową i zaczynam od początku.

Kiedy w kwietniu przyjeżdżamy nad jezioro George, leje jak z cebra. Ale jestem szczęśliwa – po raz pierwszy od wielu miesięcy. Po prostu cieszę się, że znów tu jestem – blisko tej zalanej deszczem przyrody, z dala od miasta. Załatwiam naprawę łódek. Przekopuję ogródek, sadzę warzywa – wszystkie poza ziemniakami. Rozpiera mnie radość, mam ziemię pod paznokciami i jestem fizycznie wyczerpana. Nie mam czasu na myślenie, śpię jak zabita.

Pewnego poranka, gdy mijam stary ogród, zatrzymuje mnie eksplozja barw. To kwitną ostróżki i frezje, ich płatki o tak mocnych kolorach, słońce zalewa je żywym ogniem. Przypomina mi się niewielka martwa natura Fantin-Latoura. Cichy dzbanek z kwiatami na stole. Ten rozmiar, ten nastrój, wszystko w jego obrazie sugerowało spokój domowego zacisza. A gdyby tak wziąć ten prosty kwiat i skupić się na jego kształcie? Co się stanie, jeśli nie pokażę natury ujarzmionej, ale coś zupełnie innego?

Jeszcze w ogrodzie robię mały szkic, a potem w chacie przebieram w płótnach tak długo, aż udaje mi się znaleźć takie naprawdę duże – poziome, trzydzieści pięć cali na osiemnaście. Mocna linia w samym środku, odcinające się od niej abstrakcyjne kształty, wymazane tło, żeby pozostały tylko ciepłe łuki kwiatów i ich liści – uderzająco jasne żółcie, blady karmazyn, fiolet, zielenie. Zwieszone główki konwalii. Niezapominajki. Błękitne plamy bez łodyg, bez korzeni, jakby kształty kwitły prosto z nieba.

Przez następne kilka tygodni maluję tylko kwiaty. Na płótnie naciągniętym na deskę maluję petunię, ten prosty domowy kwiat, ułożony tak jak zwykła martwa natura, ale zupełnie inaczej skadrowany – bez dzbanka, bez tła, tylko sam kwiat. Potem te same kwiaty przenoszę na wielkie płótna, trzydzieści sześć cali na trzydzieści. Masywne. Nadmuchane. Ich brzegi miękkie, jakby właśnie nabierały kształtów. Żółte linie cieni, warstwa bieli, żeby nadać płatkom świetlistość. Jeden kwiat pośrodku, drugi pod nim, wychodzący poza dolną krawędź. Z fascynacją bawię się kwiatami – mam przy tym tyle radości jak nigdy przedtem. Różowe i niebieskie plamy, zamazane krawędzie zlewających się kolorów. Kwiat nie pełni tu już swojej zwykłej funkcji. W ogóle nie jest z naszego świata. Rośnie gdzieś na niebiańskim wzgórzu, w głębokim świetle zmierzchu, skierowany w stronę ciemniejszego łuku horyzontu. A za nim wznosi się niebo – surrealistyczne, abstrakcyjne – w nim wyrasta kolejny kwiat, niemal przejmuje całe wzgórze.

Prawie kończę, gdy wchodzi nagle Stieglitz. Zamiera na widok płócien.

– Co ty niby zamierzasz z tym zrobić?

Uśmiecham się.

– Po prostu to maluję.

– Nie wyobrażam sobie, co by z tego miało być.

– Masz na myśli, że się nie sprzeda?

– Po prostu nie widzę sensu takiego malowania.

– Chcę namalować kwiat. Taki jest sens tego malowania. Chcę namalować kwiat tak wielki, że ludzie nie będą mieli wyjścia, będą musieli się zatrzymać, spojrzeć na niego i naprawdę go zobaczyć, taki, jaki jest. Taki, jak chcę, by go widziano.

Milczy, powoli moje słowa docierają do niego.

– I to właśnie w tobie kocham.

– Co niby?

– To, że wiesz, czego chcesz. To, że jesteś niesamowicie urocza, gdy masz jasność. I to też jest urocze. – Wskazuje kwiat. – Mogę sobie uważać, że malowanie kwiatu w ten sposób to głupota, ale jednocześnie widzę, że to urocze. Tak urocze jak ty.

– Zaraz do ciebie przyjdę – odpowiadam.

Waha się. Mija dobra chwila, nim dociera do niego, że proszę go w ten sposób, żeby sobie poszedł.

Nie mogę przestać malować kwiatów. Prosi mnie, żebym mu wyjaśniła tę logikę. Ale nie chce mi się niczego wyjaśniać. Mówię mu, że wolę po prostu malować.

Chcę je pokazać – te moje wielgachne kwiaty – podczas zbiorowej wystawy, którą planujemy na zimę. *Siedmioro Amerykanów*, tak ją już zatytułował. Będzie on i wszyscy jego artyści: Demuth, Strand, Marin, Hartley, Dove i ja. Umówił się już z Kennerleyem. Strandowie, jego bratanica Elizabeth

i Rosenfeld stworzyli fundusz czynszowy, dzięki któremu nasze salki w Anderson Galleries będą mogły być otwarte przez cały rok.

Pierwszego lipca panuje nieznośny upał, w powietrzu wisi żółty kurz, jego warstwa pokrywa cały dom. Gdy pewnego popołudnia wychodzę ze swojej chałupy, zastaję go na werandzie. Siedzi na wiklinowym fotelu i pisze do Stranda. Na stole przy nim leży czarna teczka z moimi pracami. Podnoszę ją. Od razu czujnie na mnie patrzy.

– Boisz się, że nie będę się z nią wystarczająco ostrożnie obchodzić?

Odchrząkuje niepewnie, ale pochyla się z powrotem nad listem, macza pióro, jego pismo spływa w równych linijkach. Powoli przeglądam prace w teczce, patrzę na akwarele, ich jasne, ostre kolory odbijające się od czarnego passe-partout. Potem węgle. Odwracam kolejne kartki, aż docieram do jego ulubionej pracy. *Specjalny nr 13.* Rysunek kanionu Palo Duro. Pióro zamiera, jego wzrok przesuwa się na moje dłonie na rogu teczki.

– Ten lubisz najbardziej – mówię.

– Tak.

– Dlaczego?

Nie od razu odpowiada. Z oddali, od strony pomostu, słychać głosy – radosne piski córek Elizabeth, potem jej spokojny głos. Wszystkie te dźwięki są takie inne, odbite od wody.

– Bo to ty – odpowiada.

– Czy nie wszystko, co robię, jest mną?

– W nim cię poznałem.

– To nie była przecież pierwsza moja praca, jaką zobaczyłeś.

– Może nie. Ale to nie ma znaczenia.

Kiedy zrobiłam ten rysunek kanionu, pracowałam jeszcze w Karolinie Południowej. Już wtedy miałam za sobą kilka wypadów do Teksasu, już widziałam tamten świat, tamten ogrom nieba i już za nim tęskniłam. Pamiętam, jak mocne było tamto uczucie – ta tęsknota, przemożne pragnienie powrotu.

Odsuwa ode mnie teczkę, nie w jakiś niemiły sposób, ale jakby nie mógł się powstrzymać. Przesuwa palce nad papierem, nawet go nie dotykając.

– Czy ktokolwiek inny potrafiłby zobaczyć kanion w ten sposób? Czy ktokolwiek potrafiłby tak widzieć strumień czy grzbiety bydła? – mówi, w jego głosie jakaś smutna nuta.

– Dlaczego moje wczesne prace są dla ciebie ważniejsze niż to, nad czym teraz pracuję? – pytam.

– Niczego takiego nie powiedziałem.

– To miałeś na myśli.

– Nie – upiera się. – Ale gdy patrzę na te rysunki, widzę tę zupełnie wolną istotę, którą byłaś, zanim do mnie przyjechałaś.

Spuszczam wzrok na rysunek. Pamiętam tamtą noc, gdy go zrobiłam – ten mój *Specjalny nr 13*. Kawałek węgla w dłoni, najtańszy papier rozłożony na podłodze, kolana wbijające się w deski, moje ciało napięte, łokieć trzymany tak długo w jednym miejscu, aż mnie rozbolał, ręka pracująca długimi, niezakłóconymi pociągnięciami. Były takie chwile jesienią 1915 roku, gdy czułam się jak opętana. Bałam się, że oszaleję od tych wirujących mi w głowie kształtów. Gdy węgiel sunął po kolejnych kartkach, moje serce przełamywało kolejne bariery, pozbywało się wszystkiego, co dotąd przeczytałam, czego uczono mnie na lekcjach, wszystkiego, czym jakoby powinna być sztuka.

Gdy Elizabeth wraca znad jeziora, pyta, czy mam ochotę wybrać się z nią na spacer. Trawa wydaje się wszechogarniająca, smaga nas południowe słońce.

– Jesteś jakaś nieswoja – mówi Elizabeth, gdy wdrapujemy się na wzgórze.

– Życie nie należy ostatnio do moich mocnych stron.

Przygląda mi się uważnie. Ma na sobie jasnoniebieską sukienkę z marynarskim kołnierzem. Zawsze ubiera się tak zwyczajnie, o wiele praktyczniej niż jakikolwiek inny Stieglitz.

– Ale praca idzie ci dobrze.

Kiwam głową. Dotarłyśmy do łąki.

– To lato jest naprawdę nieznośnie upalne, prawda? – mówi.

– Tak.

– W takiej duchocie wszyscy robią się zrzędliwi.

Śmieję się.

– Georgio, on cię kocha.

– Wiem.

– Zrobi wszystko, by się z tobą ożenić.

– Nasłał cię na mnie w tej sprawie?

– Nie – zapewnia. – Wiesz, że nie jestem po niczyjej stronie. Jestem z tobą równie blisko jak z nim. Wiem dobrze, jaki potrafi być trudny.

Patrzy na ziemię, która przesuwa się pod naszymi stopami.

– Chce, żebyśmy się pobrali, gdy tylko zakończy się wreszcie rozwód – mówię.

– A ty?

– Sama nie wiem. Już dawno przestałam nawet o tym myśleć. Rozwód ciągnie się w nieskończoność.

– Tak, ale to sprawka Emmy.

– Wiem.

Wchodzimy pod drzewa. Padają na nas ich długie cienie.

– Spójrzmy na to z innej strony – odzywa się znów Elizabeth. – Dlaczego nie miałabyś za niego wyjść?

– Po prostu nie widzę takiej potrzeby.

– Mówiłam właśnie Donaldowi, że moim zdaniem zwątpiłaś przez te głupoty z Beck. Ale przecież wiesz, że to nie miało znaczenia.

Podnoszę wzrok.

– Elizabeth, ja zwyczajnie nie wiem, po co nam to. Jest dobrze tak, jak jest.

– Georgio, on cię kocha. Kiedy jesteś przy nim, wszystko dla niego nabiera sensu.

– Dużo łatwiej byłoby niczego nie zmieniać – mamroczę.

Wołanie ptaka wśród drzew. Zatrzymuję się, ona też, nasłuchujemy. Ale już zamilkł.

Udaje mu się w końcu rozwieść. Znów wyciąga kwestię ślubu. Ma różne argumenty – małe, duże, prawne, finansowe, podatkowe, nieruchomościowe, nawet podpisanie umowy o najem będzie łatwiejsze. I jest jeszcze biedna Kitty. Lekarze twierdzą, że jeśli Stieglitz się ożeni, być może jego córce łatwiej będzie pozbyć się złudzeń, że jej ojciec kiedyś wróci. Stieglitz kończy w tym roku sześćdziesiąt lat. Ja mam trzydzieści siedem.

– Nie mogę przecież zmienić nazwiska – mówię, gdy pewnego poranka znów wraca do tematu.

– Co masz na myśli?

Wzruszam ramionami.

– Po tym wszystkim, co zrobiliśmy, żeby stworzyć markę „Georgia O'Keeffe", nie możemy przecież tego tak po prostu zaprzepaścić.

Patrzy na mnie niepewnie.

– Przecież nie mówiłem nigdy, że musisz zmienić nazwisko.

– A miłość?

– Co z miłością?

– Czy to też jest na liście powodów?

– Ty naprawdę nie pojmujesz zupełnie, czym dla mnie jesteś – mówi powoli. – Nawet jeśli ty masz mnie za nic, dla mnie jesteś zawsze po prostu wszystkim.

– Czy ty przypadkiem próbujesz na nowo zdobyć moje serce? – żartuję.

– Czasami zdaje mi się, że spędzę resztę życia, próbując cię zdobyć, całą ciebie, choćby na chwilę.

– Zabawny jesteś – mówię ze śmiechem.

– Mówię poważnie. Taka jest prawda. I chciałbym, żebyś o tym wiedziała. Nigdy nie zależało mi na nikim i niczym tak jak na tobie. W głowie mi się nie mieści, że tego nie widzisz.

Moje kwiaty już przekwitły. Zamiast nich maluję abstrakcyjny krajobraz. Ciemnoczerwony, z odrobiną błękitu.

Kiedy Stieglitz wchodzi do pokoju i widzi, co robię, wpada w zachwyt.

– Doskonałe! – woła. – W starym stylu. Czujesz to?

Kręcę głową.

– Nie wiem, czy znajdziemy na to kupca. Nie wiem nawet, czy chcę to wystawić.

– Jest tak dobry, że sobie go zatrzymamy – mówi.

Patrzę na obraz. To mogą być wzgórza za jeziorem, bo on tak to widzi. Ale równie dobrze mogą to być zbocza kanionu Palo Duro.

– Czy mój stary styl zawsze będzie dla ciebie punktem odniesienia dla moich nowych prac? – wymyka mi się, nim się zastanowię. – Przepraszam. Ale czasami chciałabym, żeby podobało ci się też to, co teraz robię.

– Przecież właśnie mówię, że mi się podoba.

Z koka wysunął mi się kosmyk włosów. Stieglitz sięga po niego i zakłada mi go za ucho. Jego palce zatrzymują się przy mojej głowie.

– Uwielbiam wszystko, co robisz.

– To nieprawda i wiesz o tym.

Popycha mnie na łóżko i całuje.

– To prawda – upiera się. – Wszystko.

Kocha się ze mną. Powoli, pięknie – tak, że nie chcę, by to się kiedykolwiek skończyło. Zasypiamy na łóżku. Budzę się po zmierzchu. Na sztaludze moje płótno. Lśni jeszcze mokrą farbą. Zostawiłam otwarte okno i zrobiło się zimno w pokoju, ale nie chcę go budzić – wygląda tak słodko, blado, delikatnie. Leżę tak, rękoma otulam jego śpiące ciało, a chłodna noc wkrada się do pokoju, dotykając krzeseł, biurka, półek, szuka czegoś, czego już nie poznaje.

VII

Przyjeżdża do nas Ida. Stieglitz skacze nad nią, flirtuje z nią, ale tak zabawnie, lekko. Robi jej zdjęcie ze strzelbą i z wiewiórką, którą ustrzeliła za pierwszym podejściem.

Kilka dni później przyjeżdża też Rosenfeld i po tygodniu zaczynam zauważać między nimi coś delikatnego i uroczego. Wspominam o tym Stieglitzowi i od razu zaczyna psioczyć, że Paul powinien się lepiej skupić na pisaniu.

– Zazdrościsz mu? – droczę się z nim.

– Oczywiście, że nie.

– Zobacz, jacy oni są szczęśliwi. Nie czujesz tego? Wszystko między nimi jest takie nowe i słodkie.

Widzę błysk w oku Rosenfelda, gdy rozmawia z moją siostrą. Widzę, z jakim wdziękiem Ida ścieli łóżka, starannie wygładzając każdą zmarszczkę.

Pewnego wieczoru Ida wróży nam z dłoni. Siedzimy w salonie z pełnymi brzuchami po zbyt ciężkim posiłku. Ida bierze dłoń Stieglitza, sunie palcem po liniach.

– Brak ci talentu, ale masz silną wolę.

Śmiejemy się wszyscy, ale Rosenfeld głośniej od nas. Ida ogląda się na niego, potem znów na Stieglitza. Robi niby to surową minę.

– O, przerwa w linii. To by oznaczało, że okropny z ciebie flirciarz...

Znów śmiech. Siostra ogląda się na mnie.

– Potwierdzasz, Georgio?

– Mógłbym coś tu o tym opowiedzieć! – wtrąca się Rosenfeld.

Czuję nagłą falę wdzięczności. Kochany Pudge. Zawsze gotów spieszyć nam na ratunek.

Pewnej nocy, już po ich wyjeździe, słyszę, jak rozbija się po korytarzu. Potem nagle huk, łomot, krzyk. Wyskakuję z łóżka i pędzę do niego. Leży na samym dole, jest cały poobijany. Klękam przy nim, kładę jego głowę na swoich kolanach.

– Nic ci nie jest? Co ty wyprawiasz?

– Nie zdarzyło mi się spaść z tych schodów od dobrych czterdziestu siedmiu lat – szepcze słabo. Uśmiecha się na widok moich łez. – A więc jednak mnie kochasz – mówi. Jego oczy bez szkieł wydają się takie małe. – Georgio, wyjdź za mnie.

Muskam ustami jego czoło. Czuję zapach starości.

– Spadłeś z tych schodów tylko po to, żebym się zgodziła?

– Nie, ale to dobry pomysł.

– Chodź. Zaprowadzę cię do łóżka.

Pomagam mu wstać. Gdy przenosi ciężar na kostkę, wyrywa mu się okrzyk bólu.

– Ale ze mnie staruch – stwierdza z obrzydzeniem.

– Wcale nie – szepczę czule.

Otaczam go ramieniem i wspinamy się razem po schodach.

– Wyjdź za mnie – mówi znowu, gdy już prawie jesteśmy na półpiętrze.

– I będziemy mieszkać w swoim mieszkaniu – odpowiadam.

– Tym na Pięćdziesiątej Ósmej.

– Właśnie. Albo jeśli dalej będzie nam tak dobrze szła sprzedaż obrazów, to może wynajmiemy coś w tym nowym Sheltonie.

– Cokolwiek zechcesz. Jak zawsze.

– tak gadasz – mamroczę, ale nie złośliwie. – A jednak było coś, czego bardzo chciałam, a ty mi nie dałeś.

Czuję, jak się odrobinę kuli.

Ósmego grudnia płyniemy promem przez rzekę Hudson do New Jersey. Zgodziłam się w końcu, ale nie możemy pobrać się w Nowym Jorku, bo Stieglitz jest rozwodnikiem.

– New Jersey to o wiele odpowiedniejszy stan na tak ważne wydarzenie życiowe – mówi.

– Bo urodziłeś się w Hoboken.

– Ożeniłbym się z tobą, nawet gdybym się musiał w tym celu czołgać do Kanady.

– Oj, przestań – mówię ze śmiechem.

– Wiesz, że tak jest.

Pada, niebo zsuwa się do morza, ni to kapuśniaczek, ni to mgła. Wszechogarniające szarości.

W porcie odbiera nas Marin. Mam mokre dłonie. Czuję, jak zimna woda wcieka mi do rękawów. Na drodze jest ślisko. Marin odwraca się, żeby spytać mnie żartem, czy jestem gotowa zostać panią Stieglitzową, i być może to moja mina sprawia, że trochę za długo zatrzymuje na mnie wzrok. Opona ślizga się w kałuży, samochód odbija w bok, pędzi w stronę jakiegoś wózka z jedzeniem. Marin szarpie kierownicą, żeby wrócić na jezdnię, ale robi to zbyt mocno, zbyt szybko. Wali po hamulcu, ale już za

późno. Mam tylko czas, by chwycić mocno ramię Stieglitza, gdy wirujemy po ulicy, i zaraz potem uderzamy w latarnię.

Na szczęście nic się nikomu nie stało. Żadnych poważniejszych obrażeń. Wyłazimy z rozbitego samochodu i śmieję się, że coś takiego musiało nam się przytrafić. Oto usiłujemy zrobić coś jak porządni ludzie, a tu same niebiosa dają nam prztyczka w nos.

Po całym zamieszaniu z policją i świadkami przełazimy po potrzaskanych szybach i idziemy piechotą w deszczu do sklepu, w którym sprzedawca śrubokrętów, papieru ściernego i gwoździ jest też sędzią pokoju.

Trzy dni później, jedenastego grudnia, wracamy do Cliffside Park. Naszym świadkiem jest Marin. Wciąż ma jeszcze siniaka na skroni w miejscu, gdzie rąbnął w drzwi samochodu. Lśniąca, niebieska skóra. Tak jak postanowiliśmy, żadnej ceremonii. Żadnego wesela. Żadnych obrączek.

Jeszcze na promie powiedziałam Stieglitzowi, że nie będę mu przysięgać „miłości, szacunku i posłuszeństwa". Zaczął się ze mną spierać.

– Nie widzę powodu – wyjaśniłam krótko.

– Ale na tym polega małżeństwo – upierał się.

Wiatr porywał z fal całe snopy kropel.

– Wiesz dobrze, że nie mogę ci obiecać posłuszeństwa, Alfredzie. Za to właśnie mnie pokochałeś.

Delikatnie przycisnęłam palce do jego ust, aż w końcu się uśmiechnął.

VIII

Małżeństwo niewiele zmienia. Wszystko toczy się po dawnemu dokładnie tak, jak mu mówiłam, że będzie, z wyjątkiem tego, że męczą mnie formalności, które nie mają nic wspólnego z tym, czym jestem. Zła jestem na niego, że mnie do tego zmusił, i jeszcze bardziej na siebie, że się zgodziłam. I może w ramach buntu przeciw temu wszystkiemu idę i maluję miasto nocą na Czterdziestej Siódmej, przy hotelu Chatham. To duży obraz – tak wielki jak moje kwiaty – linie budynków krzywe i mocne, latarnia, czerwone okrągłe światło, księżyc na wpół schowany za nocnymi chmurami.

Ten obraz jest pełen życia i wiem o tym. Mówię Stieglitzowi, że zamierzam włączyć go w swoją część wystawy *Siedmioro Amerykanów.*

– To zły pomysł – twierdzi. – Nawet mężczyźni nie potrafią jeszcze malować miasta. Wystarczy, że spróbujemy wprowadzić twoje kwiaty.

Kłócimy się o to zawzięcie, spór wciąż wisi w powietrzu, wybucha podczas kolacji w restauracji Joe's i gdy wracamy do domu z Metropolitan Opera. Do szału go doprowadza to, że się z nim nie zgadzam. Chce mieć już święty spokój, ale ja nie odpuszczam. To mój obraz i chcę, żeby wisiał w mojej części wystawy. Przypomina mi, że nie do mnie należy decyzja, jestem

tylko jednym z siedmiorga artystów, którzy biorą udział w tej wystawie. Musimy robić to, co najlepsze dla wszystkich.

– I do kogo niby należy ostatnie słowo? Rozumiem, że do ciebie?

I tak się to ciągnie bez końca. Mówi mi, że Seligmann przyprowadzi do galerii znanego czarnego pisarza Jeana Toomera. Mamy się tam z nimi spotkać, a potem pójść razem na kolację, ale mam już dość tej paplaniny przy Okrągłym Stole, postanawiam więc wymyślić jakąś dobrą wymówkę, może migrenę, i wymigać się od tej kolacji. Kiedy jednak poznaję Toomera, natychmiast zmieniam zdanie. Wygląda zupełnie inaczej niż wszyscy. Jest przystojny, niesamowicie przystojny – odrobinę nieregularne rysy, akurat na tyle, by intrygować. Mówi z niewymuszoną elokwencją. Ma przenikliwe spojrzenie i ten wyjątkowy, opalizujący odcień skóry. Od roku nic tylko słyszę jakieś plotki o tym człowieku. Jakoby kiedy był u Walda Franka, od razu uwiódł mu żonę, Margaret. Ponoć rzuciła Franka i zamieszkała w Nowym Jorku z Toomerem.

W pewnej chwili, gdy siedzimy już przy stole, a mężczyźni skupieni są na rozmowie, czuję nagle czyjeś spojrzenie na twarzy. To Jean – przygląda mi się przez cały stół. Patrzę mu w oczy, a on nie odwraca wzroku. Idzie potem z nami do mieszkania, zostaje do drugiej nad ranem. Nie kładę się spać, tylko rozmawiam z nim, a gdy w końcu wychodzi, moje ciało jest zmęczone, ale umysł wciąż buzuje od rozmowy.

Idę do sypialni, zaczynam się rozbierać. Stieglitz siedzi na skraju łóżka, zdejmuje buty.

– Przystojny mężczyzna – mówi. – Prawda?

Nie odpowiadam. Patrzy na mnie, powietrze na chwilę zamiera.

Jestem na niego wściekła. W dzień otwarcia naszej wystawy w Anderson Galleries okazuje się, że wszyscy mężczyźni, co do jednego, popierają go i uparli się, że nie powiesimy mojej *Nowojorskiej ulicy z księżycem*. Wiem, że teraz już za późno, ale obiecuję sobie, że nigdy więcej nie będzie mi mówił, co mam, a czego nie mam wieszać. Po obu stronach wejścia nasze portrety namalowane przez Demutha. Potem drapacze chmur i pejzaże morskie Marina. Za nimi moje wielkie petunie, zbliżenia na części maszyn Stranda i kolaż luster, sprężyn, piasku i włóczki Dove'a. Te ostatnie nieco, delikatnie mówiąc, szokujące.

Wystarcza kilka dni, by nasz samochwalczy katalog rozsierdził krytyków. Postanawiają nas zniszczyć. Mieszają z błotem wszystkie prace mężczyzn, poza Stieglitzem, którego chmury nadal im się podobają. I są zachwyceni moimi kwiatami – imponującym atakiem ich barw. Z prawdziwą przyjemnością czytam w „The New Republic", jak Edmund Wilson wychwala „ostre jak brzytwa krawędzie" moich liści.

Stieglitz jednak jest w furii, bo przecież źle potraktowano pozostałych.

– Wszyscy ci krytycy są funta kłaków warci! – grzmi. – Ignoranci i zdrajcy.

W jednej z recenzji pojawia się stwierdzenie, że w moich pracach z tego roku wyczuwa się coś „klinicznego". I to właśnie tę recenzję napisała kobieta. Gdy to czytam, czuję ucisk w żołądku. Ma rację. W moich pracach czai się to wycofanie. W pewnym sensie to powstrzymywanie się jest gdzieś tam nawet w tych największych kwiatach. Tylko kobieta potrafi tak przejrzeć inną

kobietę, przemyka mi przez głowę, ale natychmiast zduszam tę myśl.

Niecały tydzień po otwarciu wystawy Stieglitz zapada na ostry atak kamicy nerkowej. Jest zbyt chory, by iść do galerii.

– Ale przecież muszę tam być! – denerwuje się.

– Musisz wyzdrowieć.

– Nigdy jeszcze nie opuściłem ani jednego dnia swojej wystawy.

– Zdrowiej jak najszybciej, żebyś nie opuścił jeszcze więcej.

Snuje się nieszczęśliwy po domu. Pisze miażdżącą odpowiedź na recenzję McBride'a, który w „The New York Sun" naśmiewał się z „superreklamy" grupy Stieglitza. Stosujemy ją jakoby, żeby zwrócić na siebie uwagę. Gdy wracam tego wieczora z galerii do domu, zwija się z bólu. Nie chce iść do lekarza. Nie chce brać morfiny. Dzwonię do Idy, która każe mu wypić ze dwa litry maślanki.

– Nie znoszę mleka – gdera, gdy mu o tym mówię.

– To nie mleko, to maślanka.

– Nieważne, też jest z mleka.

Nalewam mu pół szklaneczki, ale on sięga po butelkę i wypija ją duszkiem.

– Mam za dużo roboty, żeby sobie zawracać głowę jakimś kamyczkiem.

Nie mija nawet dzień, a on w wielkim bólu rodzi dziwacznie powyginany kamień. Wyławia go z toalety i wyrzuca przez okno.

IX

Tego lata nad jeziorem zaczynam jeść osobno. Zbieram rukiew i sałatę z ogródka, drę je, wrzucam do miski z czosnkiem i cebulą, a potem wychodzę na dwór i jem na werandzie, patrząc na wodę.

Budzę się przed świtem, gdy księżyc jest jeszcze wysoko – jego światło takie gładkie i nieruchome. Płynę łódką na wyspę. Jest tu stara brzoza, którą chcę odwiedzić – kilka splecionych razem smukłych pni. Maluję z pół tuzina obrazów tego drzewa. Na wielkich płótnach próbuję oddać jego harmonię, równowagę pnia i liści. Nie zamierzam ich wcale pokazywać – tych moich drzew – na wystawie w zimie. Zaczynam rozumieć, że są takie prace, które chcę pokazać światu, i takie, które chcę sobie zatrzymać. To dla mnie ważne. Jakby tak miało być. Ta prosta, ale bardzo jasna granica.

W domu jesteśmy tylko my ze Stieglitzem i Rosenfeldem. A potem jesienią przyjeżdża do nas Jean Toomer z Margaret Naumburg. Wracam znad jeziora, gdy widzę ich na wzgórzu – Toomera i Margaret ze Stieglitzem. Stoją na trawniku i rozmawiają. Stieglitz pokazuje coś na jeziorze, potem wskazuje coś wyżej – to jego szerokie machnięcie ręką, gdy snuje jakieś prastare historie o powstaniu jeziora albo rodzinne opowieści o tym, jak Stieglitzowie odkryli to miejsce przypadkiem, gdy wracali

z Saratogi, kupili ziemię, potem jeszcze więcej, potem część sprzedali, część zdołali utrzymać i tak dalej. Gdy tak idę w ich stronę, Jean pierwszy mnie zauważa, unosi rękę, uśmiecha się – tym swobodnym, szczęśliwym uśmiechem. Pozostali milkną. Wymieniamy jakieś nic nieznaczące grzeczności. Potem Margaret i Stieglitz podejmują swoją rozmowę.

Stoję przy Jeanie, na tyle blisko, że jest jasne, że robię to celowo. Jego skóra lśni takim światłem, którego chce się dotknąć. Którego ja chcę dotknąć. Podnosi wzrok i zatrzymuje go chwilę na mojej twarzy.

Tak jak Rosenfeld przyjechał pracować, pisać, ale przez następne kilka dni Stieglitz nieustannie go fotografuje – siedzącego na skale przy białych różach, z łokciami opartymi na kolanach, w płaszczu i rozchylonej koszuli. Wieczorami rozmawiamy o jego pisarstwie, o jego powieści *Trzcina* i o tym, nad czym teraz usiłuje pracować. Rozmawiamy o szkole, którą Margaret założyła w 1914 roku. Margaret nie wierzy w proste przyswajanie wiedzy. To zbyt ograniczające, argumentuje. Edukacja powinna skupiać się na dziecięcej zdolności do myślenia, na kreatywności. Ma za sobą To Małżeństwo z Frankiem (tak o tym mówi: To Małżeństwo). Gdy tylko się rozwiodła, zrezygnowała ze stanowiska dyrektorki szkoły. Nawija na palec brązowe włosy i wyjaśnia nam, że nagle poczuła przemożną potrzebę wyrwania się ze wszystkich struktur, żeby móc się skupić na tym, kim jest i czego chce każdego dnia. Gdy to mówi, posyła mi to spojrzenie, jakbym ja, kobieta, miała ją zrozumieć. Nic nie mówię.

Gdy kończy się płyta i podchodzę do gramofonu, żeby włączyć następną, zauważam, że położyła głowę na jego ramieniu. Jej dłoń leży na jego kolanie, ich palce splecione razem. Stieglitz mówi, Rosenfeld i Jean potakują z powagą, jak to akolici mają w zwyczaju. Trzymam w dłoni cienką twardą płytę i wpatruję się w te jej blade palce. Nagle stają mi przed oczami ich ciała, razem, gdy pierwszy raz ją pocałował, rozebrał w domu jej męża, jej bladość, błysk jego skóry. Kończy się płyta. On ją podnosi, stawia na nogi, obejmuje w talii i prowadzi na wpół śpiącą korytarzem w stronę schodów. Ich czułości aż bolą. Ich chichoty, spojrzenia. Nie mogę się im oprzeć. Pewnego popołudnia widzę ich w korytarzu, gdy myślą, że są sami. On sunie palcem po jej piersi, dotyka materiału sukni. Ona chwyta jego dłoń, strąca ją.

Zabieram ich na spacer na górę Prospect. Stieglitz zostaje w domu, boi się, że suchy kaszel, który go męczy od jakiegoś czasu, może pod wpływem wysiłku przejść w coś gorszego. Robimy sobie piknik na łące na górze. Każę im iść oglądać chmury napływające nad jezioro, a sama zabieram się do pakowania talerzy, widelców i serwetek. Pada na mnie cień.

– Gotowa? – pyta.

Wyciąga rękę, pomaga mi wstać. Czuję, jak ciągnie mnie przez powietrze. Rosenfeld i Margaret idą w naszą stronę przez kwiaty, gadają, śmieją się. Jego palec głaszcze moją dłoń.

– Uważaj – szepczę z uśmiechem i zabieram mu dłoń.

– Na co? – pyta lekko.

Patrzę na jego usta. Chcę je pocałować. Niewybaczalne.

Kręcę głową ze śmiechem.

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

Tej samej nocy widzę ich z okna u góry. Ich cienie długie, falujące na trawie. Kłócą się, niskie, zduszone głosy, wiatr porywa słowa. Nagle ona odwraca się raptownie i rusza w stronę domu. On wyciąga dłoń, łapie ją za ramię, ale ona wyrywa mu się i odchodzi. Widzę jej twarz, wykrzywioną z bólu, mokrą od łez. Drzwi na dole zamykają się, a on zostaje na zewnątrz. Tkwi tam jeszcze dobre pół godziny, na dworze, po ciemku. Siedzi na trawie, patrzy przed siebie, a z nieba spada deszcz gwiazd – całe ich tysiące. Chyba w ogóle ich nie zauważa.

Kiedy następnego dnia rano wracam ze spaceru, siedzą na werandzie, wszyscy z wyjątkiem Jeana. Margaret wygląda na zmęczoną, ma opuchnięte oczy. Siadam na schodach, a Rosenfeld beztrosko podpytuje mnie o moje drzewo.

– Bardzo lubię drzewa, bo się nie ruszają i nie pyskują.

– I nie zadają pytań? – dopytuje.

– Otóż to.

Śmieje się.

– Jesteś wspaniała – zachwyca się.

Z domu wychodzi Jean. Rosenfeld, dżentelmen jak zawsze, wstaje, żeby mu ustąpić miejsca.

– Dziękuję – mówi Jean. – Mnie wystarczą schody.

Siada na drugim końcu mojego schodka. Patrzę na trawę tuż za cieniem, który rzuca dach. Pas ciemniejszej zieleni oddzielający strefę domu od otwartej przestrzeni należącej do słońca. Między Jeanem a Margaret coś się zmieniło. To widać. Nie pocałował jej na powitanie, gdy wyszedł na werandę. Milczy, patrząc na okoliczne dzieciaki u stóp wzgórza. Stieglitz coś mówi, Margaret wybucha śmiechem – nieco wymuszonym.

– Chciałabym zobaczyć to wasze boisko do krokieta w szklarni – mówi Margaret.

– Doskonały pomysł – zapala się Stieglitz i odchodzą, Rosenfeld za nimi.

Jean wyciąga nogę, na jego twarzy cichy uśmiech, taki, który pojawił się zupełnie bez powodu. Czuję, że serce mi wali. Bawię się nitką przy bucie. Siedzimy tak w nagle niezręcznej ciszy.

Mówię coś na temat ładnej pogody, odpowiada czymś równie nieważnym. Przypomina mi się, jak ich widziałam z Margaret, jak dotknął jej piersi, niemal to widzę, jakby nadal się działo: jego palec przesuwający się powoli w dół, potem ciągnący za dekolt, jakby miał ją rozebrać tam na korytarzu.

– Wyjeżdżasz jutro? – pytam od niechcenia, ale nie wypada to jakoś tak, jak chciałam.

Spogląda na mnie i wtedy to widzę – nieskomplikowany niczym ogień. Czuję nagłe drżenie rąk. On naprawdę nie uświadamia sobie, że to może być błąd – to coś między nami, co jest niczym, ale zdaje się czymś, ta nienazwana, dryfująca bliskość, którą ktoś może zauważyć.

Bije zegar.

– Może chodźmy do nich do szklarni? – proponuję.

Nie odpowiada. Wiatr ustał. Powietrze jest lekkie, przezroczyste.

Zdejmując pościel w ich pokoju, znajduję jego pióro, które wturlało się pod łóżko. Jest złote, zimne. Czuję, że serce szybciej mi bije. Myśl o nim, o jego twarzy – jakie by to było uczucie, gdyby ta twarz znalazła się nad moją, jego skóra na mojej, dzikie wiry w moim ciele. Potem te myśli o nim przenoszę na płótno w postaci

drzewa – przelewam to pożądanie w kolory, liście, pień, gałęzie, połączone niewidzialną siłą.

To tylko linie, mówię sobie, gdy wyciskam farbę na paletę – jasne plamy kolorów, światło odbija się od szkła. To tylko linie – i kąty między nimi. A jednak kryje się w nich jakiś duch.

Kończę malować, szoruję paletę, aż szkło jest zupełnie czyste, nieskazitelne, i mogę wymazać wszystkie te myśli.

W październiku Stieglitz pracuje samotnie w swoim Małym Domku. Wywołuje trzysta pięćdziesiąt fotografii chmur. Tytułuje je *Ekwiwalenty*.

– Podarłem ze trzysta zdjęć – mówi. – Zachowałem tylko te, które wyrażają prawdziwe uczucie. Pozostałe były piękne, ale nic poza tym.

Wywołuje też kilka moich zdjęć. Jej twarz zaczęła się zmieniać. Pojawiła się zmarszczka między brwiami, usta są bardziej zaciśnięte, kąciki opadają lekko. To już inna kobieta. Ma stanowczy wzrok, wzrok Spartanki – zniknął gdzieś tamten spokojny radosny błysk, a zamiast niego pojawiło się spojrzenie tak surowe, że niemal okrutne.

Już wtedy to zauważyłam. Raz jeden, tylko przez chwilę. Teraz wiem, że powinnam była się temu przyjrzeć uważnie. Zastanowić się, co oznacza ta surowość, jaką historię opowiada.

Gdy spogląda się wstecz na swoje życie, zawsze widzi się te chwile – czy to prawdziwe, czy wymyślone, po latach nagle tak zupełnie oczywiste – kiedy stało się na rozdrożu, kiedy można było dokonać innego wyboru. I wie się już wtedy, jak wysoką cenę zapłaciło się za ten wybór.

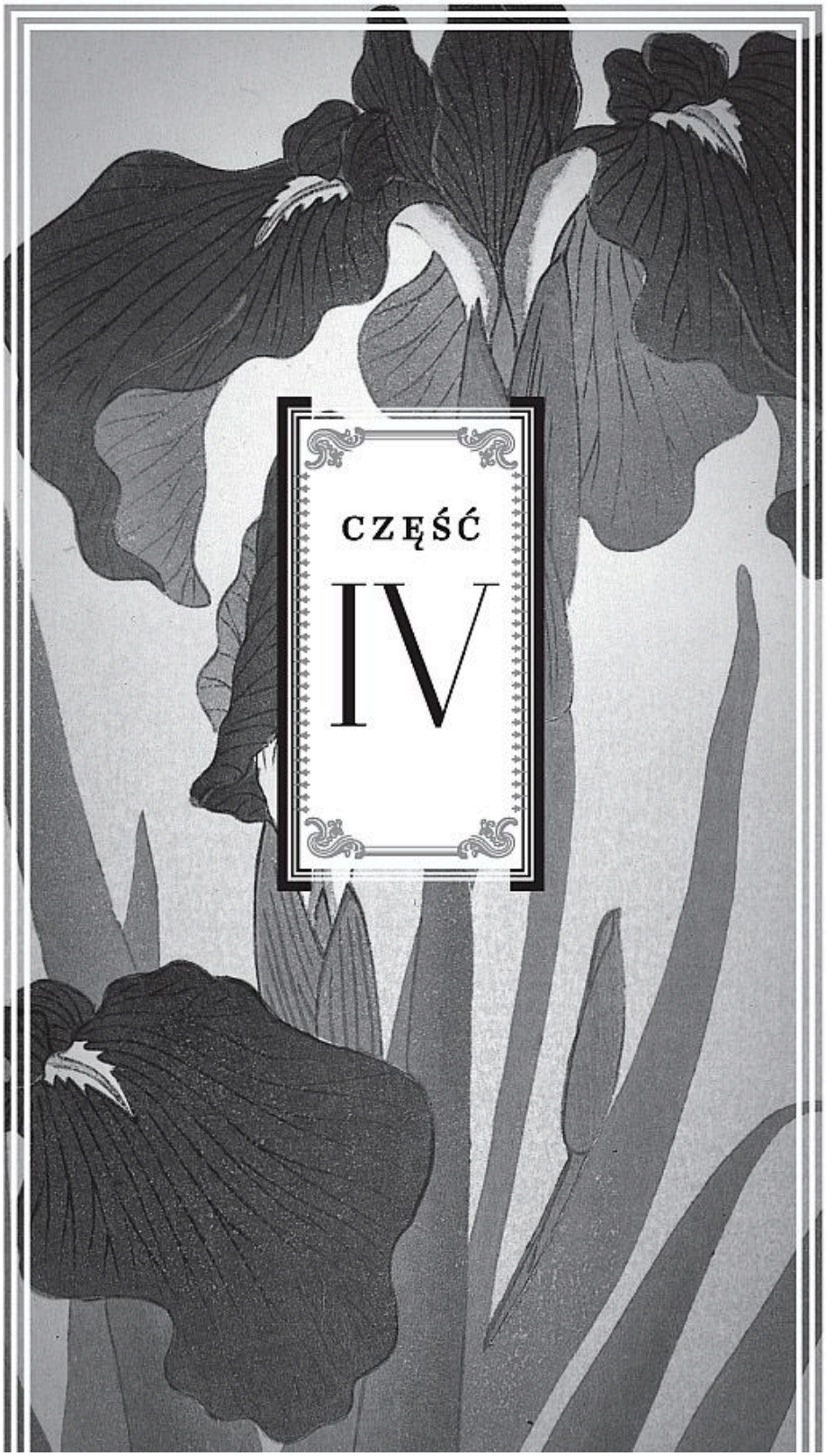

CZĘŚĆ IV

I

Tej jesieni – 1925 roku – gdy wracamy do Nowego Jorku, wprowadzamy się do nowo otwartego hotelu Shelton. W holu naprzeciwko recepcji stoi drewniany Indianin naturalnej wielkości. W hotelu znajduje się biblioteka, solarium i nawet basen olimpijski. Jest restauracja, w której jemy, w każdym pokoju kominek, a na dachu na wiosnę otwierają taras.

Płacimy za to ze sprzedaży moich obrazów.

Idąc pod rękę, oglądamy apartament na jednym z najwyższych pięter. Wysokie sklepienia, wielkie okna wychodzące na mozaikę budynków i ulic. Widać nawet iglice katedry Świętego Patryka. Na takiej wysokości czuć ledwie zauważalne bujanie stali na wietrze.

– Idealne miejsce! – stwierdzam.

Wynajmujemy apartament tylko na te miesiące, kiedy jesteśmy w mieście. Obsługa hotelowa zajmuje się pracami domowymi, mam więc mnóstwo czasu na malowanie.

Sypialnia jest malutka. Udaje nam się wcisnąć łóżko, biurko, jego ukochany fotel. W ciągu dnia salon pełni funkcję mojego studia. Każę ściany pomalować na szaro, a meble obić na biało. Żadnej dekoracyjnej tandety, nic, co by mnie rozpraszało – tylko kilka muszli i kamieni w małych stertach na kominku

i parapecie. Stieglitz chce, żebyśmy mieli zasłony. Wybijam mu to z głowy.

– Tu jest cudownie – mówię mu pewnego poranka.

Właśnie skończyliśmy się kochać, leżymy razem pod kapą, wiatr smaga okna, szyby aż się uginają, ten hałas, ta przestrzeń, z każdej strony niekończące się odległości.

– To trochę tak, jakbyśmy byli w mieście i jednocześnie w nim nie byli. Ty możesz mieć swoje ukochane miasto, a ja mogę sobie tu mieszkać w niebie.

Pomagam mu dopracować nowe miejsce, które wynajmuje w Anderson Galleries. Nazwiemy je po prostu Pokój. Zasłaniam czarne welurowe ściany jasnym muślinem – naturalne światło odbija się od tkaniny i pokój staje się lekki, wolny. Gdy w końcu wszystko jest gotowe, Stieglitz spędza tam całe dnie, dopieszczając instalację Marina, która ma stanowić pierwszą atrakcję sezonu.

Między nami panuje czysty, cudowny spokój. Śniadania i kolacje jemy razem w hotelowej restauracji. Pracuję samotnie w mieszkaniu. Robię kilka szkiców miasta ołówkiem, potem serię olejów na ten sam temat. Maluję aż do zmierzchu, a jeśli dzwoni telefon, podnoszę tylko słuchawkę i mówię, żeby – kimkolwiek jest – oddzwonił, gdy już nie będzie światła do malowania.

II

Blanche Matthias zaproponowała, że napisze o mnie w „The Chicago Evening Post”. Przychodzi do mnie do mieszkania zrobić wywiad. Stieglitz twierdzi, że jej artykuł nie będzie miał większego znaczenia, bo pojawi się dopiero na początku marca, kiedy już prawie będziemy zamykać wystawę. Ale Blanche zawsze budziła moją sympatię. To nieprzeciętna osoba, bardzo zamożna, ale uczciwa. Dużo podróżuje, zwiedziła Orient i Europę. Zawsze ją lubiłam, nie tylko jako osobę, ale także jej poezję i eseje o sztuce. Uważam, że taki wywiad to dla mnie prawdziwa szansa. Siedzimy same w salonie, ona z notesem i piórem w dłoni. Zaczyna od pytania, co myślę o kobietach i sztuce.

– Nie było nas dużo – mówię. – Po prostu robimy wszystko inaczej niż mężczyźni, przez co mężczyźni nie rozumieją i nie czują tego, co robimy. To dlatego, że jest to tak odmienne.

Wyjaśniam jej, że być może dlatego pisano o mnie tak, a nie inaczej, gdy tymczasem próbuję tylko powiedzieć coś poprzez kolory i kształty, coś, co ma dla mnie znaczenie, co jest dla mnie pełne życia.

– Taka jest prawda, ale nie chce mi się kłócić i przekonywać, bo czas poświęcony na narzekanie mogłabym przeznaczyć na pracę.

Pyta mnie, jak pracuję. Opowiadam jej, jak robię sobie notatki na temat każdego koloru, który wybieram. Każdy pozostaje

w określonym stosunku do życia. To właśnie maluję.

– To przypomina Kandinskiego.

– Jest taki teoretyczny. Porównuje odcienie do tonacji i twierdzi, że każda barwa wywołuje określoną wibrację ducha. Tymczasem w sztuce ważniejsze jest odczuwanie. Chodzi mi o to, żeby osoba patrząca na obraz, który namalowałam, czuła to, co pchnęło mnie do jego namalowania. Kiedy maluję kwiat, nie maluję go tak, jak go widzę, ale ważna jest dla mnie jego istota. Eliminuję wszelkie nieważne szczegóły. Maluję go tak, jak chcę, by go odczuwano.

Zapisuje coś w notesie, potem odwraca kartkę i pyta, czy jestem przedstawicielką ekspresjonizmu.

Tym mnie rozśmiesza.

– Ten termin do mnie nie pasuje. Ani żaden inny. – Opowiadam jej, jak to wszystko się zaczęło, gdy pracowałam jeszcze jako nauczycielka w niewielkiej szkole w Karolinie. – Pewnej jesieni wyciągnęłam wszystkie co lepsze prace, które dotąd zrobiłam. Rozłożyłam je wokół siebie, przeanalizowałam i w każdej z nich widziałam wpływ takiego czy innego nauczyciela albo artysty. I dotarło do mnie, że nigdy nie zrobiłam niczego oryginalnego. Spakowałam więc to wszystko, odłożyłam farby i siadłam na podłodze z samym tylko papierem i węglem. Przez kilka tygodni byłam jak odurzona, w głowie wirowały mi kształty, które były dla mnie ważne. Gdy skończyłam, spojrzałam na to, co zrobiłam, i stało się dla mnie jasne, że to coś nowego.

– Bunt.

– To nie było nic tak wielkiego. I w pewnym sensie to właśnie było wspaniałe w tamtym okresie mojego życia. Nie robiłam tego dla nikogo ani w reakcji na nikogo. W tamtym pokoju byłam

sama. Byłam nikim. Byłam tymi kształtami, tamtym papierem, węglem. A potem zwinęłam te szkice i wysłałam je do przyjaciółki, która mieszkała w Nowym Jorku.

Zapisuje to w swoim notesiku, jej pióro dosłownie fruwa nad papierem, potem zamiera, podnosi wzrok, czeka. Przez okno za nią widzę, że zapadł już zmierzch, a niebo jest tego mocno fioletowego koloru, który tak lubię. Pokój jest niemal pusty. Mieszkamy tu od trzech miesięcy, ale na ścianach mamy tylko jeden obraz, Dove'a. Czerwony kwiat w wazonie, jedyna plama koloru. W chłodniejsze dni Stieglitz co rusz zaczyna coś tam gderać o tym, że przydałyby się zasłony, że przez okna wpada ziąb. Czy powinnam jej powiedzieć, że jestem pejzażystką, która stała się sławna tylko dzięki temu, że ktoś jej narobił zdjęć? Że gdy moja sztuka wreszcie dotarła do ludzi, natychmiast została zniekształcona przez krytyków, którzy widzą w niej, co im się żywnie podoba, tylko nie to, co jest namalowane? Mam to wszystko na końcu języka. Moje dłonie leżą na podłokietniku kanapy. Wciskam je w nią, napinam mięśnie, trzymam się jej mocno, ale tego nie widać.

Zamiast tego wyjaśniam jej, że to, co pisano o moich pracach, więcej mówi o tych, którzy pisali, niż o mojej sztuce.

– Już wcześniej pani o tym wspomniała – zauważa. – Mam o tym napisać?

– Tak, proszę wziąć to pod uwagę.

Nie zapisuje tego. Wciąż na mnie patrzy, ciekawie, jakby coś rozpakowała, ale nie była pewna, co z tym teraz zrobić.

– Co?

Kręci głową.

– No, proszę mówić – zachęcam ją.

– Jest pani bardzo odważna – odpowiada.

– Nie za bardzo.

– Ma pani odwagę malować to, co pani czuje. – Jej pióro znów sunie po papierze. Chwila ciszy. – Było takie pani zdjęcie... jedno z tych pierwszych, zrobione nad jeziorem George. Pani stoi, za panią niebo.

Kiwam głową. Tamtego dnia zrobił mi tyle zdjęć. A jednak od razu wiem, o którym ona mówi.

– Jest w nim coś niesamowitego – ciągnie. – W wyrazie pani twarzy jest ta czysta dzikość, którą odnajduję także w pani obrazach.

Unoszę dłoń, żeby ją powstrzymać.

– Nie mam nic do powiedzenia na temat tych zdjęć.

– Słucham?

– To nie ja je zrobiłam.

Zdezorientowanie na jej twarzy. Zaskoczyła ją ta nagła surowość w moim tonie.

– Ostatnie pytanie – mówi.

– Tak?

– Stieglitz? – pyta ostrożnie, chyba niepewna, czy w ogóle powinna iść tą ścieżką. – Mówi się o nim, że to filozof, czarnoksiężnik, mistrz, odkrywca Marina, przyjaciel Einsteina.

Uśmiecham się do niej.

– Jaka jest pani opinia o Alfredzie Stieglitzu?

Zmrok za oknem już o ton głębszy, zbliża się do indygo. Mam tę kobietę niemal za przyjaciółkę, sojuszniczkę. Siedzimy tu już dobrą godzinę i prawie czuję zarysy tekstu, który napisze. To, co

napisze o mojej pracy, to będzie właśnie to, co chciałabym, żeby ludzie wiedzieli. To będzie taki tekst, który powinien być potem cytowany. I dlatego odpowiadam na jej pytanie w ten sposób:

– Moim zdaniem Stieglitz jest przede wszystkim genialnym artystą, którego fotografie przemieniły amerykańskie rozumienie sztuki współczesnej. – Nie patrzę na nią. Chcę, żeby dotarły do niej tylko słowa, a nie to, co mogą zdradzać moje oczy. – Ale zarazem nigdy nie dał sobie czasu, by osiągnąć wielkość. Poświęcił życie dla innych. O swoich artystów walczy bez wytchnienia, walczy o to, byśmy mieli czas i przestrzeń do pracy, walczy o integralność i przyszłość sztuki, zmagając się z siłami politycznymi i innymi, które próbują tę sztukę zniszczyć.

I dopiero wtedy na nią patrzę.

– Bardzo proszę to napisać.

Moja wystawa zaplanowana została na drugi tydzień lutego 1926 roku. Stieglitz znów nie chce powiesić moich miejskich obrazów. Mówi, że nie podobają mu się tak bardzo jak moje kwiaty. Kwiaty mają przynajmniej kolory, choć z kolei bywają zbyt ładne, zbyt lekkie, a nie lubi, gdy ludzie mówią o mojej sztuce, że jest ładna, bo moja sztuka to nie ładność, to coś o wiele więcej.

– Rozumiesz, co mam na myśli, gdy mówię o „ładności”? – pyta, jakby zupełnie już nie pamiętając, że rozmowa zaczęła się od moich pejzaży miejskich.

Mówię mu, że nic mnie nie obchodzi, czy moje kwiaty są ładne czy nie. Znaczą dla mnie to, co znaczą. Maluję je, bo czuję taką potrzebę. I nic mnie nie obchodzi, co inni myślą o moich miejskich pejzażach, ani to, że mężczyźni twierdzą, iż oszalałam, bo porywam się na coś tak trudnego.

– Nic mnie to nie obchodzi, bo kiedy patrzę przez to okno i widzę miasto i rzekę, to dosłownie w tej chwili to właśnie chcę malować.

– I właśnie o to mi chodzi – atakuje. – Takie rzeczy powinny cię obchodzić.

Słyszy tylko to, co chce słyszeć, i pomija milczeniem to, o co naprawdę chodzi w naszej kłótni – że to on powinien decydować, co zostanie wystawione, nie ja.

– W tym roku włączam do wystawy moje miejskie pejzaże – oświadczam.

Przypominam mu, że mylił się co do moich kwiatów. Że gdy mu je po raz pierwszy pokazałam, uznał, że to jakaś „głupota", i powiedział, że nikt tego nie będzie kupował. A potem jak nas one zaskoczyły – i to nas oboje – bo przecież to one właśnie sprawiły, że nagle stać nas było na Sheltona.

Ściany Pokoju promienieją moimi pracami. *Nowojorska ulica z księżycem* sprzedaje się już pierwszego wieczoru. Za tysiąc dwieście dolarów. Obrazy kwiatów są wprost rozchwytywane. W ciągu kilku pierwszych tygodni zarabiamy dziewięć tysięcy dolarów. Stieglitz nie posiada się z radości, przedłuża wystawę do marca.

Wsiadam do pociągu i jadę do Waszyngtonu, gdzie mam wygłosić mowę na kolacji zorganizowanej przez Narodową Partię Kobiet. Zaproponowała mi to moja przyjaciółka, Anita Pollitzer, i ogromnie się ucieszyła, gdy się zgodziłam przyjechać. Na sali jest pięćset kobiet – morze twarzy. Mówię im, że to ważne, by zarabiać na swoje utrzymanie, by ciężko pracować, by myśleć

o sobie jako o niezależnej jednostce, która ma swoje przywileje i obowiązki, a jednym z najistotniejszych jest samorealizacja.

Kiedy wracam do Nowego Jorku, Stieglitz przysysa się do mnie. Kocha się ze mną w naszym pokoju, a wolna noc wlewa się przez okna. Wodzi ustami po wnętrzu moich ud, całuje to miejsce między moimi nogami, aż krzyczę i wciskam twarz w poduszkę, mój umysł wymazany, bez tchu. Osuwa się na mnie. Wbijam palce w jego plecy, wciągam głębiej. Potem leżymy razem, trzyma w dłoniach moją twarz, odgarnia kciukami mokre włosy, które przylepiły mi się do policzków.

– Kiedy cię nie było, godzinami wałęsałem się po ulicach – mówi. – Nie wiem, czemu tak jest, ale nie mogę tego znieść. Kiedy cię nie ma, nagle wszystko traci sens.

Drugiego marca w „The Chicago Evening Post" ukazuje się wywiad Blanche. To najlepszy tekst, jaki kiedykolwiek o mnie napisano.

– No, bez przesady – oponuje Stieglitz.

– I tylko spójrz, co napisała o tobie!

Pokazuję mu fragment, w którym słowo w słowo napisała to, co jej powiedziałam: o tym, że zrezygnował ze swojej kariery dla dobra innych artystów; o jego najnowszej serii fotografii – genialnych chmurach; o tym, że zasługuje na miano jednego z największych wizjonerów naszych czasów.

– Chcę zrobić kilka kopii tego wywiadu, żebyśmy mieli je zawsze pod ręką w Pokoju – mówię, ściskając jego dłoń, gdy po raz kolejny czyta ten fragment.

– To takie szlachetne z twojej strony, że powiedziałaś tak o mnie, Georgio. – Głos mu drży. Jest wzruszony.

– Trzeba zrobić dodatkowe kopie.

Patrzy na mnie przez chwilę. Jego oczy próbują zrozumieć tę podejrzanie nieugiętą pogodę mojego uśmiechu.

– Kopie – przypominam mu.

– Dobrze. Zrobimy kopie.

III

Maluję w kółko czarny irys, wpadając coraz głębiej w jego sekretne mroki. Nad jeziorem maluję paciorecznik, ale tym razem inaczej, na olbrzymim płótnie. To nie są już martwe natury. Są tak abstrakcyjne, że niemal nierozpoznawalne. Ich krawędzie wymykają się poza płótno, ale zawsze da się je nazwać. Bratek. Paciorecznik. Tulipan. Róża.

Stieglitz jest jakiś nieswój. Trochę czyta, wałęsa się po kuchni. Pewnego wieczoru, gdy sprząta po kolacji, zmywa, wyciera naczynia, a potem znów odstawia je na suszarkę, jakby jeszcze były mokre. Resztki jedzenia wrzuca do pojemnika na chleb. W końcu pakuje się do łóżka pod pretekstem bliżej nieokreślonej choroby i zaczytuje w przeszmuglowanym jakimś cudem egzemplarzu zakazanej książki Joyce'a pod tytułem *Ulisses*.

Nudzi mu się, a ja nie mam dla niego czasu. I chyba żeby się na mnie za to odegrać, zaprasza Evę Herrmann i Ethel Terryll, córki swoich starych przyjaciół. Przy nich natychmiast odzyskuje humor, jak to zwykle przy gościach. Wreszcie jest tak, jak lubi – otaczają go młode kobiety, które nieustannie chichoczą i są wniebowzięte, że je fotografuje. Zaczyna im robić akty, pierwsze akty od tamtych, które robił Beck. Flirtuje z kucharką, którą przywiozły ze sobą Lee i Lizzie. To młodziutka dziewczyna o imieniu Ilse, jasnych włosach, okrągłej twarzy i jeszcze

okrąglejszych piersiach. W wąskiej talii jest nieustannie przepasana czerwonym fartuszkiem. Pewnego dnia słyszę, jak jej mówi, że bułeczki, które upiekła, są przepyszne, że nigdy jeszcze nie miał w ustach czegoś tak maślanego i słodkiego.

– Mógłbym pochłonąć całą tacę takich bułeczek i dalej byłbym głodny – zapewnia ją.

Dom rozbrzmiewa jej dziewczęcym chichotem. Moje miejskie obrazy, pieniądze z ich sprzedaży i chyba najbardziej ten wywiad z Blanche zmieniły jakoś układ między nami. Powiedziałby na pewno, że nie ma w tym przecież nic złego – te dziewczęta to tylko taka rozrywka, kiedy ja jestem zajęta pracą – ale już to znamy, a w jego zachowaniu jest coś ostentacyjnego, celowego, co sprawia, że odczuwam to jak rodzaj kary.

Jest czwartek po południu, gdy do mojej chałupy przychodzi Eva Herrmann. Puka grzecznie do drzwi. Pospiesznie wkładam spódnicę. Było tak gorąco, że ją zdjęłam. Idę do drzwi i wpuszczam ją do środka. Ma taką ponurą minę, gdy przysuwa sobie stołek, siada, bierze mnie za rękę i mówi, że kiedy weszła przed chwilą do kuchni, całował kucharkę.

Wyrywam jej dłoń, szybko, stanowczo. I proszę, żeby wyszła. Wracam do pracy, mój umysł drży jak zacięta płyta. Odchylam się na taborecie. Drzwi są otwarte, niebo takie niebieskie, plamka światła na wzgórzu wydaje się tak idealna, że mam ją ochotę podrzeć na kawałki.

Zostawiam wszystko tak, jak jest – farby na palecie, pędzle na stole. Nie sprzątam. Tylko to dziwne uczucie w piersi, jak skóra naciągnięta na bęben. Idę w stronę domu. Jakieś poruszenie na werandzie – nowe głosy, dzieci. Dopiero teraz przypominam sobie,

że dziś miały przyjechać małe Davidsonówny. Elizabeth została w domu i wysłała je do nas same.

Próbuję je ominąć, wejść tylnym wejściem.

– A, jesteś, Georgio! – woła Lee. – Chodź tu, prosimy. Chodź przywitać się z dziewczynkami. Przygotowały coś dla ciebie.

Odwracam się i idę sztywno w stronę drzwi. W holu za nim czekają dziewczynki – w takich samych sukieneczkach, sandałkach i kapelusikach.

Mała Sue podchodzi do mnie, dyga, wyciąga rączkę i pyta nieśmiało:

– Jak się ciocia miewa?

Wymierzam jej lekki, szybki policzek.

– Nigdy nie zwracaj się do mnie per ciocia.

Jak rozsypujący się domek z kart. Te dźwięki za mną, gdy idę w stronę schodów – łkające dziecko, uspokajający je kobiecy głos, zdumione milczenie pozostałych, echo mocnych, zawziętych kroków, moich kroków.

Chowam się w sypialni na resztę dnia. Stieglitz przychodzi do mnie, ale mówię mu, żeby sobie poszedł. To po prostu za wiele – nie potrafię udźwignąć ciężaru wstydu i wściekłości. I to palące pytanie: kim ja się stałam?

Blade promienie słońca na ścianach.

Nie nadajesz się do dzieci. Pamiętam aż za dobrze te słowa – jego słowa. Powiedział to tamtego lata, gdy przyjechała do nas Marie z dwuletnią Yvonne. Byliśmy wtedy sami w kuchni. *Ty nie nadajesz się do dzieci.* Tajemniczy – albo może wtajemniczony – uśmiech na jego twarzy. Taki okropny uśmiech, od którego ścisnęło mi się gardło. Jakby potrafił spojrzeć w przyszłość, która

wówczas była jeszcze tak odległa. Przyszłość, która stała się teraz moją teraźniejszością.

Wieczorem mówię mu, że wyjeżdżam do Maine. Wypiera się sprawy z kucharką.

– Wierzysz w każde okropieństwo, jakie o mnie usłyszysz.

– Po co Eva miałaby to zmyślić?

– Wmawiasz sobie, że byle flirt ma jakiekolwiek znaczenie.

Zalewa mnie gorąca fala wściekłości. Wiem, co ma na myśli. W jego rozumieniu to dwie różne rzeczy – miłość i seks – to, co czuje do mnie, i to, co robi z innymi. Przypomina mi się Beck. To, jak widziałam, co się dzieje, i nic nie zrobiłam, żeby temu zapobiec. Ale to. To się jakoś wydaje jeszcze gorsze. Pocałunek. Kocham przecież samo to słowo. A do tego jeszcze poczucie, że jakoś sama to na siebie ściągnęłam. Musiałam przecież zrobić coś, co do tego doprowadziło.

Umysł mi szwankuje, myśli rozbiegają się w zbyt wiele kierunków naraz. Ocieram twarz dłonią. Lśniące łzy.

W drodze na stację mówię:

– Nie pościeliłam łóżka.

– Co?

– Łóżko. Nie pościeliłam łóżka.

– Nie szkodzi.

– Nie rozumiesz, to ważne. – Mój głos cichy, oddalający się, jakby przesypywał się przez klepsydrę, bo myślałam sobie: „Przed wyjściem muszę jeszcze pościelić łóżko". Ale kiedy weszłam do sypialni, nagle dotarło do mnie, że nie będziemy w tym łóżku razem i że on może nie być w nim sam.

– Zaczęłam ścielić – tłumaczę mu. – Ale nie dokończyłam.
– Georgio, to nie było nic takiego. To nie miało znaczenia.
– Dla mnie miało.

Kiedy wracam z Maine, już ich nie ma – kucharki i reszty. Staramy się bardzo, i on, i ja. Jesteśmy ostrożni. Nie pada między nami ani jedno ostrzejsze słowo.

Wypakowuję muszle, które przywiozłam. Maluję je. Zmieniła się moja paleta – bardziej surowe, niemal alabastrowe odcienie, krawędzie muszli jasne, ostre. Mówię sobie, że nic mnie to nie obchodzi. Co zrobił. Czego nie zrobił. To mnie nie powinno i nie może obchodzić. Czy to coś ważnego czy nic takiego. To nie ma znaczenia. Ciało, pocałunek, te ulotne chmury, które próbuje złapać, biegając po wzgórzu. Nieważne, że kiedyś był dla mnie wszystkim.

Na podwórku przy stodole znajduję zszarzały ze starości gont. Przypomina mi się, jak kiedyś, gdy byłam mała, doczepiłam do takiego gontu biały żagielek i puszczałam jako łódeczkę w beczce z deszczówką.

Zabieram go do zalanej słońcem sypialni, kładę na stole obok muszli. Zupełnie jakby mówiły do siebie – ta biel muszli z szarością gontu. Maluję te dwa kształty w kółko i w kółko, aż gont staje się tylko smugą cienia, płatkiem jakiegoś bardzo ciemnego kwiatu, a muszla luźną plamą bieli pod spodem. Patrzyłam na nie tak długo i z tak bliska, że mój umysł się rozpływa, zaczyna widzieć wszystko inaczej. Kształty stają się płynne, stapiają się ze sobą, te pozbawione życia przedmioty

poruszają się, wciąż się poruszają, tracą ostre granice, porzucają swoje formy i przechodzą stopniowo w abstrakcje.

IV

– W tym sezonie chciałbym uzyskać w Pokoju zupełnie inne wrażenie – oświadcza pewnego wieczora.

Jesteśmy już z powrotem w Sheltonie i przeglądam obrazy na zbliżającą się wystawę.

– W jakim sensie inne? – pytam.

Siedzi przy mnie na kanapie.

– Chcę, żeby ludzie zrozumieli, że w chwili, gdy przekraczają próg Pokoju, doświadczają Prawdziwej Sztuki. – Posyła mi rozbawione spojrzenie. – Chcę szacunku i powagi.

– I uważasz, że uda ci się coś takiego osiągnąć?

– Dlaczego by nie?

– Zabawny jesteś, Stieglitz.

– Godziny milczenia. Oto, co mi chodzi po głowie. W poniedziałki, środy i piątki.

– I tak cały dzień? Nikt ci nie przyjdzie!

– Nie. Tylko przez kilka godzin dziennie. Dajmy na to... rano. Od dziesiątej do dwunastej.

– Czy to by znaczyło, że i ty będziesz musiał na chwilę zamilknąć? – Jak to miło tak się czule przekomarzać, jakby wszystko było jak dawniej.

– A do tego kryształowa kula – ciągnie.

– No nie – parskam śmiechem.

– Mówię poważnie – zapewnia mnie. – Chcę, by ludzie zrozumieli, że Pokój ma w sobie ducha 291. Że jest inny od wszystkich pozostałych galerii w mieście. Że to nie jakieś nadęte muzeum. Chcę, żeby już od progu wiedzieli, że tu jest inaczej, że sama przestrzeń jest inna. To im pomoże lepiej odczuwać znaczenie sztuki.

– Jakoś nie wydaje mi się, żeby dało się tak na ludzi wpływać.

– Oczywiście, że się da.

Powoli zmienia się ton w recenzjach. Nie rozmawiamy o tym ze Stieglitzem. Jemu wystarczy, że nadal są pochlebne, ale mnie bardzo cieszy to, że znika wreszcie emocjonalny styl pisania o moich obrazach. Jestem przekonana, że to wpływ tekstu Blanche Matthias i jego kopii, które rozdaję w galerii. Krytycy zaczęli korzystać z jej terminów, z tej perspektywy, którą nakreśliłam w tamtym wywiadzie, by lepiej opisać moje intencje i moją wizję. McBride wychwala intelektualną paletę moich obrazów. Helen Read zachwyca się olbrzymimi zbliżeniami kwiatów, owoców i muszli. Mumford porównuje moje prace do Matisse'a, choć nadal uparcie pisze moje nazwisko przez jedno f.

Sprzedaję sześć obrazów, w sumie zarabiam na nich siedemnaście tysięcy dolarów. Powtarzam sobie te dane w głowie – wszystko układa się wreszcie tak, jak powinno: krytycy przyjmują moją sztukę tak, jak tego chcę; zarabiam pieniądze; wszystko jest dobrze.

Dlaczego więc w ogóle tego nie czuję? Zamiast tego wszystko wydaje się trochę mechaniczne, jakby zepsuł się lub zagubił jakiś mały ważny fragment tej układanki. Mojej układanki, naszej układanki.

A może to moje prace stały się słabsze? Gdy patrzę na moje obrazy, nie do końca podoba mi się to, co widzę. Muszle, białe kwiaty, nawet pejzaże miejskie, wszystko wydaje się zbyt kontrolowane. Pytam go, czy też to zauważa. Nie. Zachwyca się elegancją neutralnych barw. Choć to właśnie kolory są moją mocną stroną, nigdy jakoś nie ufał tej mojej pasji i teraz wręcz mu chyba ulżyło, że ją straciłam.

Pewnego jesiennego poranka, gdy leżę sama w łóżku, wyczuwam nagle pod nocną koszulą coś małego, okrągłego. Jak piłeczka dla lalki. Jak kłębek nici. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to nie coś w koszuli, tylko w mojej piersi – mała twarda kulka. Czuję ją pod palcami. Nie boli.

Pokazuję ją Stieglitzowi, panika na jego twarzy. Żeby go jakoś uspokoić, muszę starannie ukryć własny strach.

– To nie jest żaden guz – mówię.

– Owszem, jest.

– To jakiś drobiazg. Jakiś głupi bąbelek pod skórą i tyle.

Nie odrywa palców od guza.

Siedzi ze mną w poczekalni u lekarza. Zupełnie się posypał. Obgryza paznokcie. W takim stanie jeszcze go nie widziałam.

– Nie przejmuj się tak – mówię. – Taki jesteś słodki. Chyba mnie jednak kochasz.

Podnosi na mnie wzrok, tak dziwnie mroczne spojrzenie.

– Czy cię kocham? – szepcze. – Jesteś moim życiem.

– Alfredzie, nic mi nie będzie.

Ale nic do niego nie dociera, a jego strach zaczyna się udzielać i mnie. Odwracam głowę.

– Przestań – proszę. – Błagam. Przecież muszę wierzyć, że nic mi nie będzie.

W końcu wchodzimy. Podczas badania siedzi na krześle obok, stuka butem w podłogę, gdy lekarz dotyka mnie zimnymi, profesjonalnymi palcami. Czuję się jak rozłożony na stole kawałek materiału – nieożywiony i napięty.

– To chyba to – mówi w końcu lekarz.

Ma surowe, błękitne oczy. Pocą mi się ręce i to drżące uczucie, chyba moje serce, gdy mówi nam, że musi to wyciąć.

Stieglitz składa delikatny pocałunek na moich powiekach, a potem pchają mnie przez sterylnie wyszorowane korytarze Mount Sinai – smród antyseptyków, brutalnie wypolerowane linoleum na podłogach, szybko przemykające pielęgniarki w bieli.

Zamykam oczy, żeby znów to poczuć – ten suchy dotyk jego ust na moich powiekach. Eter wciąga mnie coraz głębiej, pokój zwija się w małą plamę światła, mój umysł obrany jak owoc.

Torbiel okazuje się niegroźna. Ale bardzo powoli dochodzę do siebie. Ból jest nie do zniesienia. Nie mogę unieść ręki, trudno mi nawet siedzieć.

– Jakoś głęboko wbili mi ten nóż – żartuję, gdy przychodzi do mnie do szpitala. – Czy ty im przypadkiem nie kazałeś poszukać nim mojego kamiennego serca?

Nie podoba mu się mój czarny humor.

Wciąż boli okropnie, nawet po powrocie do domu. Zmienił się kształt mojej piersi, wokół szwów skóra jest pofałdowana, cięcie jest długie, otoczone siniakiem.

Nie odstępuje mnie na krok. Upiera się, że chce mi zmieniać opatrunki.

– Przecież ty nie masz o tym zielonego pojęcia – kpię sobie z niego i wyginam się, żeby zdjąć gazę.

Zalewa mnie jednak fala bólu. Tak ostrego, jakby w żebra wbijał mi się gwóźdź. Jęk.

– Kochana – mówi, kładąc mnie z powrotem na poduszkę.

Ostrożnie zdejmuje bandaże, nakłada świeżej maści na ranę, zakrywa ją z powrotem. Z butelki, która stoi na nocnym stoliku, wyjmuje małą białą pigułkę, przynosi mi szklankę wody.

– Czego ci trzeba? Książek? Papieru? Chcesz porysować? Czy bardzo boli? Musisz mi powiedzieć, zanim to się stanie nie do zniesienia.

– Nie do zniesienia dla ciebie czy dla mnie? – Śmieję się.

– To prawda – szepcze. – Nie mogę patrzeć, jak cierpisz.

Całe popołudnie siedzi na krześle przy łóżku. Czyta mi *Tara* Sherwooda Andersona. Przychodzi i odchodzi, znosząc mi talerze pełne kawałeczków pomarańczy, krakersy, gorącą zupę, herbatę. To takie miłe – ta bliskość między nami, ten delikatny płomień, taki słodki i cichy jak kiedyś.

Nawet gdy już wraca do galerii, dzwoni do mnie co godzinę, żeby spytać, jak się czuję.

Omija mnie styczniowe otwarcie wystawy. Wciąż zbyt boli, z trudem trzymam się na nogach. Wysyła do mnie do apartamentu Rosenfelda z kwiatami.

Rosenfeld właśnie wrócił z Południowego Zachodu. Siedzimy w salonie i nawija mi bez końca o dzikim pięknie Taosu.

– Jest tam teraz bardzo dużo artystów, także pisarzy. Taos staje się prawdziwą kulturalną mekką.

– Podobno za tym wszystkim stoi Mabel Dodge.

– Poznałaś ją?

– Tylko raz ją widziałam.

Nie mówię mu, że ze zdumieniem stwierdziłam wtedy, że to większa żeńska kopia Stieglitza – zupełnie tak jak on pociągająca za sznurki, manipulująca ludźmi, uważniająca ważnych i tak dalej.

– Bardzo chciałbym zobaczyć, co ty byś tam malowała – mówi Rosenfeld. – Kolory i światło są tak intensywne.

– Tak wspaniałe, jak opowiada o tym Marin?

– W tym, co mówi, nie ma ani odrobiny przesady. Byłabyś zachwycona. Kto jak kto, Georgio, ale ty byś to doceniła.

– Niestety na razie mogę się wybrać najdalej do kuchni, a i to z trudem.

Patrzy na mnie tymi swoimi mądrymi, smutnymi oczyma.

– Taos w jakimś sensie wręcz przypomina mi ciebie, to coś w tobie, czego nikt nie potrafi uchwycić.

Strzepuję jakieś nic ze spódnicy i mówię mu, że to bardzo miłe z jego strony i że może kiedyś rzeczywiście tam pojadę. Uwielbiam podróżować i dużo bym dała, żeby wyciągnąć Alfreda z zaklętego kręgu Manhattanu i jeziora George.

Uśmiecha się na moje słowa. Taki dobry przyjaciel z tego Pudge'a. Kocha nas oboje i dobrze zna Stieglitza, łącznie z jego wszystkimi wadami. Bo zna go lepiej niż ktokolwiek z wyjątkiem mnie.

Po jego wyjściu dużo o tym myślę. Kiedyś przyznawałam się czasem Stieglitzowi, jak bardzo tęsknię za otwartymi przestrzeniami, za prawdziwymi równinami, ale wtedy na jego twarzy pojawiała się zawsze ta dziwna mina, przestałam więc o tym wspominać.

John Marin jeździ do Taos od lat, a ostatniego lata skusili się na tę wyprawę także Strandowie – przyciągnęła ich ta pulchna siła natury zwana Mabel Dodge Luhan, bogaczka, która wyszła za jakiegoś bolszewika i większość życia spędziła na wypieraniu się swojego burżuazyjnego dzieciństwa. Beck, której powoli zaczęłam już wybaczać, zapewnia mnie, że drugiego takiego miejsca nie ma na całym świecie i że gdy tam była, czuła się spokojna i odcięta od wszystkiego.

Znam to zachodnie niebo. Czasami, gdy jestem sama i maluję, pozwalam myślom wrócić do tamtych chwil w Canyonie, gdy wychodziłam na czerwone słońce i zostawałam na nim, aż zapadła noc. Leżałam na spalonej, twardej pustynnej ziemi i patrzyłam na gwiazdy, które sypały się z nieba i przeszywały mnie niczym srebrne kule.

Tylko tego wtedy pragnęłam – czuć ten ryk nieskończoności, który kryje się w jakże skończonych nas. Niekiedy to było niemal nie do zniesienia – ten głód, który wtedy czułam – jakby krawędzie mojego ciała nie dawały rady go objąć.

Brakuje mi tego uczucia.

V

Jest jakiś roztargniony. Zauważam to, ale łudzę się, że to przez moją chorobę, przez to, że jestem przykuta do łóżka. Póki nie wspomina mimochodem, że do Pokoju zaszła ostatnio Dorothy Norman, młodziutka żona syna właściciela tej olbrzymiej firmy Sears, Roebuck i spółka.

– Pewnie ją pamiętasz – mówi. – To ją towarzystwo skreśliło tak nagle, wręcz powiedziałbym nieelegancko, po tym, jak Louis Kalonyme tak się o niej obraźliwie wypowiedział.

– Nie, nie wydaje mi się, żebyś mi o tym wspominał.

– W listopadzie urodziła dziecko – ciągnie – i wpadła właśnie do nas w zeszłym tygodniu w drodze na jakiś obiad. Chciałaby się zaangażować w naszą pracę. Mówi, że chętnie nam pomoże, w czymkolwiek będzie trzeba. Może pomóc organizować wystawy, zarządzać korespondencją, odbierać telefony i takie tam.

– Pomoże *nam*?

– Musisz ją poznać. Sama zrozumiesz. Jej niewinność jest powalająca. W ogóle nie jest taka znudzona, jak to czasami potrafią być bogaczki. Zresztą w przyszłym tygodniu idzie na kolację ze Strandami.

– A dziecko?

– Co dziecko?

– Tak po prostu zostawia dziecko w domu na całe dnie?

Wzrusza ramionami.

– To przecież nie moja sprawa.

Na początku lutego, sześć tygodni po zabiegu, jestem już w stanie ubrać się znów w mój czarny płaszcz. Opierając się na ramieniu Stieglitza, idę zobaczyć swoją wystawę. Poznaję przy okazji Dorothy Norman. Jest młodsza od jego córki, ale przypomina bardziej jego żonę Emmy, o której pewnie już do końca życia będę myśleć jako o jego żonie. Ta sama nieśmiała elegancja. Ma dziewczęce rumieńce, sarnie oczy. Stieglitz – w swoim ulubionym tweedowym garniturze – przedstawia nas sobie i poza różnymi rzeczami, które przecież i tak mi wcześniej o niej powiedział, wspomina, że pani Dorothy angażuje się w działalność Unii Praw Obywatelskich.

– Po co tracić czas na takie bzdury? Czy nie lepiej po prostu wspierać Partię Kobiet? – pytam.

– Bardziej interesują mnie inne cele.

Słodki uśmiech, gdy odpowiada, ale jej usta są napięte, a szminka nie ukryje ich groźnego chłodu, którego się nie spodziewałam. Ten dziwny dreszcz w piersi, ból w ranie od nagłego skurczu mięśni.

Tej wiosny zastaję ją w Pokoju za każdym razem, gdy tam przychodzę. Odbiera telefony, czyta stare egzemplarze „Camera Work", skrzętnie notuje każdą wypowiedź Stieglitza, zawsze z głową tak pochyloną, że niemal klęczy mu u stóp. Stieglitz mówi, że Dorothy chce napisać o nim książkę. Błagała go, by pozwolił jej bywać w Pokoju, więc oczywiście powiedział jej, że jest tam zawsze mile widziana.

Zaczyna wpraszać się do kręgu naszych przyjaciół. Dove, Hartley, Strandowie. Tylko Rosenfeld nie chce mieć z nią nic do czynienia. Ale widzę przecież te ich spojrzenia, gdy w rozmowie pada jej nazwisko, widzę, jak wtedy wszyscy unikają mojego wzroku. Wiercą się z zakłopotaniem. Kiedy wspominam o tym Stieglitzowi, przypomina mi, że zaledwie tydzień po tym, jak się poznałyśmy, była łaskawa uczynić darowiznę w wysokości stu dolarów na nasz fundusz czynszowy. A do tego spytała nawet, czy mogłaby pożyczyć jego aparat, by zrobić zdjęcia mojej wystawy.

– Pod twoim okiem.

– Co ty sugerujesz? To kobieta zamężna, ma dziecko.

– Które zostawia w domu z nianią.

– Tak chłodno ją traktujesz – mówi niemal oskarżycielskim tonem.

– Nie inaczej niż każdego innego wazeliniarza.

Posyła mi gniewne spojrzenie.

Jemy śniadanie w hotelowej restauracji. Na talerzu przede mną jajko na twardo, tost, pomarańcza.

– Pokój daje jej poczucie celu w życiu.

– To mnie nie obchodzi.

– Przy tobie tak okropnie się stresuje. Zwierzyła mi się, że dziwnie na nią patrzysz.

Nie odpowiadam.

– Mogłabyś być dla niej milsza. Jest tylko młoda, trochę staromodna. Wolałaby, żebyś mówiła o sobie „pani Stieglitz”.

– Jako pani Norman w tej sprawie nie ma raczej wiele do powiedzenia.

Milczymy. On smaruje sobie tosta masłem, bardzo cienko. Ja rozcinam jajko na połówki, potem ćwiartki, potem te ćwiartki jeszcze na kawałeczki. Jem je powoli, patrzę na swoje palce trzymające nóż i widelec. Mogłabym go spytać, czy chodzi mu o jej pieniądze, ale przecież w głębi serca wiem, że nie.

To prawda, że jej nie lubię. Tego jej spłonionego, młodzieńczego entuzjazmu. W mojej szkole w Wirginii też były takie dziewczyny – wielkie, lśniące oczy, gorsety, falbany. Chowały się grupkami po kątach i nieustannie chichotały. Pewnej nocy, gdy już panowała cisza nocna, wymknęłam się do kuchni, zwinęłam stamtąd parę cebul, a potem złapałam w kurniku kurczaka, zabiłam i upiekłam go w naszym piecu w internacie. Wpadły w dziki zachwyt. Zupełnie nie mogły mnie zrozumieć, ale wszystkie potulnie nauczyły się ode mnie pokera. Moja odwaga je fascynowała. Gdy zbliżał się koniec szkoły i zajęta byłam bazgraniem w naszej księdze absolwentów, przyozdabiając ją odpowiednio prześmiewczymi rysunkami, one nie gadały już o niczym innym jak tylko o chłopcach, za których wyjdą.

– A ty, O? – spytała moja koleżanka Susan.

Roześmiałam się.

– Ja nie będę miała takiego życia, na jakie wy się piszecie. Ja wszystko poświęcę dla sztuki.

Wkładam do ust ostatni kawałek jajka.

– Posłuchaj tylko, Georgio – mówi nagle Stieglitz i czyta mi ogłoszenie z „Timesa". – *Malarz John Sloan sprzedał za czterdzieści jeden tysięcy dolarów trzydzieści dwa obrazy pewnemu kolekcjonerowi sztuki, który pragnie pozostać anonimowy*.

Anonimowy – prycha. – Też coś. Stek bzdur. Kto by w ogóle chciał płacić za trzydzieści dwa bohomazy Sloana?

Odsuwam talerz z jajkiem i tostem i zaczynam kroić pomarańczę. To jej miękkość go tak zauroczyła, ten lekko dyszący, prostoduszny głos. Nawet nie zauważam, że się zacięłam, póki nie zaczyna ciec krew. Rana mała, ale głęboka. Upuszczam nóż. Czuję kwaśne pieczenie soku.

Stieglitz podnosi wzrok.

– Boże! – woła, rzucając się w moją stronę. – Coś ty sobie zrobiła?

Kilka tygodni później informuje prasę, że sześć moich kalii zostało nabytych przez anonimowego kolekcjonera z Francji za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. „The New York Times" publikuje cały artykuł o tej sprzedaży. To z kolei wywołuje fascynację innych gazet i prawdziwą burzę. „Była nauczycielka, która w 1928 roku naprawdę nadal nosi koki, nową sensacją w sztuce!". Gdy nas wypytują o tę transakcję, Stieglitz udaje zaskoczenie.

– To zdumiewające – mówi przez telefon, gdy jakiś dziennikarz dzwoni z prośbą o wywiad. – Tak, oczywiście, jestem bardzo przejęty. Choć jednocześnie muszę powiedzieć, że tego się właściwie należało spodziewać. To w zasadzie odpowiednia suma, gdy mówimy o sztuce tej rangi. Europa się na tym zna. O'Keeffe to uosobienie amerykańskiego modernizmu. To tylko potwierdza to, co wielu z nas wiedziało od dawna.

Jest w swoim żywiole. Wiem dobrze, że tworzy coś z niczego. Patrzę, jak kiwa głową, słucha, przyciska słuchawkę do ucha, na jego twarzy cienia wątpliwości. Doskonale wie, co robi.

– Tak, oczywiście – mówi. – Środa, szesnasta trzydzieści. Pani Georgia O'Keeffe bardzo chętnie się z panem spotka. Tu, w naszych pokojach w Sheltonie. Poinformuję recepcję, że pan wpadnie z wizytą.

Z trudem znoszę lawinę popularności. Ale oczywiście informacja o sprzedaży zadziałała tak, jak sobie to zaplanował – wypchnęła mnie na nowe wyżyny i potwierdziła, że Stieglitz jest prawdziwym wizjonerem. To on przecież wiedział, ile jestem warta, nim jeszcze ktokolwiek to zrozumiał.

Gdy on organizuje wywiady, ja robię sobie listę rzeczy do załatwienia. W jakże skomplikowaną szaradę nas wpakował. Nasze buty zostawiam u Slatera, a jego płaszcz daję do czyszczenia w Barrett & Nephews; w domu towarowym Macy's szukam moich ulubionych niebieskich filiżanek, ale wygląda na to, że je wyprzedano; zamawiam ramy w Of's.

Kiedy przychodzi do nas reporter z „Sunday Magazine", moja twarz jest już sztywna niczym maska. Aż trudno mi się choćby uśmiechnąć. Siedzę, odpowiadam na pytania, usiłuję bagatelizować tę zawrotną sumę.

– Ale czy to prawda? – pyta ten przypominający węża mężczyzna. Pochyla się do przodu. – Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów?!

– Tak, to prawda – odpowiadam szorstko. – Ale prawdą nie jest to, że artysta pojawia się na świecie z dnia na dzień. To po prostu bzdura. W rzeczywistości stoją za tym lata ciężkiej pracy i doświadczenia.

Jestem w sypialni. Piszę list do mojej siostry Catherine, gdy w końcu wraca do domu. Wstaję odruchowo, żeby się z nim

przywitać, ale nieruchomieję niepewna.

– Dobry wieczór! – słyszę, jak woła. Staje w progu. – Jak wywiad?

Odkładam pióro.

– Ktoś się w końcu dowie – mówię.

– O czym? – pyta.

– Że to jeden wielki przekręt.

– Wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

To cały ten Mitchell Kennerley – fajka, angielski akcent, łysiejąca głowa, ogromne długi. Dopiero co musiał w styczniu sprzedać w końcu Anderson Galleries. Zamierza oczywiście odkupić swoją galerię. Za pieniądze, które zdobędzie, żeniąc się z bogatą kochanką z Europy.

– Przecież Kennerley nie ma tych dwudziestu tysięcy – mówię.

– To jego narzeczona chce kupić te obrazy.

– Nawet ich nie widziała.

– On podpisał umowę. Ty podpisałaś umowę. Raty będą płacone co kwartał.

Nie zdjął jeszcze płaszcza. Jeden z guzików wisi luźno. Wielki, okrągły, lśniący guzik dyndający na długiej nitce. Myślę, ile przecznic musiałam przejść kilka dni temu, żeby znaleźć mu taką koszulę i krawat, jakich sobie zażyczył. Musiały być dokładnie takie same jak jego stare. Kiedy pokazałam mu postrzępiony kołnierzyk i plamę na krawacie i zasugerowałam delikatnie, że czas sprawić sobie nowy strój, wpadł w panikę. Nie potrafi rozstawać się ze starymi rzeczami. Byłoby to nawet zabawne, gdyby szukanie zamienników nie kosztowało mnie tyle czasu i wysiłku.

Był taki obrazek, który namalowałam, kiedy byłam bardzo młoda. Przedstawiał mężczyznę, ale namalowany ręką dziecka był jakiś krzywy tam, gdzie miał być prosty, a prosty, gdzie miał się właśnie pochylać. To, jaki stał się na papierze, zupełnie nie pokrywało się z tym, jaki był w moich zamierzeniach. W końcu nie było wyjścia i musiałam po prostu przekręcić kartkę.

VI

Pewnego czerwcowego wieczora przewraca się i kończy się to skręceniem kręgosłupa. Ledwie daje radę przejść z taksówki do gabinetu lekarza. Gdy po powrocie do domu próbuje zdjąć bieliznę, naciąga sobie ścięgno ręki. Wygląda teraz jak sterta bandaży, plastrów i szyn. Usiłuję go przekonać, że powinniśmy zostać w mieście, póki nie wydobrzeje, ale upiera się, że chce jechać nad jezioro, i kuśtyka do pociągu, ciężko się na mnie opierając.

Przykre napięcie między nami nie znika. Jakieś małe kłótnie – nawet nie to, że częstsze niż zwykle, ale jakoś teraz trudniej o nich zapomnieć. Sprzeczki o drzwi do łazienki, o deszcz, o ból w jego plecach i to, co powinien z nim zrobić.

Nie ma we mnie nic nowego. Żadnych kształtów. Maluję to, co znam – to, co bezpieczne. Kalie. Róże. Brzoskwinia w szklanej misie. Kolory wydają się jednak płaskie, bezcielesne. W połowie drugiego malowania brzoskwini ląduję w jakiejś dziwnie zagubionej plątaninie, trzymam się kurczowo krawędzi, geometryczny porządek kształtów zagarnia cały obraz.

Ręka mi drży. Zamykam oczy. Ten nagły ostry strach i nie mam go gdzie odłożyć.

Jesteś silna, Georgio. Tak zawsze mówili rodzice. *Ty przetrwasz wszystko.*

Łzy. Wypływające wbrew mojej woli.

O piątej rano – kiedyś była to „nasza godzina” – wymykam się ze swojego łóżka i wślizguję do jego, moje ciało przywiera do niego.

– Tęsknię za tobą – szepczę.

– Jestem tuż obok.

– Ale tęsknię.

Wzdycha.

– Och, Georgio. Dlaczego jesteś nieszczęśliwa?

Przełykam ślinę, unikam jego wzroku, żal kryje się tak głęboko. Przyciąga mnie do siebie, głaszcze po plecach, jakbym była kotkiem albo dzieckiem. Klepie. Odsuwam się odrobinę. Znów wzdycha i leżymy tak osobno, aż w oknach pojawia się słońce. Dziesięć lat temu przyjechałam tu nad jezioro po raz pierwszy.

Przy śniadaniu zwraca mi uwagę, że nalałam mu kakao nie do tej filiżanki, co powinnam. Wyciągam inną, ale ta też mu nie pasuje.

– Może wybierz sobie sam, którą chcesz – proponuję lekkim tonem.

Zdejmuję naczynia z suszarki. Odkładam sztućce, widelce do widelców, noże do noży. Czuję jego wzrok na swoich plecach. W końcu wstaje i zaczyna przeszukiwać kredens w poszukiwaniu takiej filiżanki, która będzie odpowiednia. Nie przerywam rozkładania sztućców.

Gdy nalewam mu kakao, zaczyna opowiadać, jak zanim wyjechaliśmy z miasta, szukał odpowiedniego papieru do passe-partout, bo chciał podarować pani Norman odbitkę swoich chmur, i jakie to denerwujące, że nie mógł znaleźć takiego papieru, jaki

by chciał, zupełnie nigdzie takiego nie mieli. Gdzie, moim zdaniem, by go dostał?

– Dałeś jej jeden z *Ekwiwalentów*?

Patrzy na mnie. Odpowiadam takim samym spojrzeniem.

– Zupełnie nie słuchasz, co do ciebie mówię. Nigdzie nie było odpowiedniego papieru. Jesteśmy zdani na łaskę komercyjnych producentów, ot co.

Czuję ten ścisk gdzieś głęboko w środku. Zawsze tak zaborczo strzeże tych chmur. To nie obrazy nieba, mówi, ale życia. Chyba najbardziej boli nie to, że jej podarował odbitkę, ale to, w jaki sposób mi o tym powiedział. Jakby to wcale nie był atak, tylko taka po prostu wzmianka o jakimś nieistotnym szczególe.

Mieszam kakao. Gdy mu je podaję, filiżanka wyślizguje mi się z ręki i uderza o ziemię. Grudki kakao, ceramika. Potrzaskana w drobny mak.

VII

Chcę wyjechać. Na lipiec planuję wycieczkę do Wisconsin, żeby odwiedzić moją siostrę Catherine i jej rodzinę. Po drodze zatrzymam się też w Chicago, żeby złożyć wizytę mojemu bratu Alexiusowi i jego żonie. Urodziło im się właśnie dziecko.

– Pojedź ze mną, Stieglitz.

To pierwszy ciepły dzień nad jeziorem. Kwitną bzy. Powietrze ciężkie od ich zapachu. Siedzimy na werandzie. Wycina z gazet artykuły o naszej wystawie i wkleja je do albumu. Zawsze tak robi.

– Pojedź ze mną – mówię jeszcze raz.

Kręci głową.

– Za stary jestem na takie podróże.

– Masz sześćdziesiąt cztery lata. Nie jesteś stary.

Posyła mi to spojrzenie, którego nie rozumiem, potem znów skupia się na wycinaniu i wklejaniu. Odwraca stronę. Zatrudniam mu gosposię, Margaret Prosser, z wioski obok, żeby się nim zajmowała. Stieglitz zawozi mnie na stację. Walizki spakowane, pieniądze schowane w pasku. Całuje mnie na pożegnanie i wsiadam do pociągu. Znajduję swoje miejsce. Przez okno widzę, jak stoi między kolumnami na peronie. Czarny trójkąt płaszcza między dwoma białymi trójkątami kolumn. Jego wzrok utkwiony we mnie, ten przeszywający błysk, pociąg szarpie

i rusza. Sylwetka staje się mniejsza, oczy znikają w twarzy, a potem jest już tylko kropeczką wtapiającą się w czarny kształt drzwi za nim, jeszcze widzę jego machającą rękę.

Przez połowę drogi płaczę. Twarz odwracam do okna, aż w końcu cała moja chusteczka jest zupełnie mokra.

W Chicago wychodzi po mnie na stację Alexius. Wojna dodała mu lat. Zawozi mnie do Instytutu Sztuki, bo mam ochotę zobaczyć obrazy Moneta i van Gogha. Zaskakują mnie wiry kolorów – to, jak szybkimi ruchami pędzla, paćkami farby potrafił stworzyć łuki poruszającego się światła, wiatru, przestrzeni. Alexius wraca po mnie o dwunastej i jedziemy do szpitala zobaczyć dziecko i jego żonę, Betty. Ta trójka napełnia moje serce słodkim ciepłem. Noworodek w objęciach mojego brata. Malutka czaszka w jego dłoni. Twarz Alexiusa zmęczona, jego cała postać tak okrutnie wyzuta z życia, a jednak jego oczy promienieją za każdym razem, gdy patrzy na twarzyczkę dziecka.

– Jest urocza – mówię. – Taka prosta rzecz, prawda? Tyle paluszków! Macie szczęście.

Alexius patrzy na mnie, może wyczuł w moim głosie smutek.

– Zawsze się nami zajmowałaś, gdy byliśmy mali – przypomina.

– Wiem. – Śmieję się. – Kto by pomyślał.

– Byłaś dla nas taka dobra, Georgio.

Odwozi mnie z powrotem na stację, żebym zdążyła na pociąg jadący na zachód, w stronę mroku. W przedziale restauracyjnym zamawiam jajka w koszulkach. Wszyscy w pociągu grają w karty.

Gdy docieram w końcu do domu Catherine w Portage, już czekają na mnie listy Stieglitza. To dziwne uczucie tak je tam zobaczyć.

Idziemy z Catherine na spacer nad rzekę. Zabieramy ze sobą jej córkę, Małą Catherine. Przechodzimy przez most i Mała Catherine, która ma pięć lat i nie jest wcale nieśmiałym dzieckiem, łapie mnie za rękę, gdy maszerujemy w kierunku lasu po drugiej stronie. Po południu przysypiam na leżaku na werandzie, a kiedy się budzę, śpi przy mnie to małe ciałko – drobne rysy tak bardzo przypominające moją Catherine, a zarazem też naszą matkę. Zupełnie tak, jakby to małe stworzonko było nami z przeszłości, a ja tylko powietrzem wokół niej, wlatującym i wylatującym. Patrzę, jak unosi się jej pierś, powoli, równo.

On jest tysiąc mil ode mnie. Czy wiatr szeleści właśnie wśród zielska na wzgórzu? Czy powiewa na werandzie, dotyka jego twarzy? Może zatrzyma go na chwilę i dotknie moją obecnością?

Tak mi ciężko na sercu. Catherine, która zawsze była wrażliwą osobą, wyczuwa to od razu.

– Czym się martwisz, Georgio? – pyta, gdy siedzimy po nocy w kuchni i gadamy.

– Po prostu ostatnio nie jest łatwo.

– Ze Stieglitzem?

– Tak. Potrafi być taki trudny! – Śmieję się.

Patrzy na mnie uważnie, jej ciemne oczy pełne łagodności. Nie wtóruje mi.

– Ale nie o to chodzi, prawda? – stwierdza. – Ma inną?

Coś się we mnie kurczy. Kręcę głową.

– Już chyba wolałabym, żeby to było takie proste.

– Nie, nie wolałabyś.

W dzieciństwie to ja opiekowałam się pozostałymi. To ja wiedziałam doskonale, kim jestem i czego chcę. Wspominam tamte czasy, patrząc na moją siostrę i Małą Catherine – na bezbrzeżną radość w jej oczach za każdym razem, gdy jej wzrok padnie na zuchowatą buźkę córki. Gdy myślę o naszej piątce, o moich siostrach i o mnie, widzę już teraz, jak życie każdej z nas od razu toczyło się innym torem, prowadząc tam, gdzie każda z nas jest teraz. Anita – towarzyska, elegancka, bogata. Jej mąż Robert jest finansistą. Na wiosnę Anita kupiła jeden z moich kwiatów – białą lilię na czerwonym tle. Pokazuje ją gościom na przyjęciach. Claudia i Ida, obie już są doświadczonymi pielęgniarkami. Poświęciły życie tej chlubnej przyjemności, jaką daje opiekowanie się innymi. I Catherine. Kochana, czuła Catherine, zawsze taka dobra – kobieta w najprawdziwszym, najszlachetniejszym znaczeniu. Ze wszystkich moich sióstr tylko jej czasami zazdroszczę. To jej życie najbliższe jest temu, co – jak mi się czasem zdaje – mogłam mieć. Ale ja straciłam swoją szansę.

W listach nazywa mnie swoją Kochaną Uciekinierką, swoją Nieobecną. I jak zawsze Najdroższą. I jak zawsze gdy czytam jego listy, czuję w sobie to ciepło. Pisze o tym, co słychać nad jeziorem – instalują nowe rury, trzeba wykopać rowy. Woskuje jeszcze raz niektóre odbitki, bawi się retuszem, choć ja jestem w tym o wiele lepsza. Próbował czytać trochę Shawa, ale jakoś nie jest w nastroju na tego typu literaturę, bardziej mu teraz pasuje Laozi i jego taoizm. *Cieszę się, że pojechałaś tam, do tej swojej Ameryki, tam, skąd pochodzisz. Ale jednocześnie tak mi smutno. Myślę sobie czasami, i ta myśl tak boli, że zanim do mnie przyjechałaś, byłaś*

lżejsza, wolniejsza, że bycie tu ze mną Ci nie wystarcza. Że ja Ci nie wystarczam.

Podnoszę wzrok. Siedzę na sofie przy oknie. Catherine gotuje obiad. Pachnie pieczonymi ziemniakami i szynką. Za oknem robi się ciemno i na długiej szybie zaczyna się pojawiać moja twarz – starsza twarz, której trudno mi się dopatrzyć śladów tamtej dziewczyny, która do niego przyjechała. Tylko te ciemne włosy ściągnięte mocno do tyłu tak jak wtedy.

Kiedyś mi je ciągle rozsypywał. Pamiętam, jak przez te pierwsze lata, gdy byliśmy razem, uwielbiał, jak zwieszały się nad nim w tym ciasnym łóżku w naszym małym mieszkanku z pomarańczową podłogą – moje rozpuszczone włosy jak cienkie zasłony wokół nas, nasza kryjówka.

Czytam list jeszcze raz, jakbym przez to czytanie mogła odnaleźć drogę z powrotem. Potem składam kartki i odsuwam je od siebie.

Mówię Catherine, że chciałabym pojechać zobaczyć gospodarstwo, na którym dorastałyśmy, oraz namalować jakąś stodołę. Pakujemy do jej samochodu płótna i farby i ruszamy całą trójką – moja siostra, Mała Catherine i ja. Wszystko wygląda trochę inaczej, szosy są znacznie szersze niż kiedyś. Mimo to gdzieś w połowie drogi już wiem, gdzie jesteśmy. Przejeżdżamy przez bagna z imponującymi wierzbami. Mała Catherine jest zachwycona i klaszcze wesoło, przyciskając twarz do szyby. Drzewa gęste, wysokie, zielone. Catherine nie odrywa wzroku od drogi.

– O czym myślisz? – pytam.

– Jesteś z nim szczęśliwa?

Przez chwilę waham się z odpowiedzią.

– Nigdy nie zależało mi szczególnie na szczęściu.

– W małżeństwie zawsze jest raz lepiej, raz gorzej. Wszystko się zmienia. To czasami jest trudne. Te zmiany. Znów będziesz szczęśliwa.

– Chodzi o coś więcej niż szczęście, Catherine. Szczęście to tylko część tego czegoś.

Mijamy wielkie pola dojrzewających żółtych zbóż i pokosów siana. Mijamy spalonych słońcem robotników. Jedziemy tak długo, aż znajduję taką stodołę, o jaką mi chodziło. Czerwoną czerwienią mocną jak życie, z ostrym dachem i kamienną podbudówką. Podwórko otacza biały płotek. Mała Catherine zwinęła się z lalą i swoim różowym kocykiem i zasnęła. Catherine idzie porozmawiać z farmerem. Wyciągam oleje. Kiedy wraca, zabiera sobie z samochodu książkę.

– Nie – mówię i podaję jej deskę, pędzel. – Maluj.

Patrzy na mnie zaskoczona.

– Ja nie potrafię. Ty i Ida malujecie. Nie ja.

Nie odpowiadam. W końcu bierze deskę. Chwilę pracuje i nagle mówi:

– To wcale nie wychodzi tak, jak to widzę.

– Tym się nie przejmuj – mówię jej. – Maluj to, co czujesz na temat tej stodoły.

Mała Catherine już się obudziła i chodzi sobie teraz po polu. Gapi się na ważkę. Kończymy malować, stawiam obrazy obok siebie – jej i mój. Zapiera mi dech w piersiach. Mała, nieporadna czystość tego, co namalowała, zupełnie pozbawiona samoświadomości niczym czysty sen.

– Piękne – mówię.

– Och, przestań, Georgio.

– Nie, poważnie. Twój podoba mi się o wiele bardziej.

– Jesteś dla mnie zbyt miła. Ostatni raz miałam pędzel w ręku jako najwyżej dziewięciolatka.

– Wiesz, że nigdy nie mówię rzeczy tylko po to, żeby wypadły miło.

Patrzy na mnie, potem na obraz. Mój jest jaśniejszy, mocniejszy, ale w jej niewielkiej pracy jest to nieskazitelne życie, które rozpoznaję – to coś, co kiedyś miałam.

– Doradź mi więc – mówi. – Jak już cię nie będzie, jeszcze popróbuję. Co byś zrobiła, żeby go poprawić? Jak inaczej mam to spróbować namalować?

– Zostawię ci farby i pędzle. Odkryjesz to sama.

VIII

Tej zimy nie wychodzimy wieczorami. Nie przyjmujemy gości. Siedzimy tylko we dwoje w naszych pokojach w Sheltonie. Przeprowadziliśmy się do większego apartamentu na trzydziestym piętrze. Stieglitz codziennie chodzi do Pokoju przygotowywać otwierającą sezon wystawę Marina. Moja zacznie się dopiero w lutym 1929. Przeglądam obrazy z coraz większym strachem. Nie ma ich za wiele.

Na otwarcie wystawy przychodzę w ogniście czerwonym płaszczu. Moje lilie, moje miejskie pejzaże, liście o poszarpanych brzegach i abstrakcja, którą namalowałam dla mojego brata, gdy urodziło mu się dziecko – dzikie, zachmurzone niebo.

Jest oczywiście Dorothy Norman. W obcisłej czarnej sukni. Promienieje. W jej twarzy coś głębokiego, subtelnego. Widzę, jak patrzy na niego, gdy prosi ją o jakieś drobiazgi. Jak natychmiast rzuca się spełniać jego prośby. Te okropne myśli. Zła jestem, że pozwala jej tam przychodzić. Że nie wie albo nie obchodzi go, jak mnie tym rani.

Wieczorem, gdy rozbieramy się przed spaniem, pytam go otwarcie. Wypiera się wszystkiego. Nie są kochankami, to zupełnie niewinna rzecz.

– Jesteś w niej zakochany?

– Oczywiście, że nie – warczy. Patrzę mu w oczy ze spokojem, który kiedyś byłby dla mnie nie do pomyślenia. – Proszę cię, Georgio, nie zaczynaj – mówi ze złością.

– Nie odwracaj kota ogonem.

– Nie ma żadnej innej. I nigdy nie było.

Patrzę na niego. To nie jest prawda. Beck. Tamta kucharka. Może też inne. Co za manipulacja z jego strony, by mówić „nigdy", „żadnej". A jednocześnie wiem, że w jego przekonaniu nie było żadnej krzywdy. Wiem dobrze, jak on na to patrzy – wszystkie te inne kobiety, te romanse nie mają znaczenia w porównaniu z tym, czym ja dla niego jestem. I czasami mam ochotę stanąć na tym jego piedestale i uwierzyć w to, co jemu daje tę jasność i poczucie praworządności.

Nie udaje się sprzedać wielu obrazów, ale krytycy nadal pieją z zachwytu. Zupełnie nie widzą, na co się zamknęłam. Mnie zupełnie nie podoba się to, co teraz maluję. Moje formy wydają mi się zbyt bezpieczne. Brak w nich odwagi, siły, wolności moich wcześniejszych prac. Uderza mnie, że moja sztuka zmieniła się tak naprawdę w chwili, gdy pokazaliśmy tamte fotografie, które mi zrobił. Jakbym odtąd nic tylko próbowała walczyć ze słowami, którymi obrzucili mnie on i inni mężczyźni. Tamten moment przekreślił wszystko – moment, gdy uświadomiłam sobie, jak niebezpiecznie jest pokazywać światu wolne, abstrakcyjne kształty. Jeśli bowiem będzie w nich cokolwiek dobrego, oni to źle zinterpretują, nadadzą temu erotyczne znaczenie, zaszufladkują jako kobiece.

I dlatego zaczęłam robić rzeczy przyziemne. Formy nazywalne. Liście. Drzewa. Kwiaty. Ostre kolory – tak, ale poza tym twarde

linie, powściągliwość. Niewypływające już z tej szalonej wewnętrznej potrzeby, ale powstające jedynie w odpowiedzi na ich atak.

Ale nikt tego chyba nie zauważa i jest to dość ciekawe, choć nie łamie mi serca, mimo że przecież powinno. Jest raczej tak, jakby to się przytrafiło komuś innemu.

Pewnego wieczora wraca później, a gdy pochylam się, żeby go pocałować na dobranoc, czuję jej zapach. Perfumy. Lekki, słodki zapach seksu.

Odsuwam się.

– Co znowu? – pyta.

– Nie kłam.

Patrzy mi prosto w oczy.

– Nie mam nawet o czym kłamać.

– Przestań, Stieglitz. Wiem, co z nią robisz.

– Nie nudź.

– Nie udawaj, że nic się nie dzieje.

– Georgio, jestem zmęczony. – Wzdycha ciężko.

– Zawsze ty jesteś najważniejszy, prawda?

Odwraca się do mnie plecami, siada i zdejmuje buty.

Kłócimy się coraz bardziej, coraz częściej. O każdy drobiazg. Zarzuca mi, że nigdy nie przychodzę do Pokoju.

– Do którego twojego pokoju?

Wścieka się na taką kpinę. Mówię mu, że nie chcę, żeby moja wystawa długo wisiała. Krzyczy na mnie, że to śmieszne, ale w jego oczach widzę strach.

– W głowie się nie mieści! – grzmi.

– Bo co? Bo moje obrazy przesądzają o twoim sezonie? Tylko dlatego to cię obchodzi?

Patrzy na mnie długo.

– Chodzi o sztukę, Georgio. Sztuka jest twoim przeznaczeniem. I twoja sztuka musi być pokazywana, bo tak wiele mówi. Dlatego mnie to obchodzi.

Prawda. I nieprawda. Znów żongluje słowami tak, że nie ma się o co zaczepić.

IX

Do Sheltona wprowadziła się lady Dorothy Eugenie Brett, imponująca Angielka z wielką srebrną trąbką do słuchania. Ta trąbka ma nawet imię – Toby. Lady Brett nie sposób nie lubić. Zaciąga nas na dół do swojego apartamentu i każe podziwiać swoje obrazy, które zatytułowała *Ceremoniały*. Usiłuje namówić Alfreda na wystawę.

– Pomyślimy – usiłuje się wymigać Stieglitz.

Gdy wspominam przy niej o tym, że latem chciałabym się wybrać z wycieczką do Europy, natychmiast przerywa mi wyniosłym tonem wszystkowiedzącej Angielki i oświadcza, że *muszę* zamiast tego jechać do Taos, zobaczyć królestwo Mabel Dodge Luhan.

– Wszyscy mi to mówią – odpowiadam. – Mabel zaprasza Alfreda mniej więcej raz do roku.

Lady Brett kieruje Toby'ego w stronę Alfreda.

– I jak pan znajduje Taos?

– Nigdy tam nie pojechałem.

– Dlaczego nie, na litość boską?

Stieglitz mamrocze coś o sercu i dużych wysokościach. Lady Brett prosi, żeby mówił głośniej, i na tym się kończy. Ale kilka tygodni później widzę na wystawie w Pokoju nowe zdjęcia Stranda z Taos i podejmuję w końcu decyzję.

Wspominam Beck o swoim zamiarze.

– Oczywiście, że powinnaś tam pojechać – zapewnia mnie. – Będziesz zachwycona. – Jemy razem lunch. Beck ma białą, lekko rozpiętą koszulę, z ust zwisa jej papieros, znów pozuje na gangsterkę jak to ona. – Powiem Paulowi, żeby go przekonał.

– Sama z nim porozmawiam.

– Dobrze ci to zrobi. Szczególnie w tej sytuacji... – Urywa.

Marszczę brwi. Pani Norman. Wszyscy wiedzą.

– Przykro mi – mówi Beck.

– To jakiś nonsens – prycham.

Bo taka jest prawda. To ta jego obsesja na punkcie młodych ślicznotek. Lecz jednocześnie ta sytuacja odciąga mnie od pracy, upokarza. I dlatego mówię sobie, że najlepiej będzie wyjechać i zostawić to wszystko.

– Mężczyźni są okropni – mówi Beck.

– Po prostu chcę się wyrwać. Zrobić coś nowego dla mojej sztuki.

– Lepiej będzie, jak Paul z nim pogada. – Błysk jej papierosa, gdy się zaciąga.

Nie. Taka jest jego odpowiedź. To mnie zupełnie zbija z tropu.

Mowy nie ma. Georgia jest teraz zbyt słaba na taką daleką podróż.

– Tak powiedział Paulowi – donosi mi Beck.

– Słaba? – pytam, gdy wraca do domu.

– Ta cała sprawa z odwoływaniem następnej wystawy. Też sobie wymyśliłaś.

– O. Czyli teraz to *ta* sprawa jest źródłem naszych kłopotów?

Muszę przyznać, że odczuwam głęboką satysfakcję, gdy widzę jego minę.

– Musisz się skupić na pracy – mówi, ale już z mniejszym przekonaniem.

– To właśnie ze względu na pracę chcę wyjechać.

– To nie jest odpowiedni moment.

– To nie ty decydujesz, co jest dla mnie odpowiednie.

Cisza. Ponura, stroma, przepastna.

Wszyscy zaczynają go o to męczyć. Kochany Pudge, lady Brett, Paul, Beck, nawet Hartley.

Pomyśl tylko o jej obrazach, mówią. Nie ma drugiego takiego miejsca na świecie, jeśli chodzi o światło i widoki. Przypomnij sobie jej wczesne prace – to, co zrobiła z niebem w Teksasie, wciąż jeszcze przecież zanudzasz nas analizami tamtych jej akwarel, które trzymasz w swojej magicznej teczce. W Taos znajdzie tyle nowych inspiracji.

Powoli udaje im się go przekonać. W końcu Beck wpada na pomysł, że pojedzie ze mną, i to dzięki niej ostatecznie zmienia zdanie.

– Powiedziałam mu, że będę się tobą opiekować – oświadcza mi z triumfalnym błyskiem w tych swoich szarych oczach. – Że będę taką twoją nianią.

– Mam tylko nadzieję, że nie będziesz nadopiekuńcza – gderam.

– Będę tylko takim jego małym szpiegiem.

Prycham ubawiona.

– Czy nie byłoby pięknie, gdybym naprawdę planowała tam coś, o czym warto by mu było donosić?

Beck wybucha śmiechem.

– Już on dobrze wie, że będziesz mnie krótko trzymała – dodaję.

– Otóż to. Nie minie tydzień, a już będziesz palić jak stara. Zobaczysz.

Mówię mu, że przecież i tak będziemy mieli nasze wspólne lato.

– Niby kiedy? – odburkuje.

– Przecież wrócę w lipcu.

– Pierwszego lipca?

– Tak.

To takie zaskakujące – po tylu miesiącach chłodu między nami czuć nagle, że on mnie jednak potrzebuje.

– Wiesz, że chcę, żebyś to zrobiła, skoro dzięki temu będziesz szczęśliwa – mówi.

– Wiem.

– I wiesz, że cię kocham.

Milczę.

Wzdycha.

– Ciągle wyjeżdżasz.

– Niedługo wrócę.

Przechodzi przez pokój, bierze do ręki spinkę do krawata, odkłada ją, bierze coś innego.

– Połóż się przy mnie – mówię.

Podnosi wzrok, taka smutna twarz. I to jego wahanie boli mnie najbardziej. Bo przez sekundę niemal uwierzyłam, że jeśli tylko mocno go przytulę, wszystko będzie znów dobrze, wszystko naprawimy, uda nam się otrząsnąć z tego wszystkiego i znów znaleźć się w tamtym małym mieszkanku na Pięćdziesiątej Dziewiątej z wąskim łóżkiem, świetlikiem, pomarańczową podłogą i zalewającym nas słońcem. Że wrócimy znów do tamtych

czasów, gdy byliśmy tylko my dwoje i byliśmy razem tacy szczęśliwi, ciała ze światła, to czyste, nieskomplikowane pożądanie; gdy ja byłam jego całym światem, a on był moim.

– Połóż się przy mnie – mówię znowu i kładzie się bez słowa, a ja przytulam go mocno.

Całuję jego powieki – gładkie jak muszle.

Dwudziestego siódmego kwietnia wsiadamy z Beck do słynnego 20th Century Limited. Nie stoję w oknie, żeby mu machać.

Rzeka przechodzi w góry, a góry spłaszczają się, aż pozostaje bezkresna nicość. Pociąg pędzi, Beck zasypia. Jej siwiejące włosy, jej twarz, na której widać już krótkie, coraz głębsze zmarszczki między brwiami.

Nim ruszyłyśmy, stali z Paulem kawałek od nas – nie dość daleko, żebyśmy nie słyszeli ich głosów. Kłócili się, jakaś okropna sprzeczka. On coś do niej mówił, a ona posłała mu to spojrzenie, po którym już wiedziałam, że nie mają szans.

Stieglitz też to zauważył.

– Nie przetrwają, prawda? – powiedział.

– Nie.

– Od początku coś tam nie grało.

– Nie wiem, czy da się to powiedzieć tak na pewno, zanim nastąpi koniec.

Pokręcił głową.

– Jeśli spojrzy się na nich uważnie, to się wie. Jej brak poczucia kierunku, jego brak przekonania i wiary. To zawsze były jego słabe strony. Paul ma taki talent. Za taki dar dałbym wszystko, ale on po prostu nigdy nie potrafił go wykorzystać.

– Być może – bąknęłam.

– Tak bardzo cię kocham, Georgio – powiedział, gdy tak staliśmy na peronie i obejmował mnie w pasie.

Patrzyliśmy na nich jak na obcych ludzi. Jakby wcale nie byli nami.

Chucham na szybę. Moja twarz staje się taka miękka, gdy skrywa ją mgiełka na oknie. Wycieram ją ręką. Mijamy kwitnące śliwy i brzoskwinie, nagie drzewa bez liści, młoda zieleń wychyla się z każdego kąta, a w oddali bardzo szare góry. W pociągu trzęsie i tak bardzo za nim tęsknię. Taka kiedyś była przepastna ta nasza miłość, że wciąż wraca czasem do mnie jak zapomniany zapach – wciąż tak mocny, że skoczyłabym w czarną przepaść, gdybym tylko wierzyła, że to nas uratuje i znów będziemy tak blisko jak kiedyś.

Wracają wspomnienia naszego życia, w kawałkach, jakby to była jakaś kraina, przez którą przejechaliśmy szalonym pędem.

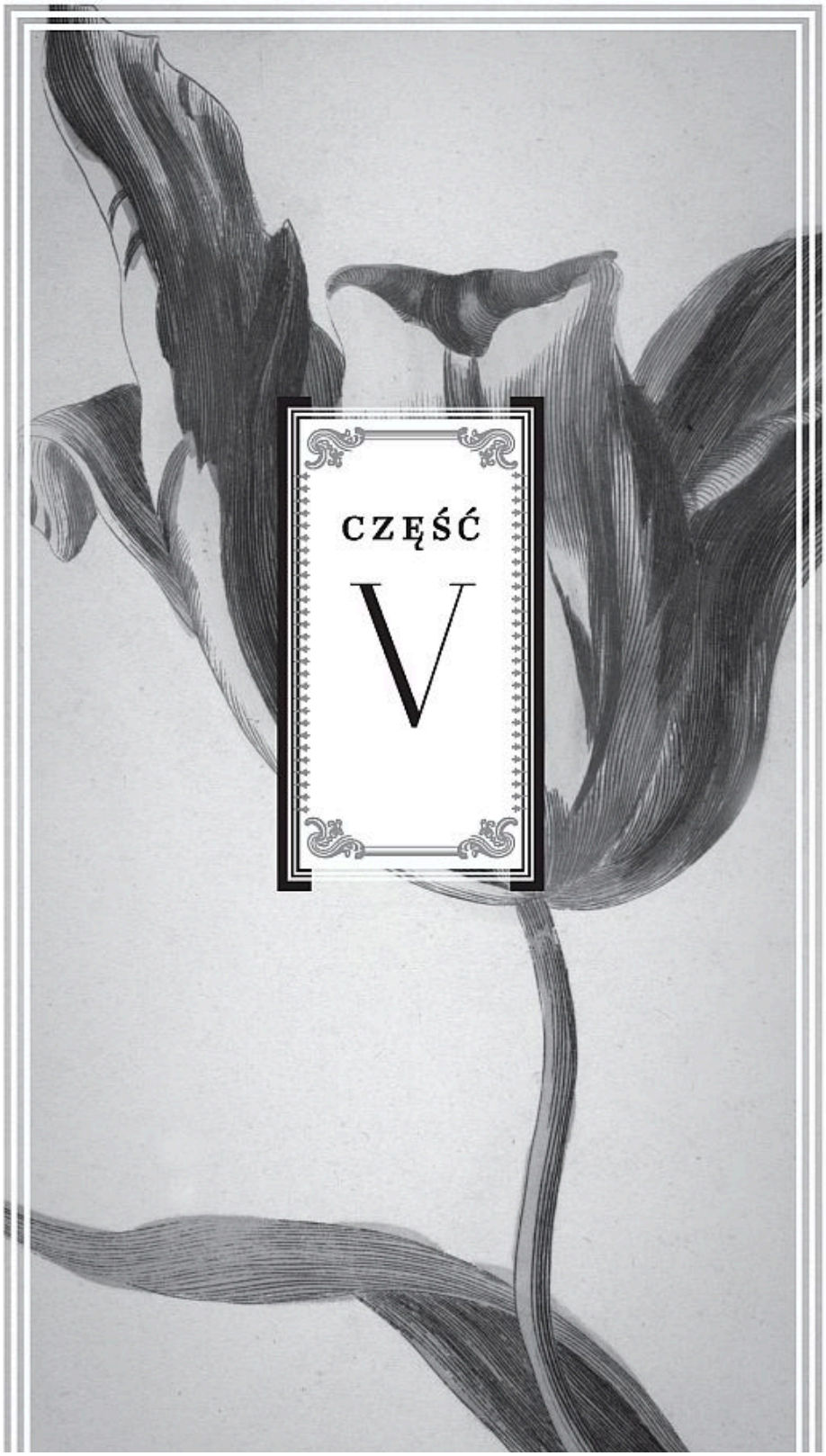

CZĘŚĆ V

I

Czuję to od razu – gdy tylko otwierają się drzwi pociągu w Santa Fe. Ostre powietrze na mojej skórze. I ten zapach. Piñon. Szałwia. W każdym kierunku ciągnie się oszałamiająca pustka.

W zasadzie nie dałyśmy Mabel znać, że w końcu jednak przyjeżdżamy. Teraz Beck waha się, gdy o tym wspominam.

– Nie – mówi tym swoim kapryśnym tonem małej dziewczynki. – Nie chcę się tobą dzielić.

Może i jest tu pusto, ale wieści jakoś dziwnie szybko się rozchodzą. Po kilku dniach pobytu jedziemy autobusem do San Felipe Pueblo, żeby zobaczyć taniec kukurydzy. Tam dopada nas Mabel. Każdy słyszał o jej niesławnych wieczorkach towarzyskich w Greenwich Village. W Nowym Jorku uchodziła za bojowniczkę awangardy. Teraz zakochała się w Taos i tej, jak to nazywa, dziwnej słodkiej ziemi. Ma już czwartego męża, tym razem Indianina imieniem Tony. Mieszka w domu zbudowanym z tradycyjnych suszonych na słońcu cegieł adobe. Żeby się nie nudzić, w lecie ściąga na swoje rozległe włości filozofów, artystów i pisarzy.

Jest korpulentna – trochę przypomina posturą byka. Ma w sobie coś takiego, że nie da się jej oprzeć. Przenikliwe spojrzenie, krótko ścięte czarne włosy. Jest zbulwersowana, że przyjechałyśmy do Taos bez uprzedzenia, i załamana, że nie

zamierzamy się u niej zatrzymać. Ponieważ należy do tego typu kobiet, które uwielbiają walczyć o to, czego się im odmawia, próbuje za wszelką cenę przekonać nas, że jej posiadłość – Los Gallos – nie ma sobie równych. Czy my w ogóle wiemy, że to dom stojący na pięciu hektarach ziemi i z widokiem na góry?

– Widokiem wprost oszałamiającym – dodaje i patrzy na mnie znacząco. – I mam tam nawet takie studio, w którym mogłabyś malować ten widok. Łącznie z górami na horyzoncie.

Jest nieugięta i ku rozpaczy Beck, a mojej radości wygląda na to, że nie mamy wyjścia. Musimy u niej zamieszkać.

Następnego dnia rano przyjeżdża po nas jej mąż Tony i jeszcze jeden Indianin. Wiozą nas sto dwadzieścia kilometrów z Santa Fe do Taos. Siedzę na miejscu pasażera przy Tonym. Prawie się nie odzywa. To człowiek zrodzony z tej ziemi, szeroka pierś, długi nos. Mabel powiedziała nam, że najchętniej nosi ubrania ze skór, ale teraz ma na sobie niebieski sweter, brązowe bryczesy i czarne wysokie buty. Nie umie ani czytać, ani pisać i nie chce się nauczyć. Po ślubie Mabel zmieniła mu nazwisko z Lujan na Luhan. Była to chyba jakaś mętna próba okiełznania tego człowieka.

– Żyją jak pies z kotem – opowiadała mi lady Brett. – Co jakiś czas wrzeszczą na siebie jak dzicy, potem on wyjeżdża z Los Gallos i jedzie do Pueblo, a wtedy Mabel szaleje z zazdrości i strachu, że tym razem już nie wróci.

Samochód ślizga się na krętej drodze wzdłuż rzeki. W lesie obok widzę plamy śniegu. Wjeżdżamy na płaskowyż, wokół już tylko ryk gór – sinych, fioletowych kształtów pod błękitem nieba.

– Zegarek mi coś zwariował – mówi Beck z tylnego siedzenia.

– Nie działają tu najlepiej. – Głos Tony'ego jest niski, chropowaty, jakby rzadko go używał.

– Ale ty nosisz zegarek. – Wskazuję jego rękę.

Jego ciemne oczy są poważne.

– Nastawiam go według słońca – wyjaśnia. Puka palcem w kierownicę. – Następnym razem ty prowadzisz?

– Ja mogę siąść za kierownicą! – wtrąca się Beck. – Georgia nie umie.

– Dlaczego nie? – pyta mnie Tony.

Kręcę głową.

– Jakoś nigdy się nie nauczyłam.

Cień uśmiechu na jego ustach, wzrok nadal skupiony na drodze.

– To cię nauczymy.

Posiadłość Los Gallos rzeczywiście zapiera dech w piersiach. Wjeżdżamy bramą z dzwonem u góry, drewniane drzwi prowadzą na wyłożone płaskimi kamieniami podwórze. Rozległy dom to istne dzieło sztuki. A za wszystkim tym stoi niesamowita kobieta, która porzuciła wspaniałe życie na Wschodzie, wyrwała kartkę i rzuciła ją za siebie. Duży Dom ma aż trzy piętra. Z jednego poziomu na drugi prowadzą drabiny. W środku szalona mieszanka nowojorskiej sztuki i nawajskich plecionek, ozdobnych kafelków, papug w klatkach i zabytkowych francuskich krzeseł. Nas Mabel umieszcza w Casa Rosita, malutkim domku dla gości, który stoi na skraju pustyni. Beck mieszkała już tam, gdy przyjechała tu poprzednio z Paulem.

Zgodnie z obietnicą daje mi też studio do pracy. Prowadzi mnie do czegoś na kształt kivy, okrągłego pomieszczenia z wysokim

sufitem, białymi ścianami, paleniskiem i oknami wychodzącymi na góry.

W drodze do głównego domu ostrzega nas przed słońcem.

– Uważajcie na twarze – mówi. – Jest bardzo zwodnicze. Powietrze jest suche, więc nie czuje się upału, ale słońce jest o wiele ostrzejsze, niż się wam wydaje. Masz ciemne okulary?

– Nie – przyznaję.

– Będziesz musiała sobie kupić.

Wyciąga swoje i podaje mi. Zakładam je na nos i patrzę ponad szałwią na horyzont. Przeciwsłoneczne szkła wyciszają wszystko – kolory, rozmiary, nawet kształty. Zdejmuję je i oddaję. Patrzy na mnie z błyskiem wyższości w oku.

– Pożałujesz tego – straszy.

Kiwam głową.

– Tak, rozumiem, co mówisz.

Następnego dnia wychodzę na poranny chłód. Czuję, jak moje ciało drży od cichej euforii, gdy patrzę, jak płonie niebo. Niepojęte piękno. Tyle przestrzeni między ziemią a niebem. Idę do Dużego Domu i wchodzę do salonu, gdzie stoi fortepian i łóżko. Na ścianie obraz Maxa Webera. Wchodzi Tony i siada na krześle obok. Nie potrzebujemy słów, żeby się zaprzyjaźnić.

Zabiera nas do Pueblo na wyścigi. Chłopcy w samych przepaskach na biodrach ścigają się w parach. Na nogach mają mokasyny. Do tego pióra, koraliki, dzwoneczki, pomalowane twarze. Starsi stoją po bokach otuleni w czarne szale i koce. Okrzykami zagrzewają ich do biegu. Niebo odbija echem ich wrzaski i huk tętniących o ziemię stóp. Przesuwam wzrok ponad Pueblo, patrzę na pustynię. Jak to możliwe, że coś tak prostego,

tak bezsprzecznego jak otwarta przestrzeń może sprawić, że natychmiast odnajduję siebie.

Myślę o Stieglitzu i czuję nagłe ukłucie strachu, że jeśli pozwolę sobie skoczyć w ten ogrom wokół mnie, będę spadać bez końca. Zostawię tamto życie i nigdy nie wrócę.

Beck i Tony naprawdę uczą mnie jeździć samochodem.

– Nie idzie mi to – mamroczę, gdy niechcący zmieniam bieg tak, że jedziemy raptem do tyłu.

Beck powiedziała Tony'emu, że Stieglitza przezywają „Pióro Starej Wrony", i teraz Tony zwraca się do mnie uparcie „pani Starawrona". Próbuje nie tracić cierpliwości. Jego niski głos unosi się tylko wtedy, gdy zbyt gwałtownie naciskam na gaz i samochód szarpie do przodu. Pokazuje mi, co się robi ze sprzęgłem i hamulcem, ale gdy za czwartym podejściem walę w słupek przy bramie, kręci głową i wracamy do czekającej na nas Beck. Wysiada i mówi, że więcej nie będzie ze mną jeździł.

Wypada więc na Beck. Wyjeżdżamy razem na pustynne bezdroża. Zimny pęd powietrza przyprawia mnie o lekki zawrót głowy. Nagle zauważam w oddali uschnięte drzewo.

– Tam pojedziemy! – wołam i od razu mocno skręcam kierownicę. Samochód szarpie, teraz jest już przodem do drzewa. Wciskam pedał gazu i pędzimy przez równinę.

– Georgia! Zwolnij! – drze się Beck, ale ja śmieję się z jej strachu i jadę jeszcze szybciej.

To niesamowite, jak dobrze się z tym czuję. Świat przepływa przeze mnie, dziki, wspaniały, lekkomyślny. Nad nami sunie niebo. Lecę. Wolność.

Beck kurczowo trzyma się klamki w drzwiach.

Zatrzymujemy się.

– Wysiadaj – mówię. Patrzy na mnie niepewnie. – Muszę jechać tak, jak mi się podoba.

– Ale ty nie umiesz jeździć!

Nie rozumie, że dokładnie wiem, gdzie jestem i co robię, i mowy nie ma, żebym z tego zrezygnowała.

– Beck. Wysiadaj – powtarzam.

Być może to sposób, w jaki wypowiadam jej imię, może to mocne k. Widzę jej przerażoną minę, gdy potulnie wychodzi z samochodu i zamyka za sobą drzwi. Nie oglądam się, żeby zobaczyć, jak tam stoi i na mnie patrzy. Jadę szybciej, gonię wiatr, a może staję się wiatrem, szybkością, wszystkim wokół, niebem.

Kupuję samochód. Czarny ford sedan ze stalowoniebieską tapicerką. Płacę sześćset siedemdziesiąt osiem dolarów. Z początku Beck jest zdecydowanie za, a potem nagle zaczyna się wycofywać.

– Pojedziesz gdzieś i się zabijesz. I to ja mu będę musiała potem o tym powiedzieć.

– Jeśli już będę martwa, to jakie to będzie miało znaczenie?

– I co ty zrobisz z tym autem, jak się skończy lato?

– Zabiorę ze sobą oczywiście. A co bym miała innego zrobić? Beck, przecież wiesz, że tu bez samochodu jak bez ręki. Nie możemy ciągle prosić Tony'ego albo kogoś, żeby nas zawiózł gdzieś, gdzie jest co malować.

Widzę, jak się waha. W końcu jednak płaci za połowę ubezpieczenia. Nazywamy naszą maszynę Hello.

Codziennie rano włażę na dach naszego domku, żeby zobaczyć wschód słońca.

Mój umysł zaczyna się odprężać. Tu barwy są takie ostre, a tamten świat – jego świat – jest daleko, niemal tak daleko, jak odwrócona strona.

Chodzimy z Beck na długie spacery w poszukiwaniu rzeczy do malowania. Albo wsiadamy do Hello i jedziemy po pustyni tak długo, aż znajdziemy miejsce, w którym warto się zatrzymać. Kąpiemy się w kanałach do nawadniania i wylegujemy nago na słońcu, pod nami twarda, sucha ziemia pustyni. Moje dłonie stają się ciemne. Schodzi mi skóra z nosa.

Wieczorami po kolacji siedzimy w Dużym Domu. Gramy w karty, pijemy. Potem idziemy z Beck przez pole do naszego domku. Czasami, kiedy Beck za dużo wypije, zaczyna opowiadać o swoich problemach z Paulem; że jej zdaniem nie wytrzymają ze sobą długo. Gada i gada, potem płacze, a ja siedzę z nią na podłodze i otaczam ją ramieniem na pocieszenie.

Z czasem – mówię jej – z czasem ciężar tych uczuć wyda ci się taki bez znaczenia. Jak kwiat, który zakwitł już tak dawno, dawno temu, że nawet nie pamiętasz jego zapachu.

Tulę ją mocno, aż w końcu jej oddech się uspokaja, a głowa opada na moim ramieniu. Jej twarz taka urocza, nieśmiała, zupełnie jak u dziecka.

Leżę i słucham, jak śpi. W domku pustka, szumiąca pustka. Jak mrowienie pod skórą. Po raz pierwszy od dwunastu lat nagle ta myśl, że może Stieglitz wcale nie jest moim życiem, ale właśnie mnie od niego odgradza.

II

Mijają dni i niepokój w jego listach narasta. Im więcej radości przelewam na papier, gdy do niego piszę, w tym smutniejszym tonie mi odpisuje. Budynek, w którym znajdował się Pokój, został sprzedany. Stieglitz będzie musiał znaleźć nowe miejsce. Na razie przeniósł wszystkie dzieła do Lincoln Warehouse na przechowanie. Moja nieobecność coraz bardziej daje mu się we znaki. Pakuje już rzeczy, żeby wyjechać nad jezioro, ale boi się tam pojechać beze mnie. I ten niepokój, ciągły niepokój. Próbuje spać, ale nie może. Martwi się. Nic na to nie poradzi, że się martwi. O to, w jakim stanie wyjechałam. O to, co się dzieje między nami. Martwi się, że ja chyba naprawdę nie wiem, nigdy tak naprawdę nie zrozumiałam, jak wiele dla niego znaczę.

Wczoraj nie przyszedł żaden list. Czy wszystko w porządku, moja Słodka Dzikusko? Gdy nie dostaję listu, mój umysł się zapada – ten strach, że może coś się stało.

Odkładam listy w staranny stosik i odpisuję do niego na uroczym papierze Mabel, który leży przygotowany na każdym stole w domu. Logo Los Gallos zajmuje niemal pół strony, więc muszę już zapełnić tylko drugie pół. Staram się pisać codziennie.

– Strasznie sumienna z ciebie żonka – drwi Beck.

– Im bardziej on się martwi, tym więcej pracy dla mnie – odpowiadam z uśmiechem.

– Nic mu nie będzie. Nigdy nic im nie jest. Choćby nie wiem jak histeryzowali.

– Kiedy wiem, że powinnam do niego napisać, najłatwiej mi po prostu siąść i napisać. Inaczej ten list wisi nade mną.

– Nie powinnaś się tym przejmować – oświadcza. Najwyraźniej lepiej się zna na moim życiu niż na własnym, ale jej tego nie mówię. – Napiszę do niego. Powiem mu, że w życiu nie było ci nigdzie tak dobrze jak tu.

– Nie, tego mu nie pisz. To go tylko zaniepokoi w inny sposób.

– W takim razie napiszę, że jesteś uosobieniem spokoju i że odkąd przyjechałyśmy, nic a nic cię nie boli.

– Tylko nie wspominaj mu o samochodzie – zastrzegam.

– Nie. O tym sama musisz mu powiedzieć.

Pakujemy się do Hello, wyjeżdżamy na pustynię i znajdujemy miejsce, które mi się podoba. Szwendamy się, zbieramy różne drobiazgi: kości, kamienie, kawałki muszli. Jesteśmy daleko, wiele kilometrów od domu, gdy pewnego dnia znajduję pierwszą czaszkę. Jej biel aż lśni. Przesuwam po niej ręką, żeby wyczuć kształt, wkładam palce w otwory po krowich oczach. Beck przyklęka obok mnie.

– Dotknij tego – mówię.

Ostrożnie przyciska palec do kości. Odsuwa rękę, a ja wybucham śmiechem.

– Myślisz sobie czasem o tym, jak nic niewarte jest nasze życie? – mówi, gdy idziemy z powrotem do samochodu.

Niosę czaszkę przyciśniętą do piersi.

– Znaczy przez tę czaszkę?

– Wszystko tu wydaje się takie stare, prastare. Jakby zawsze tu było. Mam wrażenie, że przy tym wszystko, co robię, w ogóle nie ma sensu.

Po obu stronach niekończące się krzaki szałwii, jej srebrny blask jak morze wokół nas.

– Uwielbiam to uczucie – mówię.

Patrzy na mnie, potem wzdycha cicho i już nic nie mówi. Przy samochodzie sortuję wszystko na dwie sterty – rzeczy do wyrzucenia i rzeczy do zabrania z powrotem do Los Gallos. Potem rozkładamy się i zaczynamy szkicować. Beck wytrzymuje zwykle z godzinę, czasem dłużej, ale działa impulsywnie, jest nieprzewidywalna. Rzuca się rysować jak szalona, potem zaczyna mieć wątpliwości. Odkłada ołówek i kładzie się na ziemi obok, a ja dalej pracuję. Zasłania sobie ręką oczy od światła. Wygląda uroczo, gdy tak leży z rozrzuconymi siwiejącymi blond włosami. Widzę lekkie napięcie jej bluzki w miejscu, gdzie unoszą się jej piersi, cień sutka pod bawełną. Pracuję dalej.

– Tak gorąco – odzywa się. – Nie wolisz poleżeć na słońcu?

– Jeszcze nie skończyłam – odpowiadam.

Wydaje jakieś pomruki niezadowolenia, a po chwili rozbiera się i znów kładzie na ziemi. Po jakimś czasie kończę szkic, odkładam rzeczy na miejsce i kładę się obok niej.

– Tak tu miło – mówi z tym swoim kocim uśmiechem.

Jest wyraźnie zadowolona, że ja już też nie pracuję. Jej ciało jest piękne. Pamiętam te zdjęcia, które jej zrobił, te tuż pod powierzchnią jeziora. Czasami myślę sobie, że fotografie jej ciała to jedne z najlepszych jego zdjęć. Patrzę na nią, gdy tak leży przy mnie na słońcu, jej zapach, jej ciepło, jej długonoga magia,

i zaczynam dostrzegać, co on w niej widział. Jej ciało jest dziełem sztuki.

Wykorzystuję szkice do malowania kolejnych obrazów. Bawię się znów akwarelami i jestem nimi zachwycona – woda jest taka wolna, kolor zawsze w pewnym sensie zdany na łaskę i niełaskę wody. Uwielbiam tę sugestię przypadkowego życia natury.

Studio zaczyna się zapełniać moimi obrazami. W kącie coraz większa sterta wypalonych słońcem kości. Od czasu do czasu podnoszę jakąś. Biel lśni w mojej dłoni, płynna, zimna.

Wychodzimy z Beck aż za zabudowania, w stronę krzyża na wzgórzach. Wieczorne powietrze jest tak czyste, że niemal dzwoni w uszach. Przed nami krzyż – wielki, czarny, nieubłagany na tle nieziemsko rozświetlonego nieba. Kiedyś, gdy byłyśmy z ojcem na mszy, ujrzałam Boga wśród plamek światła na podłodze. Ksiądz coś tam mówił, moje siostry siedziały wyprostowane, z rękoma złożonymi grzecznie na kolanach, a ja zakryłam uszy i wsunęłam stopę w te zachodzące na siebie krople świętego światła.

W studiu maluję krzyż, jego czarną siłę i poruszające się niebo za nim. Maluję go w kółko, za każdym razem jego ostre kontury przecinają płótno w inny sposób. Maluję go tak, jak go zobaczyłam tamtej pierwszej nocy, gdy słońce zachodziło tak krwawo. A potem jeszcze raz – tak jak go nigdy nie widziałam – na tle gór, jakby były tuż za nim. Ramiona krzyża dzielą niebo na części, jakby to było okno z czterema szybkami. Wąskie prostokąty granatu na górze, jaśniejszego błękitu na dole. Nie chcę, żeby wyszedł heroiczny czy ikoniczny. Nie chcę, żeby był tylko krzyżem na pustyni. Chcę pokazać, jak żyje, jak droga, góry i wieczorne niebo

okalają go z każdej strony. Chcę uchwycić ten dreszcz, wszechobecną wieczność, którą skrywa w sobie ta ziemia.

Na końcu maluję gwiazdy – osiem kropli bieli. To gwiazdy ożywiają to niebo. Tak było zawsze, na długo, zanim postawiono tu krzyż, i tak będzie długo po nim.

Przyjeżdżają inni. Niesławne kolacje w Dużym Domu rzeczywiście urastają teraz do rangi ekstrawaganckich przyjęć. Spud Johnson przywozi młodego fotografa Ansela Adamsa z żoną. Adams jest z Kalifornii, na Południowy Zachód przyjechał leczyć zatoki. Kiedy się orientuje, że jestem żoną Stieglitza, wpada w zachwyt. Nazywa go największym fotografem naszych czasów. Są też miejscowi artyści Cady Wells i Russell Vernon Hunter. Przyjeżdża Charles Collier, a w czerwcu również Marin.

Mabel i Tony co chwila się kłócą – zaczyna się od jakiejś błahostki, sprzeczka staje się głośniejsza, my wymykamy się pospiesznie.

– Mabel jest taka zaborcza – mówię do Beck, gdy idziemy z powrotem do naszego domku, ale z Dużego Domu nadal gonią nas jeszcze wściekłe głosy ich awantury. – Jeśli nie będzie ostrożna, wyciśnie z niego całe życie, a wtedy wcale nie będzie jej się podobało to, co jej zostanie.

Dni mijają tak szybko, a mnie przepełniają kolory, miłość do tej ziemi, zachwyt przeogromnym, płaskim pustkowiem.

Nasz kochany samochodzik jest cały zakurzony, bo nie ma deszczu, który by go nam choć opłukał. Cieniutka warstewka czerwonego pyłu.

– Trzeba go umyć – mówię do Beck.

Przebieramy się więc w kostiumy kąpielowe i polewamy go wodą ze szlaucha, ale to nie wystarczy. Nie mamy żadnej gąbki pod ręką, Mabel gdzieś się podziała i nie ma nikogo, kto by wiedział, gdzie trzyma gąbki, więc myjemy samochód podpaskami. Beck chichocze radośnie, schodzi nam na tę robotę dobre pół pudełka. Zużyte pakujemy do torebki, którą wciśniemy na dno śmietnika. Potem rozbieramy się do rosołu i ochlapujemy wodą.

Tony zabiera nas na wycieczkę, żebyśmy zobaczyły Kanion de Chelly i wykute w skale prehistoryczne domostwa. Gubimy się w lesie, wszystkie drogi prowadzą donikąd. Na kolację nie mamy już nic poza pomarańczami i whisky.

Jedziemy do Santa Fe na rodeo. Beck znajduje dla nas czarne satynowe koszule. Do tego zakładam białe korale i srebrne kółko z dużym niebieskim kamieniem. Wyglądam zupełnie jak nie ja. Stajemy z Beck przed lustrem, patrzymy na swoje odbicia, a potem Beck wkłada mi w usta papierosa i pokazuje, jak go trzymać tak, żeby zwisał nonszalancko, ale jednak nie wypadał.

Jego listy stają się optymistyczniejsze. Pisze, że doszedł już do siebie, a teraz zaczyna własną przygodę. Nie chciał mi przedtem mówić, bo bał się, że będę się niepokoić, ale wybrał się z Donaldem na lot samolotem. Lecieli wyżej i wyżej, potem także do góry nogami. Teraz zaczął się sam uczyć tej sztuki. *Chcę Cię zabrać tam w górę, Miłości, wirować z Tobą w błękicie, patrzeć, jak jezioro spływa w dół...* Cieszy mnie ta jego radość, zupełnie jakby to było możliwe, byśmy obydwoje żyli wolnym życiem. W połowie ostatniej strony pisze: *Moja Najdroższa, moja Jedyna, to, co nas łączy, jest niezniszczalne. Wiedziałem o tym już od*

pierwszej chwili, gdy rozwinąłem Twoje rysunki. Jeśli wierzę w cokolwiek, Georgio, to tylko w to, czym Ty dla mnie jesteś. Nie tylko ustami, nogami, ramionami i tymi kośćmi policzkowymi, które tak wielbię, ale ta nienazwana część Ciebie jest częścią mojej duszy. Oto, czym dla mnie jesteś. Powinniśmy byli zdecydować się na dziecko. To był błąd, teraz to zrozumiałem.

Tysiąc pocałunków, najdroższa. Wysyłam Ci je wszystkie.

Podnoszę wzrok.

Czasami wydaje mi się, że wiem o niej wszystko – o tej córeczce, którą mieliśmy mieć. Bo czuję... wiem po prostu, że to by była dziewczynka. Czasami zamyślę się niechcący i nagle czuję zapach jej skóry. Słodki, miękki, mydlany zapach dziecięcej skóry. Wiem dokładnie, jak światło muskałoby jej włosy opadające długimi czarnymi falami na plecki. Miałaby błękitne oczy, a jej nosek marszczyłby się zabawnie, gdyby coś nie było tak, jak by tego chciała. Bo na pewno byłaby uparciuszkiem. Niemal widzę, jak robi gwiazdę na trawie, jej nóżki śmigają do góry, spódnica łopocze od kręcenia. I jeszcze raz, i jeszcze, wiruje tak z górki.

Kiedyś łudziłam się, że mogę być artystką i mieć prawdziwe życie, takie jak moja siostra Catherine. Wyobrażałam sobie, że mogę znikać w świecie kolorów i kształtów, a gdy nasycę się nimi i wypłynę znów na powierzchnię codzienności, moja rodzina będzie na mnie czekać. Dziecko, mąż, ich radosne twarze i szeroko rozpostarte ramiona. Widziałam to wszystko oczyma wyobraźni – sztukę i życie, dwie idealnie pasujące do siebie połówki. Być może nawet tak by się stało, gdybym potrafiła stawiać sztukę na drugim miejscu. Najłatwiej jest teraz obwiniać o wszystko Stieglitza, mówić, że to on mi to odebrał. Ale nie jest to do końca prawda. To

ja nigdy nie chciałam, by cokolwiek było ważniejsze niż sztuka. A moje najlepsze prace – moje węgle, abstrakcje, te kilka kwiatów i drzew – mają w sobie to życie. Zrodziły się z bezlitosnej ekstazy, gdy mój umysł był zupełnie skupiony, wolny, cieszył się niezmąconą niczym samotnością. Na taką samotność nie ma miejsca w codziennym życiu pełnym otartych kolanek, obiadów do ugotowania i łóżek do pościelenia. Ale to nie zmniejsza mojej tęsknoty za takim właśnie życiem.

Wstaję od stołu i wychodzę z domu, uciekam od tego listu i myśli o dziecku, od tego niemal namacalnego wspomnienia czegoś, czego nigdy nie miałam i nie będę miała. Idę w jasność, idę na zszarganą wiatrem, skąpą ziemię, która nic nie daje.

Po południu zastaję Beck na łóżku. Czyta. Na mój widok siada.

– Co się stało?

Kręcę tylko głową.

– Zrobiłabyś coś dla mnie? – proszę.

– Jasne.

Wyciągam list, a ona siedzi przy mnie na podłodze, gdy czytam go na głos. Nigdy przedtem tego nie robiłam. Nasze listy zawsze były tylko nasze. Co za przedziwne uczucie słyszeć w tym pokoju jego słowa wypowiadane moim głosem.

Kończę i podnoszę oczy. Ma spuszczony wzrok, wpatruje się w nawajski dywanik, na którym siedzimy. Jej rzęsy rzucają długie cienie na policzki.

– I wszystkie są takie?

– Nie, każdy jest inny.

– Ale zawsze wkłada w nie tyle siebie?

– Tak.

Milczy chwilę, potem mówi:

– Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby ktoś do mnie tak pisał. Chyba nic tylko bym czekała na następny list, żeby móc rzucić się i czytać, gdy tylko przyjdzie.

Składam kartkę, wsuwam z powrotem do koperty i odkładam. Jakoś mi teraz lepiej. Jakbym dzięki temu potrafiła odsunąć od siebie myśli o dziecku.

– Używa takich wielkich słów. – Beck patrzy na mnie, jej wzrok wbija się w moją twarz. – Ale one są prawdziwe. Prawdziwsze niż zwykłe życie. Taki już jest ten Stieglitz, prawda?

Kiwam głową.

– Wiesz co? – ciągnie. – Pamiętam, kiedy go poznałam, kiedy po raz pierwszy się do mnie odezwał. To zupełnie jak nagle znaleźć się w promieniach słońca. Nigdy przedtem się tak nie czułam.

Mogłabym jej powiedzieć, że przyciągają go rzeczy wolne. Nie szuka piękna, ale tego czegoś, co kryje się za pięknem. Z braku lepszych terminów nazwijmy to „życiem". Mogłabym jej też powiedzieć, że ten mężczyzna nie potrafi zostawić rzeczy takich, jakie je zastał.

Mogłabym jej powiedzieć, że jeśli się jest artystką, jeśli się jest taką osobą, która potrafi zniknąć w sobie na całe dnie, a ktoś nagle składa ci taką obietnicę:

Zmiotę wszystkie szczegóły, żebyś mogła tylko malować.

Znajdę słowa, które zrobią z ciebie gwiazdę. Uczynię cię wielką. Oprawię cię, powieszę, wyjaśnię światu twoją wielkość. Powiem innym, co myśleć i co podziwiać.

By podziwiali cię tak jak ja.

...to może być kuszące, taka obietnica, taki mężczyzna. Szczególnie jeśli wiesz, że to prawda, gdy pisze: *Będę Cię kochać zupełnie i na zawsze jak nikt jeszcze nie kochał żadnej innej kobiety*. I choćby nie wiem jak nieprawdziwe się to czasem wydawało, on w to właśnie wierzy i dlatego właśnie nie da się tych słów podważyć. Są prawdziwsze niż sama prawda.

Beck musi wcześniej wyjechać. Jej matka zachorowała, musi więc wrócić do Nowego Jorku i się nią zająć. Przytulam ją, wsadzam do pociągu i pozwalam jej odjechać.

Wsiadam na konia i jadę do Kiowa, żeby odwiedzić lady Brett. Na wyprawę namawiam Tony'ego i kilka innych osób. Konie jeszcze trzeba było podkuć, wyruszamy więc z opóźnieniem i przez to wszystko pakujemy się w środek burzy. Jedziemy jedno za drugim, w żółtych sztormiakach, deszcz to pada, to przestaje. W końcu docieramy na miejsce, wyciągamy śpiwory i namioty i targamy je na wzgórze, żeby znaleźć jakieś suche miejsce pod sosnami. Dom lady Brett jest zupełnie szalony. Wiewiórki podgryzają łóżka, papier toaletowy wisi w sławojce na drucie. Wszystko jest tak chaotyczne, że idealnie pasuje do Brett. Miło patrzeć, jak ta kobieta idealnie się odnajduje w tym nieuporządkowanym, zwariowanym życiu. Razem jedziemy jeszcze do Alcalde, żeby odwiedzieć poetkę Marie Garland na jej ranczu. Tu, w przeciwieństwie do domostwa Mabel, panuje cisza doskonała. Mogę iść i iść i nie spotykam nikogo przez kilka godzin. Wzgórza też są inne, jak piasek, który zmienia się pod dotykiem wiatru. Nic nie jest niezmienne.

Jedziemy na północny zachód, do Wielkiego Kanionu. Jest nas pięcioro, jedziemy dwoma samochodami: rolls-royce'em Garland i packardem. Dachy mamy otwarte, wiatr nas owiewa, gdy pędzimy przez pustynię. Wyjeżdżamy o ósmej rano i jedziemy cały dzień, najpierw szlakiem Jasnego Anioła, gdzie słońce wstaje samotnie nad kanionem, wzdłuż miękkich szarych gór, które przechodzą w czerwone skały. Deszcz pociął drogi. Ogromnie mi się podobają te strome, niebezpieczne góry. Zagłębiamy się w tę ziemię na wiele dni. Nie ma jak wysyłać listów ani jak ich dostawać. Wysyłam mu tylko telegram: *Jutro jadę do Kraju Nawahów. Napiszę, jak będę mogła. Pewnie dopiero za kilka dni*. Wysyłam go i czuję nagłe ukłucie smutku, jakbym coś odcięła. Potem słodką, cudowną lekkość.

Gdy wracamy, całe domostwo Los Gallos jest w szoku. Okropna historia. Gazety nie piszą o niczym innym, nikt o niczym innym nie mówi. Znajomego Mabel znaleziono z oderwaną głową, pogryzionego przez jego własne psy.

Czekają na mnie listy znad jeziora George. Nic nie miał ode mnie od wielu dni i wpadł już w rozpacz. Pisze, że snuje się po domu niczym duch, nie śpi po nocach, krąży po pokoju. Boi się, że nie wrócę. *Bez Ciebie nad jeziorem jest tak pusto. Nic nie ma sensu*.

Zaczął niszczyć swoje prace: negatywy, papiery, zdjęcia Kitty, fotografie z Wenecji, z 291. Mówi, że tak jest lepiej. Że dzięki temu ma jasność. Oczyszcza się. *Zrozumiałem, że są rzeczy, które warto zachować. Takich rzeczy nie jest wiele. Reszta musi zniknąć*. Robi ogniska – z listów, odbitek, magazynów, różnych śmieci. Wrzuca to wszystko i patrzy, jak się pali. Jego noce wypełnia

ostry zapach palladu. Oczy ma czerwone od dymu, nawet jeszcze rano nie da się nic zrobić z tym zaczerwienieniem.

W listach chowa małe zdjęcia. Na ostatnim całujemy się pod drzewem przed domem nad jeziorem. Pod tym podpis: *Zniszczyłem dziś trzysta odbitek. Nie miałem serca spalić tego...*

Ten wielokropek przechyla szalę. Trzy małe kropki, które niby same w sobie nic nie mówią. Pamiętam ten pocałunek. Wspięłam się na palcach, on stał trochę wyżej na wzgórzu, otulał mnie płaszczem, przyciągnął tak mocno, jakby miał powiedzieć: jest to i tylko to, a ja nigdy cię nie puszczę.

I to przemożne pragnienie. Pragnienie powrotu. I wydaje mi się nagle, że nic innego nie ma znaczenia.

Podnoszę wzrok znad listu. Pokój jest pusty, nagie, gładkie ściany z cegieł. Po wyjeździe Beck zdjęłam wszystkie te ozdóbki. Spragniona byłam pustki – zostało tylko ciepło wlewające się przez okno, zapach kwiatów i szum strumyczka płynącego niedaleko. Spokój tej pustki.

Wysyłam telegram:

Przyjeżdżam. Wyjadę w piątek, może wcześniej.

Tego wieczora idę jeszcze do Dużego Domu, ale wszyscy wydają mi się tylko cieniami, papierowymi marionetkami. Wychodzę zaraz po kawie, biorę konia i jadę wzdłuż pasma gór. Wracam już po ciemku. Odprowadzam konia do zagrody, przechodzę przez pole, pod moimi butami chrzęści lucerna. Przez okno Dużego Domu widzę pozostałych, ich podświetlone sylwetki na tle pomarańczowego blasku. Odwracam się w stronę gór, z których dopiero co przyjechałam, i łapczywie wdycham wiatr.

III

Wychodzi po mnie na stację w Albany i tak słodko wita mnie z powrotem. Nie mogę uwierzyć, jak bardzo cieszę się na jego widok, jak wszystko znów wydaje się między nami jak dawniej. Co dziwne, Stieglitz dawno tak zdrowo nie wyglądał. Może to od tych ognisk, szepczę, chichocząc, gdy leżymy rano w sypialni. Jego ręce suną po mnie, po szyi, piersiach, dotykają tego miejsca w środku. Kocha się ze mną, aż bolą mnie uda.

– Zapomniałam już, jak tu jest idealnie – mruczę.

Przyciąga mnie do siebie. Całuje mocno w usta.

– Nie zapominaj o tym – szepcze. – Obiecaj, że nigdy nie zapomnisz.

Spędzamy dzień na dworze. Jezioro lśni, trawa jest zielona, bujna, powietrze przesiąknięte zapachem dzikich winogron, a w tym wszystkim Stieglitz, uparty, starzejący się, wspaniały. Ta błogość między nami zupełnie jak dawniej, a zarazem całkiem nowa.

Potem rozkładam na podłodze wszystko, co zrobiłam, gdy mnie tu nie było. To dobre prace. Naprawdę dobre. Wołam go, żeby je zobaczył. Wchodzi, siada na krześle, podpiera głowę na rękach. Przy kamizelce brakuje mu jednego guzika, jego twarz otacza aureola siwych włosów, uważnym wzrokiem ogląda moje rzeczy.

– Świetne, prawda, Stieglitz?

Kiwa głową z uśmiechem. Jest szczęśliwy.

– Rozumiesz teraz? – pytam delikatnie. – Rozumiesz, że musiałam tam pojechać?

Charles Collier jedzie moim fordem przez cały kraj, żeby mi go przywieźć aż nad jezioro.

– To jest Hello – przedstawiam samochód oficjalnie. – Hello, poznaj Alfreda. Alfredzie, oto Hello.

Robi mi zdjęcia z samochodem, bawi się moimi rękoma na kierownicy, moją opaloną twarzą, nieśmiałe spojrzenie prosto w obiektyw.

– Zupełnie jak dawniej – mówi potem, przytulając mnie znowu. – Uwielbiam ci robić zdjęcia. Tobie najbardziej ze wszystkich.

Jesienią 1929 roku pojawiają się wiadomości z giełdy. Stieglitz się zżyma. Czy to wpłynie na rynek sztuki? Oczywiście. To wpłynie na wszystko. Mimo to i tak chcemy otworzyć w grudniu nową galerię. Będzie się nazywała Amerykańskie Miejsce. Pracują już nad tym nasi młodzi artyści – Strand, Beck, jeszcze kilka osób. Wspierają nas z takim oddaniem. Już zebrali ponad dziesięć tysięcy na nową galerię.

Planujemy wrócić do Sheltona. Pójdziemy na otwarcie nowego Muzeum Sztuki Współczesnej, MoMA. Choć Stieglitz nie jest nim zachwycony. Kręci nosem na te matrony – panią Rockefeller, panią Bliss – które śmiały zignorować jego rady przy budowie swojego nowego muzeum. Ale na ich drugiej wystawie pojawią się prace Demutha, Marina oraz moje, Stieglitz musi więc zachowywać się wobec nich uprzejmie.

W Nowym Jorku kolejki biednych po zupę. Gdy idę ulicą, mijam skulone kształty pod kocami, mężczyźni z kapeluszami naciśniętymi mocno na czerwone uszy, matki tulące dzieci pod podartymi płaszczami.

Obiad jem u mojej siostry Anity. Siedzimy w jej apartamencie na Piątej Alei. Wchodzi jej córka Cookie, która ma już prawie dwanaście lat. Ten sam smukły wdzięk co u matki. Je z nami, ale potem pakuje sobie kilka winogron do kieszeni i biegnie się bawić. Anita zwierza mi się, że chciałaby kupić jeszcze kilka moich obrazów. Jej mąż, Robert Young, który teraz zyskał miano „odważnego młodzieńca Wall Street", zbił niezły majątek na krótkiej sprzedaży podczas Czarnego Czwartku.

W Amerykańskim Miejscu poza głównymi salami jest też biuro, o którym Stieglitz mówi Skarbiec, oraz mały schowek, który przerobił na ciemnię. Wybieram białą farbę na sufity i lśniącą, szarą, na ściany. To ascetyczna, skromna, nowoczesna przestrzeń. Drzwi z mlecznymi szybami. Stieglitz wiesza kartkę koloru kości słoniowej z prostymi czarnymi literami. Wylicza na niej wszystko, czym Miejsce nie jest:

Żadnych oficjalnych recenzji prasowych.
Żadnych przyjęć koktajlowych.
Żadnych zaproszeń specjalnych.
Żadnych reklam.
Żadnych instytucji.
Żadnych -izmów.
Żadnych teorii.
Żadnych gier.

Żadnych pytań do odwiedzających.

Na ścianach nic innego poza tym, co widzicie.

Drzwi Amerykańskiego Miejsca są zawsze otwarte dla wszystkich.

– Bardzo po Stieglitzowemu – mówię z uśmiechem, gdy pokazuje mi ostateczną wersję.

Dobrze wiem, jak denerwuje go MoMA. I wiem, że to jego sposób, żeby im dogryźć – żeby zakpić z ich nadęcia, z ich rozdmuchanych reklam ostatniej wystawy, na której pokazali zresztą także moje oleje i sześć prac Marina. Z jednej strony pęka z dumy, że wybrali dwoje z jego sześciu artystów, z drugiej – jest wściekły, że nie chcieli pozostałych. Zawsze potępiał to, co uważa za krótkowzroczną politykę instytucji, te decyzje podejmowane przez anonimowych, bogatych członków zarządu.

Zaraz po Nowym Roku dowiaduję się o śmierci mojego brata Alexiusa. Po wojnie jego serce i płuca były w strasznym stanie. Złapał grypę i już jej nie przeżył. Zostawił małe dziecko i żonę w ciąży. W lutym wieszam na wystawie w Miejscu ten abstrakcyjny portret, który dla niego zrobiłam trzy lata temu. Obok unoszą się na ścianach inne moje obrazy – kościół Ranchos de Taos, drewniane krzyże, *Noc w nowym Jorku* oraz *Drzewo Lawrence'a*. To sosna w Kiowa, pod którą leżałam w nocy na ranczu, gapiąc się na gąszcz gałęzi i niemal czarne niebo, aż mi się kręciło w głowie. Jest tylko jeden obraz znad jeziora George – portret domu, który namalowałam zeszłej jesieni. Zamknięte, płaskie białe drzwi. Morska zieleń okna. W porównaniu do reszty wydaje się tak dziwnie dwuwymiarowy. Wahałam się, czy w ogóle go dać na wystawę, w końcu jednak postanowiłam go powiesić.

Stieglitz zamartwia się o sprzedaż. Mówi, że moje nowe prace są zbyt odważne, a świat po krachu na giełdzie pełen niepokoju.

– To ty jesteś pełen niepokoju, mój drogi – oponuję.

Kiedy patrzę na swoje prace, nie widzę w nich nic odważnego. Tylko gładkie, posępne piękno ziemi, za którą już tak bardzo tęsknię.

Dorothy Norman nadal panoszy się w galerii, zarządza, pilnuje rachunków. Stieglitz wspomina coś o tym, że jest bardzo dobra w zbieraniu funduszy, zdobywaniu pieniędzy znikąd, ale nie wydaje się już nią taki zafascynowany. W domu prawie o niej nie mówi. Cokolwiek było między nimi, już się chyba skończyło. Jej obecność w naszym życiu skurczyła się, udało się ją strzepnąć gdzieś na krawędź tego, co ważne. A moje prace tętnią życiem.

Muzeum Sztuki w Cleveland kupuje mój *Biały kwiat* za cztery tysiące dolarów.

– Wyobrażasz sobie! – wykrzykuję, gdy mi o tym mówi.

Tyle pieniędzy za zwykły kwiat. To wydaje się jakieś wręcz niesprawiedliwe, gdy inni mają takie kłopoty. Dove nie daje rady uciułać marnych dwudziestu dwóch dolarów, które jest winien Stieglitzowi. Stracił swoje główne źródło dochodów – ilustracje do magazynów. Nie ma na jedzenie, a co dopiero na farby. Są z żoną w okropnej sytuacji. Gdy jesteśmy razem w Miejscu, przyłapuję go na podkradaniu atramentu z kałamarza na biurku Stieglitza – usiłuje zatuszować nim przetarte miejsce na płaszczu. Wciera w to jeszcze trochę popiołu z papierosa.

– To pomaga? – pytam.

– Trzeba sobie jakoś radzić – odpowiada z ponurym uśmiechem.

W marcu zgadzam się wziąć udział w publicznej debacie w barze Breevort w Greenwich Village. Prowadzi ją redaktor „New Masses", Michael Gold. To wygadany, przekonany o swoich racjach mężczyzna. Zaczyna od tego, że krytykuje mnie ostro za to, że moja sztuka nie jest zaangażowana politycznie. Że nie przemawiam – jak zaczęli już na szczęście inni artyści – w imieniu uciskanej klasy robotniczej. Bo czy nie to właśnie jest zadaniem sztuki?

Peroruje bez opamiętania, a ja przyglądam mu się spokojnie i mam tylko nadzieję, że w tym słabym oświetleniu nie widać rumieńca, który czuję na twarzy. Myślę o kobiecie, którą widziałam kilka tygodni temu na ulicy. O wychudzonym, obdartym chłopcu, który się do niej tulił. Wyciągała jego rękę po pieniądze. Pamiętam, jaka złość mnie ogarnęła, gdy zobaczyłam, jak go wykorzystuje, jak każe mu żebrać, ale wcisnęłam trzy monety w jego rączkę, a palce dziecka zacisnęły się na nich jak pułapka. To wspomnienie wraca do mnie, gdy siedzę i słucham Golda. W końcu jest moja kolej, żeby coś powiedzieć.

I wtedy mówię chłodno, że sztuka jest przede wszystkim osobistą walką i że kobiety jako klasa są nieustannie uciskane. Moim zadaniem jest uwolnić się od wpływu mężczyzn i powiedzieć w sztuce coś, co jest oryginalne i moje. Sukces, jaki odniosłam jako artystka – że się posłużę wyrazem, którym się tak często szafuje – jest zwycięstwem każdej kobiety. Kiedy to mówię, przed oczami znów staje mi tamta kobieta. Czy zgodziłaby się ze mną? Ale wiem też, że w rozmowie z tym mężczyzną nie dojdzie do porozumienia. Nie mogę iść na żadne ustępstwa.

Atakuje mnie i nie zostawił mi wiele pola do obrony. Obśmiewa mój argument jako wygodny sposób na unikanie kwestii nierówności społecznych. Ten wyraz jego twarzy – tak pewny siebie, że aż groteskowy. Sama jestem zdumiona, że udaje mi się zachować spokojny ton, gdy mówię mu, że sprowadzanie rozmowy do ucisku ekonomicznego zaprzecza podstawowym kwestiom ludzkim, które są w naszej debacie najważniejsze. A kwestie te dotyczą także kobiet. I to one właśnie są najistotniejsze, zupełnie tak jak w obrazie najistotniejsze są kształt i kolor – bo są czymś głębszym i ważniejszym nawet niż to, co ów obraz przekazuje.

Dostaję list od Mabel. Znów mnie zaprasza do Taos. Chciałabym pojechać, ale nie mogę się zdecydować. Jest teraz między nami tak dobrze, tak spokojnie. Zostawiam otwarty list na stole i pracuję dalej, ale gdy Stieglitz wraca tego wieczoru do domu, mówię mu, że pojadę. Zapewnia mnie, że rozumie moją potrzebę wrócenia do Taos.

– Być może będę musiała jeździć tak co roku – przyznaję. – Żeby się nasycić tymi widokami.

I tak zapada decyzja. Mam wyjechać w czerwcu.

Jadę sama nad jezioro, żeby zasiać wszystko w ogrodzie i otworzyć dom. Wymiatam z niego zimę, pajęczyny, stęchły bezruch.

Pewnego popołudnia, gdy przychodzę koło źródła, natykam się na rosnącą tuż przy ścieżce kępkę arizem.

Maluję sześć obrazów przedstawiających ich ciemne, pasiaste kwiaty. Pojedynczy płatek pochylający się nad prostym, fallicznym pręcikiem. To fascynujące wewnętrzne życie – coś jakby schowany wśród liści ołtarz w środku kwiata. Maluję całą serię, zapełniam

płótno za płótnem, zmieniają się krawędzie, zielone zakątki przechodzą w błękit, liście – w niebo, aż w końcu zostaje już tylko słupek.

– To dla ciebie – mówię mu, gdy przyjeżdża z miasta i po raz pierwszy widzi moje arizemy.

Ma dużo pracy w Miejscu. Musi wszystko nadzorować, żeby dobrze zakończyć sezon. Przyjeżdża jednak do mnie nad jezioro w każdy weekend. Wchodzi do domu i od razu pyta, co nowego namalowałam.

– Gdybym tylko mógł tu zostać. – Wzdycha tęsknie. – Nim zdejmę ostatnią wystawę i wszystko zapakuję, ty już będziesz wyjeżdżać.

Pewnej bezchmurnej nocy idziemy na spacer. Trzyma mnie za rękę.

– Jest – mówi.

Nasza gwiazda. Jasna, mocna. Nad drogą prowadzącą na pastwisko. Świeci tam jak jakiś młody biały kwiat. Płonie.

Tej nocy leżymy razem w łóżku, moje palce splecione z jego palcami. Śpi. Przypomina mi się nagle, jak mnie kiedyś trzymał nad sobą, jego dłonie na moich żebrach, gdy mieszkaliśmy jeszcze w naszym małym mieszkanku. Jak ujmował w dłonie moją twarz. Uwielbiałam to, zawsze będę uwielbiać – ten dotyk, który mówił: jesteś inna niż wszystko, co było dotąd na świecie, i jesteś moja.

Zapełniam ściany moimi nowymi obrazami. Żeby były tu, gdy mnie nie będzie. Żeby mu o mnie przypominały.

IV

Wracam trzy miesiące później, we wrześniu. Przywożę ponad trzydzieści obrazów – pejzaże, krzyże, kwiaty.

– Każdy dzień był pełen kolorów – mówię mu, gdy wieczorem przeglądamy moje prace.

Trzyma rękę na moim ramieniu. Siedzimy na kanapie, oglądamy mój szkicownik pełen irysów i frezji. Jest też w nim drzewo nad jeziorem Bear i mnóstwo szkiców gór.

Opowiadam mu, jak jechałam raz przez pole szałwii i patrzyłam, jak zmienia się niebo – jak zbierają się niskie, burzowe chmury. I jak zaczęłam się z nimi ścigać.

– I ścigałyśmy się tak aż do domu – mówię.

– Wygrałaś?

– Prawie.

Śmieje się.

– Po deszczu drzewa są tam takie wielkie, czarne i miękkie, Alfredzie. Następnym razem musisz ze mną pojechać.

– Czy nie wszystkie drzewa tak wyglądają po deszczu?

Kręcę głową.

– Tam wyglądają inaczej. Tam wszystko jest inne.

Pokazuję mu obrazy, które namalowałam nad jeziorem Bear. Zachwyciło mnie, że długa, czysta linia światła odbijała się w nim

tak jakoś, iż zdawało się, że jezioro utraciło płynność. Góry były niemal jak fale wokół, a na ich grzbietach śnieg.

– Trafiłam tam na takie olbrzymie, srebrzyste zwalone drzewo – opowiadam mu. – Leżało na innym drzewie. Wspięłam się na nie i znalazłam sobie miejsce do siedzenia. Mogłam oprzeć nogi o gałąź. To było takie trochę dziwne siedzisko – śmieję się – akurat w sam raz dla takiej dziwnej kobiety jak ja.

I gdy to mówię, uświadamiam sobie, że mimo wszystkich złych rzeczy, jakie stały się między nami w ostatnich latach, on jest jedyną osobą, której mogę to wytłumaczyć.

Robi mi zdjęcia w biało-czarnym, pasiastym nawajskim kocu, a potem jeszcze w oknie, gdy trzymam krowią czaszkę, którą sobie przywiozłam. Moje palce na szczęce.

Ćwiczył latanie i teraz zabiera mnie na lot małym, wynajętym samolocikiem. Pędzimy nad jeziorem, powietrze smaga maszynę, a przez okienko widzę wijący się kształt drogi, domki tak niewielkie na tych rozmaitych łatach kolorów, które są górami, lasem i polami. Promienie słońca tańczą na jeziorze pod nami, cień naszego samolotu orze powierzchnię wody, a my jesteśmy tacy szczęśliwi. Stieglitz jest czuły, kochany, spokojny. Słucha moich historii i opowiada mi, że czytał Santayanę i że udało mu się pobić własny rekord w minigolfa, i to o całe trzy punkty.

Jest tak jak zawsze jesienią nad jeziorem. Ja maluję. On robi porządek w kliszach. Powoli pakujemy się, żeby wrócić do miasta.

Natykam się na ten list dzień przed wyjazdem. Jest od jego bratanicy Elizabeth – powiernicy, na którą zawsze może liczyć. List do ukochanego wujka Alfreda. „Pamiętaj, żeby w korespondencji z panią N. podawać nasz adres. Przechowamy ci

jej listy do czasu, aż wymyślisz, jak się z tego wszystkiego wyplątać".

To nagłe, mroczne uderzenie.

Elizabeth opowiadała mi, jak Stieglitz cierpiał, gdy mnie nie było. Jak bardzo bał się, że straci mnie na zawsze. Jak usiłował się uspokoić, wciąż opowiadając wszystkim tę jego starą historyjkę o tym, jak się poznaliśmy – o tym, że byliśmy sobie przeznaczeni. Opowiadała mi, że zwierzył jej się, że gdy mnie nie ma nad jeziorem, wszystkie znajome rzeczy obracają się przeciwko niemu, zmieniają jego życie w piekło.

Opowiedziała mi to wszystko, ale zachowała w tajemnicy jego sekret. Pozwoliła mu używać swojego adresu w listach z panią Norman, żebym ich nie znalazła. Cały ten czas ciągnie się więc ten jego romans, ta jego miłostka.

I co za arogancja z jego strony! Uparł się, żeby zachować tę swoją korespondencję dla potomności, jakiejś biblioteki czy muzeum, mimo że przecież tego lata, gdy mnie nie było, spalił tyle innych rzeczy. Czy nie lepiej by nam było, gdyby potrafił spalić i to?

Przez chwilę mam ochotę wejść na górę do sypialni, gdzie odpoczywa, i spytać, co takiego było w tych listach, że warto jest dla nich tak kłamać. Ale on się wszystkiego wyprze albo obróci to wszystko przeciwko mnie. Jeśli chce się taplać w takim błocie, nie będę go powstrzymywać.

Składam list i chowam do szuflady tam, gdzie go znalazłam. Zasuwam szufladę.

V

Wciąż odgrywam panią domu na przyjęciach, które organizujemy w Sheltonie, ale powoli odsuwam się, znajduję sobie własnych przyjaciół, głównie artystów, których poznałam w Taos. Jeśli Claudia i Ida mają wolne wieczorem, jem kolację z nimi. Chodzę na koncerty i przyjęcia z siostrami Stettheimer: powieściopisarką Ettie, która ma dziwną słabość do rudych peruk i brokatów, malarką Florine i elegancką projektantką pięknych domków dla lalek Carrie, słynącą z ekstrawaganckich posiłków, które przeciągają się często do północy i dłużej. Wszyscy oszaleli na punkcie jej zwariowanej „zupy z piór".

Do Amerykańskiego Miejsca chodzę tylko wieszać obrazy. Poza tym prawie tam nie bywam. Na styczeń szykuję arizemy, kilka abstrakcji, kościoły z palonej cegły, szare wzgórza i czerwone pejzaże Abiquiu.

Do Nowego Meksyku postanawiam pojechać tym razem dwa miesiące wcześniej. Mówię mu, że wyjadę już w kwietniu.

– Przecież masz tu jeszcze mnóstwo do zrobienia – protestuje.

– Uporam się z tym wszystkim przed wyjazdem.

Nie odpowiada.

Chce, żebym przejrzała wszystkie prace jego artystów, które ma w magazynie, żeby zadecydować, co ma tam zostać, co ma się

znaleźć w Miejscu, a co zwrócić artyście. Siedzę tam pięć całych dni i robota skończona.

Tej wiosny wynajmuję domek na ranczu Marie Garland w Alcalde. Moje okna wychodzą na równinę, w oddali widać pokryte kurzem błękitne kształty gór Jemez, za nimi surowe, cudowne niebo. W ciągu tygodnia udaje mi się odnaleźć siebie.

Każdego dnia na nowo zachwyca mnie pustka tej ziemi. To, jak wiatr porywa światło i ciska je na skały w najróżniejszych, wciąż zmieniających się wzorach kolorów i cieni. Oddycham. Mój umysł otwiera się jak pięść, wypuszcza wszystko. Już o nim nie myślę. Jeżdżę samochodem, chodzę, maluję i nie jestem już tą kobietą, którą stworzył.

Przerabiam mój model A na ruchome studio, którym mogę wyjechać na pustynię. Odwracam przednie siedzenie i używam go jako sztalugi. W ten sposób mogę siedzieć z tyłu i malować. Mieszczą mi się tam nawet całkiem spore płótna. Przez okna samochodu wlewa się światło.

Pewnego poranka wyjeżdżam z Alcalde w stronę Abiquiu, potem jeszcze dalej na północ, znam to miejsce z zeszłego roku: blade iglice z piaskowca i czarne, płaskie góry. Droga wije się, wznosi coraz wyżej, potem pnie na rozległy płaskowyż.

Maluję odległość. Nie kształty w środku, nie góry, nie kościoły czy krzyże. Tylko odległość. Linię za linią aż po horyzont. Sjena surowa, umbra palona, ochra, złoty – kolory spływają z mojego pędzla i zmieniają się w zalaną światłem ziemię.

W tym, jak światło zalewa tu świat, jest coś ponadczasowego. Gdy tak pracuję, powietrze bije swoim rytmem, lata skraplają się

w jedną chwilę, odcienie nieba i ziemi zlewają z sobą. Jak łatwo pozbyć się niepotrzebnych szczegółów – drzew, skał, krzaków, szałwii. Zostają tylko długie, złączone formy nieba i ziemi. I to poczucie, że mój umysł w nie wpada. Mijają godziny, suche wargi, drobny pył na moich policzkach i na butach. Pędzel sunie po płótnie. Cienka biała linia gdzieś w oddali, ledwie jej zarys. Może to tylko odbicie w wodzie, a może odpowiedź na wszystko. Rozrzedzone powietrze poza czasem.

Po kolacji przeglądam znaleziska: kwiaty, kamienie, kości, skamieniałe muszelki małży. Mają pewnie setki tysięcy lat, a jednak wciąż widać na nich ciemne ślady morza.

Ścierką czyszczę wielką czaszkę barana, wycieram brud z oczodołów. Głaszczę palcami suchą, płaską kość. W zgięciach jest chropowata i szara. Na drugim końcu stołu leżą listy od Stieglitza. Ciężar czaszki sprawia, że zdają się wręcz nieważkie.

Wychodzę na dwór i kładę się na ławce. Patrzę przez plątaninę gałęzi na gwiazdy. Noce tu mają w sobie jakąś ekstazę. Nie da się jej umknąć. To poczucie, że wśród warstw przestrzeni coś się ukrywa – że pod tym, co nam zdaje się martwe, porusza się jakaś prastara, surowa tożsamość.

Na początku lipca pakuję obrazy. Wkładam kości do beczki i wysyłam do samej siebie, nad jezioro George. Do Stieglitza wysyłam osobny list. *Nie otwieraj, proszę, moich paczek, gdy przyjdą* – zastrzegam.

Kilka tygodni później, gdy będę podnosić wieko beczki, Stieglitz będzie mnie obserwował spode łba, kipiąc ze złości, że zapłaciłam za przesyłkę całe szesnaście dolarów. Na podłogę posypią się kawałki pustyni.

VI

Jestem nad jeziorem niecały tydzień. Powrót tutaj to był błąd.

Upał. Niskie niebo. Napierająca, dusząca zieleń. Wszystko wydaje się takie obce, choć jednocześnie nic się nie zmieniło. Gderanie Stieglitza, hałas, nieustanne paplanie, wiecznie zamiatające podłogę spódnice Sel, lepkie od arbuza łapki dzieci, słodycz Elizabeth, której już zupełnie nie ufam. Jego nieobecny uśmiech. Przychodzi poczta, przeszukuje ją, póki nie znajdzie, czego pragnął. Chowa kopertę do kieszeni.

Pewnego popołudnia w mojej chałupie jest już tak gorąco, że nie wytrzymuję i się rozbieram. Czuję pot na skórze, gdy maluję ze szkicu czaszkę z dwiema białymi, sztucznymi różami – tymi wiecznie żywymi kwiatami, którymi na Południowym Zachodzie dekoruje się groby. Pasują do siebie w taki przedziwny sposób – ta surowa biel kości i blade cienie kwiatów.

Szczebiot pod oknem. Podnoszę wzrok. Oślepiają mnie promienie słońca. Chichot, potem małe rączki na parapecie. Wyłania się główka z dwoma warkoczykami, twarz pomazana farbką. Zagląda do środka. Dopadam do drzwi trzema wielkimi krokami. Otwieram je na oścież. Z wściekłości nawet nie myślę o tym, że jestem naga. Wymachuję za nimi pędzlem, gdy uciekają – poprzebierane za małe Indianki, w jakichś tandetnych spodenkach z frędzelkami.

Wracam do chałupy, zamykam drzwi na zasuwę. Upał nie do zniesienia. Wszystko nie do zrobienia. Zamykam oczy. Chowam się w sobie. Nawet w umyśle czuję tę okropną duchotę.

Wieczorem przy kolacji Elizabeth przeprasza wylewnie za zachowanie swoich dzieci. Potem dodaje z tym swoim niby to nieśmiałym uśmieszkiem, że jej córki i ich kuzynki przez resztę dnia opowiadały jej, jak wspaniale się prezentowałam, gdy tak je przepędzałam – jak jakaś czarnowłosa bogini.

– Małe judasze – podsumowuję lekko ten wybryk. – Cóż, uczą się przecież od najlepszych.

Elizabeth się rumieni. Dzwoni telefon. Stieglitz wypada z pokoju.

– Ach, to ty!

Chowa się za róg, zniża głos, nie da się rozróżnić słów.

Zalewa mnie fala zniesmaczenia. Co innego żyć w bagnie jego głupoty, a co innego być wystawionym na publiczne pośmiewisko. Wszyscy odwracają wzrok – wszyscy z wyjątkiem Elizabeth. Ona znów patrzy na mnie, spokojnie, ze zrozumieniem. Mam ochotę strzelić ją po gębie. Wstaję, rzucam serwetkę na stół przy moim talerzu i wychodzę na dwór.

Idę na górę i stawiam sprawę otwarcie.

– Mam dość tych kłamstw, Stieglitz.

– Co takiego?

– I tego, jak się z tym obnosisz. Z tymi swoimi sprawkami z tą głupią kobietą.

– Mówisz o pani Norman?

– Nie. O twoich kłamstwach. I o tym, jak obracasz wszystko przeciwko mnie.

– Pani Norman zarządza naszą galerią.

– *Twoją* galerią.

– W której sprzedawane są twoje obrazy.

– Być może czas najwyższy, żebym poszukała sobie innego miejsca do ich sprzedawania.

Cisza. Sypialnia – nasza sypialnia – wydaje się taka mała, ciasna. Łóżka rozsunięte. Na parapecie obłażąca farba.

Wzdycha.

– Posłuchaj.

– Nie chcę cię już więcej słuchać.

– Georgio, spójrz na to, proszę, z mojej perspektywy. Gdyby nie pomoc pani Norman, galeria zwyczajnie nie mogłaby istnieć. Nie jestem już młody, świat nie dba o sztukę i tym bardziej nie chce wydawać na nią pieniędzy. Mieliśmy wiele szczęścia, ty i ja. Pracowaliśmy ciężko. Ale nie mam już siły dopilnowywać każdego szczegółu. Gdyby nie pani Norman, nie mielibyśmy dla ciebie galerii, a co gorsza, nieustannie zawracałbym ci głowę. Próbowałbym cię przy sobie zatrzymać, nie puszczał na Południowy Zachód, żebyś miała tę swoją samotność, pracę, wszystko, czego tak potrzebujesz.

Przez okno za nim zza drzew wlewa się już zmierzch. To znów moja wina. To chciał przez to powiedzieć.

– Wydaje ci się, że wiesz, czego potrzebuję? – pytam.

– Uważasz, że pani Norman jest nudna i banalna. Nie okazujesz jej ani odrobiny uprzejmości.

– Z jakiej racji miałabym jej cokolwiek okazywać?

– Bo przez swoją obecność i fundusze, poprzez swoją pracę wspiera twoją sztukę.

– Nie potrzebuję jej wsparcia.

– Jej rola w codziennym zarządzaniu galerią jest bardzo ważna.

– Jak i jej rola w twoim życiu osobistym.

– W twoim życiu też są rzeczy, które są dla ciebie ważne.

– To nie to samo.

– Kiedy sugerujesz, że to z mojej strony coś strasznego, że lubię panią Norman, nie bierzesz pod uwagę tego, jak wiele ty masz zachcianek. Tyle rzeczy chcesz zobaczyć i robić, do tylu miejsc chcesz pojechać. I *musisz* te rzeczy robić. Musisz być wolna, wyjeżdżać. Staram się ciebie nie ograniczać, mimo że tak mi ciężko bez ciebie, ponieważ wiem, że gdy jesteś wolna i szczęśliwa, promieniejesz. Masz wtedy tę jasność, tę pewność siebie, jako osoba i jako artystka. Nikt nie ma takiej jasności myśli jak ty. I pragnę, byś taka była. I zawsze będę tu na ciebie czekał. Będę za tobą tęsknił, ale zniosę to.

Patrzę mu prosto w oczy.

– Nie udawaj, że to to samo. Możesz zawsze pojechać ze mną do Maine albo do Nowego Meksyku. Możesz brać udział w tym, co dla mnie ważne. A niby jaką rolę ja mam odgrywać w twoim związku z tą kobietą? To, co ty wybrałeś, wybrałeś z zamiarem zniszczenia mnie...

– Nie miałem żadnego zamiaru – przerywa mi.

Patrzę w te oczy. I nic nie widzę. Nie widzę chłodu. Po prostu nic.

– Próbuję ci tylko wyjaśnić, jak ja to widzę – ciągnie. – Ostatnio tak rzadko szczerze ze sobą rozmawiamy.

– Szczerze? Co za dziwne słowo w tej sytuacji. – Patrzy na mnie i nagle dociera do mnie, że w jego mniemaniu ta kobieta po prostu nam się zdarzyła. – Nie znoszę kłamstw.

– Nie ma żadnego kłamstwa.

– Same kłamstwa i knowania za moimi plecami. Nie potrafię tak żyć.

Rozpacz na jego twarzy.

– Nie chcę takich ostrych słów między nami.

– To nie ja do tego doprowadziłam.

– Ty wciąż nie rozumiesz, Georgio, co mi robisz, gdy wyjeżdżasz. Nie rozumiesz, czego dla ciebie pragnę. Tylko tego, co najlepsze. Zawsze tylko tego pragnąłem.

Nic nie odpowiadam i po prostu stoimy tak w przeciwległych kątach pokoju.

– Przytul się do mnie – mówi.

To okropne – to uczucie w moim sercu. Ciemność, ból, tęsknota nie za nim, ale za tym czymś, co było kiedyś takie piękne.

– Proszę – dodaje, więc przechodzę przez pokój i kładę się obok niego w jego małym łóżku.

Przytula mnie, czuję jego usta w moich włosach, słucham, jak obiecuje mi nie wiadomo co. Że nigdy już nie będzie między nami takich ostrych słów.

– Nie mów tak – proszę.

– Dlaczego?

– Bo będą.

– Nie.

– Kiedy mnie okłamujesz, nie wiem już, kim jesteś.

Czuję, jak się kuli na te słowa.

– Nasze małżeństwo... – zaczyna.

– Nie chcę tego słuchać.

To nie jest i nigdy nie było zwykłe małżeństwo. A jednak sama nie wiem, jak to jest, że nikt inny nie potrafi sprawić, bym tak dużo czuła, nikt inny mnie tak nie rani, tak nie zachwyca, tak nie otwiera na oścież, nie sprawia, że czuję się tak intensywnie, niesamowicie żywa. Czasami, kiedy o tym myślę, potrafię niemal uwierzyć, że istnieje jakieś inne, ważniejsze miejsce, gdzie wciąż kryje się to wszystko dobre, co kiedykolwiek zaistniało między nami – sztuka, dusza, namiętność.

Dotyka mojej talii. Czule, niemal tęsknie sunie dłonią po moim ciele.

– Piękna – mówi, a w jego głosie słyszę ten sam zachwyt, co zawsze.

Patrzy na mnie, jego ciemne oczy wpatrują się w moje i wiem, o co prosi.

Już chcę odmówić, ale tak naprawdę pragnę sobie to przypomnieć. Pragnę znów przeżyć ten moment, gdy jestem tylko ciałem pod jego wzrokiem. I nieważne, jak bardzo zmieniło się nasze życie.

Będzie piękne. Wiem to już w chwili, gdy strzela migawka. To będzie zdjęcie, które pokocham. Łącznie z przybladłą galaktyką blizn na mojej piersi. Ona jest krajem. Ta kobieta na jego fotografiach. Dla niego nie jest ani młoda, ani stara. Jest po prostu niedościgłą kobiecością.

VII

Jedzie do Nowego Jorku otworzyć galerię, a ja zostaję nad jeziorem. Przygotowuję się do wystawy. Wszyscy już wyjechali. Burzę ścianę między moją sypialnią a szafą ścienną, żeby zrobić więcej miejsca. Maluję podłogę na ciemną, sosnową zieleń i kładę na niej moje nawajskie dywaniki. Rozkładam kości po domu. Nazywam je moimi śmieciami. Żeby zrobić dla nich miejsce, pozbywam się innych rzeczy – jakichś dzbanów, porcelanowych bibelotów.

Pod koniec września daję Margaret wolne. Muszę coś zrobić, wyjaśniam jej, i muszę być wtedy sama. Kładę na krześle kolorową piżamę, a na niej krowią czaszkę. Przekładam ją w tę i we w tę, aż wreszcie jestem zadowolona z efektu. Zaczynam szkicować kształty, załamania tkaniny przechodzą w abstrakcję, przypominają zarysy kanionu. To będzie moja odpowiedź na te gadki mężczyzn, którzy nic, tylko planują Wielką Amerykańską Powieść albo Wielką Amerykańską Fotografię. Zakpię z nich. Czerwień, biel, błękit i ta mityczna, niedoskonała krowia czaszka – kawałek tego kraju unoszący się w samym środku, naga, zimna siła tej kości, która trwa i trwa, wyłaniająca się z błękitu niczym jakiś szalony amerykański sen. Sprzedać się tego z pewnością nie uda, bo i kto by chciał powiesić sobie coś takiego? Ale nic mnie to nie obchodzi. Nie będzie im się to podobać, nie będą jednak mogli

tego nie zauważyć. Choćby i nie zrozumieli. Bo nikt nie maluje tego kraju tak jak ja. Nikt nie rozumie, że to, co najbardziej magiczne i wspaniałe, kryje się tam, gdzie nikt nie patrzy. Kości nie są tym, czym ci się wydają. Nawet próbowałam kiedyś wytłumaczyć to Beck. Nie są śmiercią. Są życiem, które zostało.

Przyglądam się gotowemu obrazowi. Nie jest ładny, ale taki, jaki miał być.

Naciągam nowe płótna, bolą mnie palce. Idę do Flat Rock, niemal aż do brzóz, i kiedy po drodze przypominam sobie nagle o Stieglitzu, zalewa mnie ta nieoczekiwana fala ciepła – coś, czego nie czułam od bardzo dawna. Pierwszy raz jestem jesienią nad jeziorem bez niego. Pracuję i jestem zadowolona z tego, co udało mi się zrobić. Dzwoni do mnie co wieczór. Mówi, że za mną tęskni. Wywołuje fotografie, które zrobił, i są piękne, wręcz zachwycające, ale nie do końca o to mu chodziło. Tylko jedna czy dwie oddają to, co do mnie czuje, to prawdziwe uczucie, które kryje się pod innymi, tymczasowymi rzeczami.

Proszę Margaret, żeby zawiozła mnie do miasta. Muszę zabrać dwa swetry z Sheltona, a potem skoczymy jeszcze do galerii zrobić Stieglitzowi niespodziankę i przy okazji zobaczymy jego nowe zdjęcia.

W holu Sheltona kłaniam się lekko prześmiesznemu, wielkiemu drewnianemu Indianinowi i wjeżdżam windą na górę. Otwieram drzwi i słyszę cichy kobiecy śmiech. Nim dociera do mnie ten dźwięk, odwracam się do Margaret i mówię jej:

– Idź stąd.

Wycofuje się na korytarz, wypycha ją siła mojego głosu. Zamykam jej drzwi przed nosem. Cisza. Potem z sypialni wyłania się Stieglitz, w ręku trzyma aparat.

– Co ty tu robisz? – pyta.

Mijam go. Wśród pomiętej pościeli nagie ramiona, rozpuszczone włosy, wszystko w tym charakterystycznym seksualnym chaosie. Po drugiej stronie łóżka statyw, czarna zasłona, tak okropnie znajomy widok, tylko wtedy nie ona była w łóżku, lecz ja, w pokoju innej żony.

Odwracam się, patrzę mu w twarz.

– Zabierz ją stąd.

Podchodzę do okna. Słyszę, jak pospiesznie zeskakuje z łóżka, wkłada buty, wychodzi. Patrzę na miasto, kiedy on odprowadza ją do drzwi, mówi do niej coś, czego nie słyszę i nie chcę słyszeć. Koniec. I nie mogło się skończyć inaczej. Najbardziej zaskakuje mnie ta przemożna ulga, jakby coś się nagle otworzyło. W pewnym sensie chyba wiedziałam, że to nastąpi, i już miałam dość tego czekania. Jakiekolwiek kłamstwa teraz wymyśli – nie ma to już znaczenia. Nie ma już między nami nic, o czym warto by szczerze mówić.

Wraca. Mówię mu, że chcę mieć w Sheltonie osobne pokoje.

Kręci głową.

– Nie.

– Osobne pokoje – mówię.

– Proszę cię, nie rób tego.

– Ty mi mówisz „nie rób tego”?

Robi krok w moją stronę. Pokój jakby się zmniejsza. Unoszę dłoń.

– Nie zbliżaj się.

– Georgio. – Kolejny krok. – Przecież rozumiem, że jesteś zdenerwowana.

– Nic nie rozumiesz.

Wyciąga rękę. Znów unoszę dłoń, żeby go odepchnąć, ale tego nie robię. Dotyka mojej twarzy.

– Kocham cię – mówi. – Bez względu na to, co o mnie myślisz. Bez względu na to, że nigdy nie zrozumiesz, nie uwierzysz mi, moja miłość się nie zmienia.

Nie patrzę na niego. Jak strasznie się skurczył. Jak żałośnie zwyczajne stało się jego zachowanie. To jego smętne życie. Mogłoby należeć do każdego.

– Jesteś głupcem – mówię mu.

Jego dłoń opada.

– Na twoim miejscu inaczej bym postąpił.

– Na moim miejscu w ogóle byś nie zrobił tego, co właśnie zrobiłeś.

W drodze powrotnej nad jezioro obie z Margaret milczymy. Przegapiam zjazd na Troy i musimy jechać godzinę dłużej. Potem utykamy w korku na moście w Rensselaer. Gapią się na nas czarne, puste pola, a my jedziemy w stronę gór. Bez słowa rozpakowujemy samochód. Margaret robi kolację, ja rozpalam w kominku. Pada między nami może ze trzydzieści słów.

Gdy zaczyna dzwonić telefon, najpierw w ogóle nie reaguję. Za drugim razem odbieram po dziewięciu sygnałach.

– Idę do łóżka – mówię w słuchawkę.

– Nie chcę separacji.

– Porozmawiamy o tym później.

– Nie tego chcę.

– Muszę skupić się teraz na pracy, Stieglitz. Najważniejsza jest w tej chwili moja praca.

U sąsiadów żrą się psy. Okropny hałas, szczekanie, warczenie.

– Georgio.

Następnego dnia pisze list. I jeszcze następnego też. Pyta, kiedy wrócę do Nowego Jorku. Margaret przynosi pocztę. Listy gapią się na mnie ze stołu. Wolałabym, żeby ich nie było.

Ciężko pracuję. Maluję i zapominam się w gładkiej farbie zalewającej pory płótna. Pracuję, aż mi się kręci w głowie. Kiedy pracuję, jest dobrze. Ale nie śpię.

O zmierzchu jadę do warsztatu, żeby mi nalali trochę alkoholu do chłodnicy, bo boję się, że może zamarznąć. Przy okazji odwożę mechanikowi rogi byka, które mi pożyczył. Opowiada mi o jakimś morderstwie. Zawsze opowiada takie historie. Liście już opadły. Wszystko jest płaskie i bezbarwne. Zimno.

VIII

Wracam do Sheltona dopiero wtedy, gdy wszystko jest tak, jak prosiłam. Nasze rzeczy zostały przeniesione do nowego, większego apartamentu – z trzema sypialniami, jedna dla niego, jedna dla mnie. W trzeciej urządzam studio. Wciąż nie śpię dobrze – męczy mnie hałas miasta.

Moja grudniowa wystawa z krzyżami i czaszkami wywołuje rozmaite dość ożywione dyskusje i domysły. Padają słowa „misterium", „kabała", „surrealizm". Mam już tego wszystkiego tak dość – wciąż muszę tłumaczyć, co maluję i co chcę malować. Nie mam już nic do powiedzenia ani Stieglitzowi, ani nikomu w ogóle. Nie mówimy o pani Norman. Kiedy zamierzam pójść do galerii, informuję go o tym z wyprzedzeniem, a gdy się tam pojawiam, nigdy jej nie zastaję. Z tego, co wiem, to ona nadal zarządza galerią, naszym funduszem czynszowym i licho wie czym jeszcze. Nic mnie to nie obchodzi. O nic nie pytam. Stieglitz chyba to wyczuwa. Jej imię zostało wymazane z naszego życia.

Małżeństwo trwa. Pieniądze, sztuka, logistyka – to nas teraz łączy, choć on w życiu by się nie przyznał, że już tylko to nam zostało.

Cisza. Coraz więcej i więcej ciszy.

Ja pracuję, on chodzi do galerii i zima płynie nam spokojnie, póki nie protestuję, gdy mówi, że na swojej retrospektywie

w lutym chce powiesić akty, które zrobił mi jesienią.

Nie zgadzam się. On żąda wyjaśnień i wścieka się, gdy nie podaję żadnego powodu.

– Czy nie są piękne? – pyta.

– Są.

– To dlaczego miałbym ich nie pokazać?

– Nie chcę, żeby łączono je z moim dorobkiem.

– To mój dorobek.

– Wiesz, co mam na myśli.

Patrzy na mnie gniewnie, ale gdy dociera do niego, że nie mówię tego, żeby się kłócić, tylko stwierdzam fakty – że dla mnie coś już się skończyło i dlatego nie ustąpię – poddaje się.

– Możesz pokazać jakiś inny mój portret – proponuję. – Na przykład ten w nawajskim kocu. Jest całkiem dobry. Ale nie akty.

Jego wystawa zostaje otwarta piętnastego lutego. Nie pokazywał swoich prac od 1925 roku. Wiesza sto dwadzieścia siedem fotografii, które zrobił w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Ręcznie pisane ogłoszenie obiecuje odważnie, że galeria będzie otwarta w dzień i w nocy.

W głównej sali powiesił siedemnaście zdjęć starego Nowego Jorku – jego wczesne prace, zjawiskowe, melancholijne, te ikoniczne już fotografie *Terminal*, *Zima na Piątej Alei*, *Flatiron*, które zrobił na początku wieku, gdy miasto wciąż miało tę romantyczną atmosferę. Jest też nowa seria, robiona już z okien Sheltona – widać na niej zmieniający się kontur miasta. Ta seria jest jak prawdziwy akt oskarżenia – mówi wprost o tym, czym się stał Nowy Jork. Stare budynki kulą się pod bezdusznymi nowymi potworami.

W drugiej sali powiesił zdjęcia chmur – *Ekwiwalenty*, pejzaże jeziora George oraz dwie fotografie Dorothy Norman. W trzecim pokoju znajdują się pozostałe portrety: Marina, Demutha, Andersona, Rosenfelda i moje.

Pewnego popołudnia pod koniec lutego wybiera się z Rosenfeldem na *Tristana i Izoldę* Wagnera. Pyta, czy popilnowałabym galerii pod jego nieobecność.

W przerwie między odwiedzającymi chodzę po pokojach i patrzę na każdą odbitkę. Ostrość srebrnych tonów na nowym papierze kontrastuje zdecydowanie z cieniami w jego wczesnych pracach. A jednak są takie piękne. Wszystkie. Ta jasność uczucia, linii, tonu. Jakby uchwycił oddech. Żywotność. Tak to sobie kiedyś nazywaliśmy.

Pusto. Jestem sama w tym miejscu, które nie jest moim miejscem. Drzwi z mlecznego szkła są zamknięte, cisza. To takie smutne – nie ta samotność, ale to, że kiedyś miałam tyle wiary w takie przestrzenie.

Jako mężczyzna jest nieznośny. Manipulujący, zaborczy, egocentryczny. A jednocześnie jest tym. Tymi fotografiami. Czuję ten dreszcz. Przedziwnie transcendentna, magiczna siła jego sztuki. W tak prostym obrazie potrafi przemieniać trawę w wodę, wodę w korę, ścianę budynku w światło. W jednej kropli czy chmurze potrafi tyle powiedzieć o naszej niedoskonałości i nietrwałości. To właśnie mnie do niego przyciągnęło. To właśnie zawsze kochałam – tę obietnicę jego wizji, jego niezachwianą wiarę w sztukę. I nawet teraz – po tym wszystkim, co runęło między nami – to przetrwało.

Tego samego wieczora po kolacji piszę do Marie Garland. Zwierzam jej się, że chciałabym w tym roku przyjechać do Nowego Meksyku trochę wcześniej. Pytam, czy zna kogoś, kto miałby do wynajęcia jakiś domek na północny zachód od Alcalde, gdzieś bliżej Abiquiu.

Zaklejam kopertę i kładę ją z innymi do wysłania.

IX

Dwa tygodnie przed planowanym wyjazdem do Nowego Meksyku kontaktuje się ze mną znany projektant Donald Deskey. Pyta, czy podjęłabym się zlecenia na stworzenie stałych murali w łazience na półpiętrze nowego budynku Radio City Music Hall w Centrum Rockefellera. Mówi, że widział w maju mój tryptyk *Manhattan*, który akurat pokazywała MoMA. Rozmawiał już z architektem. Czują, że moja sztuka idealnie by pasowała. Chodzi im o to, żeby wykorzystać przestrzenie wewnątrz budynku i wystawiać w nich sztukę współczesną.

Intrygujący pomysł. Zawsze marzyłam o tym, żeby zrobić taki obraz, który mógłby wypełnić cały pokój. Mówię Deskeyowi, że chciałabym poznać szczegóły. Wysyła do mnie marszandkę Edith Halpert, żeby omówiła ze mną projekt. Wie dobrze, kogo omija w tym łańcuszku i że normalnie nikt nie rozmawia bezpośrednio ze mną, tylko zawsze najpierw ze Stieglitzem. Podczas lunchu Edith zapewnia mnie, że Deskey jest zachwycony tym, że zastanawiam się nad podjęciem się tej pracy. I że moje wielkie kwiaty tak doskonale by pasowały do tej przestrzeni.

Kiedy wspominam o tym Stieglitzowi, nie podoba mu się ten pomysł. Nie znosi murali. Nazywa je Meksykańską Zarazą i wciąż nie może przeboleć tego, że zeszłej jesieni MoMA zrobiła wystawę indywidualną Diega Rivery.

– Poza tym błędem byłoby robienie czegokolwiek dla Radio City.

– Przyjęłam to zlecenie.

– Niczego nie podpisałaś.

– Dałam im słowo.

– Nie masz pojęcia, w co się pakujesz, godząc się na takie zlecenie. Kiedy niby w ogóle miałabyś malować tę łazienkę?

– Latem.

– A twój wyjazd?

– Zostanę i będę zamiast tego pracować. Wyjadę, kiedy skończę.

– A jeśli nie skończysz do lata?

– To dokończę jesienią.

– W tym samym czasie, kiedy zamierzasz malować na wystawę w galerii?

Nie odpowiadam. Robi z tego wojnę.

– Georgio, wzornictwo przemysłowe to nie to samo co sztuka. Ich cele ogromnie się różnią od naszych.

– Chcę zrealizować ten projekt, Stieglitz.

– I ile niby ci zapłacą?

– Tego jeszcze nie ustaliliśmy. – Zła odpowiedź. Wiem to już w chwili, gdy wymykają mi się te słowa.

– O jakiej sumie mówiliście?

– Każdy artysta, który weźmie udział w tym projekcie, dostanie taką samą.

– Ale jaka to suma?

Patrzę mu w oczy.

– Tysiąc pięćset.

– Wykluczone! – prycha.

– Chcę to zrobić, Stieglitz.

– Jesteś artystką. A ta decyzja nie należy do artysty. To, za ile sprzedajesz swoją sztukę, wpływa na jej wartość.

Czuję, jak zapada się przestrzeń wokół. Ta jego denerwująca logika.

– Pracuję bez wytchnienia! Bez wytchnienia, Georgio! Tylko po to, by budować wartość twojej sztuki. Nigdy nie sprzedaję twoich obrazów poniżej ich wartości. Zgodziłem się w końcu sprzedać Whitneyowi jedno z twoich płócien za niemal pięć tysięcy dolarów, a ty sobie tu chcesz malować cały pokój za mniej niż jedną trzecią tej kwoty?!

– Przecież mówiłam już, że to nie jest ostateczna suma.

– I naprawdę jesteś aż tak naiwna, żeby się łudzić, że gdy oni podali ci sumę, a ty im dałaś słowo, jeszcze tę sumę podwyższą? – Ta namacalna pogarda w jego głosie.

Wytrzymuję jego wzrok.

– Zrobię to.

– Nie zgadzam się.

– Nie musisz – mówię spokojnie. – Bo już to rozumiem. Nie chodzi o tę konkretną decyzję, prawda? Chodzi o to, że podjęłam jakąkolwiek decyzję bez ciebie.

Odwraca się i wychodzi z pokoju. I to jest koniec. Ostatnie słowo. I po raz pierwszy zaczynam się zastanawiać, czy jednak nie popełniłam błędu. Nie teraz, nie chodzi mi o te słowa i uczucia. Ale wiele lat temu. Gdzie byłabym teraz, gdybym nigdy nie przekroczyła progu tamtego gorącego małego mieszkanka z pomarańczową podłogą? Gdybym wtedy do niego nie przyjechała, kim bym teraz była?

W czerwcu jadę nad jezioro otworzyć dom. Nie wspominamy o Radio City. Ale w rozmowach z Elizabeth i Rosenfeldem nawraca bez końca do „całej tej sprawy murali".

Pewnej nocy śni mi się matka. Budzę się raptownie, czuję jej obecność, czuję to pragnienie z dzieciństwa, by przełamała własną surowość i mnie zauważyła, pokochała. *Piękna.* W półświetle poranka zostaje mi to senne słowo. *Jesteś piękna.* Słowa, których nigdy nie wypowiedziała.

Wychodzę z łóżka i idę na dół. Stieglitz już wstał. Robi sobie kakao. Nie mówimy wiele. Nalewam sobie herbaty. Widzę, jak się parzy. Brązowe smugi sączą się w jasną wodę.

– Mleka? – pyta, wskazując mi butelkę.

– Nie, dziękuję.

Odstawia butelkę z powrotem do lodówki i wychodzi.

Tego poranka idę na wielogodzinny spacer. Idę szybko, przed siebie, ciepło w udach, gdy wspinam się w górę przez wysoką trawę. Ten żal w mojej piersi, tak głęboki, tak ostry. Nie potrafię zapomnieć twarzy matki, intensywnego spojrzenia jej ciemnych oczu, jej zmarnowanego życia.

Jestem wykończona. Czarne cienie pod oczami. Żadnych wieści na temat Radio City. Czas zdaje się pocięty. Zostało mi tylko czekanie. Co za utracenie pięknego lata.

– Schudłaś, Georgio – zauważa Rosenfeld pewnego wieczoru, gdy po kolacji czytamy wszyscy w salonie. – Nic ci nie dolega?

Uśmiecham się do niego.

– Wrócę do siebie, gdy tylko wreszcie nastanie jesień.

– To Radio City – wtrąca się natychmiast Stieglitz. – Niszczy jej nerwy.

– To nie to, Alfredzie.

– Od początku wiedziałem, że tak będzie.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Powinnaś się z tego wycofać.

– Nie.

– Nie wiesz, w co się pakujesz.

I wtedy tracę panowanie nad sobą. Raptem wylewa się ze mnie ten potok słów:

– Wydaje ci się, że zawsze wiesz, co jest dla mnie dobre, Stieglitz. Wydaje ci się, że masz prawo decydować za mnie, co mogę robić, co powinnam robić. I za każdym razem, gdy chcę czegoś innego albo chcę zrobić coś na własną rękę, znajdujesz taki czy inny sposób, by znów mnie zastraszyć i zmanipulować. Chcę zrobić to zlecenie dla Radio City. Mogę je zrobić. Mogę po prostu malować na płótnie. I tyle. I masz się trzymać z dala od tej roboty albo zanim się zorientujesz, będę siedziała w pociągu na zachód z biletem w jedną stronę.

Nic na to nie odpowiada. Po prostu nic. Zresztą wszyscy milczą. On tylko spuszcza głowę i kręci nią ostentacyjnie. Patrzę na Rosenfelda. Jest czerwony na twarzy, ma jeszcze smutniejsze oczy niż zwykle.

– Przepraszam, Pudge – mamroczę.

Idę na górę do swojej sypialni i zamykam drzwi.

We wrześniu dzwonię do Deskeya i umawiam się z nim na rozmowę na temat naszej umowy. Jadę do Nowego Jorku. Idziemy razem do tej łazienki. Roboty się mocno przeciągnęły. Wszędzie stoją jeszcze rusztowania.

– Raczej trudno mi będzie malować pomieszczenie, które nawet nie jest skończone.

– Zapewniam panią, że wkrótce wszystko będzie gotowe, pani O'Keeffe.

– Kiedy dokładnie?

– Pod koniec miesiąca.

– Tego miesiąca?

– Tak.

Spinamy się trochę w sprawie płótna. Nie ma pojęcia o malarstwie i wyobraża sobie, że będę malować bezpośrednio na tynku. Odmawiam. Tłumaczę mu, że najpierw na ścianach i sklepieniu musi się znaleźć płótno.

– Z tym będzie kłopot – mówi. – Proszę wziąć pod uwagę łuk w pomieszczeniu oraz lustra. Będzie tu jeszcze osiem okrągłych luster.

– Panie Deskey, albo to jest projekt komercyjny, albo artystyczny. Mamy w Nowym Jorku tuziny malarzy specjalizujących się w malowaniu reklam na ścianach, jeśli o to panu chodzi. Ale jeśli zależy panu na mnie, muszę to zrobić po swojemu. Muszę mieć odpowiednią powierzchnię do malowania. Musi to być płótno i musi pokrywać całe pomieszczenie, tak żebyśmy mogli osiągnąć ciągłą perspektywę.

– Wie pani dokładnie, czego chce – stwierdza. – Jestem pod wrażeniem. Dobrze, proszę pani. Już się nie możemy doczekać, kiedy zobaczymy pani sztukę na tych ścianach, pani O'Keeffe. Dopilnuję, by płótna zostały zamocowane dokładnie tak, jak sobie pani tego życzy.

Wracamy do jego biura i czytamy razem umowę.

– Martwią mnie te terminy – mówię.

– Z tego, co słyszałem, szybko pani maluje.

– Ale jeśli pomieszczenie nie będzie gotowe...

– Będzie.

– Rozumiem.

– Chcielibyśmy, żeby zakończyła pani pracę przed pierwszym listopada.

– Żeby zakończyć pracę w takim terminie, musiałabym wejść do gotowego pomieszczenia pod koniec tego miesiąca. Potrzebuję czterech tygodni. Zanim zostanie nałożone płótno, tynk musi być zupełnie suchy. Samo płótno musi być idealnie gładkie.

– Zapewniam panią, że takie właśnie będzie.

– Dobrze więc.

– Współpraca z panią to czysta przyjemność, pani O'Keeffe.

Obydwoje wiemy, co ma na myśli – że współpraca ze Stieglitzem do przyjemności nie należy. Wzdycham i podsuwam mu umowę. Wiem, że powinnam odczuwać niepokój. Daje mi tak mało czasu. Projekt jest tak duży. I robię coś wbrew woli Stieglitza. Ale oczami wyobraźni już widzę gotową łazienkę – łuki w kątach sufitu, a na ścianach kwitną moje olbrzymie kwiaty.

– Wspaniale – mówi Deskey, wstając. – A więc załatwione!

Mocny uścisk dłoni.

Załatwione.

Kiedy wracam nad jezioro i mówię Stieglitzowi, że podpisałam umowę, wpada w szał. Jeszcze większy, kiedy mówię mu, na jakich warunkach. Dopiero Rosenfeld – kochany Pudge – uspokaja go, argumentując, że teraz, gdy już klamka zapadła, nie ma sensu się sprzeciwiać.

– Poza tym – ciągnie Rosenfeld – właśnie się dowiedziałem, że podobno łazienkę dla mężczyzn będzie malował Stuart Davis.

To mu daje do myślenia. Davis jest artystą związanym z Ashcan School. Nigdy nie należał do Stieglitzowego kręgu znajomych, ale jego kubistyczne pejzaże są odważne. Mimo że jego zuchwała wyobraźnia – stacje benzynowe, jazz – zdecydowanie nie jest w guście Stieglitza, to jednak na pewno nie można mu odmówić talentu.

– Niech Georgia to robi z twoim błogosławieństwem – delikatnie przekonuje Rosenfeld. – Znajdziesz przecież jakiś sposób, żeby było w końcu dobrze.

Przychodzi mi na myśl, że Rosenfeld jest chyba jedyną osobą na świecie, która zawsze chce po prostu naszego dobra. Taka jestem zmęczona tymi wszystkimi machinacjami i kłótniami, a tu proszę, kochany Rosenfeld mówi nam spokojnie, że będzie dobrze. To mnie bardzo pociesza.

Jeszcze przez kilka dni Stieglitz miota się gniewnie po domu, ale wiem, że tak naprawdę zmienił już zdanie. Czuję to po prostu. Wie, że Rosenfeld ma rację. Jeśli chce nadal zarządzać moją karierą, musi się trochę dostosować. Zaczyna nawet napomykać o pewnych zaletach takiego zlecenia. Nie wprost i nie w rozmowie ze mną. Przecież nie przyzna tak od razu, że miałam rację. Ale w każdym razie zaczyna rozważać także plusy. Przede wszystkim Stuart Davis. Poza tym moje wielkie kwiaty w miejscu, przez które przewinie się każda współczesna bogaczka i jej wnuczka. Wciąż jednak jest bardzo niezadowolony z kwestii finansowych.

– To po prostu nie jest dobra umowa – mówi Rosenfeldowi. – Musi być jakiś sposób, żeby ją jednak nieco poprawić.

Wreszcie pod koniec miesiąca zgadzam się, by Stieglitz spotkał się w moim imieniu z Deskeyem i przedyskutował warunki umowy.

– Poproś go, żeby przesunął mi termin – mówię.

– Pogadam z nim też o pieniądzach.

– Skup się na terminie, Stieglitz. To wielki projekt i chcę go zrobić, ale nie zdążę do pierwszego listopada, jeśli prace będą się tak przeciągać.

– Oczywiście, że każę mu przesunąć termin. Ten jest zupełnie nierealny. Musimy wprowadzić kilka ważnych zmian do umowy. Zrobisz to za darmo, a oni oddadzą nam tylko za materiały. Jeśli nie weźmiesz za to ani grosza, to, jak słusznie zauważył nasz genialny Pudge, nie wpłynie to ujemnie na wartość twojej sztuki.

– Nic mnie nie obchodzi, co wymyślisz w sprawie pieniędzy – mówię. – Chcę tylko zrobić ten projekt. Skup się na terminie. Potrzebuję więcej czasu.

Wpada do Nowego Jorku, spotyka się z Deskeyem i architektem, po czym wraca i oświadcza, że wszystko naprawił. Przyjęli jego zmiany w umowie. Wszystko załatwione, termin przesunięty z pierwszego na piętnastego listopada. Prace wykonam za darmo. Wszyscy możemy odetchnąć.

Z ulgą stwierdzam, że nagle głównym tematem rozmów przy stole stał się gubernator Roosevelt i to, czy wygra te wybory czy nie. Za każdym razem, gdy włączamy radio, słychać jego głos, bez końca obiecujący, że rząd federalny zaprowadzi nowy ład w przemyśle i stworzy nowe miejsca pracy. Nikt z nas nie ma pojęcia, jak by to miało wyglądać w praktyce. Ale wszystko to jest tak nowe, że budzi niekończące się żarliwe dyskusje, które

z jadalni przelewają się do salonu i rozlewają na długie wieczorne godziny.

Jezioro wydaje się dziwne. Wszystko jest takie lekkie – teraz, gdy już nie walczymy o Radio City. Wygrałam tę bitwę. Wiem o tym, ale walka mnie zmęczyła. Mój umysł jest jak oskalpowany. Tyle wysiłku i właściwie po co? Żeby namalować coś na ścianach jakiejś łazienki? Czasami zaczynam wątpić, czy było warto.

Myślę o Nowym Meksyku. Coraz częściej myślę tylko o tym – żeby wyjechać, wrócić tam. Na ile bym pojechała? Na cztery tygodnie? Trzy miesiące? Na zawsze. Tęsknię za tamtą ziemią. I trzymam się kurczowo tej tęsknoty nocami, gdy nie mogę spać. Pamiętam, jak raz w Taos jechałam samochodem i trafiłam na luźny żwir. Zupełnie mnie zaskoczył. Przede mną nie było nic aż po horyzont, więc patrzyłam sobie na niebo, śledziłam wzrokiem lot kruka i nie zauważyłam, że nagle zmieniła się droga, raptem niepewna pod oponami. Samochód zaczął się ślizgać. Odkręciłam kierownicę, żeby nad nim zapanować. Pamiętam, że usłyszałam nagle niski, wolny śmiech i dotarło do mnie, że to mój śmiech. Wcisnęłam gaz do dechy i pędziłam coraz szybciej w tę czystą, niekończącą się przestrzeń, która opływała mnie, zalewała – tak bosko i intymnie niczym oddech.

W chałupie maluję z pamięci na wielkich płótnach. Czarcie ziele – te jego białe trąbki, które rosną wszędzie wzdłuż strumieni i rozchylają kwiaty dopiero o zmierzchu. Ich zapach tak mocny nocami. Każda część kwiatu jest trująca. Ścięty więdnie w ciągu kilku godzin. Maluję wielki kwiat, tak skadrowany, że zapełnia całe płótno, skręcone zielononiebieskie liście niczym jego echo. Zamykam oczy i widzę ten kształt pod powiekami – tak pełen

wdzięku i tak żywy, jakby był tuż przede mną. Nakładam cienkie warstwy farby na krawędziach – krawędź za krawędzią. Chcę uchwycić istotę każdego najmniejszego szczegółu, każdej zmarszczki na liściach, każdej nagiej linii – kwiat tętni życiem, nie można oderwać od niego wzroku. Pragnę się zapomnieć w tym bladym gardle kwiatu, jego tajemnicy. Powierzchnie są już tak miękkie, że nie widać w nich pracy mojej dłoni, płatki tak gładkie, że niemal czuje się ich dotyk na policzku. Nie ma tu miejsca na zabawę. Rygor, równowaga, jasność. To opowieść o krawędziach. To opowieść o tym, jak coś tak niestałego jak płatek lub fala może mieć tak jasno określoną krawędź.

Gdy obraz jest gotowy, zaczynam następny, ale tym razem od razu psuję kompozycję. Moje ręce, kolory, kształty – wszystko mnie zawodzi. Górny płatek wypaczony, wygląda jak wargi delfina. Nie da się tego naprawić. Przerywam i zdejmuję płótno z ramy.

W końcu w połowie listopada dzwoni Deskey i mówi, że łazienka jest gotowa. Pakuję rzeczy i jadę. Zastaję Radio City w stanie zupełnego chaosu. Wszędzie pracują jeszcze robotnicy, tynk, kurz, na wpół skończone oświetlenie, kable na wierzchu, drabiny prowadzące do jakichś dziur w ścianach. Na środku czerwonego dywanu w holu leży żyrandol, nad nim na suficie wielkie iks i koło. Omijam go ostrożnie i idę za Deskeyem i jego asystentką. Kluczymy przez labirynt bałaganu, docieramy do półpiętra i wchodzimy wreszcie do umywalni. Jest w idealnym stanie. Lśniąca biel. Wszystko tak, jak się umawialiśmy. Doskonale gładkie płótno na ścianach, na sklepieniu i w każdym łukowatym kącie. Miga do nas osiem luster. Dotykam palcem ścian i czuję

radość. O to właśnie mi chodziło. O to właśnie walczyłam ze Stieglitzem. O ten rozległy krajobraz. O nowy początek.

Odwracam się do Deskeya z uśmiechem.

– Jest pani zadowolona, pani O'Keeffe?

– Tak.

Zostawia mnie z asystentką. Dopiero gdy rozpakowuję rzeczy, zauważam ten zapach – lekki, słodkawy smród wilgoci. Mokre powietrze. Czuję je na twarzy i dłoniach. W pierwszej chwili tego nie zauważyłam. Serce mi zamiera. To pomieszczenie nie jest gotowe do pracy. Oglądam się na asystentkę, ale ona siedzi na skrzyni i pisze coś w swoim notatniku do stenografii. Przyglądam się ścianom. Mój wzrok pada na lekki cień w rogu – niewielkie wybrzuszenie na powierzchni. Podchodzę do niego, dotykam płótna poniżej. Jest suche w niektórych miejscach, ale nie wszędzie. Czuję pod palcami mokry tynk. Docieram do zgrubienia przy szwie. Przebijam je paznokciem. Wypływa biała maź.

Odwracam się do dziewczyny.

– Przyprowadź go.

– Pan Deskey ma teraz spotkanie.

– Przyprowadź mi go tutaj.

Wybiega. Obchodzę dalej moje pomieszczenie. Teraz już to widzę, już to czuję – to jedna wielka katastrofa. Nic nie jest tak, jak się wydaje. Ten idealny stan był tylko złudzeniem. To pomieszczenie nie jest suche, nie jest czyste, nie jest piękne. Nie ma w nim odwagi, śmiałości, prawdy. Zalewa mnie fala wściekłości. A więc znowu. Znowu przegrałam z jakimś aroganckim mężczyzną, z męskim ego, niekompetencją, która nie ma nic wspólnego z moją sztuką. Jakby wszyscy oni należeli do

jakiegoś spisku – jakby chcieli, żebym była dobra, ale nie dość dobra, żeby ich pokonać. Obłąkana myśl. Wiem o tym. A jednak. Zaciskam pięści. I wtedy zauważam jasnobrązową plamę na podłodze. Pochylam się, muskam ją palcami. Nafta.

To jeden wielki bałagan. Pomieszczenie. Projekt. Decyzja, którą podjęłam. Klęska.

Gdy wchodzi Deskey, pakuję już swoje rzeczy.

– Nałożyliście płótno na mokry tynk – mówię, starając się zachować spokój.

– Pani O'Keeffe, proszę...

Nie przerywam pakowania: szkicownik, węgle, farby, kilka pędzli, które już zdążyłam wyjąć. Wkładam je z powrotem na miejsce, wszystko tak, jak powinno być. Rozpalone dłonie – cały wstyd, frustracja, wściekłość przelewa się w moje dłonie.

– Pani O'Keeffe?

Podnoszę na niego wzrok.

– Nie mogę pracować na takiej powierzchni.

– Naprawimy to.

Chce mi się śmiać. Albo może wymierzyć mu policzek.

– Daję pani moje słowo.

– Panie Deskey – mówię chłodnym tonem – od razu panu jasno powiedziałam, że w takich warunkach nie mogę pracować. Nie był pan ze mną uczciwy i dobrze pan o tym wie. Kiedy otynkowano to pomieszczenie? Dwa, trzy dni temu? A potem przylepiliście płótno i wstawiliście naftowy grzejnik, żeby to na łapu capu wysuszyć? Pan mnie ma za idiotkę?

– Wszystko to można naprawić. Zapewniam panią. Zaraz to załatwimy.

– Tego się nie da naprawić. Trzeba by zerwać płótno ze wszystkich ścian i od nowa je otynkować. Nawet jeśli zrobi to pan w dwa dni, i tak potrzeba potem trzech tygodni, żeby to wszystko wyschło.

– Przedłużymy terminy.

Słyszę jęk paniki sekretarki. Wielki kawał płótna zaczął odrywać się z rogu przy suficie. Sunie w dół jak na zwolnionym filmie, powolna fala spływająca po ścianie.

Odwracam się z powrotem do Deskeya.

– Nie zrobię tego.

– Mamy umowę.

– Nie zrobię tego.

Wychodzę z łazienki, z budynku, uciekam na ulicę. Uderzenie betonu, czarnego błysku samochodów, wszystko wydaje się takie głośne, mój umysł nie potrafi tego wytrzymać.

W Sheltonie mówię Stieglitzowi, że nic z tego. Nie ma tematu. Wyszło na jego. Cała ta sprawa murali to jedna wielka porażka – tak, jak to przewidział. Ściany dosłownie rozpadły się na moich oczach.

– Powiedz to. Powiedz: a nie mówiłem.

– Nigdy bym tak nie powiedział, Georgio. Nigdy.

Kłamstwo. Osuwam się na sofę, chowam głowę w dłoniach. Co za absurd. Że też mi się ubzdurało, że potrzebuję czegoś takiego, żeby coś udowodnić. I to tylko dlatego, że wydawało mi się, iż chcę wykonać to zlecenie.

– Zajmę się tym od razu jutro – mówi. – Powiedz, czego chcesz. Załatwię to.

– Wyplącz mnie z tego. To koniec. Koniec.

Wybucham płaczem. Poduszka obok ugina się, gdy Stieglitz siada przy mnie. Kładzie mi rękę na ramieniu. Uspokajająco. Spinam się. Nie chcę tej jego ręki.

– Wszystko jutro załatwię, kochana.

Jego głos jest taki okropny, czuły, słodki. O to mu właśnie chodziło. W ten sposób potrafi mnie kochać. Kiedy jestem słaba i załamana, a on może odgrywać bohatera. To takie upokarzające. A ja tylko chciałam pracować.

X

Nie wychodzę z domu. Nie chcę się z nikim widzieć.

Nie czuję żadnej ambicji. Żadnych pragnień. Tylko to martwe uczucie, spod którego nie mogę się wydostać. Wszystko mnie zawiodło.

Myślę o Nowym Meksyku – o wzgórzach, odległości, przestrzeni, niebie. Muszę tam pojechać. Muszę się tam znów znaleźć. Nigdy tam nie byłam zimą. Nie wiem, kto tam jest w zimie, ale ktoś przecież musi być. Trzeba mieć plan. Robię w głowie listę. Napisać do Marie Garland. Albo do Friedy Lawrence. Zadzwonić do Brett. Nie mogę liczyć na Mabel. Fiasko projektu Radio City to właśnie idealny temat do plotek, które tak uwielbia. Nie dałaby mi spokoju.

Po prostu pojadę. Spakuję się. Kupię bilet. Najpierw do Catherine. Na kilka tygodni. Potem dalej.

Już właściwie postanowiłam, ale potem nagle mnie to przerasta, za dużo machinacji, konwersacji. Za dużo do wyjaśniania.

Szyję i naprawiam płótna. Próbuję malować. Chcę za wszelką cenę pracować. Wrócić do tego, co znam. Chcę znów poczuć się wolna – sama w pokoju. Przykładam pędzel do papieru, ale zsuwa się bezsilnie. Żadnych kształtów. Żadnego żaru. Nic.

Dwa razy dziennie dzwoni Stieglitz, żeby sprawdzić, jak się czuję. Raz o dziesiątej. Potem o drugiej.

Jego głos w słuchawce namawia mnie do malowania.

– Lepiej się poczujesz – upiera się.

– Nic nie czuję.

– Jesteś taka wrażliwa. Och, moja miłości.

Czy to właśnie im mówisz? – myślę. Że jestem *wrażliwa*. Że Radio City mnie zniszczyło? Że jestem twoją miłością i że to wielka szkoda. Ty draniu. Wciąż słyszę w głowie jego słowa.

– Nic mi nie będzie – odpowiadam, ale mój głos wypada słabo, a Stieglitz od razu mi to mówi.

– Georgio, proszę, staraj się wyzdrowieć – dodaje.

Co wydaje mi się dość bezsensowną radą, biorąc pod uwagę, w jakiej klatce żyję.

Końska czaszka, postanawiam. Tylko dlatego, że akurat na nią pada mój wzrok, gdy odwieszam rano słuchawkę. Robię kilka szkiców, potem kładę płótno na sztalugę w moim studiu. Wyciskam farby na ich miejsca na palecie. Leżą, czekają. Jakbym zapomniała, co się potem robi. W porównaniu z kolorami na szklanej palecie wszystko jest takie szare. Podłoga, moja sukienka, buty.

Zanurzam koniuszek pędzla w błękicie. Mam ochotę go posmakować. Poczuć ten dreszcz koloru w moim wnętrzu. Pędzel wisi obok płótna. Od czego zacząć? Od czego zacząć? Muskam płótno pędzlem, ale już w tej samej chwili wiem, że to nie to. Robię to jakoś nie tak, jak powinnam. Wszystko, co robię, wszystko, co się stało – poszło nie tak, jak powinno. Widzę to w tym żałosnym pociągnięciu pędzlem po płótnie. To nie ma

znaczenia. Co robię, a czego nie robię. Dokąd idę. Tak odległa wydaje się teraz tamta dziewczyna, którą kiedyś byłam. Dziewczyna pełna pasji przelewającej się w kształty na papierze. Nie czuję już w sobie tamtego żaru. Nie mam żadnej jasnej wizji. Niczego. Jestem słaba i nie znoszę tej swojej słabości. Nigdy nie podejrzewałam, że mogę być tak słaba.

Nie chodzi nawet o niego i to, co mi zrobił. Ale o to, co pozwoliłam mu zrobić.

Wiedziałam dobrze, w co się pakuję. To ja wtedy na peronie przyciągnęłam jego twarz do mojej twarzy, to ja go pocałowałam. Od początku wiedziałam, kim jest. Wiedziałam, do czego jest zdolny. Wiedziałam, kim dla niego będę – jego artystką, kochanką, muzą. Wiedziałam, dokąd mkną te rozpędzone sanie, i wiedziałam, co na tym zyskam. Nie wiedziałam jednak, co będę musiała poświęcić.

Przesuwam opuszką od skuwki pędzla aż po ostrą końcówkę trzonka. Wbijam sobie tę końcówkę w dłoń, cisnę mocno, aż w głowie zakwita ból, ten śmieszny biały wybuch – eksplodująca gwiazda.

– Nic ci nie będzie – mówi rano, wychodząc do Miejsca.

Jak można powiedzieć coś tak głupiego? Chcę nawet o to spytać, ale on odwraca się nagle i rzuca do stołu, szuka czegoś gorączkowo, pewnie położył to w złym miejscu, bo teraz nie może tego nigdzie znaleźć. Potem obiecuje, że zadzwoni, i już go nie ma. Za oknem, daleko w dole, suną parasolki jak małe czarne kwiaty w szarym strumieniu. Odsuwam się przestraszona.

Leżę w łóżku i chodzę po domu, w którym dorastałam. Przechodzę przez kuchnię, w której matka obiera ziemniaki;

przez pokój, w którym brat ojca umiera na gruźlicę. Chodzę i chodzę i nie mogę znaleźć tych drzwi. Nie ma ich tam, gdzie powinny być. Wymykam się przez ścianę, wydostaję na zewnątrz. W oddali widzę ojca. Cały czas jest odwrócony do mnie plecami, jego wysoka sylwetka wciąż się ode mnie odsuwa. W ogrodzie widzę moje dwie siostry, ich głowy pochylone ku sobie, ich suknie lśnią w słońcu, ręce się stykają. Trzymają w nich jakieś stworzenie, rannego ptaka. Nagle jedna – Claudia? – podnosi wzrok i mnie zauważa.

– Georgia! Chodź! – woła i zalewa mnie radość.

Jej głos niesie się echem wśród drzew. Pryska ta piękna, cenna chwila. Jeden jej ułamek przechodzi w drugi i zaczynam rozumieć, że to tu ukrywa się życie – w tym nienazwanym czasie między jednym momentem a drugim, gdy nie wypełnia cię żadna myśl, żadna świadomość. Tylko ogród, odwieczne słońce, głos siostry.

Wiedziałam to wtedy. Dzieci są wyroczniami. Jesteśmy wtedy ciałem, głodem, oczami. Jako dziecko słyszałam każde poruszenie chmur. Czułam drżenie traw, ich źdźbła rozsuwające się pod dotykiem wiatru, ziewające, przeciągające się, otwierające pąki...

Wspomnienie się urywa.

Płaczę. Aż staję się oceanem. Aż osuwają się ściany. W łóżku nie jestem bezpieczna. Uciekam z niego, chowam się w kącie, gdzie ściany się spotykają. Może uda mi się przecisnąć przez tę linię.

Znajduje mnie wieczorem, gdy wraca do domu. Płaczącą, na krawędzi wszystkiego. Zasłaniam dłońmi uszy, żeby nie słyszeć tych dźwięków w głowie. Podkulam nogi, żeby wszystko trzymać

mocno razem, żeby jakoś utrzymać siebie w sobie, moje ciało wtulone kurczowo w ten szew na ścianie.

Co myśmy zrobili? – chcę go spytać, moje usta się otwierają, ale słowa nie chcą z nich wyjść. Klęka przy mnie.

Dzwoni po moją siostrę. Anita przychodzi, pomaga mi spakować kilka rzeczy i zabiera mnie do siebie. Zostaję tam na święta, we własnym pokoju – luksusowym, dużym, ale jak się okazuje, nie dość dużym, by utrzymać lawinę, która już się we mnie zsuwa.

Wszędzie ten hałas. I paniczny strach przed wodą. Nie mogę się nawet wykąpać. Stieglitz przychodzi do mnie niemal codziennie. Nigdzie już nie jest bezpiecznie. Siada na krześle przy moim łóżku. Nie mogę tego znieść. W końcu mówię do Anity szeptem:

– Powiedz mu, żeby sobie poszedł.

Nie mogę na niego patrzeć, nie mogę o nim myśleć, o tym wszystkim, czym byłam, o czym marzyłam, czego chciałam.

XI

Osiemdziesiąta Ósma, wschód. Doctors Hospital. W białym pokoju, w którym umieścili mnie dla bezpieczeństwa, moje uszy przepełniają głosy. Głośne, wyraźne, gadające w milionach nieznanych mi języków.

Przez większość dnia jestem sama. Przychodzą tylko pielęgniarki o zimnych, sprawnych dłoniach. Zmieniają basen, przynoszą posiłki, których prawie nie tykam, sprawdzają puls. Raz na dzień pojawia się lekarz. Potem wszyscy znikają, drzwi zostają zamknięte i jestem sama. Mój umysł odpływa. Wracają do mnie umarli. Nie wyglądają tak, jak powinni. Matka. Ojciec. Mój braciszek Alexius. A sufit chowa się gdzieś tam w kącie, a moja dusza – o ile jakoś można nazwać tę transparentną część mnie, która przychodzi i odchodzi – gdzieś się zupełnie zapodziała.

Słyszę szum wody: nocne fale bijące o brzeg w Maine, czarny wodny huk jeziora tamtej nocy wiele lat temu, gdy szalała burza i chłopiec wypadł z kanu, przepadł. To chyba była pierwsza taka strata, pierwsza ofiara naszych małych kłótni, naszego ciągłego niezadowolenia.

Czuję ciężar ciała w łóżku. Głowa. Tyłek. Nogi. Ręce. Obce ciało w obcym łóżku.

I pytam Stieglitza, którego przy mnie nie ma:

– Czy to moja kara? Czy zasłużyłam sobie na to? Zawsze mówiłeś, że kochasz we mnie ten szalony głód. Czy to za ten głód? Za to, że byłam kobietą, która chciała za wiele? Za dużo uczuć, za dużo wolności, za dużo nieba?

Jestem winna tych pragnień.

Nie jestem kobietą, za którą mnie brałeś. Nie jestem białością. Nigdy nie byłam czysta. Nigdy nie byłam tą kobietą ze zdjęć – niewiastą o nieskalanej skórze i pięknych dłoniach.

Te myśli zapychają mi mózg, gdy nagle ściana rozsuwa się i pojawia się jego głowa, potem cały on i dociera do mnie, że ta ruchoma ściana to drzwi. Odziany w czerń, z tym niepokojem na twarzy – z tą jakże wymuszoną, oszukańczą rozpaczą. W tym swoim zdradzieckim płaszczu.

Robi krok w stronę łóżka i rozlega się wrzask. Jakaś kobieta krzyczy w mojej głowie. Widzę po jego minie, że i on ją słyszy.

Pojawia się pielęgniarka, cała w bieli, wyszorowanymi dłońmi chwyta go za ramię, wyprowadza szybko, stanowczo, na korytarz.

Drzwi się zamykają. Wrzask ustaje. Słyszę przytłumiony, słaby głos na korytarzu:

– Ale przecież to moja żona.

Do mojego białego pokoju przychodzą jego listy. Szczegóły jego codziennego życia, abstrakcyjne rozważania, w których tak się lubuje. Nie odpisuję. Nie mam nic do powiedzenia. Dali mi papier. Leży równiutko ułożony na stole przy łóżku i gapi się na mnie. Obok pióro.

Przychodzą Anita z Idą. Gdy są przy mnie, mój umysł nawija nagle znów nici myśli, ale gdy tylko wychodzą, wszystko się

z powrotem plącze. Wychodzę pospacerować po korytarzu. Piszę do Beck, ale pismo nie jest moje – obce, pokruszone, niepewne.

Po kilku tygodniach dochodzę do siebie na tyle, że lekarze pozwalają mu na dziesięciominutową wizytę. Spotykamy się jak dwoje obcych ludzi.

– Może usiądziesz? – Wskazuję mu krzesło dla odwiedzających. Uprzejmie.

– Jak się masz? – pyta.

Co za wredne pytanie. Powinien to sam wiedzieć.

– Co przyniosłeś? – Kiwam w stronę płaskiej paczuszki, którą trzyma pod pachą.

Fotografie, jak się okazuje. Mojej wystawy zatytułowanej *Obrazy – nowe i kilka starych*. Jest mój biały kwiat; smukły krzyż; stodoły i muszle.

Sztuka na małym szpitalnym stole między nami. W końcu to właśnie potrafimy – w tym jesteśmy dobrzy. Spokojnie, odruchowo analizujemy dzieła sztuki, choćby wszystko wokół pogrążało się w chaosie. To przecież nas najpierw połączyło, potem ratowało – jeśli tak to można ująć – wiele, wiele razy.

– Serwują tu smaczne jedzenie – mówię. – Rano były jajka.

– Chciałem, żebyś zobaczyła swoją wystawę.

Dotykam krawędzi odbitki.

– Myślę, że dobrze by ci to zrobiło, Georgio. Gdybyś ją zobaczyła.

– Tak, rozumiem. Dziękuję, że o mnie pamiętałeś i że mi przyniosłeś te zdjęcia.

– Nie. Mam na myśli, że powinnaś je zobaczyć na ścianach Miejsca.

W jego głosie ta natarczywość – ten mroczny pęd, który kiedyś tak kochałam. Teraz mnie tylko przeraża.

– Raczej mi nie pozwolą – odpowiadam ostrożnie. – Ale spytam lekarza, gdy przyjdzie.

– Już pytałem – mówi.

– Mogłam się tego domyślić – mamroczę.

– Powiedział, że jeśli tylko masz ochotę... – To błagające spojrzenie. Serce mi zamiera. Ściany, wszędzie ściany. – Proszę cię, Georgio. – Nierówna, siwa kępka na jego brodzie w miejscu, które przeoczył przy goleniu. – Proszę – powtarza.

Oczywiście pójdę. Powinnam chcieć tam pójść. Zobaczyć moje prace, tę wystawę, którą mi zorganizował. Tak by zrobiła dobra żona, myślę sobie. Choć nie dlatego to zrobię. Żeby było jasne. Ale w tej chwili nie mam siły się kłócić.

Anita zabiera mnie do Miejsca. Stieglitz siedzi na zapleczu, czyta gazetę, na biurku przed nim suszy się list. Na nasz widok zrywa się z krzesła, taki nagle pełen energii, odmłodniały. Rzuca się w moją stronę. Staram się nie skulić odruchowo.

– Chciałem, byś miała słońce – mówi, zamaszyście wskazując okno i chmury za nim. – Było tu ledwie godzinę temu. Błagałem je, by ze mną zostało. Niestety... – Uśmiecha się.

Niestety.

Podłoga wiruje. Robi mi się trochę niedobrze. Bierze mnie za rękę. Trzyma mocno. Powinno mnie to pocieszać, ten uścisk jego dłoni. Udaje mi się wytrzymać tylko dwadzieścia minut. Nawet to wydaje się za długo. Miejsce jest zupełnie puste.

– W zeszłym tygodniu Elizabeth Arden kupiła jeden z twoich wczesnych kwiatów – informuje mnie z dumą.

– A z tej wystawy? Czy coś się sprzedało?

Kręci głową.

– Jeszcze nie.

To dlatego, że te prace nie są dobre – myślę sobie. Bardzo ładna kreska i tak dalej, ale nie da się domalować odwagi tam, gdzie jej zwyczajnie nie ma.

Odwraca wzrok. Odchrząkuje. Chyba na coś czeka.

Niech sobie czeka.

Pod koniec miesiąca, gdy wypuszczają mnie z białego pokoju, nie mogę znieść myśli o tym, że miałabym wrócić do Sheltona. Ten przyprawiający o zawrót głowy widok. To zbyt intensywne.

Pakujemy się i jedziemy na północ. Wiosenne pejzaże wydają się takie znajome. Jakbym już tu kiedyś była. Nie mówię mu tego. Musiałabym mu to tłumaczyć.

Po dwóch dniach zostawia mnie pod opieką Margaret. Przez całe tygodnie czuję się zupełnie pozbawiona kości, dryfuję. Śpię do późna, leżę w słońcu i jem. W końcu nie mieszczę się we własną bieliznę i muszę nosić kalesony Stieglitza. Nie mieszczę się w sobie. Moje wnętrze jest jak wielka torba pełna skrawków materiałów, bezwładnych, do niczego niepasujących kawałków. Wsiadam w nowego roadstera i jadę w bardziej płaską okolicę, żeby dało się chociaż pospacerować. Góry wymagają zbyt dużego wysiłku. Dach zawsze mam otwarty i jadę bardzo powoli, sama sobie nie ufając.

Przypałętała się do mnie jakaś zbłąkana kotka. Nazywam ją Długi Ogon i patrzę, jak różowym języczkiem wylizuje śmietankę z miski. Jest jak jedno delikatne pociągnięcie pędzla albo węgla,

które pewnie potrafiłabym powtórzyć kiedyś, w innym życiu, gdy każdy dzień był innego koloru.

Przyjeżdża Stieglitz na lato i wyrzuca kotkę z domu. Nigdy nie znosił kotów. Wybucham płaczem. Kotka wraca.

To bardzo dziwne uczucie znów grać męża i żonę, jakby to w ogóle miało jeszcze jakieś znaczenie. Choć chyba dla niego wcale nie jest dziwne. Jest bardzo troskliwy, opiekuńczy. Nieustannie sprawdza, gdzie jestem, czy czegoś mi nie trzeba, jaki mam nastrój. Zupełnie jakby mu się zdawało, że odzyskaliśmy nasze życie. Że tylko na chwilę zeszliśmy z jego toru.

Raz, gdy jest między nami tak miło, próbuję mu wyjaśnić, że coś się we mnie złamało, więcej niż złamało – że utraciłam to coś, co go do mnie przyciągało. Patrzy na mnie ze smutkiem. Padające przez pergolę słońce rzuca na jego policzek szary tatuaż.

– Wydobrzejesz – mówi z naciskiem. – Musisz tylko odpoczywać. Wydobrzejesz.

Nie wiem, kogo on próbuje przekonać.

Pisze listy do tych, którzy nie mogą nas odwiedzić ze względu na moją „chorobę". Nie muszę mu nic tłumaczyć – sam wie, że nie mogą przyjechać. Wystarczy, że zamknę się w sobie i zamilknę, gdy wspomni o tym, że można by zaprosić tego czy owego. To milczenie go przeraża, choć czasami wyczuwam też odrobinę irytacji, może dlatego, że czuje się bezradny, a jednocześnie wie, że ostatnią rzeczą, jaka pomoże, jest złość.

Pracuje nad szkicami esejów do nowej książki. *Ameryka i Alfred Stieglitz. Portret zbiorowy.* Redaktorem jest Waldo Frank. Będzie tam też o moich obrazach, ale ja nie piszę żadnego tekstu. Za to

wszyscy inni tak: Marin, Strand, Dove, Anderson, William Carlos Williams, Gertrude Stein. Każde z nich dorzuca pochwalny tekst na cześć Stieglitza.

Na wzgórzu jest pusto. Moje serce zaczyna się uspokajać. Czasami jest tak ciche, że nie jestem w ogóle pewna, czy jeszcze bije.

Beck pisze z Taos. Rozstała się z Paulem. Wyjechała na zachód. Jest z mężczyzną, który czymś tam handluje. Nie rozmawiamy o tym ze Stieglitzem, jakbyśmy bez słów zgodzili się, że tak będzie lepiej. „Poradzisz sobie, droga Beck – piszę do niej. – Pewnego dnia wszystko to wyda się takie nieważne".

Nie malowałam od zeszłej jesieni. Pewnego dnia ze zdumieniem stwierdzam, że kwitnie nawłoć. Minął rok, odkąd ją ostatnio widziałam. Czy to możliwe? Wychodzę z chaty, siadam na łące i czekam, aż wrócę.

Stieglitz znów jeździ do Nowego Jorku i z powrotem, żeby przygotować wystawę Marina.

W pewien weekend leżymy razem w łóżku przed śniadaniem. Całuje mnie delikatnie, obiera moje ciało z ubrań i kocha się ze mną. Powoli, smutno, jakby na pożegnanie. Tuli mnie potem długo – jak czule jest leżeć tak razem.

– Zawsze powinno tak być – mówię.

– Wiem – odpowiada, ale jestem pewna, że nie wie. Mówi tak tylko, żeby mi sprawić przyjemność.

Łzy napływają mi do oczu – te zdradzieckie, gorące łzy. Szepcze moje imię, przytula mnie mocniej i pozwalam mu, bo chciałabym zagubić się w tym od nowa.

Później idziemy na spacer Hubble Lane. Opowiada mi, co słychać w mieście. Że Rosenfeld zajrzał ostatnio do galerii. Przyprowadził artystę Cady'ego Wellsa, który oświadczył, że mój *Czarny irys* to bez wątpienia najważniejszy obraz na całym świecie. Że młody poeta Cary Ross przegrał zakład, kto więcej wypije, bo wygrał Scott Fitzgerald, którego żona Zelda maluje akwarelami i rysuje. Ponoć zaledwie rok temu opowiadała właśnie Cary'emu, jakie niesamowite obrazy maluję. Tylko że teraz akurat siedzi we własnym białym pokoju. Rozmawiamy o tym i o innych ludziach, którzy mają jakiś związek z tymi ludźmi, ale starannie omijamy tematy dotyczące nas samych. Tyle nazwisk do zapamiętania. I wszystkie one są dla niego tak przedziwnie ważne. Zabawne, że dopiero teraz to zauważyłam.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się na chwilę pod starymi kasztanowcami. U naszych stóp morze szkarłatnych i złotych liści.

– Trzy dni temu siedziała gdzieś tu sowa – mówię. – Co za wielki ptak.

Opowiada mi, że w zeszłym tygodniu, gdy był w mieście, szukał czegoś w schowku i natknął się na fotografie, które mi zrobił wiele lat temu, gdy po raz pierwszy do niego przyjechałam. Odbitki platynowe i palladowe.

Nie chcę tego słuchać.

– Spójrz na te żółte liście – mówię, sięgając po jeden, który wciąż trzyma się gałęzi. Niewyobrażalnie jasny. Dotykam go lekko, ale to wystarczy. Opada na ziemię.

– Tamte fotografie były takie piękne – ciągnie.

– Dlaczego przyjechałeś, Alfredzie?

– Żeby się z tobą zobaczyć.

– Czasami wydaje mi się, że przyjeżdżasz, dzwonisz, piszesz i robisz te wszystkie rzeczy tylko dlatego, że wydaje ci się, że powinieneś.

– Przyjeżdżam, bo chcę.

– Nie wydaje mi się. – Mówiąc to, nie chcę mu sprawić przykrości. Takie są fakty.

Ale on jest urażony.

– Czasami – odpowiada – zastanawiam się, czy gdybym cię w ogóle nie spotkał, nie byłabyś szczęśliwsza.

To pytanie nie ma sensu. Dla żadnego z nas.

Zmieniam temat.

– Jak tam Dove? Miałam cię już dawno zapytać.

W ciągu ostatnich miesięcy zrozumiałam, jaka jest prawda. Wiem już, co nam się udało, a co nie, w co wierzyliśmy, czego chcieliśmy i co zniszczyliśmy.

Nie mówię mu tego. Istnieje już przepaść między tym, co mu mówię, i innymi rzeczami we mnie – tym małym życiem, które rośnie we mnie jak jakaś roślinka w czarnej ziemi, roślinka, która ma swoje własne myśli.

Pakuję mu kanapkę na drogę. Dodaję pokrojoną nać selera, kawałek ciasta.

– Nie zapomnij oddać płaszcza do naprawy. – Wskazuję dziurki od guzika, sprute, strzępiące się nitki. Ten śmieszny smutek, że jego płaszcz się nie zapina tak, jak powinien. Tylko dlatego, że nie ma czasu albo głowy do tego, żeby zająć się takimi codziennymi, przyziemnymi sprawami. – Mogę ci to obszyć – dodaję.

– Nie, nie, najdroższa – odpowiada nieprzytomnym głosem. – Załatwię to.

Zdejmuję pościel z jego łóżka. Składam koce i chowam do szafy. Wychodząc z pokoju, zatrzymuję się jeszcze przy oknie. Trawa zalana mokrym zmierzchem. Topola jak jakiś nieziemski strażnik nieba. Wiele lat temu wybrał sobie tę sypialnię właśnie ze względu na ten widok. Za każdym razem, gdy przyjeżdża nad jezioro, pierwsze, co robi, to wchodzi tu na górę, żeby go zobaczyć. To dla niego takie ważne. Wiedzieć, że wszystko jest tak jak przedtem i tak, jak się tego spodziewa.

Pusta kuchnia. Misa z jajkami na blacie. Widocznie Margaret je przyniosła. Na wieszaku nie ma jej płaszcza. Pewnie wyszła. Robię sobie herbatę i piszę do niego. Jak ciężko mi się pisze te listy. Zmuszam się do zapełnienia jednej strony. Piszę o kotce, o domu. Pytam, co u niego. Tyle zachodu, by wykrzesać z siebie tę litanię drobiazgów, które mają brzmieć, jakby czymś były, mimo że nic nie znaczą. Odkładam pióro. Przypomina mi się, jak po raz pierwszy napisał do mnie o jeziorze – jego życie było wtedy tylko marzeniem. Ja mieszkałam jeszcze w Teksasie, moje ciało już wypełniało się jego wiarą – w mój talent, w moją sztukę, w to, czego pragnęłam, w ryzyko, które zaczynałam podejmować. Przelewałam wtedy w te listy do niego całą siebie.

Przez okno w kuchni kształty nieba – zygzak patykowatych wierzchołków drzew. Światło odbija się w szklance. Tak niewielkie drżenie. A jednak ten dreszcz we mnie, gdy na to patrzę.

XII

Spadł śnieg. Biały puch na ziemi, ostatnie lśniące liście. Przeprowadzam się z całym posłaniem do salonu na dole. Na półkach moje kamienie i kości. Sztaluga, farby, pędzle. Wszystko nadal na mnie czeka.

Jean Toomer pisze do mnie z Chicago. Pyta, czy zachowałam może listy od jego zmarłej żony, Margery Latimer. Margery zmarła przy porodzie. Dostała krwotoku, ale ponieważ wyznawała chrześcijaństwo naukowe, nie wezwano lekarza. Udało jej się urodzić dziecko, ale zaraz potem zapadła w śpiączkę i umarła.

W liście Toomer pisze, że jedzie na wschód zebrać przed pogrzebem listy Margery. Odpisuję mu: *Tak, wydaje mi się, że mam jeden list od niej. Uroczy – Twoja żona była taką piękną duszą. Będę w mieście pod koniec miesiąca. Wtedy znajdę ten list.*

Właściwie nie zamierzałam jechać do Nowego Jorku, ale teraz już obiecałam. To zabawne – jakby coś we mnie planowało to wszystko, zupełnie pomijając przy tym mój dzienny umysł.

– Nie pojmuję, dlaczego nie chcesz mieszkać w Sheltonie – mówi Stieglitz, gdy go informuję o przyjeździe.

– Zatrzymam się u Anity.

Czuję jego zdezorientowany smutek, zmarszczka w tym milczeniu na linii telefonicznej.

W Nowym Jorku idę na wystawę Brâncuşiego, odwiedzam siostry. Proszę Claudię, żeby poszła ze mną do Sheltona i pomogła mi poszukać tego listu dla Toomera. Idę z nią pod ramię Piątą Aleją.

– To wręcz ekscytujące – zauważam – że mogę znów tak po prostu iść po ulicy i nie wpadać w panikę.

W czwartek po obiedzie u Rosenfelda zachodzę do Miejsca, żeby zobaczyć nowe krajobrazy Marina. Gdy przyglądam się jednemu z nich – pełnemu płaszczyzn kolorów i przestrzeni, lekko kubistycznemu, bo takie ostatnio robi – wyczuwam za sobą czyjąś obecność. Obracam się. W pierwszej chwili go nie poznaję. Dopiero potem dociera do mnie, że to Jean.

– Jak miło cię widzieć! – mówię.

– I ja się cieszę, że cię widzę. – Uścisk dłoni, jego palce są ciepłe.

– Nie udało mi się znaleźć tego listu – przyznaję. – Przepraszam. Gdzieś go zapodziałam. A to był naprawdę piękny list. Będę jeszcze szukać.

– Długo jesteś w mieście? – pyta.

– Za długo.

Mówi, że pracuje nad esejem do zbioru Stieglitza. Potrzebuje jakiegoś zacisznego miejsca, żeby go dokończyć. Że pogada ze znajomym, który ma dom na Long Island.

– Przyjedź do nas nad jezioro – mówię. – Tym bardziej skoro piszesz o Stieglitzu.

– Nie przyszło mi to do głowy.

– O tej porze roku jest tam bardzo zacisznie. W domu jest trochę przeciągów, ale jeśli nie przeszkadza ci chodzenie cały czas

w swetrze i parę myszy w kuchni, to zastanów się, czy się do nas nie wybrać.

– Chyba nie boję się myszy. – Urywa. – Dobrze – mówi po chwili. – Przyjadę.

Dopiero po jakimś czasie uświadomię sobie, że to zaproszenie musiało być dość zaskakujące. Pewnie on sam był nim zdziwiony.

Za to Stieglitz jest zachwycony, że czuję się już na tyle dobrze, żeby kogoś zaprosić.

– Dochodzisz do siebie – cieszy się.

Mało się na to nie uśmiecham. W biurze ma nowy rysunek Picassa, stojący akt. Chcę go powiesić w domu nad jeziorem, w korytarzu na piętrze. Oddaje mi go od razu i wychodzę z Miejsca.

W pociągu znów myślę o Jeanie, jestem coraz bliżej jeziora George, za oknem śmigają pola. Zaczął padać lekki śnieg. Niebo rozsypało się w miękkie płatki.

Przez pierwszy tydzień jego pobytu większość czasu spędzam zamknięta w sypialni, bo się przeziębiłam. Słyszę, jak chodzi po domu, rozmawia z Margaret. Rozśmiesza ją i sam się z nią śmieje. Taki głośny, dobry śmiech. Potem długie godziny ciszy, tylko stukanie jego palców w klawisze na maszynie. Pracuje cały dzień, potem wychodzi i załatwia, co tam akurat nam trzeba. Bez względu na pogodę zawsze idzie na pocztę. Odpala mój samochód, żeby silnik nie zamarzł.

– Miło mieć cię pod ręką – stwierdzam pewnego wieczoru przy kolacji. – Bardzo jesteś użyteczny.

Patrzy na mnie ponad wołową pieczenią, która stoi na środku stołu. Chyba nie jest pewny, czy sobie z niego kpię, czy mówię poważnie.

– Od chwili, gdy przyjechałem, nie możesz jakoś wyjść z tego przeziębienia.

– Co nie zmienia faktu, że jest miło.

Bo naprawdę jest. Zaskakująco miło. Mieć tu kogoś zajętego swoimi myślami, swoją pracą, swoją ciszą.

Temperatura spada do minus dwudziestu. Jezioro pokrywa się warstwą lodu. Po południu robię sobie legowisko przy oknie, dodaję jeszcze dwa koce i chowam się pod nimi z nową książką Junga, którą Stieglitz dał mi, gdy byłam w mieście. Z drugiego końca domu słyszę ciche stukanie na maszynie, jego palce na klawiszach, cisza między myślami, potem znów nierówne stukanie, stuk-stuk-stuk. Zamyka się szuflada, otwierają drzwi, kroki na schodach, schodzi. Wchodzi do salonu i zatrzymuje się zaskoczony moją obecnością pod oknem.

– Przyniósłbyś mi wody? – proszę.

Wychodzi i wraca ze szklanką.

– A zatem wróciłaś do świata – mówi.

– Tylko trochę.

– Stieglitz napisał do mnie kilka dni temu. Martwi się o ciebie.

Kiwam głową.

– Jeszcze jeden dzień, a i on będzie przeziębiony. Moja siostra Ida mawia: niech jedno kichnie, zaraz oboje są chorzy.

Toomer wybucha śmiechem.

Biorę łyk wody.

– W przyszłym życiu chyba wrócę jako blond sopranistka.

– Boże uchowaj.

– Mówię poważnie. Blond sopranistka, która będzie śpiewała tak wysoko, że będą pękać szyby.

– Powybijasz wszystkie okna.

– O to właśnie chodzi. Ale będę oczywiście mieszkać gdzieś, gdzie nie będzie takiej zimy jak tu, można więc będzie sobie pozwolić na stratę paru okien.

– Może w Taos?

– W Taos wciąż dochodzi do jakichś dramatów.

– Zbyt często jak na twój gust?

– O wiele.

Jego wzrok ześlizguje się z mojej twarzy na szyję. Tylko na moment. Potem Toomer wstaje i mówi, że zanim się ściemni, musi jeszcze pójść po drewno.

Następnego poranka okazuje się, że zamarzły nam rury. Z Bolton's Landing przyjeżdża do nas Putnam.

– Można je rozmrozić – mówię.

– Nie przy takim mrozie, pani O'Keeffe.

– Myli się pan, panie Putnam.

Podaję mu szczegółowe instrukcje i wysyłam do piwnicy, a gdy po chwili wyłania się na powierzchnię, zaganiam go z powrotem pod ziemię, aż w końcu robi to, co mu każę, i dociera do niego, że miałam rację.

Śnieg sypie i sypie. Uwielbiam tę zimę tutaj, w tym domku, który zupełnie nie jest do niej przystosowany. Lubię, gdy jest tak trudno i zimno. Lubię te małe przygody – takie zamarznięte rury na przykład, które w przeciwieństwie do innych rzeczy tak łatwo naprawić.

Gdy w końcu przestaje padać, Jean zabiera się do odśnieżania. Staję w kapciach na progu kuchennych drzwi.

– Widzisz, jaki jesteś przydatny! – wołam za nim.

Przestaje wymachiwać łopatą i uśmiecha się do mnie.

– Mam tu u ciebie ciężki kawałek chleba.

– Nie ma lekko.

– Wejdź do środka, bo się zaziębisz.

– Nie mogę się już przecież bardziej zaziębić.

Wybucha śmiechem i znów chwyta za łopatę.

– No już, Georgio – strofuje mnie.

Jego wzrok zatrzymuje się na chwilę na mojej twarzy. Potem odwraca się i wbija łopatę w kolejną zaspę. Zamykam drzwi. Cicha radość w piersi. Gdy wchodzę po schodach, zaczyna dzwonić telefon. Na pewno Stieglitz, bo któż inny by to mógł być? Powinnam odebrać. Powinnam porozmawiać z nim, żeby go uspokoić. Zimne schody pod stopami. Dzwonek telefonu niesie się echem po domu. Niech sobie dzwoni.

Jean. Zaczynam go poznawać. Jak siedzi, jak mówi, jak się porusza, jak gdy pisze na maszynie, pochyla się lekko do przodu, opiera na łokciach. Daje mi do czytania swoje rzeczy – fragmenty powieści, nad którą teraz pracuje, i swoją pierwszą książkę, *Trzcinę*. Po kolacji słuchamy muzyki – Bacha, Mozarta, negro spirituals. Gadamy do późnej nocy, takie luźne, abstrakcyjne rozmowy o jego żonie, pisaniu, sztuce, kwestiach rasowych. Opowiada mi o swoim ojcu, który urodził się w niewoli, ale potem stał się zamożnym farmerem. Jego matka była córką gubernatora. Toomer chodził raz do szkoły dla białych, raz do szkoły dla czarnych. Jest w połowie czarnoskóry, a w drugiej połowie jest

trochę Holendrem, trochę Walijczykiem, a trochę niemieckim Żydem.

– Jakie to ma znaczenie, Georgio? Czarni, biali, Mulaci, jaki to w ogóle ma sens? Nie jestem żadną z tych rzeczy i jestem wszystkimi naraz. Po prostu jestem tym, kim jestem.

Jego oczy są takie dziwne – zupełnie jakby unosiły się pod powierzchnią jego skóry. Niesamowicie piękne. Jak światło przebłyskujące przez wodę.

Opowiadam mu o Nowym Meksyku, o Abiquiu, małej wiosce wyrastającej wśród gór.

– To takie wyjątkowe miejsce na ziemi – mówię. – Nigdzie indziej nie ma takiego światła. Nawet kurz jest tam inny.

Sproszkowane cegły adobe, ściany kruszące się powoli, wracające do ziemi. Ten kurz jest naprawdę zupełnie inny niż gdziekolwiek.

– W to już nie uwierzę.

– Bo tam nie byłeś.

– Byłem w Taos.

– To nie to samo.

Zmarszczka w ciszy między nami. Mój głos wypadł jakoś głośniej, niż chciałam.

– Powinieneś zostać – mówię nagle.

– Co?

– Zaprosiłam cię na dwa tygodnie.

– Tak.

– Już prawie minęły.

Nie odpowiada.

– Nie musisz zostawać.

– Wiem.

– Ale możesz, jeśli tylko masz ochotę.

Kąciki jego ust się unoszą.

– Bo jestem przydatny?

– Otóż to. Jesteś przydatny i wszystko nam się ładnie układa. Nie sądzisz?

– Tak – mówi powoli. – Rzeczywiście.

Przychodzi do mnie kotka i wskakuje mi na poduszkę. Głaszczę ją po głowie. Przez chwilę znosi to cierpliwie, potem zeskakuje i okrąża jego krzesło.

Kiedy na święta przyjeżdża Stieglitz, jest już niemal ciepło i mogę wychodzić na dwór. Oszroniona trawa błyszczy w słońcu.

Staje w progu i na mój widok uśmiecha się radośnie:

– Niesamowite! – woła, dotykając mojej brody dłonią. – Jak ty znów dobrze wyglądasz!

Czuję ucisk w żołądku i niemal odwracam odruchowo twarz.

Dajemy sobie symboliczne podarunki. Toomerowi kupiłam jasnoczerwony szalik.

– Wyglądasz w nim oszałamiająco – mówię.

– Czy ja wyczuwam w twoim głosie jakąś kpinę?

Wybucham śmiechem.

– Stieglitz, ty mu powiedz. Przecież ten szalik naprawdę wygląda świetnie.

– W rzeczy samej – potwierdza Stieglitz. – Imponująca czerwień.

– Proszę bardzo – triumfuję. – Teraz mi wierzysz?

Jean posyła mi szybkie spojrzenie, potem wkłada szal z powrotem do pudełka. Stieglitz właśnie opowiada o tym, jak to zawsze marzył, by spędzić Boże Narodzenie na Wzgórzu, i w końcu się udało – te kilka idealnych dni wśród śniegu – i jak to wspaniale widzieć mnie w takim dobrym stanie. Wyglądam niemal tak jak te piętnaście lat temu. Zapiera mi dech w piersiach. Czy to aż tyle minęło?

Jemy sutą kolację. Obżarci wtaczamy się do kuchni. Stieglitz rozpala w piecu, potem siada przy stole, a my z Toomerem zabieramy się do zmywania. Śmiejemy się. Tyle jedzenia, tyle talerzy do umycia. Ręce mam całe zanurzone w ciepłej wodzie, pianę na rękawach. Podwinęłam je, ale ciągle mi się zsuwają.

– Chodź no tu – mówi Toomer.

Wyciągam do niego ociekające pianą ręce, a on podwija mi rękawy. Teraz ręce mam nagie aż po łokcie.

– Bardzo zgrabnie ci to wyszło – mówię.

Szybki uśmiech na jego twarzy.

– Tak? – Bierze wypłukany talerz z suszarki i przeciera ścierką jego mleczny środek.

Kiedy w końcu w kuchni jest już czysto, przenosimy się do salonu. Jean czyta nam swój esej o Stieglitzu. Napisał też o Wzgórzu, o tym, że kiedyś było to gospodarstwo, a teraz dom stał się nowym światem, o tym, że żadne okno nie ma zasłony, każde jest zawsze otwarte na świat, gotowe go postrzegać, odczuwać, rozumieć. Pisze o mojej obecności, o tym, jak dom oddaje ducha mojej ascetycznej postawy – ten brak ozdób, jasnoszare ściany, nieokryte niczym światła. Czyta dalej o geniuszu Stieglitza, jego szczodrości, jego poświęceniu dla

sztuki. O artystach, których Stieglitz potrafił dojrzeć wtedy, gdy świat ich w ogóle nie zauważał, o tym jego niesamowitym darze, dzięki któremu potrafi uchwycić „drzewość drzewa, kamieniość kamienia (...) to, czym jest twarz (...) czym jest ręka, ramię, kończyna (...) to niesamowite piękno ludzkiej istoty...”.

W jego dłoniach lśni papier, odbija światło kominka. I już wiem. Nim nawet dokończy czytać, nim jego oczy podniosą się i napotkają mój wzrok, już czuję to pożądanie w jego twarzy – to, jak mnie pragnie, i uzmysławiam sobie, że to już trwa od jakiegoś czasu.

Stieglitz zostaje u mnie bardzo długo. Siedzi na fotelu przy moim łóżku. Kiedy zaczyna przysypiać, trącam go, ale upiera się, że nie chce wracać do swojego pokoju. Znów się dobrze czuję, a on boi się zasnąć, boi się, że do rana coś się może zmienić. Kurczowo trzyma moją dłoń uszczęśliwiony, że znów uosabiam tę kobietę, którą zna, kobietę, którą kocha.

Jego radość z tej przemiany jest szczera. Znów widzi światło w moich oczach. Znów słyszy mój śmiech, taki sam śmiech, jakim śmialiśmy się piętnaście lat temu, pierwszego naszego lata. Tamten czas w jego życiu, gdy mnie odkrył, był jego najpewniejszym, najbardziej męskim, żywym okresem, zawsze więc będzie mnie już za to kochał. A gdy teraz słyszy mój śmiech, przypominam mu, kim był wtedy, kiedy go słyszał...

Zamknął oczy. Jest naprawdę rozczulający. Wygląda dziś na swój wiek, siwe włosy wokół tej kochanej bladej twarzy. Ma już prawie siedemdziesiąt lat i choć wciąż potrafi się wpakować w takie głupoty i wciąż potrafi mnie tak okropnie rozzłościć, tak naprawdę jest już tylko mężczyzną, który ma słońce za sobą.

Dotykam jego dłoni. Porusza się, przez chwilę jest zaskoczony, potem mnie zauważa.

– Jesteś taka wspaniała – szepcze, zza okularów patrzą na mnie jego zaspane oczy.

Pochylam się, opieram na podłokietniku jego fotela. Ustami muskam jego policzek.

Wyjeżdża, wraca do miasta. Przychodzi list. Jeden z tych jego listów, co to ciągną się przez cały dzień – pierwszy wpis o 11.27 jeszcze z pociągu, przejeżdża właśnie przez Fort Edward, następny o 14.10 z Albany, gdzie mija ten sam brzozowy zagajnik, który mijamy zawsze, sezon za sezonem, rok za rokiem. I jeszcze trzy wpisy – o 20.00 z Miejsca, potem o 20.23, potem jeszcze o 20.38. I kończy informacją o tym, że chyba weźmie teraz kąpiel.

Nagle ta myśl, że to ostatni list. Wiem dobrze, że nie. Będą jeszcze tysiące, całe lata listów, z zachodu na wschód, z jego kraju do mojego, w tę i z powrotem. To na pewno nie jest ostatni. A jednak w jakimś sensie jest.

Kiedyś zdawało mi się, że te listy opowiadają historię naszego wspólnego życia, prawdę o tej dziwnej, pięknej miłości. Ale w tych listach nigdy nie byliśmy sobą. Byliśmy tacy, jacy chcieliśmy być.

Idziemy z Jeanem na spacer po zamarzniętym jeziorze. Stąpamy po zmarszczkach na lodzie w miejscach, gdzie chlusnęła woda. Światło odbija się od śniegu. Udaje nam się znaleźć gładszy kawałek na środku jeziora i ślizgamy się po nim w butach. Śmiejemy się i ślizgamy coraz szybciej – to ślizgamy, to biegamy, właściwie ścigamy. Potykam się i mało nie upadam, ale łapie mnie za ramię. Podnoszę wzrok i uśmiecham się. Patrzy na mnie, ale

bez uśmiechu. Potem żadne z nas już się nie śmieje. Wokół nas krąg ciszy, biały, zamarznięty świat, sople na drzewach. Szalik ode mnie zwisa mu luźno na szyi, ta oszałamiająca czerwień, a jego oczy nie mają końca i widzę w nich tylko ten głód, który już znam. Zaciska mocniej palce na moim ramieniu i czuję, jak coś przepływa we mnie niczym prąd.

Idziemy dalej przez zamarznięte jezioro, w stronę domu. Mijamy dzieci na drodze. Strącają sople z drzew, ssą je, ciskają w słońce.

Tego wieczora wpadam na niego, gdy wychodzę z pokoju na korytarz. Zamykam drzwi, moja ręka na gałce za moimi plecami.

– Szukałeś mnie? – pytam.

– Jak zawsze.

Jak tu ciasno, na tym korytarzu.

Kiedy po kolacji Margaret idzie do domu, przechodzimy z Jeanem do salonu – jak zwykle, ale tym razem cisza jest jakaś inna. Czytamy. Przynajmniej tak to wygląda. Ja mam na kolanach otwartego Junga.

– Co to? – pyta i patrzy na mnie, i wygląda na to, że utknęliśmy.

Chcę go dotknąć, chcę go poczuć w moich ustach. Chcę poczuć jego skórę na mojej, jego wargi. Nie mogę nawet ogarnąć tych pragnień.

Kiedyś rozmawialiśmy ze Stieglitzem o jednym z moich obrazów – chciał powiesić jakiś mój kwiat. Mnie jednak się on nie do końca podobał, nie chciałam, żeby zawisł w galerii. Wyjaśniłam mu to w ten sposób – ten obraz zrobiłam głową, zanim moje serce

i ciało były gotowe do pracy, i choć jest może piękny, brakuje mu ognia, tchu, życia.

Teraz mi się to przypomniało. Nie odpowiadam Jeanowi. Znów patrzy na książkę. Wygląda na poirytowanego, może dlatego, że nie odpowiedziałam.

Budzi mnie jakiś potworny ryk. Cały dom się trzęsie. Wyskakuję z łóżka w skarpetkach, wkładam gruby sweter. Jean już jest przy oknie.

– To pług śnieżny – mówi.

Co za przedziwna maszyna – na poły łódź, na poły diabeł. Krąży po naszym podwórzu, wycina ścieżki w księżycowym blasku, rozrzuca sterty śniegu.

– Zimno – mamroczę.

Bierze mnie za rękę, jego palce zaciskają się na moich. Podnoszę wzrok, ale on wpatruje się w noc za oknem.

Pług odjeżdża, jego światła jeszcze widać między drzewami, ryk silnika cichnie na drodze. Toomer przyciąga mnie, ujmuje moją twarz. Całuje. Długo.

– Powinieneś wrócić do łóżka – mówię.

– Najpierw muszę ciebie zapakować z powrotem do łóżka – odpowiada i śmiejemy się z tego mojego maciupeńkiego łóżeczka.

Otula mnie kocami i pochyla się, żeby mnie pocałować na dobranoc. Chwytam go za szyję i przyciągam do siebie.

Mój policzek leży na poduszce, patrzę prosto w ciemne oczy Jeana, tak nieruchome i lśniące dziwnym błękitem w mroku nocy. Kładę dłoń w tej wąskiej przestrzeni między nami, cienkim pasie, który nas oddziela. To tylko pięć moich palców.

– To będzie deska, która będzie nas odgraniczać – mówię.

– Twoja dłoń będzie deską?

– Tak.

– I potrafi nas powstrzymać?

– Jeśli zechce.

– A jeśli sięgnę ponad nią w ten sposób...?

Odpycham jego rękę.

– Może być bardzo skuteczna – mówię z uśmiechem.

– I chce być skuteczna?

– Hmm. Nie jestem pewna.

– To czego ona chce?

Dotyka moich palców. Czuję zapach jego skóry. Sięga ponad moją ręką i rozchyla mi sweter, jego palce rozpinają górny guzik mojej koszuli nocnej.

– Ukradnę cię – szepcze, jego oczy lśnią. – Jestem gotów błagać, żebyś ze mną uciekła, pojedziemy do twojego Abiquiu. Zabiorę cię tam...

– Przestań – uciszam go ostro.

Śmieje się. Chwyta moje palce, przyciska je sobie do ust. Przyciąga mnie do siebie i całuje mocno.

Później będę pamiętać to blade światło padające z okna, może księżycowe, albo może to był sam błękit, dość, że układał się wprost na mojej czaszce.

Potem leży tuż przy mnie, jego twarz przy mojej twarzy.

– Dlaczego się opierasz? – pyta. – Zupełnie jakbyś nie chciała niczego, co ci mogę dać, bo musiałabyś mi dać coś w zamian.

– To nie o to chodzi.

– Myślę, że właśnie o to.

Milczę. Myślę o tym, co wcześniej powiedział. *Zabiorę cię tam*. Jakże łatwo mężczyźnie powiedzieć coś takiego. *Zabiorę cię*.

– Nic z tego nie będzie – mówię.

Patrzy na mnie przez chwilę, potem wstaje. Jeszcze zatrzymuje dłoń, jego palce tuż przy mojej twarzy. Znów to elektryczne drżenie powietrza między nami.

A potem znika, pusto na progu, coraz cichsze kroki na schodach, cichsze, cichsze. Cisza. I pokój już nie jest tym pokojem co kiedyś. W oknie pięknie oprawiona noc. Wszystkie przedmioty trwają na swoich miejscach – zdjęcia na kominku, lampa, sterta książek, podpałka, narzędzia do kominka.

Wiele lat później zrozumiem, że to w tej chwili moje życie stało się w pełni moje – bardziej moje niż kiedykolwiek przedtem, bo odtąd nigdy już nie pozwolę, by było inaczej. Wrócę do Nowego Meksyku. Będę wychodzić w suchą nicość tej ziemi, którą kocham, i malować – kwiaty o ostrych brzegach, pustynne abstrakcje, krowie czaszki, te symbole Tanatosa. Będę nadawać moim obrazom tytuły i to będą widzieli – przedmioty, które wypełniają przestrzeń, słowa, które ją określają. Nie zauważą tego, na czym naprawdę mi zależy – tego, na czym zawsze mi zależało – czystego pragnienia nieba przelewającego się przez otwarte oko w czaszce.

Potem

Pozostajemy małżeństwem. Dochodzę do wniosku, że nie warto rezygnować z biznesu, który tak dobrze nam idzie. On zarządza logistyką, która mnie nie interesuje. Nie zauważa we mnie tej olbrzymiej zmiany. Widzi to, co chce widzieć. A ja dostaję to, czego potrzebuję.

Każdy rok dzielę na pół. Lato spędzam w Nowym Meksyku. Jesienią wracam do niego do Nowego Jorku. Kupuję dom w Ghost Ranch, na północ od Santa Fe, a potem w 1943 roku jeszcze jeden w malutkiej wiosce Abiquiu. To zupełna ruina, ale wiem po prostu, że drzwi tego domu od zawsze miały należeć do mnie. Rozbudowuję go wokół patio. W starej stajni i wozowni urządzam studio i sypialnię. Wstawiam wielkie okna w ścianę studia i długie stoły wzdłuż ściany. Ściany buduję w tradycyjny sposób – z cegły gładzonej rękoma miejscowych kobiet.

W przeciwieństwie do Ghost Ranch ten dom ma też wodę, mogę więc w nim mieszkać cały rok. Zakładam ogród. Warzywa. Drzewa owocowe. Kwiaty, tak rozplanowane, żeby coś kwitło o każdej porze roku. Maluję. Robię galaretkę pomidorową. Chodzę nad urwisko, gdzie kolory pędzą falami w przepaść. To wspaniała, szalona ziemia, jeszcze bardziej bezlitosna i wolna niż w Taos. Słońce wali w ziemię, pali ją do głębi. Nocą, gdy śpię pod gwiazdami, wciąż czuję to schowane w ziemi ciepło słońca.

Każdego ranka piję kawę w zimnej ciszy domu. Gdy światło wgryza się w krawędź rzeczy, czuję cichą radość. Wiem, że nie będzie w moim dniu niczego, co nie byłoby moje.

Za pierwszym razem, gdy dzwoni MoMA i Sweeney proponuje mi retrospektywę, odmawiam. Potem jednak oddzwaniam i się zgadzam. W końcu to Sweeney. Czternastego maja 1946 roku, w dniu otwarcia, Stieglitz siedzi na schodach z Marinem i przygląda się tłumowi. Obaj wyglądają tak dziwnie nie na miejscu. Jakby minął ich przypływ. Stieglitz patrzy nagle na mnie i uśmiecha się.

Dzień przed moim powrotem do Nowego Meksyku przechodzimy razem przez sale wystawy. Trzymam go za ramię.

– Tym jesteśmy – mówi cicho, wzrokiem obejmując moje obrazy na ścianach. – To właśnie zrobiliśmy. To jesteś ty.

Po powrocie do apartamentu, gdy on odpoczywa, siedzę przy stole i piszę do niego małe liściki. „Kocham cię". „Jesteś moją miłością". „Buziaczki". „Trzymaj się, kochanie". Zawsze tak robię przed wyjazdem. Później chowam je w różnych miejscach po domu – w szufladzie, na półce w apteczce, w książce, którą właśnie czyta. Potem je znajduje, gdy mnie już tu nie ma. Mówi, że dzięki temu czuje się tak, jakbym wciąż przy nim była.

Woła mnie z sypialni. Przystawiam sobie krzesło i siadam przy nim.

Nie ma okularów, jego oczy wydają się bez nich takie małe.

– Georgio, chciałbym, żebyś została.

Ściskam jego dłoń, jest taka zimna i słaba.

– Wiem.

– Tylko trochę dłużej, dobrze? – prosi.

Kręcę głową.

– Może następnym razem.

Dzwoni do mnie, żeby mi opowiedzieć o wspaniałej recenzji mojej retrospektywy. Napisał ją James Thrall Soby, modernistyczny krytyk, który nigdy dotąd nie przepadał za moim malarstwem. Stieglitz jest wniebowzięty. Czyta mi całe akapity:

– „To największa malarka naszych czasów. (...) Jej świat to świat kości i kwiatów, wzgórz i miast. (...) Stworzyła świat, którego przedtem nie było i który nie ma sobie równych".

Cisza na linii między nami.

– Wyślę ci go – mówi po chwili.

– Nie musisz. Prześlij mi tylko tekst McBride'a. Zawsze jestem ciekawa, co błyskotliwego tym razem wymyślił.

– Nie, nie – upiera się. – Ten też musisz przeczytać. Bo to prawda, kochana. Twój świat nie ma sobie równych. Tego właśnie zawsze dla ciebie pragnąłem. Zawsze.

Jest zmęczony, jego głos to cichnie, to zupełnie zanika. Mówi, że wczoraj miał znów te bóle w piersi, że musiał się położyć na ławie na zapleczu Miejsca i tak przyjmować naszych przyjaciół Newhallów, którzy akurat wpadli z wizytą. Przynieśli mu lody, czekoladowe, bo wiedzą, że to jego ulubione.

– Ciekły już, jak mi je dali. Nie dałem rady tak szybko lizać. Obawiam się, że zrobiłem sobie okropną plamę na koszuli.

Opowiadam mu o nowym obrazie, który maluję: kolejne niebo przez dziurę w kości miednicznej – ten sam błękitny owal jak w innych moich obrazach z kośćmi, oprawiony w biel. Zupełna abstrakcja, ale tym razem maluję jeszcze czerwono-pomarańczowy zmierzch na górze.

– To chyba po prostu nieuniknione – mówię mu przez telefon – kiedy się ma wokół siebie więcej nieba niż ziemi.

Kilka dni później dzwoni jego lekarz i radzi, żebym przyleciała do Nowego Jorku. Z jego sercem nie jest dobrze. Tylko że to nie pierwszy taki telefon, nie przejmuję się więc aż tak bardzo. W czerwcu ma się już o wiele lepiej.

Już wkrótce będę jak nowo narodzony – pisze. – *nie ma się w ogóle czym martwić. Dziś znalazłem kolejny Twój liścik. Powtarzam sobie, że jeszcze tylko kilka miesięcy i wrócisz do domu.*

Dziesiątego lipca znajdują go nieprzytomnego na podłodze w połowie drogi między jego a moją sypialnią. Przy jego dłoni pióro. Na biurku nieskończony list do mnie.

Kiedy dostaję telegram, jestem na zakupach w Españoli. Od razu jadę na lotnisko. Czuję upał przebijający się przez moją czerwoną bawełnianą suknię. Gdy przedzieramy się przez chmury, a ziemia pod nami zmienia się w proste kształty, myślę o tym, że tak bardzo nie chciał, żebym tym razem wyjeżdżała. Nigdy nie chce, ale może tym razem powinnam była zauważyć jakąś różnicę – smutek w jego oczach, inny uścisk dłoni, ostatni dotyk, nim moje zimne palce wyślizgnęły się z jego dłoni.

Pyknięcie w uszach, jesteśmy już wysoko. Zamykam oczy. W szumie silnika samolotu słyszę echo jego głosu: *Tylko trochę dłużej, Georgio, proszę, tylko ten jeden raz. Zostań*.

Prosta trumna bez wyścielania. Żadnych mów. Żadnej muzyki. Tylko kilka kwiatów. Czas mija jak pod wodą.

Dzień po pogrzebie dzwonię do Dorothy Norman i wyjaśniam jej, że przejmuję teraz kontrolę nad galerią, w tym także nad funduszem czynszowym. Ma zabrać swoje rzeczy. Kiedy zaczyna

płakać, wyjaśniam jej, że była tylko jedną z tych osób, do których Stieglitz miał jakąś głupią słabość. Romans między nimi był żałosny i nie chcę więcej mieć z nią nic do czynienia. Rozłączam się. Składam palce razem, kładę je mocno na kolanach, aż czuję każdą najmniejszą kość.

Wyrzucam jego leki, ubrania, koszule. Niektóre w doskonałym stanie, niemal nowe. Powinnam je komuś dać, myślę, ale ta myśl znika równie szybko, jak się pojawiła. Jedna z koszul ma ciemną plamę, czekoladowe lody, zupełnie zniszczona. Przed wrzuceniem do kosza jeszcze ją rozrywam. Powoli – ten okropny dźwięk czegoś rozrywanego na całej długości.

Jadę nad jezioro George i zakopuję jego prochy pod drzewem. Zasypuję to miejsce liśćmi. Przez długie lata jego rodzina będzie mnie męczyć o miejsce jego pochówku.

– Pochowałam go tam, gdzie może słyszeć wodę – mówię im tylko.

Trzy lata zajmie mi uporządkowanie jego rzeczy: archiwum, obrazy, listy, osobiste drobiazgi, fotografie, książki. Zachowuję tylko małą część tego wszystkiego, ale to dlatego, że trzymał tak wiele. Ręczna kopia każdego listu, który napisał. Listy, które dostał. Przesiewam ten ogrom i zostawiam tylko około pięćdziesięciu tysięcy stron. Są też oczywiście obrazy – Dove'a, Marina, Picassa, Cézanne'a i innych. Większość jego kolekcji – około sześciuset obrazów – przekazuję Metropolitan Museum of Art.

Nancy Newhall mówi mi, że Stieglitz zwierzył jej się kiedyś, że pewnie zniszczę wszystkie akty, które mi zrobił. Nancy rzuca to od niechcenia na jakimś przyjęciu. Trzyma w ręku kieliszek, na jego

krawędzi widnieje już plama po szmince, wino kołysze się w tę i we w tę.

Naprawdę tak myślałeś? Że je zniszczę? Niech cię diabli, Stieglitz.

Zachowuję tylko najlepsze. Przeglądam pieczołowicie tysiące odbitek i wybieram tylko te sześćset genialnych. Chcę je podarować muzeum Metropolitan, ale jakiś idiota z działu fotografii informuje mnie, że trzeba będzie przyciąć passe-partout.

– Musimy je poprzykrawać – oświadcza.

– Nie, na to się nie zgodzę. Mąż bardzo starannie dobierał papier do każdej odbitki.

– Jeśli ich nie przytniemy, nie zmieszczą się do naszych pudeł w archiwum. Musimy je przyciąć. To samo zrobiliśmy z obrazami Rembrandta.

– Tylko dlatego, że w jego przypadku nie było pani Rembrandt, która mogłaby je uratować, nieprawdaż?

W końcu te sześćset fotografii trafia do Galerii Narodowej w Waszyngtonie. Przekazuję między innymi wiele odbitek przedstawiających to samo, ale raz wywołanych w srebrze, raz w platynie, raz w miedzianej tonacji. Ile razy dotknął jej twarzy, jej ciała, poprawiał cienie i światło, żeby za każdym razem inaczej ją obejmowało – inaczej odbitka po odbitce. Przeglądam je i przeglądam, aż wreszcie łamią mi serce.

Koniec. W końcu wszystko załatwione. Wyjeżdżając z Nowego Jorku, postanawiam sobie, że jeśli ktokolwiek by pytał, nic nie wzięłam. Rozdałam wszystko. Kobieta, która nic nie zachowuje. Kobieta, która oddaje wszystko, aż zostaje jej tylko jutrzejszy

dzień. Teraz wszystko zależy już tylko ode mnie – to ja decyduję, co im dam, żeby mogli tworzyć sobie rozumienie tego, kim jestem.

Kiedy wracam do Nowego Meksyku, jest już jesień. Ziemia wydaje się ledwie zszyta z niebem. Budzę się rano i podłoga jest jakaś niepewna, jakby pomarszczyły się krawędzie świata.

Maluję moją górę i rzekę w dolinie. Maluję śnieg. Czerwone wzgórza osnute bielą. Gdy maluję błękit nieba, za moim oknem przelatują wrony. Pędzel zamiera w powietrzu. Patrzę za nimi, aż znikną mi z oczu. Rysuję nad moimi górami pojedynczą wronę, długie, rozłożone skrzydła. Lecący czarny ptak – zawsze tam, zawsze odlatujący.

Kochałam cię kiedyś. Tak bardzo cię kochałam.

Zabójcza myśl, gdy się ją do siebie dopuści.

Teraz

Gdy patrzę wstecz, wydaje mi się często, że wszystko to wydarzyło się z dnia na dzień. Stałam się staruszką, którą miałam się stać. Uparcie samotną.

Na długich stołach w moim studiu patrzymy na moje obrazy. Przede mną lata pracy – sięgają w przeszłość aż po tamte węgle. Jest 1970 rok. Będę miała wystawę w Whitney. Pierwszą wielką wystawę w Nowym Jorku od jego śmierci. Mam osiemdziesiąt trzy lata. Podróżowałam po świecie – byłam w Peru, w Egipcie, w Austrii, w Grecji, na Bliskim Wschodzie. Dwa lata temu magazyn „Life" poświęcił mi cały numer. Nazwali mnie Malarką Pionierką. Są zafascynowani artystką, która postanowiła mieszkać na pustkowiu – która budzi się przed świtem, pije kawę i wychodzi z domu z prowiantem i swoimi psami, by iść w stronę horyzontu. Przez te lata powoli stawałam się tym horyzontem – nieosiągalnym i absolutnym. Mówią, że jestem tajemnicza, bo nie wpuszczam do domu obcych – szczególnie tych znanych. Pozwalam tylko kilku określonym fotografom robić określone zdjęcia – zawsze w czarno-białych ubraniach, kimonach, szalach, z moimi krowimi czaszkami, pomarszczoną twarzą i dłońmi. Symbol Amerykańskiego Zachodu, samotna, niezależna. Nie widzę już moich gór, ale wciąż kocham je ponad wszystko.

Nie rozmawiamy o moich oczach. Pracowałam ciężko, by nauczyć się robić wszystko tak, jak chcę. Dawać światu tylko odrobinę, żeby zawsze chciał więcej. W każdym wywiadzie starannie dobieram szczegóły mojej kariery. Kiedy pytają mnie

o Stieglitza i jego wpływ, mam swoje sposoby, by zmienić temat. Nowy Jork to było inne życie. Kobieta, którą wtedy byłam, była zupełnie inną osobą. To nie jest łatwe – patrzeć z perspektywy na tak rozległe połacie czasu. Widzę to jasno. Raz po raz jaśniej, niż kiedy mój wzrok był jeszcze taki jak dawniej. Moje życie z nim. Moje życie przedtem. Zaczęłam odkupywać własne obrazy na aukcjach, żeby podbić ich wartość. Trzeba o siebie dbać.

Od czasu do czasu przeglądałam moje prace, wybierałam kilka, darłam, wychodziłam na dwór i je paliłam. Najlepsze prace zaznaczałam sobie gwiazdką z tyłu i inicjałami w kółku. Przez lata nie wystawiałam nigdzie moich abstrakcji. Nadal je malowałam, ale zachowywałam dla siebie – razem z moimi wczesnymi pracami. Moja własna kolekcja. Nie jestem już znana jako abstrakcjonistka. Jestem znana z moich pejzaży Nowego Meksyku, moich kości, kwiatów, dziur w niebie i chmur. W końcu to tego się od niego nauczyłam – że trzeba zachowywać dla siebie to, co się chce. Ukazywać światu tylko to, co ma być zobaczone.

Pracowałam ciężko, by stworzyć nową legendę – taką, która zastąpiłaby jego mit o mnie.

Nie spodziewam się tego uczucia. Przychodzi nagle, gdy siedzimy w studiu z moją menedżerką i z moją asystentką. Przeglądamy moje wczesne prace. Na stołach leżą moje węgle, moje abstrakcje akwarelą z 1915 i 1916 roku. To rzeczy, które zrobiłam, zanim do niego przyjechałam: *Błękit nr 1*, *Błękit nr 5*, spirala, kanion, dwie linie. Nagle ściska mi się serce. Są takie świeże, jeszcze mocniejsze teraz, pół wieku później.

– Cóż – odzywam się. – Chyba jednak nie ma po co robić tej wystawy. Nigdy potem nie namalowałam już nic lepszego.

Nie rozumieją mnie. Często się to zdarza. I Doris, moja menedżerka, mówi zdecydowanym tonem:

– Uporządkujemy obrazy tematycznie. W ten sposób ludzie zobaczą, że te wczesne formy znajdują swoje odbicie także w twoich późniejszych pracach.

Patrzę na nią.

– Próbujesz za wszelką cenę zwiększyć wiarygodność moich późniejszych prac.

– Nie – odpowiada tym swoim wspaniale rzeczowym tonem. – To po prostu alfabet, którym posługiwałaś się przez całe życie.

Nie da się mnie tak łatwo oszukać. Doris zwyczajnie nie chce, żebym się zaczęła teraz zastanawiać, czy nie porzuciłam przypadkiem moich najlepszych prac, mojej wizji – dla niego. Prawda jest taka, że już zadawałam sobie nieraz te pytania. Co bym zrobiła z tymi wczesnymi abstrakcjami, gdybym dalej pracowała sama? Jaką artystką bym się stała, gdybym nie pojechała do niego tamtego dnia w 1917 roku? Gdyby nie zaczęła się między nami ta obsesja?

Kiedyś powiedział o naszym związku „połączenie dusz". A kiedy indziej nazwał to prawdziwym „love story". A jednak to było o wiele więcej niż to. I o wiele mniej.

Wzdycham. Są jak proch – takie myśli.

Wystawa w muzeum Whitney odnosi niesamowity sukces. Pokazują ją jeszcze potem w Chicago i San Francisco. Gdy wracam do domu, widzę sterty listów i zaproszeń. Listy od muzeów z całego kraju, telefony z czasopism i gazet. Listy od kobiet, które dopatrują się we mnie symbolu dla swojego feministycznego ruchu, z którym nie chcę mieć nic wspólnego.

Listy od młodych artystów szukających porady i wsparcia. Czytam kilka, potem mi się to nudzi. Mogę przecież dać im tylko jedną radę: *Chcesz być artystą? Idź do domu i pracuj*.

Maluję i maluję, a moje oczy są coraz słabsze. W środku widzę coraz więcej chmur, aż w końcu zostają już tylko małe dziurki ostrego obrazu na granicach. Mówią mi, że nie ma na to lekarstwa i że za jakiś czas stracę też nawet te resztki wzroku na krawędziach.

Nie autoryzuję żadnej biografii. Za to piszę dwa pamiętniki. Moje pamiętniki. Pierwszy jest serią rysunków i krótkich opisów. Drugi jest bardziej dokładny, opowiadam w nim wszystko tak, jak chcę, z dystansem – chwile łączą się niczym strzała w locie, strzała pędząca do jakiegoś celu. Stieglitza wspominam w nim trzy razy i nawet to wydaje się już za wiele.

Każdego dnia przychodzi Candelaria, żeby zająć się domem. Estiben pali w kominku. Rozpalanie ognia to w jego wypadku prawdziwe zen. Nożem łupie rozpałkę. Układa szczapy w trzech albo czterech poziomych warstwach, mniejsze kawałki z przodu. Tak przygotowane drewno można podpalić jedną zapałką. Co dzień przychodzi też dziewczyna, która pomaga mi z papierkową robotą. Suszymy morele z ogrodu. Pieczemy irlandzki chleb na sodzie, w moim małym młynie mielimy własną mąkę. Układamy książki na półkach, a potem wciera mi olejek w plecy i nogi, żeby mniej bolało. Wozi mnie co tydzień moim białym lincolnem continentalem do Abiquiu na wizytę do okulisty. Dyskretnie odwraca wzrok, gdy chowam głowę w dłonie, by ukryć łzy. I jest jeszcze Juan, który powoli staje się moim najważniejszym towarzyszem. Pojawił się kiedyś po prostu na progu mojego domu

– wysoki, długowłosy artysta szukający pracy. I odtąd już tu ze mną jest. To żaden altruizm z mojej strony, że go przyjęłam. Z miejsca spodobał mi się ten przystojny chudzielec. Lubię jego śmiech. I jest dla mnie dobry. Wie, kiedy mnie szturchnąć, a kiedy zostawić w spokoju. Wie, jak zripostować, jak flirtować ze mną niczym młody kochanek i jak pozwolić się rozpieszczać, jakbym rozpieszczała ukochanego syna. Zabiera mnie do opery w Santa Fe i wie, jak trzymać mnie za ramię, żebym szła daleko od krawężnika, którego już zupełnie nie widzę.

Wieczorami po kolacji słucham dzieci ze wsi, które bawią się na ulicy przed tutejszą knajpką. Ich śmiech rozbija się o ściany zalane zachodzącym słońcem, ich głosy migoczą jak muzyka. Od czasu do czasu wołam je do środka. Gosposia mówi mi, które dziecko należy do której rodziny. Czasami wysyłam je do kina w Española. Płacę za szkołę dla tych najbiedniejszych.

Po zmroku, gdy dzieci wracają do swoich domów, proszę dziewczynę, żeby poczytała mi haiku z książek Blytha. Gdy czyta, muskam palcem garnek stojący na półce. Glina jest gładka i zimna, czuję w niej ziemię. Mino, mój ogrodnik, pomaga mi lepić garnki. Pracujemy razem. Kiedy garnek jest już gotowy, macam go krytycznie. Jeśli nie jest taki, jak chcę, poprawiamy go. Jeśli glina jest już zbyt sucha, rozbijamy go radośnie i zaczynamy od początku. W odwiedziny przyjeżdża wnuk mojej siostry Catherine. Ray był tu raz, gdy miał trzynaście lat. Potem już nigdy nie przyjechał. Jego siostra ma na imię Georgia – na moją cześć. Zapłaciłam za jej college. Chciałam jemu też zapłacić za studia, ale pod warunkiem że pójdzie na Harvard. Wolał sam zdobyć pieniądze i wybrać inną uczelnię. Teraz jest prawnikiem,

ma trzydzieści parę lat, niedługo się żeni. Ma w okolicy jakąś sprawę, więc może przy okazji przyjechać do mnie na weekend.

Tego dnia, gdy ma się pojawić, wstaję wcześnie. Przychodzi dziewczyna, rozpala w małym kominku w kącie, wypuszcza psy na dwór i wychodzi zrobić mi kawę. Wraca, pomaga mi się ubrać i wychodzimy. Robię kilka okrążeń po podwórzu, za każdym kładąc mały kamyk, żeby nie stracić orientacji, ile ich już przeszłam. Czuję puls w szyi, lekkie tętnienie życia pod palcami. Potem odpoczywam w słońcu przy starej studni. Drzwi są po drugiej stronie patio. Widzę tylko ciemną, nierówną plamę w miejscu, gdzie na pewno są. Światło uderza w nie zupełnie inaczej. Czasami, gdy powietrze jest suche i pachnie szałwią, mogłabym przysiąc, że wyczuwam go w tych drzwiach.

Piję kawę, jem jogurt z garścią malin z ogródka. Upinam włosy do góry i motam na nich chustę. Kremuję ręce, wmasowuję krew w każde zgrubienie moich sękatych palców. Moja skóra jest popękana jak pustynia.

Poranek jest bardzo biały. Czuję to na twarzy. Będzie upał.

Gdy przyjeżdża Ray, biorę go za rękę i oprowadzam po domu. Opowiadam mu, jakie zmiany zaszły, odkąd był tu ostatni raz – mam teraz biały dywan w studiu i sypialni.

– Moje psy, moje kochane chow chow są czarne i kiedy nie potrafiłam już odróżnić psa od podłogi, musiałam zlikwidować te czarne kafle. – W studiu pokazuję mu dwa obrazy. Sama już ich oczywiście nie widzę. – Ten przy części salonowej to *Nad chmurami*, a ten na długiej ścianie to *Dzień z Juanem*. – Macham ręką na małą płytę kuchenną stojącą przy zlewie. – Ten drobiazg

wydaje od czasu do czasu takie przedziwne dźwięki. Zdaje się żyć własnym życiem.

– Tak jak pozostali mieszkańcy twojego domu? – pyta lekko.

Śmieję się.

– Może i tak. A właśnie, gdzie się podział Juan? Chciałam was ze sobą poznać. – Ale nigdzie go nie mogę znaleźć. Candelaria nie wie, gdzie poszedł. Mino też nie. Juan ma taki zwyczaj. Znika, gdy pojawia się ktoś z mojej rodziny albo stary przyjaciel z poprzedniego życia. Może boi się, co powiedzą. Albo może zwyczajnie potrzebuje kilku godzin wolności. – Wróci – mówię do Raya. – Chodź, pokażę ci resztę domu.

Przechodzimy przez patio i krótki korytarz. Pokazuję mu jadalnię, ciemną podłogę, jasne, białe ściany, żonkile, które postawiłam dziś rano na stole otoczonym drewnianymi krzesłami z meksykańskimi plecionkami. Prowadzę go do spiżarni, w której trzymam czajniki, słoiki z przyprawami, lodówkę. Na gwoździach wiszą patelnie i garnki. Opowiadam mu, że poprzednia dziewczyna wciąż się ze mną kłóciła o to, jak należy przechowywać imbir. Ray pyta, która z nas miała rację. Wzruszam ramionami.

– Już jej tu i tak nie ma.

Biorę go za rękę – młodą, miękką. To nie jest ręka artysty. Przypomina mi rękę Catherine. Idziemy przez kuchnię. Opieram się o blat z ceratą w czerwono-białą kratę. Tuż obok zlew i piec.

– To piec firmy Chambers – wyjaśniam. – Można na nim polegać. Stare rzeczy zwykle są niezawodne. Choć przyznam, że skusiłam się ostatnio i kupiłam sobie zmywarkę.

Prowadzę go przez mały hol, potem do podłużnego salonu z trzema szybami w oknie i moim ukochanym tamaryszkiem.

– Zupełnie jakbym miała tu tryptyk, który zmienia się o każdej porze roku – mówię do Raya. – Kiedyś uwielbiałam patrzeć na ten krzak.

– Czy to kamień Portera? – pyta.

Wybucham śmiechem.

– Ech, wszyscy znają tę historię.

– Była przecież opisana w „New Yorkerze".

– Tak, ale dziennikarz nic nie zrozumiał.

– Jak to nie zrozumiał?

Gdy idziemy z powrotem przez labirynt korytarzy i patio do mojej sypialni, wyjaśniam mu, że ta część o wyprawie na tratwach była zgodna z prawdą.

– Wybrałam się na nią z Eliotem Porterem, jego żoną i kilkoma jeszcze osobami. Eliot znalazł ten kamień, taki niesamowity mały ciemny kamień, wypłukany przez strumień, lśniący i doskonały. Sam zresztą zobacz.

Dotarliśmy z powrotem do sypialni. Macam półkę i znajduję go.

– Proszę. – Podaję mu kamień. – Poprosiłam Portera, żeby mi go dał potrzymać, i tak idealnie leżał w mojej dłoni, że powiedziałam mu, że powinien mi go dać, bo mi będzie pasował do kolekcji. Ale on się nie zgodził i go zabrał.

– A potem oddał ci go jednak kilka miesięcy później – kończy Ray.

– Nie. – Śmieję się. – Widzisz, to jest właśnie ta nieprawdziwa część opowieści. Porterowie zaprosili mnie na kolację. I wtedy go ukradłam.

– Ukradłaś go?

– Leżał tuż przy mnie, na stoliku do kawy wśród innych drobiazgów. – Kręcę głową. – Ten kamień należał do mojej ręki. Wiedziałam o tym od razu.

Wyjmuję go Rayowi z dłoni. Trę powoli palcem niewielkie wklęśnięcie, które zrobiłam kciukiem. To mój ulubiony kamień. I jest mój. Pewne spotkania w życiu po prostu muszą się wydarzyć. Podobnie pewnie Stieglitz był mój. I to na długo, nim się poznaliśmy. Zawsze istniało we mnie to miejsce na niego – nienazwane, nieuświadomione.

– To ty zrobiłaś te garnki, które stoją na półce?

– Tak. Nie jest to to samo co malowanie, ale tylko to mi zostało.

– A to? Co to jest? – Czuję lekkie drżenie niepokoju. Nie wiem przecież, na co patrzy. Chyba się orientuje, bo szybko dodaje: – Ta ręka, tu na ścianie.

Ręka Buddy. Mudra. Dłoń uniesiona do góry, palce proste – to gest braku lęku. Bywa też nazywana gestem wyrzeczenia.

– Dostałam ją w prezencie – opowiadam Rayowi. – Ale potem jeden z palców się odłamał. Dałam ją do naprawy i wspaniale ją nareperowali. Nie widać było nawet śladu po złamaniu. Ale jakoś nic w niej już nie zostało. Żadnej mocy. Tylko te długie, piękne palce na ścianie, które nic nie znaczą.

Krótka, niepewna cisza. Wiem, że nie zrozumiał. Tego nie da się ukryć.

Wieczorem jemy pieczony udziec jagnięcy z czosnkiem, do tego sos miodowo-miętowy, chleb i sałatkę. Sałatka do każdego obiadu i każdej kolacji. Zawsze w tych samych płytkich, białych miskach. I sól w białych kieliszkach na sake z łyżeczkami w kształcie

muszelek. Wyjaśniam Rayowi, że liście, taki szpinak na przykład, należy myć w określony sposób, mianowicie łodyżkami do góry.

– Bo to, widzisz, ma duże znaczenie. To, jak sadzimy i jak przygotowujemy jedzenie, wpływa na smak.

– Jagnięcina jest pyszna – mówi.

– Jest pyszna, bo jej przygotowanie zajęło niesamowicie dużo czasu. Żeby tak smakowała, trzeba zrobić małe nacięcia w mięsie i w każde gdzieś na głębokość centymetra wsunąć plasterek czosnku.

– Dziękuję, że włożyłaś w to tyle wysiłku.

– Zrobiłam to także dla siebie – mówię. – Choć pewnie nie chciałoby mi się, gdybyś nie miał tu do mnie przyjechać.

Ogień trzaska. Zęby widelca uderzają lekko w jego talerz. W ciszy słyszę, jak się uśmiecha.

Po kolacji słuchamy płyt. Puszczam mu kilka sonat Beethovena, a potem mojego ukochanego Monteverdiego. Gdy płyta się kończy, podchodzę po omacku do stereo, unoszę igłę. Kręcę gałką, aż słyszę kliknięcie. Siadam z powrotem. Opowiadam mu, jak ostatnio przyjechała do mnie jego matka. Przywiozła ze sobą moje siostry Claudię i Catherine. Gadałyśmy długo po kolacji.

– Twoja matka spytała mnie, czy mnie nie wykończyły.

– A wykończyły? – pyta.

– Oczywiście, że nie. Czułam się jak Gwiazda Wieczorna.

Przez chwilę rozmawiamy o jego planach na przyszłość, jego pracy, jego pasji, jaką jest środowisko. Opowiada mi o dziewczynie, z którą planuje się ożenić.

– Prawo robi z małżeństwa okropnie długą sprawę – mówię mu. – Czasami lepiej związać się z kimś w sercu.

Delikatnie zmienia temat i mówi mi, że gdy po raz pierwszy przyjechał do mnie z wizytą w 1960, największe wrażenie zrobił na nim krajobraz.

– Większe niż ja? – pytam.

Słyszę, jak się śmieje.

– Podczas tej pierwszej wizyty tak.

– To Bogu dzięki, że mamy i drugą wizytę.

W pewnej chwili, gdy tak rozmawiamy, pytam go od niechcenia, czy moje siostry doszły już do siebie po tamtym szoku, gdy w zeszłym roku zgodziłam się wydać moje zdjęcia zrobione przez Stieglitza. Jakąż to wywołało lawinę listów i telefonów – siostry były przerażone skandalem i tą wizją, że moja naga osoba znajdzie się nagle na stolikach do kawy w każdym domu.

– Przeszło im?

– Chyba tak – mówi.

Śmieję się.

– I nawet nie mogę zrzucić tego na tak zwane różnice pokoleniowe, prawda?

– Ty jesteś inna niż większość kobiet w twoim wieku – mówi delikatnie. – Na pewno to wiesz.

Jest w nim ta dobroć. Dobroć mojej siostry Catherine. Czasami taka dobroć przekłada się na wspaniałe życie. Ja nigdy nie miałam takiego życia.

Mogłabym mu to teraz powiedzieć. Mogłabym mu powiedzieć, że przeszłość jest o wiele lżejsza, niż nam się wydaje – opadające płatki śniegu, które natychmiast się rozpuszczają i już ich nie ma. Wszystko, co się wydarzyło wtedy i potem. Stieglitz i ja. Moja

sztuka. Nasze listy, których nie pozwalam opublikować. Dziewczyna na tych fotografiach.

– Wszystko to minęło tak dawno temu – mówię do Raya. – Trudno mi sobie wyobrazić, że ma to jeszcze jakieś znaczenie.

Następnego dnia jedziemy do Ghost Ranch i idziemy z domu nad urwisko. Słyszę nawoływania kruków unoszących się na prądach powietrznych. Cichy szum wiatru wśród drzew.

– Ten dźwięk przypomina mi morze – mówię mu.

Gdy idziemy, opieram się trochę na jego ramieniu.

W połowie drogi zatrzymujemy się przy krześle, które zostawiłam sobie w cieniu drzew. Siadam, żeby odpocząć. Opowiadam mu o tym, jak byłam w tym roku na Kostaryce i w Gwatemali. Potem idziemy dalej.

– Znam drogę – mówię. – Ja prowadzę. Ale na tobie spoczywa obowiązek uważania na grzechotniki.

Tego wieczora, gdy wyjeżdża, odprowadzam go do drzwi. Dotykam jego rękawa.

– Pozwól mi zobaczyć swoją twarz. – Wyczuwam jego wahanie. Nie rozumie, o co właściwie proszę. – Tu, bliżej światła – mówię. – Chcę cię zobaczyć.

Robi mały krok do przodu. Stoi na wyciągnięcie ręki. Czuję ruch powietrza, gdy przestrzeń między nami się kurczy, jego cień pada na moje oczy. Wyciągam rękę i dotykam jego twarzy. Czuję ją pod palcami tak, jak czuję kości i szumiące w nich niebo. Rozpoznaję rysy mojej siostry, mojej matki, mojego ojca, te marzenia, które kiedyś mieli, to rozdarte piękno chwili, do której dotarliśmy.

Są rzeczy, które chciałabym mu powiedzieć. Rzeczy, które powinny przeciec z mojego serca w jego. To takie dziwne, że te życia, które przeżyłam, to, co zobaczyłam, czego się nauczyłam, ten ogrom, to piękno, to ryzyko, radość i zdumienie – wszystko to przepadnie razem ze mną. Czuję w piersi dziwny ciężar. To mi się prawie nie zdarza – czuć taki żal.

– Jesteś bardzo przystojny, Rayu – mówię.

Wychodzi. Stoję w drzwiach i nie widząc, patrzę, jak odchodzi.

Następnego dnia rano, po śniadaniu, wychodzę na dwór. Ogród pływa, ocean światła.

Słyszę uderzanie motyki o ziemię. To Mino. Wołam go cicho. Motyka zatrzymuje się, Mino podchodzi.

– Chciałabym, żebyś mi w czymś pomógł – proszę, biorąc go pod ramię.

Idziemy razem przez dom, przechodzimy przez patio i wchodzimy do studia. Proszę go, żeby wyjął gruby papier, farby wodne i pędzle. Instruuję, jak ma przyczepić taśmą kilka arkuszy papieru do stołu i potem tą samą taśmą zaznaczyć koniec papieru, żebym go wyczuła palcami. Dotykam kolejnych pędzli, aż wreszcie wiem, który się nada.

– Na początku tylko jeden kolor – mówię.

Proszę go, żeby poprowadził moją rękę na pierwszy arkusz papieru.

– Na środek – proszę. Przesuwam dłoń. Czuję jego palce na swoich, prowadzi mnie ostrożnie. Pachnie ogrodem, ziemią. – Dziękuję – mówię.

Wychodzi i zostaję sama. Rysuję kształty – fala, koło – farby suną z wdziękiem po papierze. Tworzę formy podobne do tamtych

abstrakcji, które robiłam, gdy byłam nikim, i dociera do mnie, że sztuka to osobna kraina – poza ciałem, poza czasem, jest jak śmierć czy pożądanie, jest żywiołem głębszym niż nasze fizyczne „ja".

Drżenie ręki. Pryskają kropelki farby. To takie ludzkie, takie niedoskonałe i nieprecyzyjne. I dzięki temu piękne.

Podziękowania

W pracy nad strukturą mojej powieści niezwykle pomocne były dla mnie teksty biografów O'Keeffe, kuratorów jej wystaw i wszystkich, którzy pisali o jej sztuce i życiu. W szczególności przydatne okazały się opracowania takich autorek, jak Barbara Rose, Sarah Greenough, Barbara Haskell, Laurie Lisle, Benita Eisler, Hunter Drohojowska-Philp, Roxana Robinson oraz Barbara Buhler Lynes. To teksty tych kobiet pozwoliły mi odbyć twórczą podróż przez życie O'Keeffe.

Za przeczytanie moich wczesnych szkiców i za niezwykle cenne uwagi moje podziękowania niech przyjmą również: Barbara Shapiro, Holly LeCraw, Kim Wiley, Caroline Leavitt, Elizabeth Lane. Szczegółowa redakcja, którą zrobił William Callahan, zdecydowanie udoskonaliła moją książkę. Dziękuję Millicent Bennett za przyjaźń; Sarah Barnum za jej wnikliwe uwagi na temat prac O'Keeffe; a także rodzinie Madden oraz Lucy i Amy White za czas spędzony nad jeziorem George, który miał wielki wpływ na moje zrozumienie znaczenia tego miejsca. Jestem ogromnie wdzięczna moim rodzicom za to, że zaszczepili mi wiarę w moc sztuki, oraz Karen Lustig, która żyła ze mną w świecie tej powieści.

Moja agentka Kim Witherspoon nie ma sobie równych – dziękuję jej za pasję i krytyczne spojrzenie. Mam szczęście, że

mogę mieć w niej zaufaną przyjaciółkę. Na serdeczne podziękowania zasłużyli sobie z nawiązką: Derrill Hagood, Anna Pitoniak, Sally Marvin, Michelle Jasmine, Leigh Marchant, Alaina Waagner oraz Avideh Bashirrad z Random House – za ich zapał dla historii Georgii jako ważnej dla współczesnych kobiet i dla sztuki. Dziękuję również Sandrze Sjursen, Benjaminowi Dreyerowi, Joe Perezowi, Simonowi Sullivanowi, Tomowi McKeveny'emu oraz Robertowi Huntowi za tę wspaniałą okładkę. Szczególne podziękowania należą się Carolyn Foley, mądrej i uważnej przewodniczce, oraz mojemu wspaniałemu redaktorowi technicznemu i przyjacielowi Vincentowi La Scali, który rozumie, że nawet najmniejsze zmiany w tekście mogą zmienić wagę całej opowieści.

Georgia nie powstałaby, gdyby nie odważna wizja Kate Mediny, która od początku pracowała ze mną nad kształtem tej powieści. Jej wspaniałe wsparcie redakcyjne, serdeczność i zaangażowanie miały ogromny wpływ nie tylko na tę książkę, ale w ogóle na moje życie.

Przede wszystkim jednak pragnę podziękować mojemu mężowi Steve'owi, który czyta każde słowo każdego mojego szkicu. Jego niesamowita inteligencja i wnikliwość są nie do przecenienia. I w końcu – naszym chłopcom, jesteście moim sercem, duszą, niebem i ziemią.

Georgia. Powieść o Georgii O’Keeffe

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Dedykacja
Od Autorki
Część I
- I
- II
- III
- IV
- V
- VI
- VII
- VIII
- IX
- X
- XI
- XII
- XIII
- XIV
- XV
- XVI

Część II

I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
Część III
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
Część IV
I
II
III
IV
V
VI

VII
VIII
IX
Część V
I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII
***
***
Podziękowania
Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Georgia: A Novel of Georgia O'Keeffe*

Copyright © 2016 by Dawn Tripp
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Urszula Gireń

Fotografia na okładce
© sisu / Getty Images

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Georgia. Powieść o Georgii O'Keeffe, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-809-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl